

WILLIAM WHARTON

WIEŚCI

**TYTUŁ ORYGINAŁU: TIDINGS
PRZEŁOŻYŁ MAREK OBARSKI**

Do Świętego Mikołajai

*Pozamiatalem i zasnąłem,
Zapominając o obietnicy
Nie spełnionej*

I PRZEPIÓRKA NA GRUSZY

W tym roku nie obrodziły jagody ostrokrzewu. Chociaż liście są soczyście ciemnozielone, ząbkowane i spiczaste, nie ma owoców na gałązkach.

W wilgotnym, zimnym powietrzu mleczna mgła rozprasza się nieco. Z pociemniałego nieba prósza pierwsze tańczące płatki śniegu. Opuszczam się ze wzgórza, niosąc ogromne naręcze gałązek ostrokrzewu, na których wcale nie ma jagód. Potem schodzę w dolinę rzeki Morvandeau, w stronę naszego starego młyna zbudowanego z głazów narzutowych i drewna. Ze wzgórz spływają potężną, czarną bystrzyną bulgoczące potoki, tocząc zaokrąglone, omszałe zielone kamienie mączące wodę w skalistym łożysku.

Wieś wydaje się głucha i opuszczona. Samotni staruszkowie siedzą w domach, marznąc przy wygasających kominkach. Nawet o wpół do piątej po południu wszystkie okiennice są zamknięte na głucho. Dzisiaj jest najkrótszy dzień w roku. Słońce znajduje się w nadirze. Jutro wszędzie znowu, by odrodzić życie na wiosnę.

Kiedy obszedłem wzgórze, zobaczyłem światło w naszym młynie, różowe, zapraszające. Lampa pali się w małym okienku od zachodniej strony, które wykuto w grubej trzystuletniej kamiennej ścianie. Wspaniale stąd widać zachód słońca w czerwcu. A wczesnym zimowym wieczorem oświetlony wykusz wskazuje drogę wracającym domownikom.

Wchodzę do młyna przez piwnicę, której drzwi wychodzą wprost na drogę. Od ciemnej, mokrej i zimnej posadzki z wyciosanego ręcznie granitu bije chłód.

Wystarczy spojrzeć w górę, by zobaczyć olbrzymie koła zębate, wał, czyli ogromną drewnianą oś podtrzymującą skrzydła wiatraka, i inne nieczynne urządzenia młyńskie. W piwnicy unosi się żywiczna woń trocin, zalegających na posadzce od rana, kiedy piłowałem tutaj brzożowe bierwiona. Całą stertę pociętych polan ułożyłem przy kominku na górze, choć ogrzanie tego mauzoleum na święta Bożego Narodzenia to zaiste trud Syzyfa.

W tym roku przyjeżdżają z Ameryki na święta dwie nasze córki. Najmłodsza latorośl, chłopiec, wciąż mieszka z nami. Starszy syn spędza tegoroczną gwiazdkę ze swoją francuską przyjaciółką, którą wiezie na tylnym siedzeniu motocykla przez bezkresną pustynię w dalekiej Arizonie i Nowym Meksyku.

Ale przecież pierwsza gwiazdka była na pustyni. Nasz Michael *cum* Józef prowadzi swojego osiołka Yamahę o pojemności 500 cm³, a obok drepcze, mam nadzieję, że nie-tak-bardzo-znów brzemienne Geneviève *cum* Maria, utrudzona wędrowną jak wiejski listonosz. Nie mam wątpliwości, że znajdą pokój w jakimś zajeździe.

Najstarsza córka i zarazem nasze najstarsze dziecko — Maggie — nie była we Francji od siedmiu lat. Wyjechała stąd do Arizony ze swym mężem, zanim urodziła synka, dzisiaj już pięcioletniego urwisa, naszego jedyne go wnuczka. Wiemy, że zastanawia się, czy nie odejść od męża.

Druga córka, Nicole, spędziła święta Bożego Narodzenia w naszym młynie trzy lata temu. Zmarła wtedy, brakowało jej gorącej wody, natrysków, muzyki rockowej, łaźienki, w której mogłaby umyć włosy, i, oczywiście, mężczyzny. Tym razem przywiezie chłopaka ze sobą. Pozostałych rzeczy zapewne będzie jej znów brakowało.

Nasze najmłodsze pacholę, Ben, kończy piętnaście lat w przeddzień Wigilii. Spośród wszystkich naszych dzieci jedynie on odziedziczył pogańskie, atawistyczne uczucia, które

opanowują nas w Boże Narodzenie. Życie w tej samotnej dolinie jest dla nas spełnieniem marzeń. Rozkoszujemy się jego surowym pięknem. Jesteśmy szczęśliwi, że otaczają nas faliste leśne wzgórza, okolone schodzącymi ukośnie łąkami, na których wieśniacy wypasają stada owiec.

Ben niechętnie bierze prysznic, myje włosy i słucha muzyki rockowej. O wiele bardziej woli towarzystwo zwierząt niż ludzi, których jest stokrotnie mniej w tej dolinie niż czworonogów.

Próbując daremnie dorównać bogatym Amerykanom z zachodnich stanów, a także dlatego, że w ACP, czyli w Amerykańskim College'u w Paryżu, w którym uczę, rozpoczęły się już ferie świąteczne, przyjechałem tu trzy dni wcześniej.

Moja żona, Lor, która również uczy i ma swoje własne kłopoty, nalegała, że powinniśmy wszystko spokojnie rozważyć.

Przywiozłem dodatkowy grzejnik, by dogrzać wyziębione wnętrze młyna. Chciałem również przetransportować piecyk do ogrzewania wody i zainstalować w łazience, ale nie zmieścił się w samochodzie. Mam małego sportowego fiata z silnikiem pojemności 1300 cm³. Ten zgrabny samochodzik zmieściłby się bez trudu w przedziale bagażowym amerykańskiego wagonu kolejowego. To mój jedyny sportowy sprzęt, jeśli nie liczyć spodenek, koszulki gimnastycznej i butów, które zakładani, uprawiając jogging.

Przywiozłem również trzydzieści metrów sukna, dwumetrowej szerokości, które kupiłem w magazynie Marche Aligre w Paryżu. Całe dziesięć metrów w kolorze jasnoczerwonym. Mam nadzieję, że uda mi się upiększyć tym dekoracyjnym materiałem rażące, surowe wnętrze młyna.

Pierwszego dnia po przyjeździe zabrałem się do sprzątnięcia zapuszczonego młyna — zamiatałem, odkurzałem, zdejmowałem pajęczyny, myłem okna, szorowałem podłogi, naprawiałem sprzęty i czyściłem wszystko, co mogłoby razić w oczy naszych gości.

Wymiotłem wielki kopiec mysich i szurzych bobków przywiozłem dwie pełne taczki śmieci, najwięcej *chaum*, gruzu wykruszonego ze szczelin w ścianach. Mury wietrzeją z wolna, ale stale. Po renowacji przetrwają jeszcze dwa lub trzy stulecia.

Wyniosłem także popiół z kominka, którego nie czyszczono od dziesięciu lat. Być może spopielone resztki lasu średniej wielkości, który zapewne spalono na tym palenisku.

Później zawiesiłem zasłony na okna z czerwonego materiału. By nie skłamać, przyczepiłem po prostu sukno do ciężkich dębowych belek. Uciąłem wąskie paski z boku materiału i przywiązałem zasłony szarfami, by wpuścić odrobinę dziennego światła do wnętrza. Z reszty sukna zrobiłem obrus i nakryłem stół pośrodku izby.

Teraz wszystko wygląda odświeżenie, jak przystało na Boże Narodzenie. Wnętrze będzie jeszcze piękniejsze, gdy przystroję pomieszczenie ciemnozielonymi gałązkami ostrokrzewu, na których w tym roku nie ma jagód.

Drugiego dnia, znów z ogromnym naręczem sukna, wszedłem na stryszek, gdzie będą spały nasze dziewczęta i sprowadzony z zagranicy mężczyzna.

Ściany na stryszku są ocieplone watą szklaną, która chroni wnętrze przed chłodem. Izolację umocowano na ścianach byle jak, na łapu–capu. Z niezrozumiałych powodów kosztatki z młyna upodobały sobie włókno szklane, wybierając miejsce na zimowy sen. Być może to jakaś pozostałość „wstecznej pamięci”. Koszatki targają watę szklaną na strzępki, moszcząc swoje maleńkie gniazda. Prawdopodobnie wszystkie zdechną na krzemicę — niewielka strata.

Udrapowałem na ścianach dwadzieścia metrów brązowego sukna, zakrywając, krokiew po krokwi, izolację z włókna szklanego z wszystkimi kosztatkami pograżonymi w głębokim zimowym śnie. Uśpione myszki nie zauważą nic aż do wiosny (mam na myśli kosztatki).

*Gdy wśród nocnej ciszy
Nie słyhać nawet skrobania myszy.*

Resztą sukna wyłożyłem przepierzenie naszej malutkiej toalety, którą nasi sąsiedzi uważają za cud amerykańskiej prostolinijności, prawdopodobnie niezbyt higieniczny. Pierwsi w całej okolicy mieliśmy ubikację w domu. Umocowałem sedes, ażeby nie kołysał się, gdy ktoś pochyli się, by się podetrzeć. Wstawiłem do toalety mały elektryczny grzejnik, który daje poczucie pewności i wita wchodzącego za potrzebą miłym ciepłem, a to dla naszych gości ma znaczenie.

Niestety, trzeba pamiętać o tym, by wyłączyć grzejnik w salonie, zanim włączy się piecyk w toalecie. W przeciwnym razie spali się korki, gdyż do młyna dociera jedynie piętnaście amperów z 220 woltów. W rzeczy samej młyn najbardziej nadaje się do zamieszkania w lecie.

Sposób splukiwania jest zbyt skomplikowany, by to opisać — wykorzystujemy również „mniej zabrudzony” papier na rozpałkę w kominku. I to wcale nie dlatego, by nie marnować opału, chociaż zwykle staram się bardzo oszczędzać energię. Przypuszczam, że moje skąpstwo, gospodarność, oszczędność mogą być w pewnej mierze przyczyną wszystkich naszych problemów. Chodzi o to, że nasz zbiornik na wodę ma określoną pojemność, poza tym ma już prawie trzynaście lat.

Przycinam gałązki ostrokrzewu i wstawiam do wazonów. Potem gotuję smaczne cassoulet z puszki, zagryzam posiłek chlebem i pijam czerwonym winem. Kiedy jestem sam, cassoulet z puszki stanowi szczyt moich kulinarnych umiejętności.

Później zamierzam naciąć trochę sosnowych gałęzi w pobliskim lesie. Poczekam jednak, aż zapadnie mrok. Przez dwanaście lat kradliśmy choinki z lasu. Za dnia szukaliśmy najzgrabniejszego drzewka, a kiedy wybraliśmy, znakowaliśmy je po swojemu. W nocy przemykaliśmy chyłkiem do lasu, wycinaliśmy piłą choinkę tuż przy samej ziemi, przysypywaliśmy piaskiem świeży pniak i wracaliśmy z drzewkiem przez uśpione miasteczko do naszego młyna. Nic tak bardzo nie raduje duszy w Boże Narodzenie jak ukradzioną z lasu choinka. Ale dzisiaj te nasze drzewka, stare bożonarodzeniowe drzewka, pośród których wybieraliśmy rokrocznie choinkę, są wysokie i grube jak słupy telegraficzne. I nie znalazłbym nie pomocnika, z którym mógłbym ściąć, zanieść do młyna i ukryć tak wielkie drzewo. Ten cudowny las przerósł nas wszystkich. W tym roku musimy kupić choinkę w Nevers. Wybierzemy ją w krzykliwej ciżbie przekupniów, grzebiąc w stosie leżących drzewek i sprawdzając pośpiesznie, czy ma odpowiednią wysokość i gęstość.

Wkładam ciepły płaszcz i filcowy kapelusz, biorę piłę i latarkę. Schodzę ostrożnie po zmurszałych schodach, macając w ciemności stopą, by nie skrećić nogi. Jeszcze zanim dotarłem do piwnicy, poczułem, jak zimny podmuch zapiera oddech. Wiem, że chłodne powietrze nie może płynąć ku górze. Być może jego cząsteczki są tak zagęszczone w tej ziębionej piwnicy, że wypiera je jakaś potężna, zwielokrotniona siła, unosząc ku przewiewnej, otwartej przestrzeni tych pomieszczeń. Domykam drzwi w podłodze, wiszące na wyrwanych zawiasach, zeskakuję z kilku ostatnich stopni i wychodzę w czarną noc. Gdzieś na niebie powinien wzejść wąski sierp księżycy, ale wciąż poruszam się po omacku w nieprzeniknionej ciemności.

Czy zdaje mi się, że jaśnieje przede mną droga? Nie mam pewności, czy błada poświata, którą widzę przed sobą, to mokra droga czy tylko złudzenie. Wyobraźnia to potężna siła. Czuję twardą nawierzchnię pod podszwami butów, toteż powinienem uzmysłwić sobie, czy wędruję prawą czy lewą stroną drogi. Mogę w każdej chwili zapalić latarkę, ale wówczas rozproszy się bezpowrotnie w jej świetle ta nikła nocna wizja, która nadaje przedziwny urok mojej sekretnej

wędrówce do lasu. Poza tym nie chcę, ażeby wieśniacy odkryli, że kradnę sosnowe gałęzie.

Widzę przed sobą halo, które otacza jak świetlista aureola sąsiadujące z młynem miasteczko. Upiorna biała mgła opatula rozproszone światło jedynej latarni w miasteczku. Przypatruję się, jak w blasku dalekiej lampy wyłaniają się z wszędobylskiego posępnego mroku jakieś dziwne kształty. Nocne światło stwarza obrazy tak odmienne od tych, które widzimy w dzień. Rozproszony blask nocnej latarni przypomina śnieg, który opatula ziemię białym całunem i zarazem rysuje kontury nowego krajobrazu. Wpatruję się w zachwycie w kamienne budynki stojące na nocnym pustkowiu.

Mijam samotną latarnię, a mój cień wydłuża się i ogromnieje przede mną. Idę różnym krokiem w kierunku zakrętu, trzymając w ręce zgaszoną latarkę. Na samym zakręcie wchodzę do lasu, przedzierając się przez leżące na ziemi, połamane gałęzie sosen. Wiatrołomy są tak zbutwiałe, tak wilgotne, że nawet nie trzaskają, kiedy deptę po nich.

Ścinam żywiczne gałęzie małą piłą ręczną, którą przyniosłem ze sobą. Potem z ogromnym naręczem pachnącej sośniny śpieszę w kierunku drogi i zbiegam ze wzgórza do swego gniazdowiska.

W młynie zrzucam płaszcz i kapelusz. Potem przyczepiam pachnące gałązki na belkach i nad oknami, ażeby ukryć agrafki w fałdach udrapowanego sukna.

Jutro pojedę do Nevers, by zabrać ze stacji Lorette i Bena, którzy wyjeżdżają pociągiem o siódmej rano z Paryża. Tutaj, w Nevers, zrobimy wszystkie świąteczne zakupy, a potem przyjedziemy do naszego młyna. Mam nadzieję, że uda się nam dotrzeć do domu przed zmrokiem. We Francji wiejskie drogi są niebezpieczne, szczególnie gdy pada śnieg.

Dziewczęta i młody Amerykanin mają przyjechać pojutrze, w urodziny Bena. Nasz syn przyszedł na świat w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, sprawiając nam radosną niespodziankę jak nieoczekiwany prezent pod choinkę. W pewnym sensie wszystkie nasze dzieci stanowiły niespodziankę, maleńki cud. Chyba również dlatego Boże Narodzenie znaczy dla nas tak wiele.

Nazajutrz budzę się o szóstej. Kiedy świecę z okna latarką, widzę wirujące płatki śniegu w smudze światła. Masz babo placek. Nie wziąłem pod uwagę „potęgi żywiołu”, licząc na to, że śnieg spadnie o dzień później niż przepowiadano. A teraz muszę przejechać sześćdziesiąt kilometrów w śnieżycy i ciemności samochodem bez opon śnieżnych i łańcuchów na koła, w którym ogrzewanie jest niesprawne i nie domyka się okno. Na dodatek nie działa trzeci bieg w czterobiegowej skrzyni biegów, toteż będę musiał jechać wolniutko, trzymając kurczowo kierownicy, bo samochód niechybnie będzie się ślizgał, szczególnie w drodze powrotnej. Wyobrażam sobie, że mam sportowy wóz, ale tak nie jest.

Niebawem okazuje się, że chyba nie wyruszę tym gruchotem do Nevers, gdyż wyczerpał się akumulator. Kiedy patrzę przez półprzeźroczyste ścianki, odkrywam na blasze cynkowej białą inkrustację. Być może, jeśli potrząsnę akumulatorem, wywołam w środku miniaturową śnieżycę, tak jak to robiłem, bawiąc się szklaną kulą z bałwankiem, gdy byłem dzieckiem.

Popukałem w akumulator i wyciągnąłem go ostrożnie, pamiętając dobrze o daremnych, herkulesowych zmaganiach i gasnącym co rusz silnikiem pewnego wczesnego ranka Paryżu. Pchaliśmy z Benem auto, a Loretta siedziała przy sterownicy, próbując uruchomić silnik. Moja żona przerzucała kolejno biegi i naciskała sprzęgło, ale silnik krztusił się tylko, samochód w ogóle nie ruszył z miejsca. Wreszcie zupełnie zrezygnowani pobiegliśmy szaleńczo do najbliższej stacji metra, wściekając się wzajemnie na siebie i ciskając paczkami z książkami. A przecież wystarczyło odłączyć wyczerpany akumulator, zanieść go do mieszkania i naładować,

co też robiłem, kiedy Loretta i Ben odjechali metrem. Stopniowo ranny chłód zelżał i po dwóch godzinach dializy zainstalowałem z powrotem akumulator i dojechałem bez kłopotów na wykłady, które zaczynają się o dziesiątej. Zwykle to Loretta i Ben jechali samochodem, a ja szedłem do metra.

Zbieram z krzesła rzeczy, które rzuciłem tam wczoraj i ubieram się pośpiesznie. Wkładam rękawiczki i kapelusz i sprawdzam latarkę. Schylam ostrożnie głowę, przechodząc przez wiszące na luźnych zawiasach drzwi do granitowego grobowca piwnicy. Z gęstej ciemności wyłania się przerażający mechanizm młyna jak straszliwe wnętrze olbrzymiego, milczącego potwora. Naciskam klamkę i wychodzę po kamiennych schodach wprost w szalejącą śnieżycę. Ziemię pokrywa już czterocalowa warstwa świeżego, niewinnego śniegu. Nad wrotami do niskiej stodoły, w której garażuje nasz samochód, wiszą srebrzyste sopte. W środku poniewierają się wszędzie części aż sześciu motocykli, które otaczają samochód niczym prezydencka eskorta. Świadczy to o postępach Mike'a, który ze zwykłego lekkiego motoroweru z silniczkiem o pojemności 50 cm³ przesiadł się w końcu na stalowego rumaka o pojemności 500 cm³ — miłość swojego życia. Tutaj w tych zakurzonych, rdzewiejących mechanizmach można prześledzić etapy rozwoju mojego syna w okresie dojrzewania.

W samochodzie sprawdzam, czy działa przełącznik świateł i włącznik nagrzewnicy. Przyciskam pedał gazu, powoli, dwa razy, trzymając się ściśle wskazówek pana Diamanta, człowieka, od którego kupiłem ten pojazd. Potem przekręcam kluczyk w stacyjce. Rozrusznik śpiewa radośnie: Ruszamy! Ruszamy! Ruszamy! Silnik pozostaje głuchy na odczyt wezwania (być może to tylko głuchota stali), zdaje się nic nie słyszeć i nie odpowiada na radosną piosenkę startera.

Wyłączam rozrusznik, czekam z rozpaczą. Próbuje od nowa. Starter wzywa znów; Ruszamy! Ruszamy! Ruszamy! Lecz samochód ani drgnie.

Wciskam gaz niemal do dechy, tym razem wbrew wyraźnej instrukcji pana Diamanta.

Ten typ rozrusznika działa niezależnie od silnika, a kiedy uruchamiam go; wydaje się żyć osobnym, własnym, daremnym życiem. Obawiam się jednak, że to wina silnika, który nie reaguje na wibracje tego nietypowego malutkiego startera. Stopniowo zmieniamy ton i zamiast ochoczego: Ruszamy! zdaje mi się, że słyszę zrezygnowane: Nie mogę tego zrobić, a nawet: Rozstajemy się, odchodzę!, wypowiedziane zmęczonym, bełkotliwym głosem zataczającego się pijaka czy zniechęconego kochanka.

Jestem gotów zrezygnować, ale zarazem szukam gorączkowo jakiegoś rozwiązania. Mam zaledwie godzinę, by naładować akumulator. Przyniosę do stodoły nowy butanowy piecyk i ogrzeję samochód. Gdzieś mam przewód do świecy. Może jednak zaczekam, aż wstanie nasz sąsiad Philippe i pożyczę od niego kabelek.

Jeszcze raz przekręcam kluczyk i słyszę niepokojący chichot silnika, zalotne przekomarzenie, które zdaje się już obiecywać, że motor zaraz zaskoczy, lecz potem nagle zapada cisza.

Czekam całe dwie minuty w ciemności, próbując sklecić jakąś pogańską modlitwę, która wspomogłaby mnie w tej trudnej chwili, daremnie szukając odpowiednich zaklęć przeciwko złemu losowi i upokarzając się błaganiami do niewzruszonego silnika. Przyrzekam, że będę częściej zmieniał olej silnikowy, nie tak rzadko jak dotąd, kupię specjalny olej na zimę, a może nawet naprawię przekładnię biegów.

Nie, to wszystko zda się psu na budę. By spełnić moje obietnice, musiałbym wydać więcej, niż wart jest ten stary gruchot. Przygważdża mnie zdradziecka, cudowna myśl, by wyrzucić tego wysłużonego grata na szmelc i kupić inny wóz. Istotnie, rozglądam się już za nowym samochodem.

Odejdź precz, szatanie!

Uspokajam się. Przekręcam kluczyk, jakby to był pogodny czerwcowy dzionek i nagle ten stary gruchot zmienia się w nowiutki sportowy wóz. Silnik zaskakuje i ryczy, zanim jeszcze dobiegło mnie ochocze wezwanie rozrusznika. Gdzie tkwi tajemnica? Siedzę w ciemnym i zimnym samochodzie, promieniując radością i wsłuchuję się, jak wszystkie cztery cylindry równomiernie pracują, zagrzewając się nawzajem do startu, i zdaje mi się, że płynę. Zwalniam pedał gazu, by przyhamować samochód, i wysiadam, ażeby rozewrzeć ogromne wrota stodoły, zanim zatruję się tlenkiem węgla zawartym w spalinach. Moja śmierć zostałaby prawdopodobnie uznana za kolejne niespodziewane samobójstwo, jakich wiele zdarza się w czasie świąt Bożego Narodzenia.

— Nikt z nas nie zauważył niczego, co zapowiadałoby tragedię, ale on zawsze był skryty. Trudno było zaprzyjaźnić się z nim, nawet żona nie знаła wszystkich jego sekretów. Filozofowie to zgraja łajdaków. Czy wiesz, że on chyba nie wierzył w to, że świat jest rzeczywisty. Czy możesz to sobie wyobrazić?

Zostawiam samochód na wolnym biegu; udało mi się zwalczyć nieodpartą pokusę gwiazdkowego samobójstwa. Rzucam się pędem przez piwnicę, biegnąc do nagrzanego pokoju na górze. Ściele łóżko, wyłączam z kontaktu amerykański elektryczny koc, szybko czyszczę zęby i myję się, wciąż nad słuchując, czy nie zgasł silnik samochodu. Wybieram popiół z kominka i wreszcie się rozgrzewam. Wkładam do paleniska zmięty papier, wiązkę chrustu, gałązki, suche gałęzie, nad którymi ustawiam dwa rozszczepione polana, by łatwo było rozniecić ogień, kiedy wrócimy. Nad słuchuję — silnik wciąż pracuje.

Zapałki kładę przy kominku. Nastawiam butanowy grzejnik na minimum; butle z butanem kosztują po siedemdziesiąt osiem franków każda, a trzeba pojechać pięć mil do Chatin, ażeby napełnić je gazem. Upewniam się, że mam portfel, książeczkę czekową i prawo jazdy. Pakuję klucz francuski, śrubokręt, kombinerki. Zabieram szufłę do węgla na wypadek, gdybym ugrzązł w śniegu. W takim razie wygarnę szufelką śnieg spod kół i posypię drogę piaskiem z przydrożnych rowów, o ile w ciemności dokopię się do piasku pod śniegiem.

Wreszcie jestem gotów do drogi. Zostawiam zapaloną lampę nad stołem. Nienawidzę wyjazdów. Dom wtedy wydaje się szczególnie przytulny, jakby zapraszał, by spędzić długi zimowy dzień przy płonącym kominku, popijając w zadumie dobrze zamrożoną wódkę, rozmyślając o swym życiu i zastanawiając się, czy nie zbroczyć z wydeptanej ścieżki. „Po co to wszystko? Dlaczego żyję tutaj? W jaki sposób można naprawdę zrozumieć wszystko? Jak sprawić, by Lor była wreszcie szczęśliwa? Myślę, że wiem, ale czy jestem naprawdę gotów to uczynić? Chłopie, serce i rozum to wrogowie, którzy rzadko godzą się na kompromis. Do diabła, czym jest miłość? W jakiej mierze składa się z szacunku i podziwu, a ile znaczy w niej namiętność? W jaki sposób zachować właściwe proporcje, by przetrwała? Czy posłuchać rozumu i rozstać się, czy zawierzyć sercu? Trzeba wybrać jedno albo drugie”.

Samochód wciąż cicho warczy. W środku jest już cieplej. Wciskam pedał gazu i puszczam sprzęgło. Po wyjeździe ze stodoły samochód grzeźnie w błocie, które przykryła warstwa świeżego śniegu. Wrzucam wsteczny bieg, potem ruszam gwałtownie w przód, by wyjechać na drogę, lecz przednie koła kręcą się w miejscu jak oszalałe. Kiedy hamuję, autem gwałtownie zarzuca i zatrzymuję się tuż przy przysypanych śniegiem grządkach czarnych porzeczek hodowanych przez madame Le Moine na miejscu starej zburzonej stajni.

Wysiadam i wracam do stodoły, by zamknąć olbrzymie drewniane wrota od wewnątrz. Mocuję skobel i wychodzę przez mniejsze drzwi wycięte z boku w lewym skrzydle wierzei, w których mieści się tylko człowiek. Stawiam kroki ostrożnie, starając się ominąć pękający pod

stopami cieniutki lód i miejsca przysypane świeżym śniegiem, pod którym kryje się zdradliwe błocko.

Pierwsze dwa kilometry traktuję jak jazdę próbną. Mieszkamy w dolinie, do której spływają trzy strumienie tworzące staw, nad którym stoi młyn. Droga z młyna wiedzie w górę i jest raczej stroma. Tak czy owak, by wyjechać stąd, obojętnie w którym kierunku, trzeba się wspinać ze dwa kilometry po bezlitosnym stoku. Uprawianie joggingu w lecie wymaga tutaj szaleńczej kondycji.

Wsiadłem znów do samochodu, ogrzewanie jakoś działa, toteż na szybie z wolna topnieje lód. Wychylam się i czyszczę boczne lusterko. Spoglądam na zegarek. Jest dziesięć po siódmej. Goście przyjadą już za dwie godziny. To oczywiście, że spóźnię się na stację. Przyciskam sprzęgło, wrzucam pierwszy bieg i wreszcie ruszam, wspinając się na strome wzgórze Vauchot.

Nieźle poradziłem sobie na wybojach w miejscu, gdzie w lecie nieraz finiszowałem w karkołomnym sprincie, zbiegając na łeb na szyję ze wzgórza. Zwolniłem nieco, przejeżdżając na zakręcie nad urwiskiem tuż za wjazdem na położone niżej pole monsieur Pinsona. Tylko koła zarzucają to w prawo, to w lewo, jakby samochód próbował tańczyć sambę.

Na wzgórze jadę slalomem, wiedząc, że jeśli zatrzymam się, nigdy nie pokonam stromizny. Wreszcie wjeżdżam na szczyt Vauchot. Zjazd będzie naprawdę emocjonujący.

Samochód ślizga się, tańczy, gdy przejeżdżam przez Vauchot.

Teraz czeka mnie długa, kręta serpentyka aż do miasteczka Corbeau. Najpierw samochód wspina się na wzgórze, na którym nasz Mike zwykł trenować jazdę ze zmienną prędkością na maszynie nachylonej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W porównaniu z jazdą samochodem po oblodzonych wzgórzach, motocyklowa wyprawa Mike'a przez pustynię, która tak mnie zbulwersowała, wydaje mi się niewinnym, rozsądnym i spokojnym sposobem spędzenia świąt.

Hamuję na pierwszym biegu. Samochód ślizga się dwa razy, ale udaje mi się wyprowadzić go z poślizgu i wyjeżdżam na szosę do Corbeau. Od razu wrzucam drugi bieg. Przez następne dziesięć kilometrów jadę pełną zakrętów drogą, która rwie się, to wznosząc się, to opadając, ale jest i tak dużo łatwiejsza niż poprzedni pięciokilometrowy odcinek, z którym uporałem się tylko cudem. Świta mi nikły promyk nadziei, że uda mi się już bez niespodzianek dotrzeć do Nevers — krainy nigdy—nigdy, która zowie się Bourgogne.

Niebo zaczyna szarzeć i blask nowego dnia rozjaśnia śnieżną kurzawę, kiedy wjeżdżam na Route Nationale 978 prowadzącą do Nevers. Na tej uczęszczanej szosie koła przejeżdżających samochodów zepchnęły na wprost stajały śnieg na pobocza, toteż ciemna wstęga drogi jest doskonale widoczna. Odprężani się i wrzucam delikatnie czwarty bieg, pomijając trzeci, który nie działa. Przełączam światła mijania na długie drogowe. Opuszczam z trudem przymarznątą szybę i przecieram lusterko wsteczne. Tylna szyba jest cała zaparowana.

We Francji często można zobaczyć na tylnych szybach samochodów naklejki z hasłem: AU VOLANT LA VUE C'EST LA VIE. Nigdy nie byłem pewien, czy oznacza to „Gdy wyprzedzasz, twoje życie zależy od widoczności” czy też „Gdy kierujesz (sterujesz), twoje życie zależy od zdolności widzenia”. To daje pojęcie o mojej znajomości języka francuskiego. Bo pomimo że napisałem w tym języku pracę o koncepcie złudzenia w twórczości Alberta Camusa, muszę przyznać, że moja znajomość francuszczyzny jest słaba.

Zmagam się znowu z oknem, chcąc otworzyć je, by przetrzeć zaparowaną szybę. Wydaje się, że śnieg nie sypie już tak gęsto. Spoglądam pośpiesznie na zegarek. Mam w zapasie jeszcze prawie całą godzinę i tylko czterdzieści pięć kilometrów do przebycia.

Kiedy wjeżdżam do Nevers, jest dziesięć po dziewiątej. Nad wąskimi pajęczymi uliczkami pochylają się średniowieczne kamieniczki podstemplowane w połowie drewnianymi

wspornikami. Przebywam znajomą trasę do stacji. Parkuję samochód i spoglądam na dworcowy zegar. Przyjechałem kwadrans przed przyjazdem pociągu. Mój zegarek śpieszy się całe pięć minut.

Udaję się do restauracji dworcowej. W barze proszę o filiżankę kawy i rogalik. Płacę i siadam przy stoliku. Wokół panuje niesłyszany rozgardiasz, gdyż duża grupa francuskich uczniów w szkolnych mundurkach zмага się z nartami i ekwipunkiem, szykując się do szturm na pociąg, którym mają przyjechać Loretta i Ben,

Zapach kawy i pierwszy łyk gorącego napoju stanowią sygnał dla kiszek, toteż muszę szybko poszukać toalety. Znajduję ją bez trudu. Chociaż klozet dzieli się na męski i żeński, zarówno mężczyźni, jak i kobiety korzystają ze wspólnej umywalki i przeglądają się w tym samym lustrze. W kabinie znajduje się sedes, na którym można usiąść, a nie cuchnąca dziura kloaczna, nad którą można tylko przykucnąć, tak jak w ubikacji na stacji. Jednak nie ma światła w kabinie. Domyślam się, że zgodnie z francuską logiką lampa zabłyśnie po zamknięciu drzwi na zatrask. W środku dostrzegam odpowiednie urządzenie, ale choć dociskam je mocno, światło nie zapala się. Otwieram więc ponownie drzwi, by zapamiętać, gdzie jest sedes, papier toaletowy, spłuczka. Zrywam gruby zwitek papieru, sprawdzam wszystkie wektory, umiejscawiając dokładnie sedes i sposobie się do zamknięcia drzwi. Z sąsiedniej kabiny wychodzi kobieta w futrze i roztrzepuje krótko ostrzyżone włosy. Zastanawiam się przez chwilę, czy nie przenieść się do tamtej kabiny, skoro pali się w niej światło, zamiast skromnie zamknąć drzwi, zachowując się elegancko, i siedzieć na sedesie w zupełnej ciemności.

Kiedy skończyłem, po krótkiej szamotaninie z guzikami, zatrzaskami i zameczkami, poszukałem po omacku zasuwki. Rano włożyłem długie, ciepłe kalessy, na to czarne narciarskie spodnie. Ubrałem się w dwa podkoszulki z długimi rękawami, jeden cieplejszy, chroniący przed arktycznym mrozem (jednak niezbyt skutecznie w surowym klimacie Morvan), sweter i kurtkę. Nigdy nie udaje mi się w ciemności zapiąć kurtki na zamek błyskawiczny.

Wychodzę z ulgą z ciemnej kabiny. Przy umywalce nie ma nikogo. Według mojego uregulowanego zegarka pozostało jeszcze pięć minut do przyjazdu pociągu. Z przerażeniem dostrzegam w jasnym neonowym świetle nad umywalką mnóstwo brudu na ubraniu i skórze. Próbuje chusteczką zetrzeć z grubsza najgorsze plamy. W zdradliwej mazi przed wejściem do stodoły ubłociłem nowiutkie buty firmy L.L. Bean na gumowych podeszwach. Przyglądam drżącymi palcami bielutkie jak śnieg włosy, na których widok w lustrze nieodmiennie przeżywam istny szok. Nie znoszę, kiedy drżą mi ręce ze zdenerwowania, tak jak teraz. Wydaje mi się, że to zdarza się ostatnio coraz częściej.

Zacząłem szybko siwieć, gdy skończyłem trzydzieści pięć lat, chociaż pierwsza siwizna pojawiła się nad moim czołem, zanim przekroczyłem trzydziestkę. Ludzie nie ufają mężczyznom, którzy przedwcześnie szpakowacieją, wierząc, że srebrzyste pasemka w czuprynie młodzieńca świadczą o skrywanej tajemnicy. Może przeczuwają, że szpakowaci, choć młodzi jeszcze mężczyźni, to szaleńcy lub osoby, które przeżyły głęboką tragedię osobistą, co niezmiennie czyni nas kalekami w ich oczach. Być może z tego właśnie powodu studiowałem filozofię. Wyglądam jak człowiek, który wszystkim się martwi. Nie ukrywam, że tak jest.

Teraz, gdy mam pięćdziesiąt dwa lata, wcale nie jest tak źle. Srebrzyste włosy pasują w sam raz do mojego wieku, a co ważne, nie wypadają. Pewnie na swoim pogrzebie będę wyglądał jak nieszczęśliwy chłopiec, który powolutku uwiadł. Niewiele mi już brakuje do tego. Czekałem przeszło pięćdziesiąt lat, by upodobnić się do mężczyzny. Mogłem równie dobrze oswoić się z myślą, że nigdy to się nie zdarzy.

Myjąc ręce, wpatruję się przez dziesięć sekund w niespokojne, błękitne oczy w sianej twarzy, którą widzę w lustrze. Odkąd postarzałem się, mam powieki tak ciężkie, że zmęczone oczy zdają

się przeziarać jakby z głębokiej szczeliny.

Powinienem ogolić się rano, ale zabrakło mi czasu. Zresztą nie pamiętałem o tym. Na podbródku wyrosła mi czarna, bez śladu siwizny, trochę niesamowita szczeć, gdyż nie golę się od kilku dni, by przekonać się, jak będę wyglądał z brodą. No i wyglądam, jakbym chodził z odwróconą głową.

Pociąg spóźnia się pięć minut, toteż wystarczyło mi czasu, by dokonać niespodziewanego odkrycia, na własny użytek, oczywiście. Nie jest, co prawda, zbyt oryginalne ani olśniewające, ale na pewno twórcze, oczywiście na miarę moich horyzontów. Otóż odkryłem, dlaczego rogaliki wypieka się z cienkich, zachodzących na siebie warstw ciasta, które splatają się w kształt rożka. To jasne jak słońce! Chodzi o to, by można swobodnie maczać rogaliki w kawie bez obawy, że okruszki wpadną do filiżanki. Delektuję się smacznym ciastem, letnią kawą i swym odkryciem, które sprawiło, że poczułem się jak geniusz i człowiek bywały w świecie. Napięcie związane z podróżą opada jak ów na pół stajały śnieg na drodze do Nevers.

Kawa zwykle nazbyt podnosi mi ciśnienie, ale tym razem czuję się rześko. Chyba dlatego, że jest prawie zimna, a może w organizmie zachodzi jakaś reakcja chemiczna, kiedy spożywamy rogalik maczany w wystudzonej kawie. Prawdopodobnie ciśnienie opadło mi po szaleńczej, rozpaczliwej jeździe i odrobina kawy wyrównała je tylko, dodając mi energii. Nie wiem, z jakiego powodu czuję się jak dobroduszny święty Mikołaj, który zawieruszył gdzieś swój dzwonek, a na domiar złego jego reny pomknęły gdzieś z pustymi saniami, pozostawiając go tutaj. Byłoby wspaniale być naprawdę świętym Mikołajem. Może zostanę nim w przyszłym życiu.

Kiedy słyszę zapowiedź przez głośniki, że pociąg z Paryża wjeżdża na stację i wychodzę na *quai*, czuję, że jestem obywatelem świata, który w przybranej ojczyźnie czeka na przyjazd ukochanych bliskich, jak na początku wzruszającej historii opisanej w książce. Prawdopodobnie jest to powieść Johna O'Hary lub J. P. Marquanda o nie odwzajemnionej miłości. Lepiej nie myśleć o tym za dużo, przynajmniej nie teraz. Nie jestem jeszcze gotów.

II DWIE TURKAWKI

Oczekuję daremnie na *quai*. Prawie zrezygnowałem, zastanawiam się, czy nie zatelefonować do Paryża. Przychodzą mi do głowy najczarniejsze myśli. Biorę pod uwagę najgorsze możliwości. Wreszcie wychodzą z pociągu.

Powinienem się domyślić. Loretta nigdy nie będzie przepychać się w tłumie i torować sobie drogi łokciami, by znaleźć się na pierwszym, dziesiątym, trzydziestym czy trzechsetnym miejscu. Ona zawsze siedzi niewzruszenie, dopóki wszyscy pchają się, tłoczą i zmagają, taszcząc bagaże ku wyjściu. Potem niespiesznie, z wdziękiem, jakby siedziała w prywatnym samochodzie, jakby czas w ogóle nie istniał, podnosi się i uśmiechając się mile do konduktora, zmierza do wyjścia. Ben jest taki sam. A ja nie. Zawsze przepycham się, pomagając sobie łokciami. Oboje doprowadzają mnie do szału. Z nienawiścią wyobrażam sobie, co myślą o mnie.

Wreszcie są, mają tylko podręczny bagaż. Płyną sennie za tłumem pasażerów. Zobaczyli mnie i ich twarze, tak jak moja, rozjaśniają się radośnie. Właśnie zaczynają się święta Bożego Narodzenia. Przyglądam się ukradkiem Lor, ażeby zobaczyć, jak się trzyma, ale na jej twarzy wykwita znajomy uśmiech w stylu „Czyż świat nie jest piękny?“, więc nie pytam już o nic. Mike wykrzywia twarz w takim samym uśmiechu, ale w porównaniu z Lor jego uśmiech jest wyraźnie amatorski i dziecinnie naiwny.

Najpierw jedziemy na wielkie targowisko dwa kilometry za miastem, zwane Carrefour, co oznacza po francusku — skrzyżowanie. Carrefour wygląda zupełnie jak amerykański supermarket. Wokół znajdują się olbrzymie parkingi, stoją wozy wyładowane artykułami spożywczymi, z głośników płyną kolędy. Zaopatrzymy się w hurcie w świeżą żywność i może kupimy jakieś prezenty dla naszych sąsiadów.

Wielkim nabytkiem będzie indyk. Musi być naprawdę duży, by wystarczyło mięsa na rosół i gorące dania dla sześciu osób. Kupiłem już wcześniej w Paryżu bardziej trwałe produkty, takie luksusy, jak wędzony łosoś z Nowej Szkocji, tabliczki czekolady, pierniki rosyjskie cygara, czekoladowe wiórki, rodzynki do owsianki i przywiozłem wszystko samochodem do młyna. Kupiłem również butelkę Cointreau, parę flaszek Poire William, koniaku i szampana, wszystko najprzedniejszego gatunku. Wydałem również osiemset franków na potrzebne drobiazgi, przyprawy, jabłka, mąkę, ryż, sery, cukier, masło, soki i puszki, cebulę, zapałki.

Lor, Ben i ja pchamy wózek wśród stoisk, zastanawiając się, co kupić, wybierając towary, ważąc, stopniowo zapełniając wózek. Kupujemy dużo mandarynek, pomarańczy, orzechów włoskich do świątecznych pierników. Jeszcze torebkę orzeszków ziemnych w skorupkach, cykorię, sałatę, pomidory, wreszcie seler — łodygę i korzeń na nadzienie do indyka. Niebawem tysiące nadziewanych indyków zapachnie smakowicie na świątecznych stołach.

Kupuję również dziesięciolitrową puszkę lakieru i nowy pędzel. To kosztuje przeszło trzysta franków. Kiedy myślę o cenie tego lakieru, wydaje mi się, że mój mózg błyszczy jak polakierowany.

Ukradkiem kupuję robota kuchennego firmy Cuisinart na gwiazdkowy prezent dla Loretty. Spełniamy również największe marzenie Bena, kupując dla niego rosyjski karabin kaliber 22, z siedmiostopniowym celownikiem optycznym i automatycznym magazynkiem. Karabiny stanowią małą manię naszego najmłodszego, choć już prawie piętnastoletniego, spokojnego i niesmiałego dziecka. Magazyn miłośników broni „Guns&Ammo” (Karabiny i Amunicja), który czytuje Ben, stanowi nasz jedyny kontakt z całym światem, z którym nie mamy nic wspólnego. Lor rozważa, czy nie opowiedzieć dokładnie o budowie i działaniu karabinu na festiwalu pokoju.

Ale to przecież święto miłości. Moim zdaniem miłość ma tę zaletę, że pozwala uszanować wyjątkowość drugiej osoby, szczególnie gdy jej zainteresowania różnią się od naszych. Boże, potrafię wspaniale mówić o miłości.

Ben interesuje się w równym stopniu trajektoria, dokładnością, optyką, jak i budową karabinu. Karabin to dla niego wspaniałe narzędzie do wyznaczania położenia przedmiotu z ogromną szybkością i wyznaczania odległości z wielką dokładnością. Kolekcjonowanie broni nie różni się tak bardzo od jego pasji modelowania samolotów i szybowców. Prawdziwe polowanie napawa go przerażeniem i lękiem, tak zresztą jak lot prawdziwym samolotem. Najbardziej prawdopodobne jest to, że nigdy nie będzie szybownikiem, myśliwym ani żołnierzem.

Kupujemy również domek dla lalek, dwie lalki, beciki, nakręcaną kolejkę górską, która gwizdże, gdy wjeżdża na szczyt, a na dodatek woreczek ziarna, którym będziemy karmić kaczki pływające po stawie przy młynie. Dla madame Le Moine wybraliśmy potpourri skomponowane z różnych pachnących kwiatów posadzonych w jednej doniczce. A dla jej trzydziestosiedmioletniego syna, kawalera, zestaw kryształowych buteleczek z różnymi owocami w eau de vie, a także jednego z tych pieszków, które potrzęsają głową i merdają ogonem, kiedy postawi się go na półeczce nad tylnym siedzeniem w samochodzie.

Wyjeżdżając z targu, zatrzymaliśmy się, by kupić choinkę. Drzewka okazały się niskie, żadne nie miało więcej niż sześć stóp, za to były tanie, kosztowały tylko po osiemnaście franków za sztukę. Właśnie sprzedawcy rozładowali ciężarówkę ze świeżą dostawą. Wybraliśmy najwyższe, najbardziej rozkrzewione drzewko. Ben doznał wstrząsu, gdy mocowałem choinkę na dachu samochodu.

— Na Boga, tato, to nie jest choinka, lecz kikut!

Zapewniłem go, że odkryłem stanowisko przepięknych świerczków w lesie nie opodal chatki Mike'a. Philippe powiedział mi, że ta część lasu należy do monsieur Boudine'a i mógłbym mieć z nim zatarg, gdybym wyciął jedno z drzewek. Przez cały rok pozwalaliśmy mu wypasać jego osiołka Pom Pom na naszym polu, którego nie uprawialiśmy, toteż moglibyśmy wyciąć jego choinkę w ramach sąsiedzkiej rekompensaty. Zresztą gdyby nawet ktoś zauważył, że wycinamy drzewko otwarcie w biały dzień, nie uznałby tego za kradzież, tak jak wyrębu choinki pod osłoną nocy. Z pewnością każde drzewko będzie ładniejsze niż ten wiecheć, który wieziemy na dachu samochodu.

Kiedy wjeżdżamy do Nevers, jest już prawie druga i na ulicach panuje duże zamieszanie, jak zwykle w godzinach szczytu. Na szczęście widzimy kobietę z dwójką dzieci, która wyjeżdża z parkingu przy jednokierunkowej ulicy za pocztą. Wjechaliśmy z niewłaściwej strony. Rycersko pozwałam kobiecie wyjechać, a potem wycofuję się błyskawicznie wąskim przesmykiem pomiędzy zaparkowanymi samochodami. Powszechnie wiadomo, że należę do czołówki najgorszych wycofywaczy na świecie. Zawsze uważałem, że cofanie samochodu stanowi szczególnego rodzaju umiejętność, tak jak żonglowanie czy chodzenie po linie, i nigdy nie potrafiłem tego robić. Niektórzy kierowcy potrafią cofać samochód przy pełnej szybkości, patrząc tylko w lusterko wsteczne. Ja muszę przez cały czas wykręcać głowę, oglądając się prosto do tyłu, by choćby tylko w połowie mi się udało.

Loretta klęczy na siedzeniu, przecierając do czysta lusterko wsteczne, starając się wskazać kierunek spokojnym, ale wyraźnym głosem, tak by mnie nie przestraszyć. Ben skulił się na fotelu obok mnie, jakby unikając odłamków lecącego szkła. Jadę tak prędko, jak tylko się da, skręcając tyłem, przyspieszając gwałtownie, by wślizgnąć się w wolny przesmyk, zanim zajmie go nadjeżdżający szybko samochód. Uderzamy lekko w peugeota 505. Kierowca uśmiecha się ponuro i czeka aż wreszcie, po czterech nawrotach udaje mi się zaparkować, a potem wymija nas z piskiem opon. Siedzimy przez chwilę w samochodzie, zanim nie odzyskuję spokoju.

Zakupy w Nevers zawsze dostarczają nam wiele radości. Stare uliczki są udekorowane gustownie, choć niezbyt bogato. Nie ma nigdzie głośników, z których rozlegałyby się kolędy. Główna ulica jest zamknięta dla pojazdów, toteż nigdzie nie widzi się samochodów. W większości staroświeckich sklepów znajdują się wspaniałe, wypolerowane do połysku, poskrzypujące podłogi z surowego drewna. Na piętro wjeżdża się windą z drucianej siatki, która za każdym razem, gdy dźwig zatrzymuje się, wstrząsa nagle, jakby uderzyła w jakąś przeszkodę. Winda zabiera klientów na górę, ale zejść trzeba już po schodach.

Rozstajemy się, umawiając, że spotkamy się wszyscy o trzeciej przy samochodzie. Tylko w ten sposób zdołamy załatwić sprawunki na tyle wcześnie, by wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku. O tej porze roku w tych stronach o piątej — przy wiecznie zachmurzonym niebie — jest już ciemno. Natrafiam na świetny składany model samolotu Sopwith Camel z pierwszej wojny światowej. Dla całej rodziniki kupuję formę do wypieku wafli, a dla Bena elektroniczną grę w bitwę morską. Formę do wypieku pozostawimy w młynie, gdzie czas płynie tak wolniutko, że możemy sobie pozwolić na długie, leniwe śniadania. Dla Lor wybieram łatwą w obsłudze kamerę polaroid i kupuję dwa opakowania filmów. Nabywam również świeczki na choinkę i klamerki do nich.

Uzgodniłem wcześniej z zaprzyjaźnionym malarzem w Paryżu, że namaluje portrety moich córek. To niezły malarz, dziewczęta są w odpowiednim wieku, by je sportretować, poza tym biedny artysta potrzebuje pieniędzy, toteż zapowiada się potrójny prezent, dla mnie, moich córek i dla malarza. Odkąd dziewczęta skończyły trzynaście lat, nigdy nie udało mi się wybrać prezentu, który spodobałby się im. Zwykle, gdy kupowałem jakiś ciuszek, kończyło się to katastrofą, czego świadectwem niech będzie pomarańczowy płaszcz przeciwdeszczowy, który podarowałem Maggie na jej piętnaste urodziny, czy wysokie do kolan botki, które dałem Nicole na gwiazdkę, kiedy miała czternaście lat. Teraz mam znów odwieczny kłopot z wyborem prezentów dla córek. Sam nie znosiłem, gdy kupowano mi coś; nigdy nie wiedziałem, co chciałbym dostać. Nikt nie mógł ofiarować mi czasu, miłości ani zrozumienia. To nazbyt łatwo psujące się „towary”, ponadto trudno je transportować.

Zbieramy się przy samochodzie. Nawet Ben kupił kilka drobiazgów, toteż jesteśmy prawie tak objuczeni jak ja, gdy wyjeżdżałem z Paryża. Loretta siada na tylnym siedzeniu i znika niemal pod stertą paczek i pakunczków. Ben ze swymi długimi nogami nie mógł zmieścić się z tyłu, toteż denerwuje się, że zajmuje najbardziej niebezpieczne miejsce w samochodzie.

Kiedy wyjeżdżamy z głównej ulicy w Nevers na szosę, jest już po czwartej i zmierzcha się. Chociaż na polach leży śnieg, drogi są względnie czyste. Włączam reflektory. Co prawda nie jest jeszcze zbyt ciemno, ale chcę nadrobić światłami na zakrętach brak klaksonu. Miejscowy kierowca wciąż uważa, że jest jedynym automobilistą w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i jeździ jak pirat drogowy, przekonany, że jest królem szosy. Śmierć w wyniku *deux chevaux* jest tutaj bardziej prawdopodobna niż szarża dzikiej świni.

Szczęśliwie zjeżdżamy z oblodzonego wzgórza Vauchot i zatrzymujemy się przed naszą siedzibą. Młyn jest budowlą jedyną w swoim rodzaju, gdyż wzniesiono go na grobli, która utworzyła staw. Do młyna prowadzi droga biegnąca około piętnastu stóp poniżej grobli. Stodoła–z–garażem i piwnica mają drzwi od strony gościńca. Do tej części młyna, którą przystosowaliśmy do zamieszkania i gdzie krzątałem się w wielkim pośpiechu przez ostatnie trzy dni, starając się gorliwie wysprzątać i przystroić wnętrze na przyjęcie gości, prowadzą drzwi z grobli. Wejście znajduje się zaledwie dziesięć stóp nad stawem, niemal na równi z poziomem wody.

Zaczynamy wyładunek. Ben pomaga mi odwiązać naszą choinkę. Zwlekam z wprowadzeniem samochodu do stodoły, by znaleźć się w młynie wraz z gośćmi i obserwować ich reakcję, gdy ujrzą wysprzątane i odnowione wnętrza, piękne draperie, ostrokrzew, sosnowe gałązki i świąteczne dekoracje.

Loretta i Ben, obładowani pakunkami kierują, się do drzwi na grobli. Rzucam się pędem przez piwnicę, potem wbiegam na schody przez drzwi w podłodze do głównej izby. Włączam światło, potem zapalam zapałką mały płomyczek i nastawiam grzejnik gazowy, by nagrzać wyziębiony pokój, zanim wejda. Otwieram od środka drzwi na grobli i wycofuję się w milczeniu.

Ben ogląda swoje strzelby, które zawiesiłem nad kominkiem.

Lor podziwia odmienione wnętrza. Zachwyca się draperiami, czystymi oknami — „łśni nawet w ciemności!” Wykrzykuje pochwały, oglądając dekoracje, robi miłe mojemu sercu uwagi na temat wysprzątanego, chędogiego wnętrza. Miałem prawdziwe szczęście, że poślubiłem tę cudowną kobietę, która tyle serca wkłada w to, by w naszym gniazdku panowała miła domowa atmosfera. Jednak ciągle odnoszę wrażenie, że moja żona tylko udaje radość, grając rolę, jakiej oczekuję po niej, by uczynić mnie szczęśliwym. Mam nadzieję, że zatrzymam Lor w jakiś sposób przy sobie. Nie mogę znieść myśli o rozstaniu z nią.

Wystarczyła jedna zapałka, by zapłonął ogień w kominku, który nawet nie dymi. Lor zauważyła, że wyniosłem ten przeklęty popiół, z którym zawsze było tyle kłopotu.

Taszczy my z Benem resztę rzeczy z samochodu, podczas gdy Loretta układa wszystko porządnie. Siadam za kierownicą i rozpoczynam szalony taniec na śniegu i lodzie, by wmanewrować samochód do garażu, nie uderzając w motocykl czy kanister na benzynę, nie wjeżdżając w karburatory, zapasowe koła czy zardzewiałe narzędzia. Rygluję od środka wrota do stodoły, kręcąc się w tę i we w tę przez małe boczne drzwi w ich skrzydle, i udaje mi się ominąć zdradliwe błocko. Przechodząc przez piwnicę, schylam się po naręcz suchego chrustu na rozpałkę w kominku jutro rano.

Kiedy uświadamiam sobie, że podzielone jądro naszej rodziny połączy się znowu, ogarnia mnie wspaniałe uczucie. Surowe kamienne ściany, ciężkie drewniane belki, nawet blask ognia w kominku, łśnienie stawu i plusk małego wodospadu pod przepustem nigdy nie przywrócą ani zrekompensują uczucia miłości i miłowania. Wiem, że dzisiaj mój sen będzie różnił się od pustki minionych trzech nocy. Kiedy śpię sam, zasypiam głęboko i nie mam żadnych snów. Noc po prostu mija niezauważalnie. Sypiając z Lor, śnię piękne sny i budzę się raz po raz. Upewniam się, że nie jestem sam i zasypiam znowu.

Po kolacji zapalamy czerwone świece w srebrnym świeczniku, który wyszperałem wśród starych rupieci i wyczyściłem. Wyglądają przepięknie na nowym, czerwonym obrusie z sukna. Lor i ja śpiewamy kolędy. Ben słucha. Osadziłem choineczkę z Nevers w otworze jednego z zapasowych kamieni młyńskich, który znajduje się zaraz przy drzwiach wychodzących na groblę. Niedawno leżały w tym miejscu dwa kamienie do żaren, jeden na drugim, ale ten z góry przeniosłem, kiedy budowałem kominek. Musiałem użyć trzech lewarków, dwóch równi, kilku równi pochyłych i włożyć w to tyle wysiłku, że omal nie dostałem ataku serca, ale udało mi się w końcu przesunąć ten ogromny kamień pod ścianę i postawić na nim kominek.

Kominek jest solidny, półkolisty, zbudowany z kwadratowych kamieni, z gardzielą przypominającą wejście do pieczary. Stoi w miejscu dawnego holenderskiego pieca.

Izbę wypełnia zapach ognia, naszej minichoinki, sosnowych gałązek i płonących świec. Pojutrze już Boże Narodzenie. A ja wciąż nie wiem, co zrobić. Muszę powiedzieć Lor, że skrzywdzilibyśmy siebie, gdyby wszystko minęło w ten sposób.

Później, gdy leżymy już w łóżku, wsłuchując się w szum wodospadu na stawie, trzask ognia i głęboki oddech Bena, który śpi na składanym łóżku przy kominku, Lor „wzdycha” jak zawsze przed snem i mówi:

— Przypuszczam, że dziewczęta dadzą jakiś znak jutro. Dzisiaj powinny już być w Paryżu.

Myślę o tym, że za niecałą godzinę Ben skończy piętnaście lat. Już niebawem wszystkie święta Bożego Narodzenia będziemy spędzać tylko we dwoje, o ile dopisze nam szczęście i nie rozstaniemy się. Potem po raz pierwszy uświadamiam sobie, że żyję z Lor już dwakroć tak długo jak z rodzicami czy dziećmi. Odkąd umarli moi rodzice, a byłem jedynakiem, mieszkam z nią dłużej niż z kimkolwiek. Lor jest najbliższa mojej „rzeczywistości”.

W dzień po świętach będzie trzydziesta rocznica naszego ślubu. Rano, gdy jemy śniadanie, madame Le Moine puka do drzwi na grobli. Musiała wejść na groblę po naszych wąskich, śliskich śladach. Poleciłem jej, by dała znać, gdyby ktoś zadzwonił. Związałem ścierkę do wycierania naczyń na klamce w jej drzwiach, umawiając się, że zdejmie ją w razie telefonu. W ciągu ostatnich kilku dni wyglądam nieustannie z naszego zachodniego okna, skąd widać drzwi do domu madame Le Moine, sprawdzając, czy ręcznik wisi na klamce.

Madame Le Moine skończyła niedawno osiemdziesiąt lat. Staruszka miała pięć miesięcy temu wylew krwi do mózgu, po którym została częściowo sparaliżowana i cierpiała na zanik pamięci. Jednak już prawie zupełnie wróciła do zdrowia, ale stanowczo nie powinna biegać w tym błocie i śniegu do sąsiadów, choćby i z wiadomością o telefonie.

Uparcie nie chcemy mieć w młynie telefonu. Czujemy niechęć do tego, by telefon, telewizja czy radio zakłócały naszą prywatność. Pierwsi w całej okolicy mieliśmy toaletę, ale teraz jedynie my nie posiadamy telefonu, telewizora i radia. Tylko wyjątkowo podaliśmy numer telefonu madame Le Moine naszym krewnym i kilku przyjaciołom. Wiem, że może dzwonić jedna z dziesięciu osób, gdy madame Le Moine jąka: „Telle-ffon!”

Zapraszam ją do środka. Loretta ślizga się na grobli, pędząc co sił do domu madame Le Moine. To chyba Nicole, która zapewne domyśla się, że do aparatu podejździe Lor. Mógłbym ostatecznie podnieść słuchawkę pomimo mojej awersji do telefonu, ale nie zrobię tego. Myślę, że moja niechęć do rozmów przez telefon ma związek z lękiem przed głosami, które rozbrzmiewają znikąd.

Sadzam madame Le Moine na bujanym fotelu przed kominkiem, obok naszej miniaturowej choinki. Częstuję ją filiżanką herbaty z dwiema kostkami cukru. Błyskawicznie podwijam mankiet jej bluzki i mierzę staruszce ciśnienie krwi. Madame Le Moine kołysze się w fotelu i uśmiecha.

Lor wprowadziła zwyczaj picia herbaty w tej wsi. Zanim zamieszkaliśmy tutaj, wieśniacy pili tylko kawę — mocną lub *un canon*, kieliszek równie mocnego wina albo *naöle*, supermocny stuprocentowy alkohol wydestylowany z opadłych owoców, regionalną wersję markowego koniaku de Bourgogne.

Lor była zszokowana, kiedy odkryła, że wieśniaczki spotykają się na herbatce, same kobiety, właściwie powinienem wszystkie wymienić – oto madame Calvet, madame Le Moine i madame Rousseau – zamiast parzyć wspaniałą Twining’s Earl Grey, którą dostały od niej w prezencie gwiazdkowym, wsypują ją do czajniczka i gotują. Orzekła, że wszystkie umrą w ciągu kilku lat z powodu zatrucia organizmu kwasem taninowym. Potem Lor nauczyła wieśniaczki właściwego sposobu parzenia herbaty.

Najpierw trzeba nalać zimnej wody do czajnika, zestawić go z palnika, gdy woda zacznie wrzeć, potem przepłukać imbryczek gorącą wodą, osuszyć go i parzyć ją przez trzy minuty.

Zmusiła je nawet, by piły herbatę bez cukru czy śmietanki, do czego nie udało się jej namówić

nawet mnie, choć to prawdziwa kusicielka, która mogłaby skusić mnie do niejednego, oprócz oczywiście wypicia filiżanki herbaty bez cukru i śmietanki. Gdy już wtajemniczyła kobiety w sztukę parzenia herbaty, zrobiła im na drutach wełnianą nakrywkę na czajniczek.

Moje zasługi dla wsi nie ograniczają się do wprowadzenia toalet i antyseptycznych zbiorników na wodę. Należy do nich również mierzenie ciśnienia krwi. Codziennie, odką zamieszkaliśmy tutaj, prowadzę domową poranną klinikę. Mierzę ciśnienie krwi, puls, słucham bicia starych serc pod zwiotczalymi sutkami. Kiedyś jeden z wieśniaków, Pierre Rousseau, Claude albo Philippe, zajmie moje miejsce. Myślę, że rozumieją już, że to terapeutyczne mierzenie ciśnienia ma pozytywny wpływ na ich zdrowie.

Madame Le Moine jest przekonana, że nie miałaby ataku, gdybym tego lata pozostał we wsi, zamiast wyjechać do Ameryki. Czuję się w jakiś sposób winny.

Kiedy staruszka ma ciśnienie krwi wyższe niż osiemnaście na dziesięć (we Francji ciśnienie mierzy się w centymetrach, a nie w milimetrach), podaję jej pięć miligramów valium i pigułki moczopędne. To zwykle przynosi rezultat. Już następnego dnia ciśnienie wraca do normy. Zalecam również dietę: jajka, świeżo zabitego królika, sałatę, ziemniaki, pomidory, fasolę szparagową. Praca w ogrodzie ma zbawienny wpływ na nasze zdrowie. Nic tak nie pobudza krwi jak przekopywanie grządek czy podlewanie warzyw.

Opuszczam rękaw bluzki madame Le Moine, przekazuję jej dobre wiadomości — *dix-sept sur huit* — 170 na 80 (możliwe, że po ataku nastąpiła poprawa). Rozglądam się i widzę Lor uśmiechającą się w drzwiach i podśpiewującą pod nosem.

Gdybym jej nie znał, mógłbym przypuścić, że przynosi dobre wieści. Po wielu latach złych doświadczeń podchodzę z rezerwą do jej wesołości. Loretta potrafi przerwać pioseneczkę, którą akurat nuci, by ogłosić upadek Rzymu, śmierć prezydenta, początek nieuleczalnego raka czy koniec małżeństwa. Zwykle podśpiewuje, by dodać sobie otuchy, gdy boi się czegoś, jest zrozpaczona lub zawstydzona. Szkopuł tkwi w tym, że również śpiewa, nuci i podskakuje, gdy jest szczęśliwa. Mimo to odczuwam pewne zaniepokojenie. To, że Lor podskakuje, stanowi tu istotną wskazówkę. Wbiegła po schodach, raczej swobodnie jak na kobietę przed pięćdziesiątką, toteż nie oczekuję złych wieści.

— Dzwoniła Nicole. Wszyscy miewają się świetnie, ale jej bagaż zawieruszył się na lotnisku we Frankfurcie, toteż przyjadą dopiero jutro rano.

Przykro mi, że nie będzie ich na urodzinach Bena, ale to nawet lepiej. Możemy poświęcić mu całą uwagę.

Dzisiaj, kiedy starsze pisklęta już dawno wyfrunęły z gniazda, Ben jest naszym umiłowanym „jedynakiem”. Zresztą na dobrą sprawę nie pamięta swojego starszego rodzeństwa. To dla niego bardziej ciocie i wujek.

Benowi trudno pogodzić się z tym, że jego urodziny zbiegają się z Bożym Narodzeniem. Tym bardziej, że nazajutrz po gwiazdce obchodzimy zawsze naszą rocznicę ślubu.

Dobrze się również składa, że przybędą później, gdyż chcę polakierować wnętrze młyna. Czuję, że znowu ogarnia mnie mania lakierowania. Lakieruję z taką samą pasją jak wielu ludzi sprząta garaż lub strych, myje samochód lub okna, czyści do połysku buty lub zaśnieżone srebro. To sposób, aby umilić życie, uspokoić się i dojść z sobą do ładu, kiedy wszystko płacze się w głowie.

Wiem, że znalazłem się w sytuacji wielce kłopotliwej. Aż do niedawna byłem przekonany, że trzymam pewnie wodze w rękach i nie przydarzy się nam nic złego, ale teraz nie jestem już tak spokojny. Powtarzam sobie, że nic złego się nie dzieje, boję się jedynie, że skrzywdzę Lor. Chyba jednak to coś więcej. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogłaby odejść. W głębi serca jestem wielkim egoistą. Lękam się słów, tych słów, które ja powinienem wypowiedzieć. Wiem,

że już nigdy nie da się ich cofnąć. Nie jestem pewien, czy mogę zaufać sobie i naprawdę nie wiem, czy Lor zdaje sobie sprawę z konsekwencji tego, co zamyśla. Czuję jakiś opór wewnętrzny, by skupić się na tym, co niechybnie nastąpi. Nienawidzę myśli, że jestem tchórzem, ale tak jest. Lor przyjmuje wszystko o wiele łatwiej niż ja. Jestem jednak pewien, że cierpi, a to jest już nie do zniesienia dla mnie. Byłoby lepiej, gdyby wyrzuciła z siebie wszystko i otwarcie porozmawiała ze mną. Ale to nie leży w jej zwyczaju. Na ogół to ja wykręcam się od szczerzej rozmowy. Nie umiem zapanować nad gniewem, a potem żałuję pochopnie wypowiedzianych słów.

Podważam wieczko puszek z lakierem. Gęsty, przezrysty płyn wygląda jak skupione szkło. Rozprowadzam lakier po powierzchni mebli. Serce mi rośnie, gdy patrzę jak stare, zmatowiałe sprzęty zmieniają w oczach swój wygląd i błyszczą teraz jak nowe.

Zamiatam pod łózkami i myję stół. Pokrywam wszystko magicznym płynem, który odnawia świat. Lakier wsiąka w suche, surowe drewno i wydobywa ciepłe barwy, rysunek słoików. Moja dusza znów jaśnieje blaskiem radości. Lakieruję podłogę posuwistymi pociągnięciami, od deski do deski.

Tym razem polakieruję tylko część podłogi. To szybko—schnący lakier. Mogę skończyć wszystko w ciągu jednego dnia.

Kiedy rozprowadzam uważnie lakier w narożnikach i zakamarkach, uświadamiam sobie, że zajęcie to jest bardzo bliskie mojej prywatnej etyce i estetyce. To magiczny sposób, by odkryć to, co istnieje, lub wydaje się, że istnieje, i wydobyć na światło dzienne jak słoje w zmatowiałym drewnie. Nie wiem, w jakim zakresie łączy się to z pojęciem „złudzenia” Alberta Camusa, czuję jednak, że jakoś współgra z jego filozofią. Oczywiście, na modłę amerykańską. Chronię powierzchnię rzeczy, zabezpieczam, a zarazem polakierowane sprzęty wyglądają na znacznie lepsze niż w rzeczywistości. Zatem to wszystko nie może być aż takie złe, prawda?

Wykonuję tę pracę z prawdziwym zapałem. Lakieruję sfatygowany kredens, który zrobiłem dwanaście lat temu z drewna ocalałego z rozbiórki starej szopy za młynem. Powlekam lakierem chlebownik, barometr, podłużnicę do kamieni młyńskich. Bardzo dawno temu używano ich do podnoszenia młyńskich kamieni i wprawiania w ruch żaren. Dziś wisi na niej pięcioramienny żyrandol.

Odnawiam obramowanie kominka. Lakieruję olbrzymi stół, który zbudowałem na dawnych kamieniach młyńskich. Lakieruję jadalnię, drzwi na poddasze i oczywiście całą po., pozostawiając czyste deseczki, byśmy mogli swobodnie przejść, dopóki reszta nie wyschnie. Polakieruję je na końcu. Właśnie pokrywam jedną z belek, gdy Ben klepie mnie po ramieniu.

— Hej, tato, spójrz tylko! Zapomniałeś o drewnie na ogień.

Rzeczywiście. Powiniennem zrobić supełek na chusteczce, by o tym nie zapomnieć. Przerywam więc lakierowanie. Jedna z belek będzie błyszczeć w święta tylko w połowie.

Teraz w młynie pachnie jak w pewnej pracowni w pobliżu naszego mieszkania w Paryżu, gdzie podrabiają meble — oryginalne „ludwiki”.

Po lunchu dajemy Benowi w prezencie urodzinowym samolot do składania. Cieszy się ogromnie. Wspólnie składamy model do trzeciej. Uradowany mówi, że chciałby zjeść urodzinową kolację w restauracji madame Le Page na wzgórzu, ale na deser musi być prawdziwe domowe ciasto, upieczone przez matkę, tutaj, w młynie. Życzyłby sobie, jeśli to możliwe, by na główne danie zaserwowano *pintade*, czyli perliczkę po francusku. Lor pędzi co sił do domu madame Le Moine, by zatelefonować do restauracji, czy ulubione danie Bena jest dzisiaj w jadłospisie. Wraca z uśmiechem, nucąc i podskakując z radości, toteż nawet nie pytam.

— Oni przygotowują również dróbki i *jambon du Morvan*. Madame Le Page jest taka uważająca.

Kiedy stoimy z Benem na wzgórzu Maggie, regulując ustawienie skrzydeł, obracając lotki i nawijając na palec linkę, zmierza ku nam monsieur Boudine.

Po nieudanej próbie startu wchodzę na drabinę, próbując odczepić ostrożnie samolot Bena, który zaplątał się w gałęziach wysokiego dębu. Mając w pamięci poprzednie gorzkie doświadczenia, zawsze gdy zamierzamy wypróbować nowy model, wybieramy się na wzgórze z drabiną i długim kijem, który jest rozwidlony na końcu w kształcie litery V, by można wsunąć go pod samolot i ruszyć zaklinowany w gałęziach model, nie uszkadzając go. Gdybym spróbował strząsnąć delikatną konstrukcję z drzewa czy ściągnąć z wysokości, mogłoby skończyć się to katastrofą.

Latam projektujemy i budujemy własne modele, zarówno szybowce, jak i samoloty wyposażone w silniczki. Eksperymentujemy z modelami z silniczkami latającymi swobodnie w powietrzu i zdalnie sterowanymi, ale nie przepadamy za warkotem silnika ani za zapachem benzyny. Nie interesuje nas ani siła ciągu, obroty śmigła, ani szybkość samolotów. Nasze modele muszą być podobne ptakom, najbardziej jak to możliwe.

Stoję na drabinie, starając się strząsnąć kijem samolot, kiedy nadchodzi monsieur Boudine. Ben ma lęk wysokości, toteż wspinaczkę na drzewo zawsze pozostawia mnie. Wreszcie udaje mi się dosięgnąć właściwego poziomu i samolot sfruwa w dół. Ben zrywa się, by pobiec za nim.

— Zaczekaj chwilę, Ben! Pozwól mi zejść najpierw z tej drabiny.

Ben podtrzymuje przez cały czas drabinę, która opiera się w rozwidleniu drzewa. Nie lubię ryzykować na dużej wysokości. Zeskakuję z dwóch ostatnich szczebli, podchodzę do monsieur Boudine'a i podaję mu rękę.

Nigdy nie czuję się swobodnie w obecności tego człowieka. Rozumiem, dlaczego Loretta boi się go. Jest w nim coś z dzikiego zwierzęcia, coś z barbarzyńcy, którego nie da się poskromić — przebiegłość, tajemniczość — jak u polującego drapieżcy. Loretta powiedziała mi kiedyś, że jest on archetypem pierwotnej samczości, genealogicznym regresem, którego społeczeństwo nie może zaakceptować. Jednak ona drzemie we wszystkich mężczyznach, budząc przerażenie u kobiet.

Monsieur Boudine mieszka w sąsiedniej wsi. Miał dziewięć dzieci: siedem córek i dwóch synów. Jeden z nich, naprawdę miły chłopiec, każdego lata zabierał Bena i wiejskie dzieciaki na przejażdżki staromodnym powozikiem zaprzężonym w osiołka. Miał na imię Thierry. Zginął w wypadku motocyklowym sześć miesięcy temu. Kiedy pierwszy raz udałem się do monsieur Boudine'a w sprawie choinki, współczułem mu. Jestem przekonany, że strata dziecka to największe nieszczęście, jakie może spotkać człowieka. Dziesięć razy gorsze niż to, co się może teraz przydarzyć nam.

Monsieur Boudine uchylił kapelusza, staromodnego, brązowego kapelusza z filcu, z jaśniejszym śladem po jedwabnej wstążce. Staruszek nosi kapelusz z lekko opuszczonym rondem, które zasłania jego łagodne, głębokie, bursztynowe oczy. Nigdy nie podnosi rona, jakby stale chronił twarz, a to przed palącym słońcem, a to przed chłoszczącą ulewą.

Przygładził swoje siwe, faliste włosy, potrząsając głową w taki sam sposób jak jego osiołek Pom Pom, gdy wpadnie mu do oka maleńka muszka. Czasem wydaje mi się, że monsieur Boudine jest umysłowo niedorozwinięty, a może jest naprawdę żywym reliktem z prehistorii gatunku ludzkiego, Loretta może mieć rację, jak zwykle. W odpowiedzi na powitanie tylko potrząsnął głową.

Mike twierdzi, że monsieur Boudine to prawdziwy naturszczyk, który zna każdą ścieżkę,

każdy krzak, drzewo, korzeń czy grzyb rosnący w okolicznych lasach. Przez cały dzień waleśa się samotnie po pustkowiach. Wierzę, że monsieur Boudine wie o każdej roślinie w okolicy, ale nie ma wielkiego pojęcia o tym, które drzewko nadaje się na choinkę. Oto wlecze za sobą wrzecionowaty wiecheć, który na pewno nie będzie ozdobą izby. Staruszek uśmiecha się do siebie. Przeważnie jednak jego twarz bywa równie zrezygnowana i smutna jak pysk osła. On i Pom Pom stanowią zaiste dobraną parę!

Biorę od staruszka krzywą gałąź choiny i staram się wyrazić zachwyt. Rozgoryczony Ben odwraca się z niesmakiem. Próbuję wcisnąć staruszkowi trochę pieniędzy, ale odmawia, podkreślając, że Pom Pom korzysta z pastwiska na naszym polu. Korzysta to właściwe słowo, bo z pewnością nie pasie się. Osiołek pożywia się tylko słodkimi kukurydzianymi kolbami, bo nigdy nie wysiewamy nic innego oprócz kukurydzy, oraz ogołaca z liści i kory młode jabłunki, dwie brzoskwinie i wisienkę.

Przyjmuję z rąk staruszka „gałązkę oliwną” ułamaną z wierzchołka sosny. Przecież to Boże Narodzenie. Ale biję się z myślami. Gdzie zdobędę w ostatniej chwili choinkę o wysokości ośmiu, dziesięciu stóp? Czy mogę zawieść biednego Bena, ozdabiając izbę w jego urodzinową Wigilię krzywym, rosochatym wiechciem? To nie wydaje mi się sprawiedliwe. Ale Ben boi się również ciemności i nie wybierze się ze mną w nocy do lasu, by wybrać ładne drzewko.

Czy mogę jednak ofiarować byle wiecheć, gałąź, gałązkę zamiast prawdziwej choinki moim córkom, które muszą zrezygnować z towarzystwa krewnych i przyjaciół, z wygody i swobody, i przebyć sześć tysięcy mil z Kalifornii i Arizony do tej zimnej, szarej i samotnej donny, do prymitywnego młyna nad stawem, zbudowanego z kamieni i surowych belek?

Coś trzeba zrobić z tym fantem! Monsieur Boudine odchodzi, ciężko stąpając do lasu, zadowolony ze swojego daru. Postanawiam, że tej nocy zdobędę choinkę i zrobię to bez niczyjej pomocy.

Morvan leży tysiąc stóp nad poziomem morza. Dwie trzecie wysokopiennych lasów — przeważnie brzożowych, jesionowych i bukowych — zostało wykarczowane na pastwiska. Reszta dawnych borów, rosnąca na stromych, mniej dostępnych stokach, przetrwała nie tknięta siekierami drwali. Dawniej te ostępy leśne stanowiły źródło zaopatrzenia w drewno opałowe. Obecnie, jakkolwiek większość mieszkańców doliny stosuje mazut do ogrzewania domów, niektórzy wieśniacy wciąż palą drewnem nawet w kuchennym piecu. Ostatnio przedsiębiorcy, zwłaszcza paryżanie, wykupują lasy, wykarczowują je buldożerami, sprzedają drewno papierniom lub na opał, a potem zakładają na ogołoconych z pniaków porębach plantacje choinek. Ten haniebnny proceder trwa już piętnaście lat.

Pięć lat temu powstał pierwszy wielki park we Francji, który powołano, by chronić przyrodę przed dewastacją i rabunkiem — Le Parc Regionale du Morvan, Nasz młyn stoi na jego zachodniej granicy. Na zachód od nas wciąż niszczy się lasy. Na wykarczowanej postaci hoduje się choinki, które sprzedaje się, gdy osiągną wiek od pięciu do dziesięciu lat. Morvan staje się znane jako francuska stolica choinek.

Postanowiłem zdobyć drzewko na jednej z plantacji choinek poza granicami parku. Wymyśliłem na własny użytek pełne usprawiedliwienie dla moich poczynań, choć, jak sędzę, niezupełnie zgodne z francuskim prawem.

Ale to krok podyktowany rozpaczą.

Kiedy pokazuję Lor choinkę ‘od naszego monsieur Boudine’a, jest tak samo rozczarowana jak Ben i ja. Rok temu zdecydowaliśmy się na czternastostopowego olbrzyma, który tradycyjnie zajmuje cały narożnik z prawej strony kominka. Trudno było przyciąć rozłożyste drzewo, które

tarasowało wejście do jadalni i przesłaniało schody do toalety. W tym roku postanowiliśmy ustawić mniejszą choinkę. Najlepiej, żeby miała dziesięć stóp wysokości, nie więcej. Osadzimy ją w otworze w młyńskim kamieniu z drugiej strony. Teraz nie mamy nawet drzewka wysokiego na dziesięć stóp.

Loretta mówi, że pojedzie samochodem do Château Chinon i poszuka drzewka. Ona również musi zrobić zakupy. Nieszczęśliwym trafem Francuzi uznają za duże choinki sięgające człowiekowi zaledwie do pępka. W czasie nieobecności Lor wyjmujemy z szafy ozdoby choinkowe, odkurzamy bombki, rozwijamy łańcuchy i rozplątujemy przewody elektrycznych lampek. Przygotowujemy się do ubrania olbrzymiego drzewka. Nerozumny upór może stanowić potężną siłę.

Odkurzamy również żłódek i stawiamy na parapecie okna, które wychodzi na zachód. Rozpinam tam jeden zestaw lampek. Ben wychodzi na dwór, by zebrać mech z drzew i skał, którym wyłożymy wnętrze i pokryjemy dach stajenki. To, co robimy, nie ma zbyt wiele wspólnego z religią chrześcijańską. Bawimy się figurkami, odgrywamy role rodziców, upewniając się, że Dzieciątka jest wygodnie i ciepło i jest otoczone opieką ojca i matki, ogrzane oddechem zwierząt, parującym bydlęcym moczem i przesiąkniętym nawozem sianem, które wydziela ciepło podczas fermentacji. Przeżywamy głęboko to ubogie misterium, gdyż nie różni się tak bardzo od życia, które nas otacza.

Kiedy wraca Lor, nie śpiewa, nie nuci, nie przytupuje. W ogóle nie przywiozła drzewka. Nie znalazła w całym mieście choinki, która miałaby więcej niż trzy stopy wysokości. Lor mówi, że chciała się zatrzymać w drodze do domu i wykopać drzewko w zagajniku. Pocieszam ją, mówiąc, że zamierzam wyciąć choinkę dziś wieczorem. Lor nie próbuje nawet odwieść mnie od tego zamiaru. Pomimo pozornie wielkopańskich manier jest praktyczną, pragmatyczną osobą, gdy sprawy przybierają zły obrót. Te właśnie cechy charakteru sprawiły, że została nauczycielką pierwszego stopnia, a równie dobrze mogłaby być prezydentem lub prezesem Ford Motor Company.

Tego wieczoru wybieramy się do restauracji madame Le Page na kolację urodzinową Bena. Zapada mrok, tak jak wtedy, gdy poszedłem naciąć gałęzi sosnowych. Świetnie. Pogoda mi sprzyja. Gdy wychodzimy z młyna, termometr wskazuje trzy stopnie i w powietrzu czuje się wilgoć. Mówię Benowi, że chyba spadnie śnieg. Chłopak marzy o śniegu, toteż byłby to najlepszy prezent dla niego. Mam nadzieję, że dziewczęta zdążą przyjechać, zanim zacznę sypać. Pozostawiłem w Paryżu nasz drugi samochód — forda capri rocznik 1969. Przy tym wraku mój rozpadający się fiat wygląda jak nowy cadillac.

Kolacja jest wspańska, a *pintade* doskonale uduszona we własnym sosie. Ben wypija cały litr lemoniady, podczas gdy Loretta i ja delektujemy się winem Pouilly Fume rocznik 1976. Oprócz nas nie ma nikogo w sali restauracyjnej. Podziwiamy wypchane jelenie głowy i groźny *sanglier* — ryj odyńca, który wisi nad nami. Restauracja nosi nazwę „Koniec Polowania” (La Fin de la Chasse), a jej klientelę stanowią głównie miejscowi myśliwi.

Wracamy w gęstniejącym mroku i jesteśmy w domu około dziewiątej. Dokładam drew do kominka, by podsycić dogasający ogień, dorzucam większe polano, wzuwam wysokie buty i przygotowuję się na zbójcką wyprawę. Ben domyśla się, dokąd się wybieram, ale nie wyraża chęci, by mi towarzyszyć. Nie nalegam, bo tylko głupiec chciałby spędzić swoje piętnaste urodziny we francuskim więzieniu. Poza tym prawdopodobnie podskakiwałyby co chwilę ze strachu, wpadając na mnie w ciemności. I bez tego mam lekkiego pietra. Gdybym wyruszył z Benem, przypuszczalnie obaj podrywalibyśmy się do ucieczki z powodu najłżejszego szmeru i w

końcu zrezygnowalibyśmy i z niczym wrócili do młyna.

Zdejmuję kluczyki samochodowe z gwoździa na obramowaniu kominka, zabieram latarkę i schodzę do piwnicy przez niebezpieczne, wiszące na zawiasach, drzwi zapadowe. Biorę piłę, którą pozostawiłem wcześniej na stercie drewna. Wychodzę, ślizgając się na marznącym błocie, by otworzyć drzwi do garażu.

Tym razem nie przejmuję się zbytnio, że samochód zarzuci, jednak silnik zaskoczył, gdy włączyłem starter, i zapala przy drugiej próbie. Zareagował tak błyskawicznie jak nimfomanka. Skąd wiem o tym? Mam tak bogate doświadczenia seksualne, że nawet dyplomowana nimfa nie zwiodłaby mnie udawaną niewinnością. To, że ten stary fiat zapalił od razu, przyjąłem za dobry omen. To mimowolny żart.

Wysiadam z samochodu, by otworzyć wrota do stodoły, obawiając się, że w tym czasie stanie motor, ale pomruk silnika nie milknie. Nawracam wolniutko, bojąc się, że koła ugrzęzną w błocie, ale opony trzymają jak koła traktora. Wszystko wróży, że wyprawa się powiedzie.

Jadę przez Vauchot i kieruję się w stronę Corbeau. Pięć mil dalej skręcam w kierunku Moncaron. Z prawej strony wyłania się sosnowy młodniak. Drzewka zasadzono w rzędach odległych od siebie około dwóch stóp. Większość choinek jest dwa razy wyższa niż drzewko, które kupiliśmy w Nevers, a kilka ma wymarzoną wysokość. Wyłączam reflektory i zostawiam tylko światła postojowe. Jest ciemno. Z trudem widzę drogę. Wyłączam silnik i przejeżdżam na wolnym biegu ostatnie pięćdziesiąt jardów. Na tej drodze niemal nie ma ruchu.

Niedaleko znajduje się tak wąski most, że mieści się na nim tylko jeden samochód.

Siedzę przez chwilę w ciemności. Opuszczam obie szyby i nad słuchuję. Słyszę tylko szum wiatru wśród drzew, kapanie kropli z gałęzi i — od czasu do czasu — pisk lelka kozodoja czy uhu-uhu sowy. Być może powinniśmy zadowolić się tym drzewkiem, które kupiliśmy w Nevers, przymocowując do jego wierzchołka wiecheć od monsieur Boudine'a.

Wyjmuję piłę z bagażnika. Cicho otwieram drzwi samochodu i delikatnie zamykam. W rękę trzymam latarkę Bena. Jest ciemno, choć oko wykol. Muszę robić wszystko po omacku. Potykam się, skradam, przykucam wśród drzewek. Staram się nie podeptać małych sadzonek, macając na prawo i lewo w poszukiwaniu większych drzewek, wybujałych ponad moją głowę. Nie mam żadnej pewności, czy znajdę odpowiednie. Przystaję i nad słuchuję. Czy ktokolwiek mógłby ukryć się w lesie w tej wilgoci, w ciemności, by powstrzymać upadłego filozofa od kradzieży choinki? Obawiam się, że tak! Jednak muszę zapalić latarkę. Powiniennem przyjść tu wcześniej i oznakować drzewko jak zwykle, ale zawierzyłem monsieur Boudine'owi, że przyniesie coś lepszego niż ten wiecheć, a potem nie było już czasu.

Oślaniam ręką latarkę, tak by snop światła przechodził pomiędzy palcami, chcąc go w ten sposób przytłumić. Obracam się wolniutko, uważnie badając wzrokiem otoczenie. Dostrzegam gęstą, rozłożystą choinkę o wymarzonej wysokości dwadzieścia jardów w prawo. Gaszę latarkę przekonany, że zaraz rozlegnie się ostry głos w ciemności, a potem poczuje pieczenie śrutu w zadku. Przedzieram się do wypatrzonego drzewa, przechodząc ostatnie dziesięć jardów na czworakach. Mierzę ręką grubość pnia, błyskając przez sekundę latarką, by się upewnić, że dobrze wybrałem. Tak, choinka jest odpowiednia, ma przeszło dziesięć stóp wysokości.

Zdrapuję igliwie z pnia, oczyszczam korę z piasku. Okopuję drzewko, by ściąć je równiutko z ziemią. Kiedy zetnę choinkę, przysypię igłami i liśćmi pniaczek, by zatrzeć wszelki ślad. Oto prawdziwe świadectwo mojej biegłości w zbojeckim fachu, uwieńczenie wieloletnich doświadczeń złodzieja drzewek bożonarodzeniowych.

Kładę się na plecach, nad słuchując i rozglądając się w ciemności. Nie słychać nic oprócz pisku kozodojów, pohukiwań sów i szumu wiatru. Zaczynani piłować. Ostrze wchodzi łatwo w miękki pień, który ma nie więcej niż cztery cale średnicy. Piłuję nie dłużej niż minutę. Drzewko

zupełnie nie przypomina naszego zeszłorocznego olbrzyma, którego potężny pień wyglądał jak maszt okrętowy. Wtedy Mike i ja musieliśmy obracać piłę, przechylając się w kłujących gałęziach, by zapobiec zakleszczeniu się ostrza w grubym pniu. Najwyraźniej igraliśmy z ogniem. Kiedy wróciliśmy do domu, Mike porywczo, prawie z płaczem, zarzekał się, że nigdy już nie pójdzie do lasu, by ukraść choinkę na Boże Narodzenie.

Gdy drzewko zaczyna się chwiać, przytrzymuję je i kończę piłować jedną ręką. Choinka upada swobodnie wprost na mnie. Kładę się na plecach i wtulam twarz w pachnącą zieleń, czując zimne krople wody, lód i śnieg, które spadają mi na czoło, policzki, oczy, usta. Jestem mokry od potu, nie tyle z wyczerpania, ile ze zdenerwowania. Odczuwam również nagłe, głębokie przygnębienie. Skąd się tu wziąłem? Czy to strach przed życiem przywiódł mnie tutaj i zmusili do przekroczenia rytualnego kręgu? Gdzie straciłem kontakt z rzeczywistością, którą postrzegają wszyscy normalni ludzie, i wstąpiłem w krainę fantazji? Co mogę zrobić, by spory nie zakłóciły świąt? Czy nauczyć się w końcu tolerancji i okazać wspaniałomyślność, choć ludzie ranią mnie na każdym kroku? Oceniam obecną sytuację, w której się znalazłem przygnieciony wielkim, zielonym drzewem. Staram się nie rozpłakać.

Nie jestem nawet pewien, jak wrócić do drogi. Sądzę, że powinienem zejść ze wzgórza, ale okazuje się niebawem, iż jestem w błędzie. Nie mogę zorientować się w ciemności. Nie mam pojęcia, jak zabiorę to wielkie drzewo moim małym samochodem i zawiozę niepostrzeżenie do domu. By nikt mnie, nie zobaczył mnie, pojedę bocznym traktem, mijając domostwo rodziców Geneviève, narzeczonej Mike'a.

Przedzieram się przez zagajnik, ciągnąc ścięte drzewo za sobą jak mały psotny troll owcę za ogon. Błyskam raz latarką, by upewnić się, że schodzę ze zbocza. Zgubiłem się zupełnie. Jestem przekonany, że zagłębiam się coraz bardziej w las.

Wreszcie stok obniża się wyraźnie i schodzę w kierunku drogi, jakiejś drogi. Nie widzę jednak mojego samochodu. Musiałem wyjść z zagajnika pod innym kątem niż wszedłem tam. Nie sądzą, by ktoś mógł ukraść mój samochód, gdyż musiałbym usłyszeć dźwięk uruchamianego silnika. Przyznaję, że pomyślałem o tym. Zamartwiam się wciąż jak nikt inny na świecie, choć nie zdaje się to na nic. A może martwię się za mało. Lor jest przekonana, że nie przywiązuję wagi do wielu spraw. Prawdopodobnie ma rację.

Czy samochód stoi na prawo czy na lewo? Czy w ogóle znajduje się na tej drodze? Próbuje wypatrzeć go w ciemności.

Tymczasem ukrywam choinkę w rowie. Prawdopodobnie gałęzie ubłocą się, ale obmyję je później. Wyteżam wzrok i wydaje mi się, że dostrzegam niewyraźny kształt z prawej strony. Maszeruję drogą w tym kierunku, dopóki nie mam pewności, że to samochód.

Potem wracam po choinkę. Nie mogę jej znaleźć. W tejże chwili podejmuję ostateczną decyzję, że nigdy nie obrabuję banku, nie popełnię morderstwa ani żadnego poważnego przestępstwa, takiego jak kradzież drzewka z lasu. W końcu odnajduję świerk bez zapalania latarki, wymacując go w rowie. Ciągnę drzewo za sobą, skradając się w kierunku samochodu. Teraz jestem zupełnie niezabezpieczony przed atakiem. Jeśli pojedzie jakiś samochód i ktoś zobaczy mnie w świetle reflektorów, nie wykombinuję nic na swoje usprawiedliwienie. Jak mógłbym wytłumaczyć to, że biegnę do samochodu ze świeżo ściętą choinką w jednej ręce i piłą w drugiej.

Nie mam linki, by przywiązać drzewo na dachu samochodu. Wymyśliłem jednak sposób, by je przewieźć. Otwieram boczne drzwi i wpycham drzewko głęboko na tylne siedzenie. Przyginam czubek i wystawiam przez przeciwległe otwarte okno. Ostrożnie układam gałęzie w środku, potem z łatwością zamykam drzwi. Pochylam się i wsuwam rękę przez okienko, by wyłączyć czerwone światelko nad podłogą. Znowu otacza mnie nieprzenikniony mrok.

Obchodzę samochód, by wsiąść do środka. Drepczę w kółeczko, szukając piły. Nie chciałbym odjechać bez niej. Na szczęście odnajduję ją. Niekiedy dwa błędy równoważą się i przynoszą korzyść, tak jak czasem różnica ujemnych liczb w algebrze daje dodatni wynik. Oczywiście, jeśli zgodzimy się przymknąć oko na pewne zasady i uznamy kradzież choinki z lasu za słuszny postępek.

Samochód rusza bez problemu, dzięki Bogu czy komu tam. Przejeżdżani sto metrów tylko na światłach postojowych. Reflektory włączam dopiero przed wąskim mostkiem. Oddalam się z miejsca przestępstwa. Oślepię każdego moimi reflektorami. Będę bezlitosny.

Przejeżdżam most. Skręcam w boczną drogę, trochę szerszą niż ścieżka. Znowu skręceni, potem zawracam, wspinam się na wzgórze i zjeżdżam leśnym traktem ze stoku, który zwykliśmy nazywać Zaklętym Borem, niegdyś będącym krainą wrózek z dawnych czasów, pełną omszałych wiekowych dębów, a dzisiaj ogołoconą z drzew, zdewastowaną plantacją trzy lub czteroletnich świerczków. Kiedy mijam dom Geneviève, okiennice są już zamknięte, ale wrota do stodoły otwarte na oścież. Przez okiennice widać światło. Zapewne krząta się tam matka narzeczonej Mike'a. Zanosi się, że Boże Narodzenie będzie dla niej szczególnie przykre. Nie zdobyłbym się nigdy na rozwód jak ona. Łudzę się, że Lor również nie zdecyduje się na to. Być może przywiązuję zbyt wiele wagi do trwałości małżeństwa. Jestem zbyt apatyczny, tchórzliwy, twórczy. To wiele wyjaśnia.

Przyśpieszam i obiecuję sobie w duchu, że niebawem udam się na wzgórze, by życzyć jej wesołych świąt. Wjeżdżam na pierwszym biegu do Vauchot. Tutaj prawie nie ma śniegu, ale miejscami droga jest oblodzona. Poprzestaję na pierwszym biegu i pokonuję ostatnie dwa kilometry do młyna. Zostawiłem otwarte wrota do stodoły, wjadę więc wprost do środka.

Wjeżdżam do wsi nie zauważony przez nikogo. Skręcam i ślizgam się w zamarzającym błocie aż do stodoły. Zatrzymuję się, wyłączam silnik, gaszę światła i siedzę przez chwilę w ciemności, czekając, aż moje ciśnienie krwi ustabilizuje się. Potem wysiadam, zamykam wrota. Oświetlając sobie drogę latarką, przechodzę wśród starych wraków i nowych motocykli i otwieram drzwi samochodu z drugiej strony, uwalniam czubek drzewka z bocznego okna i ostrożnie wyciągam wspaniałą, rozłożystą choinkę ze środka. Stawiam ją na posadzce stodoły, trzymając za pień w połowie wysokości.

Otwieram małe drzwi w bocznym skrzydle stodołich wrót, by zobaczyć, czy nie ma nikogo na ulicy. Pusto. Przeskakuję przez próg, przez śliskie błocko, ściskając w ramionach choinkę jak pannę młodą. Wchodzę do piwnicy i taszczę przed sobą drzewko po schodach. Nie chcę złamać żadnej gałęzi, przechodząc przez drzwi w podłodze. Lor przytrzymuje niebezpieczne drzwi i przepycha dolne gałęzie, pomagając mi przenieść świerk przez wąskie przejście. Odbieram swoją zdobycz od Lor jak szalony, zwycięski bohater, który powraca z wyprawy zbójckiej — utrudzony, ociekający wodą, rozczochrany, z siwą grzywą rozwianych włosów.

Wystawiam przez drzwi wychodzące na groblę mini choineczkę z Nevers, potem osadzam w otworze w młyńskim kamieniu piękne, świeżo wycięte drzewko. Choinka stoi prościutko, iglasta gałeczka na czubku niemal dotyka belki pod sufitem, nad którym jest już tylko strych. W blasku ognia połyskują mokre, rozłożyste gałęzie, które wypełniają pustą przestrzeń. Drzewko nie jest za gęste ani też nie jest w żadnym miejscu ogołocone z zieleni. Nie jest również ubłocone, co zakrawa na cud.

Ben przygląda się, zezując wyraźnie do środka, co oznacza, że uśmiecha się.

— Teraz mamy prawdziwą choinkę, tatusiu. Dzięki niej jestem skłonny uwierzyć znów w świętego Mikołaja.

Lor obejmuje mnie ramieniem, dając mi potężnego kuksańca.

— Nie ma w tym nic dziwnego, Ben. Zapytaj ojca, on jest ekspertem w tej dziedzinie!

— Nie, naprawdę trudno byłoby mi uwierzyć. Zresztą nikt nie zniósłby piętnastoletniego chłopaka wierzącego w takie rzeczy jak święty Mikołaj. To nie wypada.

Lor nalewa mi kieliszek wina Poire William. Zapalamy świece na stole i wyłączamy lampy. Izbę rozjaśnia tylko grzejnik gazowy i blask ognia w kominku. Jest ciepło, toteż nie musimy już włączać elektrycznych grzejników. Pokojowy termometr na świeżo polakierowanym barometrze wskazuje dwadzieścia stopni. Na termometrze za oknem są dwa stopnie powyżej zera, co zapowiada śnieg. Ulegając manii lakierowania wszystkiego w zasięgu ręki, pomalowałem plastikowe pudełko do zapalek wraz z zaryską z boku, toteż trudno nam będzie skrzesać ogień. Jednak udało się zapalić świece za pomocą płonącej drzazgi z kominka.

Z cicha Lor i ja zaczynamy śpiewać kolędy. Ben nuci z nami. Chłopak ma głęboki, doskonale ustawiony, melodyjny głos. Dzisiaj pierwszy raz wtóruje nam w śpiewie. W zeszłym roku wyniósł się po cichu do stodoły, a może wyszedł na spacer, kiedy chcieliśmy urządzić mu przyjęcie urodzinowe. Ben odczuwa straszliwy wstręt do wszelkich publicznych popisów. To uczucie, które rozumiem, podziwiam. Jest smutne, wręcz nieznośne, gdy ludzie popisują się, próbują rozpaczliwie udowodnić, że są, istnieją, żyją. Często płaczą na koncercie lub w teatrze. Wcale nie dlatego, że wzruszyła mnie muzyka czy sztuka. Po prostu z żalu nad muzykiem, aktorami i tymi wszystkimi biedakami, dla których ten publiczny pokaz osobistej fantazji stanowi sposób życia.

Czuję nieodpartą pokusę, by pogratulować i podziękować Benowi za to, że zgodził się obchodzić z nami swoje urodziny. Powstrzymuję się jednak. Zadałbym mu straszliwy gwałt. Od dawna próbuję się nauczyć nie robić takich rzeczy. Wydaje mi się, że brak mi pewnej wrażliwości, szacunku dla uczuć drugiej osoby. Lor zawsze wie, co należy zrobić. Być może dlatego zostałem biednym, olewanym przez wszystkich filozofem, a ona świetną nauczycielką. Wydaje mi się, że Lor bezbłędnie, niemal bez namysłu wybiera właściwy sposób zachowania.

Śpiewamy kolędy cicho, niskimi głosami. Zdumiewa mnie, jak wiele kolęd zna Ben. Jestem przekonany, że to nie popis konkursowy ani nakazany występ, ale obopólny wyraz dobrej woli. Tylko rozłożyste, ciemnozielone drzewko pozostaje nieme — nasz tajemniczy gość z wielkiego świata, milczący męczennik, który wyraża nasze pragnienie jedności ze wszystkimi żyjącymi istotami.

Czuję wielkie uspokojenie. Postanawiam dochować tajemnicy złożonej Lorecie, że będę trzymał język za zębami, gdy córki zaczną wypominać mi swoje życie. Obie nasze dziewczynki są zapiekłymi rzeczniczkami emancypacji kobiet. Bracia i ojcowie są w ich przekonaniu automatycznie winni, toteż należy im zadać bezlitosny cios. Zwykle udaje mi się spokojnie odparować ich ślepe ataki, choć niesprawiedliwe oskarżenia i zniewagi rozwścieczają mnie, jeśli się zapomnę. Szkopuł tkwi w tym, że po dwudziestu pięciu latach filozoficznego iskania się budzi się we mnie istny demon, który stara się zawczasu udaremnić wszelkie zamachy na moją osobę, szczególnie ze strony Nicole.

Oto co się zdarzyło podczas świąt Bożego Narodzenia dwa lata temu w Kalifornii. Loretta wyszła po prostu z pokoju i położyła się do łóżka, nie chcąc wplątać się w bezproduktywny, niezrozumiały konflikt. Chciałbym być tak kuty na cztery nogi jak ona, ale tkwi we mnie dumny, zadowolony z siebie Irlandczyk. Nicole bywa szczególnie wrogo usposobiona, gdy wypije zbyt dużo białego wina. Jest tak bardzo podobna do Nory, najmłodszej siostry Loretty, że wydaje się to aż przerażające. Tamtej gwiazdki Nicole upierała się, że „spieprzyliśmy” jej życie. Wiem, że wszyscy rodzice są zaszokowani, kiedy dzieci okazują takie uczucia. Ale ich przyczynę stanowią nasze własne błędy wychowawcze. Jednak Lor i ja przekonujemy się wzajemnie, że przecież

staraliśmy się ze wszystkich sił wychować dzieci właściwie. Tak trudno okazać miłość, szczególnie wtedy, gdy się kocha naprawdę głęboko, szanuje i podziwia umiłowaną osobę. Bywa jednak, że bliska osoba zmusza nas do przemocy i stosowania metod, które są obce naszej naturze, i wzajemnie nas ranią? Może dziecko chciałoby mieć szansę okazania swojej miłości przez uległość. Sam nie wiem. Mnie to nie dotyczy.

Zatem teraz w nastrojowym półmroku jeszcze raz potwierdzam swoją dobrą wolę, by wysłuchać wszystkiego spokojnie, nie dać się sprowokować, wynieść jak najwięcej z tej, jak jestem przekonany, ostatniej gwiazdki, którą spędzamy razem. Odczuwam znów bolesny skurcz, gdyż Mike nie przyjedzie na święta, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Przed pójściem do łóżka podgrzewam wodę i myję całe ciało w miednicy. Pocę się ze zdenerwowania i brzydko pachnę, toteż Lor nie byłoby przyjemnie spać z kimś, kto cuchnie, jakby uciekł z ZOO. Golę się nawet. Ben ustawia swoje łóżko przy kominku. Potem, gdy oni oboje się już położyli, zdmuchuję świece i kładę się również.

Nie mogę zasnąć. Obejmuję Lorette, rozmyślając, jaki wielki błąd popełnił nasz ludzki gatunek, budując domy, w których sypia się, jada, gotuje, myje w osobnych pomieszczeniach. Mieszkańcy tej wsi żyją, podobnie jak my, w jednej dużej izbie. To naprawdę wygodne. Nie będę się spierał na ten temat z dziewczętami. Nie byłoby to rozsądne.

Budzę się około wpół do ósmej, odczuwając silne poranne parcie na pęcherz. Zwykle nie biorę tabletek moczopędnych przed snem, ale wieczorem zażyłem jedną wraz z pigułką valium. Mam podwyższone ciśnienie krwi, czuję ucisk w lewym ramieniu, pulsowanie w skroniach.

Dwie dobre rzeczy sprawiły moje medykamenty. Po pierwsze, wstałem dwukrotnie w nocy i za każdym razem dołożyłem do kominka grube bierwiono, by podsyć płomienie, toteż teraz ogień buzuje aż miło. Nie sprawiłoby mi radości, gdybym musiał rozpalać na nowo wilgotne drewno o zaraniu zimowego dnia. Rozglądam się bez pośpiechu po izbie, ciesząc się ciszą i szarzejącym świtem. Po drugie, spadło mi ciśnienie krwi i czuję się radośnie, spokojnie, jestem w zgodzie ze światem. Zrywam się, by sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane, jak należy. Moja jedyna troska to Lor. To tylko troska, nie niepokój.

Dla mnie Wigilia jest ważniejsza, bardziej emocjonująca niż samo Boże Narodzenie, gdyż towarzyszy jej nieodłącznie czarodziejski nastrój oczekiwania, przepowiedni. Wsłuchuję się, wczuвам się w nastrój, Lor oddycha przy mnie spokojnie. Ben wyciąga się, przysuwając się bliżej ognia. Obejmuje ramionami krawędzie łóżka. Chłopiec śpi głęboko, spokojnie, nie rzuca się na posłaniu, nie zgrzyta zębami, nie dręczą go żadne koszmary, nie ssie palca przez sen. Myślmy z radością, że to nasza zasługa. Kiedy był dzieckiem, nigdy nie zasypiał z płaczem, nigdy nie pozostawiliśmy go samego, gdy tego nie

pragnął. Do siódmego roku życia przesywał pół nocy w naszym łóżku, zwykle przytulał się do mnie. Nie przeszkadzało mi to. Lubiłem, gdy obejmował mnie rączkami. Nie uważam, że dzieci powinny sypiać osobno. To nienaturalne. Przez pierwsze trzy lata po ślubie byliśmy dość młodzi i głupi, i podatni na wszelkie nowinki. Nabraliśmy się na rozpowszechniane wówczas teorie i uznaliśmy, że dzieci powinny sypiać oddzielnie. Teraz widzimy z bólem efekty naszej naiwnej wiary w tak zwany zimny wychów. Nasze starsze dzieci lunatykują i rzucają się we śnie. Ja spałem głębokim, odświeżającym snem, kiedy zbliżałem się do czterdziestki. Teraz zasypiam z trudem. Czasem nie pomaga mi zasnąć nawet medytacja czy valium, ale ostatnio sprawy mają się wyjątkowo źle.

Przez okienko w suficie wdziera się blask nowego dnia. Wszystko wskazuje na to, że niebo jest błękitne i czyste. Izba zaczyna wypełniać się światłem. Wstaję z łóżka, wsuwam nogi w wyiębione pantofle, zawiązuję pasek szlafroka. Nastawiam grzejnik gazowy na najwyższy

poziom i napełniam wodą czajnik. Uwielbiam nalewać wodę do czajnika przez dziobek. Może nawet sprawia mi to pewnego rodzaju seksualną przyjemność, pewnego rodzaju kompensację moich niepowodzeń miłosnych z moją ukochaną.

Zapalam piecyk i podgrzewam wodę do mycia. Skradam się na palcach, by nie obudzić Bena, odwracam dopalające się polano w kominku i dokładam nowe. Sprawdzam temperaturę: Jest czternaście stopni Celsjusza. Za godzinę będzie w pokoju znów dwadzieścia stopni. Podchodzę do drzwi i odsłaniam grube, czerwone draperie, by spojrzeć na termometr za oknem. Zaskakuje mnie widok jasnego, rozświetlonego nieba nad oszronionymi drzewami. Przez delikatnie zarysowane, misterne gałązki prześwituje białobłękitne sklepienie. Zaparło mi dech z zachwytu.

Wyteżam wzrok, by dojrzeć przez zamazaną szybę skalę na zewnętrznym termometrze. Dwadzieścia dwa stopnie poniżej zera. Słońce jeszcze nie wzeszło. Sam nie wiem, czy mam obudzić Lor i Bena, czy cieszyć się samotnie tą szczególną chwilą. Nie mogę ich obudzić. Muszą się dobrze wyspać, gdyż późnym wieczorem udajemy się na wigilijną biesiadę do madame Calvet. Na dodatek całe to zamieszanie związane z przyjazdem dziewcząt. Podejmuję egoistyczną decyzję. Ubierani się po cichu. Wyłączam piecyk z gorącą wodą. Wzuwam wysokie buty, wkładam kurtkę, rękawiczki, wełnianą czapkę. Ostrożnie otwieram drzwi. Wychodzę, potem popycham je lekko, by zamknęły się za mną.

Patrzę w lewo i odkrywam wspaniałą lodową rzeźbę, którą utworzył zamazany wodospad. Kaskady zastępyły w skrzywionych, lśniących formach jak przezroczysta zabawka z cukru. Pnący się przy bramie śluzki błyszczą jest oszklony lodem, udrapowany prześlicznie brzemieniem liści, których zieleń osłania przezryste szkliwo. Nad przepustem wiszą olbrzymie sople, grube na trzy cale, długie na cztery stopy — współczesne stalaktyty. Przechodzę na oblodzoną werandę, wchodzę po śliskich schodach na groblę, by spojrzeć stamtąd na staw.

Zamazana powierzchnia jest zupełnie gładka, bez jednej nierówności. Gdybym nie wiedział, że jest zima, gdyby w jego doskonale spokojnej toni odbijały się zielone liście, mógłbym pomyśleć, że przespałem przeszło pół roku i wyszedłem przed dom o szóstej rano w piękny czerwcowy poranek. Wschodnia ściana doliny wciąż zasłania blask słońca. Nie ma chmur. Niebo jest takie czyste, pogodne, że z trudem można by uwierzyć, że wieją tutaj porywiste wiatry.

Powtarzam stały letni rytuał. Staję na palcach, próbując wyciągnąć się jak najwyżej, oczekując, że to wspaniałe niebo zniży się ku mnie. W trosce o spokój śpiącej rodziny i sąsiadów, zwalczam pragnienie, by wydać niedźwiedzi ryk.

Czubkiem buta wykopuję z oblodzonej powierzchni grobli trzy małe, płaskie kamyki, dwa gładkie, jeden chropawy. Podnoszę je. Kamienie ziębią ręce jak lód, nawet przez skórzane rękawice. Ciskam z całej siły pierwszy chropawy kamyk na lód, stojąc na małym drewnianym pomoście, z którego w lecie wślizguję się do wody, by popływać przed śniadaniem.

Minionego lata zsuwałem się z mostku do wody niemal bezszelestnie, starając się nawet nie plusnąć, by nie zakłócić połowu wędkarzom stojącym od świtu nad stawem. Dzisiaj pomost skrzy się od szronu, ale nie jest śliski. Kamień rozbłyskuje, tworząc małą szczyrbę na powierzchni zamazanego stawu, potem odbija się i ślizga trzydzieści lub czterdzieści stóp. Lodowa tafla wydaje dziwny wibrujący trzask, który zdaje się rozbrzmiewać echem gdzieś pod zamazaną powierzchnią.

Znajomy naukowiec powiedział mi kiedyś, jak powstaje ten niesamowity przenikliwy trzask, który powoduje, że lód pęka na powierzchni z prędkością większą niż prędkość dźwięku. I stąd ten akustyczny pogłos. Trudno w to uwierzyć, ale to czarodziejski dźwięk.

Przytrzymując się zwisającej gałęzi drzewa, opuszczam nogę z pomostu, by sprawdzić, czy lód jest mocny. Lód pęka, rysy rozchodzą się promieniście od czubka mojego buta. Okazuje się, że lód ma zaledwie cal grubości. Biorę jeden z gładkich kamieni i ciskam go tak, by ślizgał się po

niewiarygodnie przejrzystym lodzie. Kamień odbija się, sunie prawie bez tarcia, niemal w nieskończoność. Wtórkuje mu pogłos pękającego lodu. Kamień wciąż ślizga się, aż wreszcie, prawie poza zasięgiem wzroku, wpada w sitowie, trzciny i przybrzeżne bagno w odległym końcu stawu, potem zatrzymuje się na jednym z kopczyków piżmoszczurów.

Trzymam w dłoni ostatni kamyk, czując jego lodowaty chłód, który wysysa ciepło przez rękawiczkę, jego krągłość. Właśnie blask słońca zaczyna się przebijać białym promieniem nad wschodnią ścianą doliny. Słońce jest prawie białe, jak opłatek komunijny na obrazie osiemnastowiecznego malarza hiszpańskiego. Oto objawia się wszechpotężny demon czasu. Czuję, jak przenika mnie przecucie jego straszliwej mocy. Jeśli rozmyśla się o potędze czasu, a ja robię to bardzo często i to czyni ze mnie filozofa, wtedy odczuwa się, że jest to jedno z najbardziej tajemniczych zjawisk, jakie znamy.

Próbujemy zdefiniować czas za pomocą zegarów i kalendarzy, które są w mniejszym lub większym stopniu oparte na wzajemnym położeniu Ziemi i Słońca i ruchu naszej planety względem tej gwiazdy i Księżyca, ale to tylko miara. Możemy dowiedzieć się o czasie naprawdę tylko tyle, że ma związek z przestrzenią i materią; wraz z nią pojawia się czas. Ale czas nie może zacząć się, gdyż „początek” to słowo dotyczące czasu: początek—zakończenie. Jednak Słońce wschodzi ponad wzgórzami i jeśli nawet nie symbolizuje czasu, stanowi źródło czystego światła, które przebyło dziewięćdziesiąt trzy miliony mil, źródło całej ziemskiej energii.

Czuję już ciepło na zmarzniętej twarzy, zanim słońce pojawiło się w połowie nad wzgórzem. Rozgrzewa moją wystudzoną duszę. Chowam ostatni kamień do kieszeni i zdejmuję rękawiczki, by te czarodziejskie promienie uzdrowiły moje ręce. Stoję twarzą do słońca. Zamykam oczy. Widzę prześwietlone czerwienią wnętrza moich powiek, czuję ciepło płynące z kwiatu życia. Zapiera mi dech z zachwyty, a równocześnie chce mi się śpiewać, tańczyć, podziękować Słońcu w jakiś sposób.

Zamiast tego wkładam z powrotem rękawiczki, otwieram oczy i wpatruję się w niebo, czekając, aż słońce w końcu oderwie się od ziemi, uwolni i odpłynie, stając się znów ciałem niebieskim, obdarzając nas i nie żądając w zamian niczego. Ślubuję, że wyrażę swoją wdzięczność słońcu, okazując miłość moim ukochanym. Chciałbym przekazać Lor, dzieciom, gdziekolwiek są, moją ogromną radość. Ale zaskakujące wydarzenia przeszkadzają mi w tym, blokują moje głębokie uczucia. Spróbuję naprawić swoje błędy.

Mam ochotę się przespacerować, usłyszeć, poczuć pod stopami chrzęst zmarzniętej trawy. Obchodzę staw, kierując się ku obejściu Rousseau. Drzewa są oszklone lodem, grubym, czystym naturalnym lakierem, który pęka w blasku słońca, tworząc maleńkie pryzmaty rozszechniające światło na miriady kolorów.

Nie zebrane jagody na zamarzniętych krzaczkach oszklili niespodziewany mróz, który pozamykał je w przejrzystych lodowych kuleczkach jak owady zatopione w bursztynie. Wyschnięte, stwardniałe jagody błyszczą tak samo jak w lecie, gdy wypełniał je purpurowy, słodki sok.

Odwracam się, by spojrzeć na zamarznięty staw. W przezroczystej tafli lodu odbija się nasz młyn. Nawet w zupełnie bezwietrzny wiosenny lub letni dzień staw nigdy nie jest tak gładki jak lustro. Teraz ma wygląd powalonego rycerza w blaszanej zbroi, martwego od dawna.

Wpatruję się w zachwyte w jego doczesną przemianę. Potem przytupuję dla rozgrzewki i wracam, biegnąc niezdarnie po grobli z powrotem do młyna. Jestem gotów do porannego mycia. Dzisiaj przyjeżdżają moje córki, toteż chcę wyglądać jak najlepiej. Chyba nie żądam za wiele, zważywszy na to, kim jestem. Och, jak bardzo chciałbym być inny, zmienić się i wyglądać tak, jak tego chciałyby Lor, jak pragną dzieci. To okropne uczucie, jeśli inni postrzegają cię jako „dziwaka”, „marzyciela”, kiedy jesteś przekonany, że to nieprawda.

Lor i Ben jeszcze śpią. Włączam piecyk, by podgrzać znowu wodę. Rozbieram się do bielizny. Woda podgrzewa się szybko. W izbie jest już siedemnaście stopni. Odślaniam znowu okno wychodzące na wschód, by wpuścić słońce do wnętrza. Nalewam gorącą wodę do miednicy, dodaję zimnej z dzbana, by ochłodzić ukrop. Myję twarz. Szoruję mydłem włosy. Opuszczam głowę nad zlewem i opłukuję włosy resztą wody. Dopiero teraz przebudziłem się na dobre. Potem zdejmuję górę, namydlam i obmywam górną połowę ciała, nie tylko pod pachami. Szoruję dokładnie pianą mydlaną włosy na piersi, ramiona i plecy.

Wycieram się energicznie ręcznikiem. Zdejmuję kalesony i namydlam moje „klejnoty”. Staję w rozkroku nad miską na taborecie, by wykapać je dokładnie. Myślę, że ta wstydliva część męskiego ciała ma mniejszy ciężar właściwy, łatwiej unosi się w wodzie niż reszta. Pewnie wynika to z tego, że nie ma kości, wbrew romantycznej legendzie. Przyglądam się tym moim skomplikowanym organom i zastanawiam się, jaką muzykę powinny zagrać, by jej słuchano. Opłukuję je i wycieram. Wciągam kalesony, głównie ze względu na Bena. Wkroczył w wiek, w którym nagość drażni. Chłopak wychodzi nawet do zimnej toalety, by się przebrać. Nowy grzejnik w ubikacji może uchronić go przed zapaleniem płuc.

Zestawiam miednicę na podłogę i kładę obok ręcznik. Myję ostrożnie jeden za drugim palce nóg. Nie dziwię się wcale, że obmywanie stóp stanowi istotny symbol w wielu religiach. To przecież także wielka przyjemność. Uważam, by nie urazić drobnego odcisku na małym palcu lewej stopy.

Ostrożnie wycieram stopy i wkładam skarpetki, które wyprałem wczoraj wieczorem. Powiesiłem je na obramowaniu kominka, by wyschły. Wyschły na liść, ale wciąż są miękkie i ciepłe. Musimy sprawiać sobie czasem małe przyjemności, które trudno opisać, ale przecież mają swój sens. W moim przypadku należy do nich pranie skarpetek i majtek w rękach, suszenie ich przy ogniu, który utrzymuję przez całą noc. To wszystko nadaje głębsze znaczenie tej prozaicznej czynności. Staram się usilnie, by nie zmuszać tych, których kocham, by kochali wszystko to, co sam kocham. Tak łatwo można popełnić ten błąd. Powiedzmy, że to szaleństwo filozofa, a może szaleństwo ludzkości określa mój wybór. Byłoby wspaniale, gdybyśmy potrafili cieszyć się z tego, że nasi ukochani są zawsze tylko i wyłącznie sobą, a nie próbowali nieustannie przerabiać ich na swoją modłę. Tak wyobrażam sobie ostateczną obopólną emancypację.

Rozmyślam o tym, wciągając przez głowę granatowy sweter z szetlandzkiej wełny, gdy budzi się Lor, poziewując i cmokając. Podarowała mi ten sweter na urodziny. Lor wie, jakie rzeczy lubię najbardziej, co mi się podoba. Po trzydziestu latach małżeństwa powinna znać upodobania swojego męża, choć niewiele kobiet to wie. Sam również nie wiem, czego chce czasami moja żona. Łudzę się, że pragnie, by nasze dziewczęta przyjechały na Boże Narodzenie. Mam nadzieję, że również sama chce spędzić święta w młynie, pomimo że ma tyle powodów, by pragnąć być teraz gdzie indziej. Wszystko stało się tak nagle.

— Która godzina, mój drogi?

Patrzę na zegarek, który leży na brzegu, stołu obok miednicy z brudną wodą.

— Za kwadrans dziewiąta. Wow, jak pięknie jest na dworze, Lor! Spójrz na to słońce! Czy wiesz, że na dworze jest dwadzieścia dwa stopni mrozu? Wszystko zamarzło. Gdyby nie wzeszło słońce, byłoby tak, jak gdyby czas stanął w miejscu.

Lor przewraca się na brzuch, opiera się na łokciach i zerka, nie zwracając na mnie uwagi, przez świeżo umyte okno wprost na lodowy świat. Dostrzegam ślady łez w kącikach jej oczu, wywołanych snem lub rażącym blaskiem z okna. Lor ściera je prędko wierzchem dłoni.

— Powinieneś był mnie obudzić. Jaki piękny dzień! Szczęśliwej Wigilii, kochanie!

— Wzajemnie, Lor! Woda jeszcze nie wystygła, jeśli chcesz się umyć!

Spoglądam na termometr w pokoju.

— Jest już prawie dziewiętnaście stopni, zupełnie jak w Kalifornii.

Lor odwraca się i siada na łóżku, odkrywając się. Wstaje i ścieli łóżko. Ma na sobie granatową flanelową koszulę nocną. Nigdy nie wkłada frywolnych, kusych koszulek. Ostatnio moja żona nosi bardziej powabne stroje, stosuje zmysłowy makijaż i czesze się inaczej, ale wciąż sypia w niemodnych, zwykle granatowych flanelowych koszulach nocnych.

— Niezupełnie jak w Kalifornii — odpowiada z przekąsem. — Ale wcale się nie skarżę. Myślę, że dokonujesz cudów, utrzymując ciepło w tej lodowni, ale dla prawdziwej Kalifornijki panują tu istic arktyczne warunki. Do licha, zastanawiam się, jak poradzą sobie dziewczęta? Mówiłam im przez telefon, żeby przywiozły dużo cieplej odzieży.

Wylewam brudną wodę z miednicy do zlewu. Wycieram miskę papierowym ręcznikiem, potem napełniam parującą gorącą wodą i dolewam trochę zimnej, kiedy Loretta odbywa poranną wycieczkę do wyiębionej toalety. Wyciągam się na chwilę na posłanym łóżku. Lor śpieszy się i nie ma czasu, by wyłączyć grzejnik w izbie i włączyć drugi w łazience. Robi po prostu „psi—psi”, czy może raczej „siusiu”, jak mówi się w odniesieniu do kobiety. Wiem, że odgłos męskiego „psi—psi” i kobiecego „siusiu” różni się bardzo, szczególnie w misce klozetowej. To zdumiewające, jak mocny, przenikliwy zapach ma mocz na zimnie. Zastanawiam się, czy Lor również to zauważyła, choć zapewne osądziłaby, że fakt ten należy do ogromnego zakresu spraw, o których się nie dyskutuje, gdyż są nazbyt wulgarne.

Kiedy wraca, mija mnie bez słowa, potem ściąga przez głowę nocną koszulę, pluszcze się w wodzie i wyciera się ręcznikiem, spacerując po izbie dla rozgrzewki. Staram się nie zdradzić, że ją obserwuję, ale to najwspanialsza rzecz podczas pobytu w naszym młynie. Skórę ma wciąż tak gładką jak zaraz po ślubie — jasnoróżową, bez pieprzyków, bez brodawek. Jej brzuch uwypuklił się nieznacznie po czterech porodach, ale Lor wciąż ma ciało odaliski, szczególnie z tyłu. Ingres, Matisse, Cezanne malowałiby ją z rozkoszą. Nasz związek polega na tym, że moja żona dostarcza mi więcej estetycznych wrażeń niż seksualnych przyjemności. Sam nie wiem dlaczego. Wcale nie myślę, że chcemy nagle rozkołysać niebezpiecznie szeroką, płynącą wolno po wzburzonej wodzie nawę naszego małżeństwa, którą tak niezmiernie trudno przechylić i wywrócić. A może tylko wydawało mi się, że trudno wywrócić tę już prawie trzydziestoletnią łódź?

Uwierzyłem naiwnie, że nic nie psuje szczęśliwego, długotrwałego związku mężczyzny z kobietą bardziej gruntownie niż rozpasany seks. Jedno lub drugie, czasem oboje, wcześniej czy później zaczynają stosować seksualny szantaż. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się zdarzyło, wciąż tak to odczuwam. Możliwe, że powinienem poszukać przyczyny moich obecnych niepowodzeń w sobie, w swojej wstrzemięźliwości, w zgodzie na oziębłość Lor.

Wiele lat temu, kiedy pracowałem w szkole, miałem sporo okazji, by flirtować ze studentkami i młodymi nauczycielkami. Zawsze wycofywałem się, zanim romans nabierał rumieńców. Wymarzona nagroda nie równoważyła bowiem wszystkich komplikacji, kłopotów, oczekiwań. Po prostu nie czułem potrzeby gonitwy za seksem. Jestem bardziej romantykiem niż ogierem.

Lor spryskuje się dezodorantem i zaczyna się ubierać. Wstaję, dokładani drew do ognia, ustawiając je na palenisku niby mały domek, potem wsuwam jedno polano do środka. Mamy dosyć pociętych kłoców, by ogień palił się przez cały dzień, ale za mało bierwion na noc. Myślę, że nadszedł czas, by wprowadzić Bena w sztukę piłowania drewna. To zajęcie pasuje do świąt Bożego Narodzenia. Mam nadzieję, że mój najmłodszy syn nauczy się tego bez trudu.

Ben obudził się. Sięga po okulary leżące na stole i spogląda na elektroniczny zegarek. Ben jest krótkowidzem. Kiedy następnym razem wrócimy do Illinois, spróbujemy dobrać mu miękkie soczewki kontaktowe. Mój najmłodszy syn ma prawdziwą obsesję na punkcie swojego zegarka i

czasu. Ma płaski czasomierz wielkości karty kredytowej, połączony z komputerem. Gdybym schował jego nowoczesny czasomierz i położył na jego miejsce zwykły zegarek, a potem zapytał o godzinę, nie umiałby odpowiedzieć. Zawsze baczmy na to, by nie powiedzieć w jego obecności, że jest na przykład za kwadrans trzecia zamiast 2.45, gdyż uznałby to za świętokradztwo.

Ben opuszcza stopy i wzuwa pantofle. Musieliśmy kupić mu pantofle o największym rozmiarze produkowanym we Francji. Siedząc na brzegu łóżka, wpatruje się w ogień. Zawsze budzi się wolno, jakby wracał z głębi niezwyklej krainy snów, które niekiedy opowiada nam podczas śniadania, choć ostatnio zdarza się to niezmiernie rzadko. Wiemy oboje, jak trudno wyciągnąć coś z niego na temat jego bogatych, fantastycznych snów. Ben powiedział mi kiedyś, że nie przejmowałby się wcale wstawaniem, gdyby nie to, że nie znosi tej chwili, kiedy przestaje śnić.

— Dzień dobry, Ben! Czy dobrze spałeś?

— Uhm...

— Dzisiaj jest przepięknie na dworze, pogodnie i mroźno. W nocy zamarzł staw.

— To dobrze. Czy spadł śnieg?

— Nie. Jest zbyt zimno, by padał śnieg.

— Uhm...

Ben zachowuje się po trosze jak staruszek. Każdego wieczoru układa starannie ubranie na krześle obok łóżka. Niezmiernie trudno zmusić go, by oddał zabrudzoną odzież do prania. Mój najmłodszy syn nie jest entuzjastą żadnych zmian, nawet zmiany skarpetek. Jeśli szczęście polega na tym, ażeby być zadowolonym z tego, co się posiada, Ben jest najszczęśliwszym człowiekiem ze wszystkich ludzi, z jakimi zetknął mnie los.

Wstaje wreszcie, przeciąga się, gmera w kominku swym ulubionym pogrzebaczem, zbiera ubranie z krzesła i człapie po czterech schodkach prowadzących do łazienki.

— Ben, możesz włączyć grzejnik, jeśli chcesz. Ja wyłączę ten w pokoju.

— Dzięki. W porządku, nie przeziębę się.

Tak czy owak wyłączam grzejnik. Buzujący ogień w kominku nagrzał izbę do dwudziestu stopni. Lor ubrała się. Wylewa brudną wodę z miednicy do zlewu. Wyciera miskę, stawia na kredensie obok dzbana.

— Najdroższy? Chciałabym, żeby Ben umył się rano. On zaczyna cuchnąć jak sfera psów, z którą ugania się po wsi. Ten smród w połączeniu z zapachem jego nie mytego ciała może przyprawić każdego o mdłości. Założyłam ciepłe skarpetki w nocy, kiedy obudziłeś mnie, wstając do toalety. Czy zażyłeś pigułki moczopędne i valium? Czy jest aż tak źle?

— Ależ nie! Zażyłem tabletki, by zapobiec ewentualnemu atakowi, wzmocnić się, dodać sobie animuszu. Wiem, że muszę uzbroić się w cierpliwość, zgromadzić w sobie rezerwy obojętności, bierności, dojrzałości i chłodu na przyjazd córek, by nie dać się sprowokować do awantury, wyciszyć spory ojcowskim przyzwoleniem. Jestem okay. Co będziemy jedli na śniadanie?

— Czy masz ochotę na naleśniki? Przygotowałam już syrop i miód od Rolanda. Co ty na to?

— Wspaniale. Zrobię porządek i zamiotę, kiedy będziesz robiła ciasto.

Mam wielką ochotę, by wypakować od razu formę do wypieku wafli. Jak wspaniale smakowałyby mi wafle dziś rano. Zwijam śpiwór Bena i upycham w nogach naszego małżeńskiego łóża. Wciągam materac po schodach i chowam w starej bawialni na stryżku. Wracam i składam łóżko Bena, stawiając je pod schodami na poddasze, na którym będą spały dziewczęta. Wiem, że powinienem poczekać na powrót Bena. Zwykle sam składa swoje łóżko, ostrożnie, powoli. Jednak chciałbym dziś sprzątnąć izbę przed śniadaniem.

Istotnie, schody na strychu przypominają bardziej trap na statku, toteż trzeba uważać, by nie

spaść. Przetrwały już prawie piętnaście lat. Kiedy Ben był malutki, usunąłem pierwszy stopień, by malec nie mógł wspiąć się na schody. Sposobiłem się przez siedem lat, by przybić brakujący stopień, ale nie zrobiłem tego do tej pory. Zatem trzeba unieść nogę aż dwie stopy nad podłogą, by wejść na kolejny schodek. O takich drobiazgach jak naprawa schodów zwykle zapominam lub odkładam je z dnia na dzień. Jednak w odwlekaniu tej sprawy kryje się, jak sądzę, głębszy sens. Być może zwlekam z tą błahą naprawą dlatego, że przybicie brakującego stopnia przypieczętowałoby w pewien sposób okrutną i bezwzględną prawdę, że nie będziemy już mieli dzieci — już nigdy więcej, nigdy więcej.

Nic nie wskazuje również na to, że prędko będziemy cieszyć się wnukami. Zarówno Mike, jak i Nicole nie zamierzają mieć dzieci, a Maggie procesuje się z mężem o prawo do opieki nad swym jedynym, dzieckiem. Nie zamierzam czekać, aż Ben zostanie ojcem, chociaż chłopak jest już fizycznie rozwinięty. Nie okazuje jednak zbyt wielkiego zainteresowania sprawami płci. Wszystko, co robią dziewczyny, by zainteresować sobą chłopców, wydaje mu się głupie. Powiedział mi kiedyś, że chciałby poznać dziewczynę, z którą mógłby porozmawiać, ale jego szkolne koleżanki potrafią doprowadzić każdego chłopaka do szaleństwa.

— One nie są nieme, tato, ale tak się zachowują, jakby nie umiały powiedzieć ani be, ani me.

Może to jest zakodowane w genach. „Syn znikającego rodu” to oczywiście wymysł Nicole, jeden z wielu wymysłów mojej córki, która twierdzi, że jestem czasem niewidzialny, gdy sprawy przybierają zły obrót. Powiada, że wyłączam się i uciekam w głąb siebie. Możliwe, że ona ma rację. Nie wiem sam.

Jednak przybiję ten brakujący schodek. Dziewczęta docenią to, kiedy będą spały na stryszku.

Nie tak dawno próbowałem bez powodzenia zrozumieć kilka abstrakcyjnych pojęć. Ostatnio zastanawiam się często nad znaczeniem akceptacji, tolerancji, przystosowania, zgody, rezygnacji, oddania, buntu. Próbuję zastosować to wszystko w praktyce, by ocenić, na czym stoję.

Nie jestem pewien, czy to dalszy ciąg tych rozważań, ale dobudowanie brakującego stopnia zgadza się doskonale z przystosowaniem, może nawet zgodą. Istotnie, muszę zrobić stopień, czyli poszukać drewna, gwoździ, młotka i piły, potem przypiłować deskę, dopasować, przybić. Przystosowanie to naprawdę bardzo ważna sprawa. Tak, musimy przystosować się do panujących tutaj warunków. Albo: „Nie, wcale nie mamy tu warunków”. Albo: „Skoro nie odpowiada ci to, możesz spać w stajni!”

Biorę miotłę i wymiatam ką z prawej strony kominka. Loretta smaży naleśniki na patelni, a ich smakowity zapach wypełnia izbę. Kuchareczka mówi do mnie przez ramię:

— Kochanie, czy byłbyś łaskaw odłożyć zamiatanie na później, aż zjemy śniadanie?

— Szczerze, Lor, obiecuję, że zaraz skończę. Został mi tylko tyci kącik. Nic w ogóle nie zakurzę. Przrzekam. Poza tym Maggie jest jeszcze bardziej wyczulona na kurz niż ty. Jeśli nie zamiotę teraz, będziemy biegać z podwiniętymi do łokcia rękawami, zanim wszyscy nie wyjdą. Przypomnij sobie Peg^{*}, moja droga, wiesz, jaka ona jest. Przecież pamiętasz, jaka bywa drażliwa. Jakkolwiek nie sądzę, by została dłużej niż trzy albo cztery dni. Ona nigdy nie znosiła młyna.

Lor odwraca naleśnik na patelni, stawia syrop i masło na stole. A ja zamiatam dalej, uważając, by zbyt nie kurzyć. Zamiatam wokół kamienia młyńskiego, przed kominkiem, omiatam z kurzu drewno, zanim dorzucę do ognia.

Ben schodzi z toalety, niosąc starannie złożoną piżamę, i chowa ją pod śpiworem.

— Chłopcze, mama upiekła naleśniki! To właśnie najbardziej podoba mi się w naszym

* Maggie, Peg — zdrobnienia od imienia Margaret

młynie, że zawsze znajdziemy czas na prawdziwe śniadanie.

Ben przystaje, rozgląda się.

— Dziękuję ci, tato, że zaścieliłeś moje łóżko, choć zrobił bym to sam.

Podchodzi do kredensu, wyjmuje talerze i ustawia na stole.

— Ben, mój drogi, weź ogrzane talerze z piekarnika! Uważaj, abyś się nie oparzył!

Lor wstawia naleśniki do piekarnika, ażeby nie ostygły. Ben z grymasem niechęci wyjmuje talerze z naleśnikami z piekarnika, stawia na stole, tam gdzie zwykle siadamy. Ja naprzeciwko kominka, Loretta jak najbliżej kuchni, Ben plecami do ognia. Zastanawiam się, jak się usadowimy, gdy przybędzie pozostała trójka. Ja mogę usiąść gdziekolwiek, Lor wciśnie się byle gdzie, ale Ben nie ruszy się ze swego stałego miejsca.

Chłopak na ogół nie lubi jadać w towarzystwie. Powiada, że trudno mu się skupić na smaku potraw, a poza tym nie lubi odgłosów mlaskania, połykania, szczęku widelców i łyżek uderzających o zęby. Zwykle w dni wolne od lekcji Ben pochłania, zalicza — jak mówi — dwie lub trzy książki dziennie. Mówi, że „zalicza”, gdyż kończy dwie lub trzy, choć czyta jednocześnie cztery do pięciu książek, podobnie jak Nero Wolfe. Ben powiedział mi kiedyś, że lubi czytać równocześnie jedną zabawną książkę jak Mad lub Mash, drugą pełną przemocy jak zeszyty z serii „Egzekutor”, czy powieści McDonalda, trzecią science fiction i jeszcze jakąś poważną książkę, na przykład techniczną o samolotach lub samochodach czy coś z dziedziny geologii lub botaniki. Zarazem czyta lub czyta ponownie któryś z pięciuset starych magazynów „National Geographic”, które zgromadziliśmy przez lata w naszym młynie i paryskim mieszkaniu. Och, zapomniałem, że Ben jest również wiernym czytelnikiem francuskich grubych komiksów — bandes dessinées, takich jak „Tin Tin”, „Asterix i Obelisk” czy „Lucky Luck. Ben powiada, że nauczył się języka francuskiego właśnie z komiksów, a nie w szkole. Wierzę w to. Ben należy do tych dzieci, które nie muszą chodzić do szkoły. Mój najmłodszy syn jest prawdziwym samoukiem — myślicielem.

Na ogół jednak Ben dostosowuje się do nas i jada posiłki wspólnie z nami. Dostosowaliśmy się i my również do jego zwyczajów i staramy się nie robić niczego, co mogłoby zakłócić mu spokój. Nauczyłem się jeść tak, by nie urazić jego wrażliwości — mało, szybko, drobnymi kęsami, delikatnie przetykając. Naprawdę posiłki smakują lepiej, gdy się je spożywa w ten sposób. Poza tym nie jem dużo. Istotnie, nigdy nie wyobrażałem sobie, ile razy widelec uderza o zęby, jeśli nie je się zbyt elegancko.

Chociaż Loretta i ja jesteśmy wielkimi gadułami, którym prawdziwą przyjemność sprawia konwersacja podczas posiłku, krępiemy się rozmawiać z pełnymi ustami w obecności Bena. Przyznaję, że wstydzimy się chomikować jedzenie w buzi. Zgadza się, że uważne przeżuwanie, połykanie i oczyszczenie jamy ustnej językiem zwalnia przebieg rozmowy, choć prawdopodobnie przedłuży nieco prawidłowe funkcjonowanie naszych układów pokarmowych.

Wyglądam przez okno, słysząc przejeżdżający samochód. Wciąż jest niewiarygodnie pięknie. Podziwiam białe, oszronione drzewa na tle błękitnego nieba. Dziewczęta nie mogą skarżyć się na pogodę, przynajmniej nie dzisiaj, choć może dokuczać im mróz. Loretta również spogląda przez okno. Oboje jesteśmy zdenerwowani. Nawet jeśli dziewczęta wyruszyły o ósmej rano, co nie wydaje się realne, i przebyły całą drogę tylko w trzy godziny, co byłoby możliwe, gdyby nie jechały tym starym fordem albo prowadził go jakiś desperat. Ale przecież mógłby zasiąść za kierownicą przyjaciel Nicole, o którym wspominała w liście, więc kto wie?

Czas na śniadanie. Nie sądzę, by dziewczęta pędziły na złamanie karku. Zresztą już nie zdążyły na urodziny Bena. Może przyjadą tylko na Boże Narodzenie. Kto wie? Może tak będzie lepiej. Pewnie milutko spędzają czas w naszym paryskim mieszkaniu, podczas gdy Lor i ja dajemy z siebie wszystko, przygotowując się na ich przyjęcie. Ben pograża się w swoich

nawykach i jak zwykle nie zwraca uwagi na nic. Gdyby wybuchła wojna, prawdopodobnie wcale nie zauważyłby tego.

III TRZY KUROPATWY

Właśnie dojadam drugi naleśnik, kiedy rozlega się pisk opon hamującego gwałtownie forda capri. Wstaję z krzesła, na którym siedziałem okrakiem, i oddycham z ulgą, pewien, że dziewczęta dojechały szczęśliwie.

— Oto są, Lor, zdrowi i cali!

Oboje podbiegamy do zachodniego okna, Ben skacze za nami. Nicole, która nie prowadzi samochodu, wysiada pierwsza. Ma na sobie puchową kurtkę i jest opatulona czerwonym, wełnianym szalem. Przywodzi na myśl Isadore Duncan, jedną ze swych licznych ulubienic. Na głowie ma wełnianą czapkę zakrywającą czoło i uszy, a szal osłania jej twarz. Wymachuje żywo rękoma, chociaż przypuszczalnie nie widzi nas w zasłoniętym wąskim oknie. Jej chłopak wysiada z drugiej strony. Jego wygląd szokuje mnie. Odnoszę wrażenie, że to sobowtór Mike'a, znacznie starszy, łysiejący, brodaty. Nigdy nie przypuszczałem, że Nicole wybierze takiego mężczyznę. Zazwyczaj jej wybrańcy byli brudnymi, cuchnącymi obdartusami, wyglądającymi na wyniszczonych kokainą muzyków, albo niewiarygodnie przystojnymi elegantami, którzy pozowali na gwiazdorów filmowych. Nie tolerowała w ogóle przeciętnych mężczyzn.

— Spójrz, Lor! Ten facet wygląda zupełnie jak Mike.

Lor rzuca się naprzód i przeciska obok mnie przez drzwi w podłódze.

— Myślałeś, że kto to jest, karawaniarzu? Oczywiście, że to Mike.

Co za cudowna niespodzianka. A jednak spędzimy święta wszyscy razem.

Jak mogłem nie poznać Mike'a od razu? To takie cudowne, gdy głos Lor rozbrzmiewa radością. Mój starszy syn przeciąga się po długiej jeździe, zupełnie jak ja, o poranku rozkoszując się słonecznym blaskiem. Potem podnosi nieznacznie nogę, by pierdnąć po podróży, zupełnie tak jak opisuje to Jack Kerouac w swej słynnej powieści *W drodze*. Zastanawiam się, gdzie jest Geneviève. Możliwe, że ich telegramy rozmięły się i narzeczona Mike'a jest teraz w Kalifornii, oczekując na lotnisku w Los Angeles, aż mój syn przyjedzie po nią samochodem.

Schodzę prędko za Loretta po piwnicznych schodach. Madame Le Moine stoi w otwartych drzwiach swojego domu, promieniując najczystsza radością, ciesząc się z naszej radości. Mike tuli Lorette w swym niedźwiedzim uścisku. Wymieniamy francuskim zwyczajem pocałunki w policzek. Podchodzę i ściskam Nicole, która wygląda, jakby była w ciąży, nawet w tej grubej wywatowanej kurtce. Ale tryska zdrowiem, ma roziskrzzone oczy, rumieńce. Słowem, wygląda znacznie lepiej niż dwa lata temu.

— Czy sprawiliśmy wam niespodziankę? — pyta.

— Jasne, że tak. Co się stało? Gdzie jest Geneviève?

— Mike wyjaśni wam. To cała historia. Pozwólcie mi wejść, zmarzłam w samochodzie.

Teraz Maggie gramoli się z tylnego siedzenia. Jest jeszcze bardziej opatulona niż Nicole i wygląda na skostniałą z zimna. Prawie jej nie widać pod stertą pakunków. Podaję Maggie rękę, by pomóc jej precyzyjnie się przez wąskie przejście nad opuszczonym w przód fotelem obok miejsca dla kierowcy. Obejmujemy się mocno na powitanie. Dziewczyna waży dokładnie tyle samo co Loretta, ale jest szczuplejsza. Maggie włożyła wiele wysiłku w to, by się odchudzić, i teraz wygląda cudownie. Po urodzeniu Setha przybrała na wadze, ale teraz odzyskała znów dziewczęcą sylwetkę i wygląda młodziej od Nicole, choć jest pięć lat starsza. Ma na sobie płaszcz z afgańskiej alpaki, który zostawiła kiedyś w naszym paryskim mieszkaniu.

— Cześć, tato! Wielkie nieba, już zupełnie posiwiłeś! Czy twoje brwi są naturalnie ciemne, czy przyczerniłeś je?

— Pobielała mi tylko głowa, Maggie. Starzenie się jest naprawdę tak przykre, jak się tego obawiałem.

Obejmuje się rękoma i zasłania usta wysokim kołnierzem płaszcza.

— Boże, jak zmarłam! Mike musiał prowadzić przy otwartym oknie, by dawać sygnały ręką, gdyż lewy kierunkowskaz nie działa.

— Wiem o tym.

Mike wrzeszczy ponad dachem samochodu:

— Naprawdę, tato? Powinieneś zmienić wóz! Ten samochód stanowi zagrożenie dla życia, jest naprawdę niebezpieczny. Rusza, zrywając się nagle z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, i niemal wytrząsa ci wszystkie zęby w czasie jazdy. Wciąż mi drżą ręce po tej upiornej jeździe.

— Wiem. Podwozie jest pęknięte. Już takie było, gdy kupiłem ten samochód. Ale wóz ma sprawną automatyczną skrzynię biegów, choć zdziera opony podczas hamowania. Wiem, że jesteś zmęczony, ale jak się masz?

— Jestem niewyspany. Mógłbym spać przez trzy dni.

Maggie pochyla się, by zabrać swój bagaż z tylnego siedzenia. Lor ściska Nicole. Mike przechodzi przed maską samochodu, ślizgając się po nierównym zamrożonym błocie, by przywitać się ze mną. Ma zaczerwienione oczy, jakby przez trzy dni palił „trawkę”. Prawdopodobnie to tylko brak snu spowodowany długim lotem, a potem jazdą samochodem. Podróż z tak daleka bywa mordercza. Mike potrząsa moją ręką, drugą poklepuje mnie po plecach.

— Czy nie sprawiliśmy wam prawdziwej niespodzianki?

— Oczywiście, że tak. Nie spodziewałem się ciebie, a poza tym twoja broda sprawiła, że wziąłem cię za chłopaka Nicole. Nawiasem mówiąc, gdzie on jest?

— Postanowił pozostać w Kalifornii. W końcu przekonaliśmy Nickie, żeby przestała go molestować, bo przecież młyn nie jest aż tak duży, by zmieściło się tu aż sześć osób w zimie, zwłaszcza gdy jedna z nich nie należy do rodziny. Pamiętasz, tato? Mieszkałem tutaj pewnej zimy. Boże, nigdy nie czułem się tak piekielnie zmęczony. Prowadzenie tego cholernego gruchota wypompuwało ze mnie wszystkie siły. Czy wiesz, tato, że lewy przedni hamulec zakleszcza się?

— Wiem. Gdzie jest Geneviève?

Czy tylko mi się wydaje, czy on naprawdę obrzuca mnie jednym z tych wymownych spojrzeń, którymi zawsze obdarzają mnie dzieci, gdy przez przypadek zaczynam wtrącać się w ich dorosłe życie.

— Zdecydowała, że pozostanie tutaj i nie przyleciała w ogóle do dobrych, starych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jej matka byłaby bardzo przygnębiona, gdyby musiała spędzić święta samotnie. Ojciec Geneviève przyjeżdża na kilka dni, toteż mogą podzielić się obowiązkami. To będzie trudne dla obojga jej rodziców, więc Geneviève doszła do wniosku, że nie mogłaby teraz wyjechać. Poza tym nie chciałem stracić okazji, by spędzić święta w młynie razem z wami jak za dawnych, dobrych czasów.

Przygląda mi się uważnie, jak gdyby sprawdzał, czy mu uwierzyłem. To jest nie do zniesienia. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Mike należy do tych ludzi, którzy pozostają niewzruszeni w każdej sytuacji. Sam zwykle wyczuwam, kiedy coś jest nie tak, ale niech mnie piorun strzeli, jeśli wiem, co tutaj jest grane. Mike pochyla się nade mną.

— Wydałem na bilet samolotowy pieniądze na czesne. Czy zrobiłem dobrze?

— Jasne. Nie ma sprawy. Wypiszę ci nowy czek i załatwisz to po powrocie. Ostateczny termin wpłaty upływa czwartego stycznia, prawda?

— Nie martw się tym, tato. Oddam ci dług!

W jaki sposób Mike zamierza oddać mi dług? Czy pracuje gdzieś? Czy ma ukryte źródła dochodów, komputerowy dostęp do kont bankowych? Może wyjaśni to później.

Chciałbym być bardziej gruboskórny i nie posiadać w ogóle anten reagujących na kłopoty moich najbliższych albo mieć bardziej wyczułone receptory. Moja profesja filozofa pozwala mi wywnioskować, że sprawy przybrały zły obrót, ale nie potrafię domyślić się, co zaszło pomiędzy Mike'em i Geneviève. Tak, spędzam zbyt wiele czasu na jałowych rozmyślaniach, pogrążając się w uczuciowej niepewności i mroku, oczekując niecierpliwie na gwiazdkową pocztę, krótkie wakacje budzące nadzieję na spotkanie z dziećmi. Dzień czwartego stycznia, w którym upływa ostateczny termin wpłaty czesnego na uczelni Mike'a, wydaje mi się teraz dniem niechybnej katastrofy, zapowiedzią końca świata.

— Czy pożyczysz mi swój motocykl, tato? Chciałbym pokazać się Geneviève, która jest z matką. Najpierw rozpakujemy cały ten kram, a potem bzyknę na motorcu.

— Jasne. Czy ona wie, że przyjechałeś?

— Nie. To również niespodzianka dla niej. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem aż do odlotu Peg i Nickie, czy polecę do Europy. Szczęśliwym trafem miałem ten podpisany czek na czesne. Spakowałem się w niecałe pół godziny.

— Cóż, nieważny powód, ale to wspaniale, że przyjechałeś. Być może to ostatnia okazja, by spędzić wspólnie święta Bożego Narodzenia w naszym młynie.

Rozumiem, że trochę przeholowałem. Ale z drugiej strony nigdy nie wiadomo. Wiem również, że lepiej nie pytać, dlaczego nie pojedzie do Geneviève samochodem. Zaczekam, aż Lor przeprowadzi śledztwo na własną rękę i znajdzie wytłumaczenie.

Lor wciąż stoi z drugiej strony wozu, gawędząc z Nicole i Maggie.

Maggie jest bardzo zdenerwowana. Wydaje mi się, że zaraz wskoczy na dach samochodu. Zapewne obawia się, że zacznę ją wypytywać, dlaczego rozstaje się z George'em i nie przywiozła Setha. Jaki byłby pożytek z moich dociekań? Poza tym sam muszę walczyć o to, by Lor nie odeszła. Dzielenie włosa na czworo rzadko się na coś zdaje. Pierwsza zasada Kelly'ego brzmi: Kiedy mowa o uczuciach, wszyscy są w błędzie.

Zaczynamy wyładunek. Goście przywieźli tylko śpiwory i duże torby. Dziewczeta wyjaśniają, że zostawiły walizki w naszym paryskim mieszkaniu. Mike ubiera się jeszcze bardziej niedbale niż ja. Ma na sobie tylko niebieski sweter, który zrobiła Geneviève i dała mu w prezencie gwiazdkowym w zeszłym roku. O ile Mike nie ma w małej podręcznej torbie jakiegoś czarodziejskiego składanego płaszcza, zapasowych skarpetek, bielizny, jakiejś koszuli na zmianę i zimowego obuwia, będzie mu zimno. Zastanawiam się szybko, czy nie mamy dodatkowej ciepłej odzieży na stryszku. Znajdziemy coś z pewnością. Istotnie, mam zapasowy płaszcz, który rzadko noszę. Zresztą w cieplej przeciwreumatycznej bieliźnie, którą wybrałem z katalogu Bena, nie zmarznę na pewno.

Wreszcie schodzi Ben i snuje się wśród gości. Chłopak stara się obejrzeć wszystkich z bliska, ale samemu pozostać nie zauważonym. Martwię się, jak zareaguje, gdy powitają go dziewczeta. W tym roku traktuje wszystkich jak powietrze z wyjątkiem madame Le Moine, której pozwala się pocałować w policzek, gdy ją odwiedzamy. Mike zauważył go pierwszy.

— O Jezuuu, Ben! Urosłeś jeszcze sześć cali, odkąd widziałem cię ostatnio. Teraz to ja jestem twoim małym braciszkiem. Ile masz wzrostu, nawiasem? Widzę, że sypie ci się już wąs!

Podchodzi i wyciąga rękę, by przywitać się z Benem. Chłopak, który ma długie, silne ręce, smukłe, długie palce, odwzajemnia uścisk ręki starszego brata. Ben jednak nigdy nie patrzy w oczu nikomu, z kim się wita. To byłoby zbyt osobiste, zbyt intymne. Zwykle opuszcza wzrok albo patrzy w bok. Mike zna Bena dość dobrze, toteż respektuje jego zwyczaje.

— Spójrzcie! On ma już prawie sześć stóp i dwa cale wzrostu, Mike. Musiałem stanąć na krześle, by zaznaczyć jego wzrost na drewnianym dźwigarze kamienia młyńskiego, Chłopak przerósł nas obu zeszłego lata.

Nicole i Maggie spostrzegły Bena. Nicole podchodzi doń, okręcając szal wokół szyi. Potrząsa głową, by odgarnąć włosy opadające na twarz.

— Mój Boże, Ben! Jesteś olbrzymem! Przecież nie możesz być moim braciszkiem, ty wielkoludzie! Matko Święta, jestem znów maluszkiem w tej rodzinie. Co się z tobą działo?

Zbliżyła się do chłopaka z wyciągniętymi ramionami. Nicole nie sięga Benowi nawet do ramienia. Chłopak pozwala się objąć, trzymając ręce na biodrach i unosząc głowę wysoko, by starsza siostra nie próbowała go pocałować. Nicole cofa się kilka kroków i ogląda brata od stóp do głów.

— Wielkie nieba! Nie mogę uwierzyć. On nawet zaczyna zapuszczać brodę. Może zostaniesz nowym świętym Mikołajem? Ty i twój zarosnięty brat możecie wywalczyć nominację u króla elfów!

Maggie stoi za Nicole. Stawia swoją torbę na spłachetku śniegu.

— Cześć, Ben! Wyrastasz na przystojniaka, omal cię nie poznałam. Założę się, że dziewczęta w szkole uganiają się za tobą.

Ścisła chłopaka bardzo mocno. Nie próbuje pocałować go, choć jest wystarczająco wysoka. Przy odrobinie śmiałości mogłaby cmoknąć go w brodę. Jednak ze sposobu, w jaki Ben wyslizguje się z jej objęć, Maggie domyśla się, że chłopak wcale sobie tego nie życzy.

Ben odbiera torby od Maggie i Nicole. Dziewczęta niosą śpiwory. Mike taszczy swój bagaż pod pachą. Nic nie pozostało dla mnie i Loretty oprócz świątecznie opakowanych prezentów gwiazdkowych leżących na tylnym siedzeniu w samochodzie i ogromnej torby z ciepłą odzieżą, jak mam nadzieję. Zabieramy to wszystko z wozu. Modłę się w duchu, by w jednej z paczek znajdowało się oprogramowanie Atari i te kasety z gramami komputerowymi, o których marzy Ben — „Walka” i „Kosmiczni najeźdźcy”. Chłopak ostatnio gardzi wszelkim sprzętem sportowym, nie chce rakiet do ping-ponga ani tenisa. Jestem pewien, że dziewczęta nie zapomniały o niczym.

Decydujemy się obejść młyn wokoło i wejść na groblę. Trudno byłoby z tym całym majdanem wspinać się po wąskich, oblodzonych schodach i przeciskać przez drzwi w podłodze. Poza tym chcę pokazać dzieciom, jak pięknie wygląda zamrznięty staw i pochwalić się również, że oczyściłem dach z bluszczu, wymiotłem zeschłe listowie z werandy i upiąłem róże na murze.

Z grobli młyn wygląda niemal jak prawdziwy francuski wiejski dom z oszklonymi drzwiami otwierającymi się z nadbudówki na groblę i na kamienny taras wzdłuż niej. Od strony drogi, gdzie stoi samochód, wysoki młyn wygląda surowo, srogo, odpychająco i zimno. Nicole i Maggie zostały nieco z tyłu, trajkocząc przez chwilę z Loretą. Zanim doszły do schodów, Loretą zatrzymuje się i odwraca.

— Spójrzcie, dziewczęta! Czy kiedykolwiek widziałyście coś piękniejszego?

Dziewczęta przyciskają śpiwory do piersi i spoglądają na zamrznięty staw. Na lodzie pojawiły się maleńkie kepki krystalicznych narośli jak motyle na powierzchni stawu. Chyba — zamarzała skroplona mgła. Każdy kryształek skrzy się w słońcu, załamując światło jak pryzmat, toteż lodowe motyle prawie oślepiają czarodziejskim światłem roziskrzonym drobnymi plamkami błękitu, czerwieni, purpury, nawet żółci.

— Dobry Boże! To przypomina Disneyland albo fantazję z Nie kończącej się opowieści czy jakiś film science fiction. Jezuuu! To naprawdę psychodeliczny widoczek.

To Nicole daje upust swej egzaltacji. Maggie przygląda się, stojąc w drzwiach.

— To takie piękne. Czasem rano widywaliśmy coś podobnego w Idlewild w Kalifornii. Wejdzmy już. Jestem zamarznięta.

Ben i Mike stoją za mną jak zahipnotyzowani. Obaj mają ręce zajęte pakunkami. Nie odłożyli paczek, przystanęli tylko na moment.

— Mój Boże! Tato, zapomniałem, jak tu jest pięknie. Mając przed oczami taki widok, można zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. Szczerze mówiąc, bałem się trochę tu przyjechać. Zwłaszcza po tym, jak Thierry miał wypadek, Carron zmarł na raka, a później madame Le Moine omal nie wykorkowała po wylewie. Martwiłem się, czy zniosę te wszystkie zmiany, czy nic się nie zmieni.

— Popatrzcie tylko na to!

— Madame Le Moine jest już zdrowa, Mike. Odzyskała pamięć i wróciła do sił. Niedawno pytała o ciebie. A wczoraj odwiedziła nas w młynie. Wyjrzała nawet na próg, kiedy przyjechaliśmy, ale nie chciała przeszkadzać. Jak zawsze pozostaje wciąż tą samą przemiłą kobietą.

— Powiadasz, że wyszła na próg domu, gdy przyjechaliśmy, a my nawet nie przywitaliśmy się z nią...

Urywa i patrzy mi w oczy. Potem zbiera się, by pójść do niej. Zbliża się Ben.

— Wszystko w porządku, Mike. Ona rozumie, że jesteście zmęczeni podróżą. Odwiedzisz ją później.

Ben mija Mike'a.

— Nie martw się. Dałem jej znak ręką, by przyszła, ale pokazała, że nie chce przeszkadzać. Madame Le Moine nie będzie miała żalu, Mike.

Ben mija mnie i wchodzi na schody. Mike podchodzi bliżej.

— Jezus, on jest taki poważny. Czy zawsze jest taki, tato?

— Prawie zawsze. To bardzo poważna osoba, Mike. On jest taki skrupulatny, że nieraz doprowadza mnie do szału. Czasem czuję się przy nim jak wesoły, psotny skrzat.

Wchodzimy ostrożnie po splekanych schodach. Żałuję, że nie widziałem, jak zareagowały dziewczęta na zmiany w młynie, ale jestem rad, że byłem przez chwilę tylko z Benem i Mike'em. Nie wiem, dlaczego jestem lepszym ojcem dla chłopców niż dla córek. Nie wiem, czy słusznie, ale dziewczęta wysuwają więcej skarg pod moim adresem. Być może tkwi to w ich naturze. Lor jest specjalistką w tej dziedzinie. Nie stosuje żadnych jęków, płaczu, narzekania. Jej morderczy oręż stanowi stałe nękanie; wciąż przypomina mi o rzeczach, które trzeba zrobić, utrzymuje na dystans, obserwując zimno, jakby kontrolowała automatycznego pilota. Zwykle mówi: „Zróbmy to!” albo „Myślę, że powinniśmy to zrobić!”, ale w ten sposób wydaje polecenia dla mnie. Możliwe, że trwa to od początku naszego małżeństwa. Nie wiem, dotąd nie przywiązywałem do tego wagi. Boże, chciałbym lepiej sobie radzić z naszymi sprawami. Głównie chodzi mi o pożycie małżeńskie.

Zamykam drzwi za sobą. Śpiwory i torby tarasują przejście pomiędzy wielkim stołem a wysoką choinką, którą osadziłem w otworze pośrodku drugiego kamienia. Nie wiem, dlaczego goście zostawili tutaj swoje bagaże. To miejsce równie dobre jak każde, by pozbyć się kłopotliwych pakunków. Prędzej czy później będą musieli przenieść bagaż na stryszek. Wydaje mi się, że byłoby najlepiej postawić go na podeście schodów. Zastanawiam się nad tym przez chwilę i dochodzę do wniosku, że to tak naturalne i logiczne.

— Okay, nie macie nic przeciwko temu, że przeniosę wasze torby na stryszek?

Na dwie sekundy zapada porażająca cisza. Wszyscy spoglądają na siebie nawzajem, potem dziewczęta i Mike wybuchają śmiechem. Lor zerka na mnie spod oka. Ben wydaje się zakłopotany. Zastanawia się, co takiego zabawnego wydarzyło się przed chwilą, czego nie

zauważył, może nie dosłyszał albo nie zrozumiał. Nicole potyka się, przechodząc wśród toreb i wpada mi w objęcia.

Wiem, dlaczego się śmieją. To jest tak zabawne dla nich. Nicole cmoka mnie, obdarzając pocałunkiem córeczki, co stanowi dziecięcy ekwiwalent porzekadła „Wyskoczył jak Filip z konopi!”

— Tato, nie uwierzysz, ale rozmawialiśmy w samochodzie o tym, że będziesz chciał poukładać nasze rzeczy. To takie niesamowite, kiedy ma się ojca, który zachowuje się jak stara panna. Wpadliśmy niemal w histerię, zastanawiając się, dlaczego tak pieczołowicie sprzątasz tutaj, w młynie, czy w pustym mieszkaniu w Paryżu, a nawet pomagasz starej Frau Berger w Bawarii namydlić plecy podczas sobotniej kąpieli. Czy pamiętasz, jak zamykałeś nas w komórce, gdy zapomnieliśmy zaścielić łóżka czy pozostawiliśmy ubrania w nieładzie, za miast powiesić je w szafie?

Gada jak najęta, wybuchając co chwilę śmiechem i chichocząc. Odnoszę dziwne wrażenie, że jej śmiech nie jest szczery i stanowi tylko przykrywkę, pod którą kipi głębokie uczucie. Możliwe, że córki wcale nie pragną, by ojcowie zabiegali o porządek. Maggie i Mike zachowują się spokojnie. Rzucam w ich stronę ukradkowe spojrzenie. Chyba czują się równie skrępowani jak ja. Lor zmarła na dworze. Wigilia puka do naszych drzwi, a my czekamy z boku sceny.

— Nie wiem, Nickie, być może stary zrzęda ze mnie. Czy wiesz, jak wychowywała mnie moja matka? Za każdym razem, gdy zabrudziłem pieluszki, odstawiała mnie od piersi. Później, zanim nauczyłem się siedzieć prosto, zapinała mnie w skórzanych szelkach i zmuszała do siadania. Zwykle wyslizgiwałem się z szelek. Dopiero gdy miałem siedem lat, umiałem się dobrze podetrzeć, a do tego czasu łąziłem usmarowany gównem, które zupełnie, nie przypominało suchych króliczych bobków.

Maggie zatyka uszy.

— Przestań, tato! Nie obrzydź mi wszystkiego w ciągu pięciu minut. Sądziłam, że wstrzymasz się z tą plugawą gadaniną do kolacji. Zupełnie nie różnisz się od Mike’a, który tym swoim czkaniem, bekaniem i głośnym puszczeniem wiatrów może współzawodniczyć z tymi twoimi obrzydliwymi opowieściami przy stole, przez które omal nie zagłodziłam się na śmierć, gdy byłam dzieckiem.

— Przepraszam, Maggie. Próbowałem wam tylko coś wytłumaczyć. Zaraz się przymknę! Rzecz w tym, że staram się być schludny, wcale nie przesadnie, jak mniemam, bo nie szyję sobie ubrań u wielkich krawców paryskich, ale noszę zwykłą odzież roboczą. Jednak źle się czuję w bałaganie. Tracę po prostu poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie byłem pewien, czy sprawiła to moja matka czy U.S. Army, czy też moja mania porządku wynika z jakiegoś głębokiego urazu osobistego. Muszę żyć tak, jakby za rogiem czaiła się inspekcja czystości. Z tego powodu jest trudno wytrzymać ze mną, ale nieustanne sprzątanie nie sprawia mi przykrości. Wręcz przeciwnie, do moich największych przyjemności należą samotne, wypełnione cichą radością godziny odpoczynku, kiedy sprzątam puste mieszkanie, pozostawione do mojej wyłącznej dyspozycji. Zwłaszcza gdy domownicy wyjechali na wakacje, więc nie muszę się śpieszyć i mogę swobodnie buszować z miotłą we wszystkich zapuszczonych zakamarkach. Tak przejawia się to u mnie jak osobowość Znikającego człowieka, za którego mnie uważacie. Możliwe, że staram się, by wszystko, co mnie otacza, zostało sprzątnięte i zniknęło w nicości...

Urywam i popadam w zadumę. Dopiero Mike wytrąca mnie z zamyślenia.

— Masz rację, tato. Podest schodów to odpowiednie miejsce, by położyć torby. Tak się cieszymy, że jesteśmy tutaj znowu i wszędzie jest czyściutko i pięknie. Właśnie tak, jak powinno być w domu, o którym troszkę już zapomnieliśmy. Pozwól, że pomogę ci przenieść ten cały majdan. Stań w połowie schodów, a ja podam ci bagaże.

Przesuwam torby po podłodze i wchodzę cztery stopnie wyżej. Mike i Nicole podają mi je. Jestem rad, że nie widzą mojej twarzy. Ostatnio byle drobiazg wzrusza mnie do łez. Wnioskuje słusznie, że skoro moje córki nie chcą, by ich ojciec zachowywał się jak „stara panna”, to jest jasne jak słońce, że tym bardziej nie spodobałyby się im „stary sentymentalny płaksa”. Możliwe, że to nie babskie łzy wzruszenia napływają mi do oczu, lecz jest to tylko nerwowa reakcja spowodowana długotrwałym oczekiwaniem na ich przyjazd i silnym napięciem związanym z przygotowaniem starego, zapuszczonego młyna na przyjęcie gości, z przygotowaniem samego siebie, z napięciem wynikającym z niepokoju, co się zdarzy w czasie pobytu dzieci i jak potoczy się rozmowa z Lor, rozmowa, której nie mogę dłużej odkładać. Na moim nastroju zaważyła również ‘świadomość, że jestem znów starszy. A może po prostu filozofowie płaczą z byle powodu. Powiedzmy, filozofowie, którzy nie wypracowali jeszcze swojej filozofii.

Loretta podtrzymuje rozmowę. Słyszę, jak zaparza herbatę, odwieczne remedium skuteczne na wszystko, swoją irlandzką wersję żydowskiego rosółu z kurczęcia.

— Dziewczyny, musicie zobaczyć, jak ojciec przystroił izbę na stryszku na wasz przyjazd. Tak tam teraz przytulnie. Nad każdym łóżkiem wisi baldachim, a u wezgłowia stoi lampka na nocnym stoliku. Tato położył nawet na podłodze stary dywan, który wyprał własnoręcznie w tym stawie, który teraz zamrzł. Zobaczcie same, że jest tam teraz przytulnie i wygodnie.

Dzięki Bogu, Lor wspiera mnie na tyłach. Jeśli opuści mnie, oboje przepadniemy z kretesem. Wiem, że mnie nie zawiedzie. W razie niebezpieczeństwa ma nerwy ze stali albo z gumy. Sam nigdy nie potrafiłem w takich razach zdecydować się na cokolwiek.

Torby i śpiwory leżą już na galeryjce. Przenoszę bagaże do izby i rozdzielam torby, stawiając je u wezgłowi łóżek, gdzie zgodnie z moimi przypuszczeniami dzieci będą spały. Maggie wchodzi za mną. Podaję jej rękę, gdy wchodzi na ostatni stopień. Trzyma się poręczy, którą zrobiłem, gdy Ben był mały, by uchronić malca od upadku.

— Tato, czy gwarantujesz mi, że szczury nie będą ogryzać mi palców u nóg i biegać mi po twarzy?

Maggie mówi to pół żartem, pół serio.

— Cóż, Peg, wszędzie zastawiłem pułapki z trzema rodzajami trucizny, więc jesteś zupełnie bezpieczna.

Nie wspominam w ogóle o szczurzych gówienkach, które wymiotłem zarówno tu, na stryszku, jak i na dole w kuchni. Szczury zjadły nawet prawie cały kawałek mydła, na którym ślady ich wąskich zębów utworzyły piękny wzór przypominający morski koral. Grasujące w młynie wszędobylskie gryzonie zjadły również plastikowe wieczko ze słoika z musztardą. Co będzie, jeśli przebudzi się w nocy i usłyszy pisk i skrobanie ich pazurków nie tylko w zakamarkach pod podłogą?

Nie puszczam pary z ust, zachowując swoje obawy dla siebie. Gdybym wspomniał o tym, obrzydziłbym jej pobyt, odebrał spokojny sen. Tylko z powodu odrobiny niepotrzebnej uczciwości. Nie ufam sobie, gdy igram, choćby tylko w myślach, z ideą uczciwości. Zbyt często w moim przypadku nadmierne przywiązanie do uczciwości oznacza, że pragnę zranić kogoś, czasem samego siebie. Bezowocny flirt z prawdą i uczciwością, który zawsze wyrasta z brutalnego samookłamywania i bałamucenia innych, przysporzył więcej nędzy i zła rodzajowi ludzkiemu niż cokolwiek innego. Święta inkwizycja, wojna stuletnia i trzydziestoletnia, wyprawy krzyżowe, większość wojen, zbiorowych mordów, rzezi — wliczając hitlerowski holocaust — zrodziły się z przekonania, że ma się monopol na „prawdę”, i pragnienia, ażeby być „uczciwym”, dążąc do zwycięstwa.

Zdarza mi się czasem myśleć, że człowiek będzie w pełni szczęśliwy i zrealizuje, się tylko wtedy, jeśli wszyscy pogodzimy się z tym, że życie i wszystko, co nas otacza, to tylko próba,

której musimy sprostać — złudzenie, pozorna rzeczywistość. Rozwijamy spekulacje myślowe, nie oczekując odpowiedzi, tylko dalszych pytań, kolejnych pytań bez odpowiedzi.

Poszukiwanie pewności, nienaruszalnego bezpieczeństwa prowadzi zawsze do rejterady duchowej, ucieczki od naszego koniecznego człowieczeństwa. Gdyby rodzaj ludzki posiadał naprawdę rozum — to znaczy potrafił wnioskować i potem weryfikować swoje domysły, przypuszczać i sprawdzać rozwiązania — zapewne człowiek nie doświadczyłby tylu straszliwych nieszczęść. Religia czy etyczny system, być może rząd kierujący się tą przesłanką stałby się błogosławieństwem tej planety, a może nawet wszechświata. Wyobraź sobie, drogi czytelniku, że zajmujesz się wyłącznie myśleniem i otaczają cię inni myśliciele!

Próbuję powstrzymać tę ucieczkę do wnętrza mojego świata i wrócić do tego, co nazywa się rzeczywistością.

— Na Boga, umarłabym, gdyby przebiegł po mnie szczur! Zawsze tak się bałam, kiedy spałam tutaj, w tym starym młynie. Od czasu tej historii, kiedy szczury przebiegły matce po twarzy, dręczą mnie wciąż koszmary.

Zakrywa twarz rękami i wstrząsa się z odrazą. Przez długi czas, gdy Maggie była dzieckiem, myślałem, że po prostu dramatyzuje, kiedy zachowywała się w ten sposób, ale teraz już wiem, że naprawdę przeżywa wszystko tak silnie. Ona jest bardzo wrażliwa, chyba nawet nadwrażliwa. To właśnie sprawia, że tak trudno nam zrozumieć, do czego zmierza teraz. Dzieje się tak, gdy celowo wyłącza swoje receptory, odrzuca uczucia i maszeruje naprzód, depcząc rzeczy i ludzi i udając, że ich tam nie ma, że nikt się nie liczy. Nie wolno mi myśleć o George'u i Secie.

Nicole weszła już po schodach. Sufit jest tutaj niski, ale ona jest niezbyt wysoka, więc nie musi schylać głowy jak Maggie. Zdjęła puchową kurtkę i trzyma ręce na biodrach.

— Cóż, znajdź mi kawałek dachówki albo kawałek węgla, a ja napiszę ci na ścianie mój adres w Gettysburgu, gdzie prawdopodobnie zostawiłam książkę, którą mi pożyczyłeś, choć pewnie przysypał ją śnieg! Potem wyjadę stąd i zmienię zwrotnicę historii, stając się pierwszą kobietą prezydentem Stanów Zjednoczonych, być może emancypantką prawdziwych niewolników wszystkich ras. Kobieta jest Murzynem świata...

Urywa i patrzy mi w oczy.

Mike przystaje dwa stopnie przed samą galeryjką.

— Jak tu pięknie, tato! Napracowałeś się jak troll. Chyba wiesz, że wata szklana jest śmiertelnie niebezpieczna. Nie dość, że dostaje się do oczu, to na dodatek powoduje silikozę, gdy się jej nawdychasz za dużo. Mam nadzieję, że założyłeś okulary ochronne i maskę.

Okłamuję go, że tak. Jestem zbyt urażony, by bronić mojej wrodzonej nieostrożności. Nicole przysiadła na jednym z łóżek.

— Tak, to wszystko jest wspaniałe i przywodzi na myśl wspomnienie o tym, kiedy próbowałam przekonać Mike'a i Peg, że nie ma świętego Mikołaja. Czy pamiętasz, tato?

Maggie i Mike patrzą na nią z wyrzutem. Ja także. Zaniepokoiło mnie to, co powiedziała. Głupim i niepotrzebnym okrucieństwem zadała ból nam wszystkim. Zastanawiam się, jak czuje się teraz.

Nikt z nas nie wspominał nigdy o tamtym smutnym zdarzeniu sprzed lat. Tamta gwiazdka należała do jednej z pierwszych w naszym młynie. Stary, zapuszczony młyn, który zakupiliśmy niedawno, wydawał się nam wtedy pozbawiony magii i bez rewelacyjnego odkrycia Nicole.

Dziewczyna siedzi na łóżku ze skrzyżowanymi nogami jak hippiska praktykująca jogę i mówi bez ogródek:

— Pokazałam wszystkim, gdzie ukryłeś prezenty dla nas. Nikt nie uwierzyłby, że święty Mikołaj zostawił podarki w starym renaulcie w stodole.

Odwraca głowę, tłumiąc śmiech. Zachowuje się prawie teatralnie, udając, że nie dostrzega naszej reakcji.

— Do licha, naprawdę nie chcieliście poznać prawdy, aleja przekonałam was, co piszczy w trawie. Zaprowadziłam was do stodoły i pokazałam prezenty ukryte w starym gruchocie. Musiałam mieć wtedy ledwie osiem latek, a wy dziesięć i dwanaście!

Zapada długa cisza. Mike i Maggie wymieniają ukradkowe spojrzenia. Nicole mówi tak szybko, z taką pasją, że aż przygryza sobie wargi.

Willy, zachowaj spokój, trzymaj się chłopie! — powtarzam sobie.

Mike omiata szybkim spojrzeniem półki na książki, którymi obudowałem ścianę. Przebrałem wszystkie książki, które poniewierały się w nieładzie w całym młynie. Selekcja zabrała mi trochę czasu. Oddzieliłem te interesujące Bena od tych, które lubi Loretta, i odłożyłem na bok, a resztę przyniosłem tutaj. Przedtem książki zalegały na parapetach okiennych, pod łóżkiem, we wszelakich zakamarkach, wszędzie, gdzie było trochę miejsca. Choć uważam się za wielkiego humanistycznego filozofa, czytam najmniej z całej rodziny. Maggie i Nicole są miłośniczkami powieści gotyckiej, ale nie pogardzą książką szpiegowską czy zagadką kryminalną. Również obie od czasu do czasu czytują poważne lub lżejsze powieści obyczajowe, które poleca im Loretta. Moja żona nigdy nie zapomina o tym, że jest nauczycielką, toteż traktuje nas nieustannie jak swoich rozbrykanych, niezbyt rozgarniętych uczniów.

Chyba dzieje się ze mną coś dziwnego. Zauważyłem niedawno, że im jestem starszy, tym mniej czytani. Próbuję utwierdzić się w mniemaniu, że jestem człowiekiem myślącym, i raz na jakiś czas skrobnę coś, notę, mglistą wypowiedź na jakiś temat, ale nie opublikowałem nic już od pięciu lat. Czasem myślę, że ów błyskotliwy wybraniec bogów, który zapowiadał się tak świetnie, trafił w końcu do ponurego grobowca w Amerykańskim College'u w Paryżu, gdzie pogrzebał na zawsze swój talent. Mógł mnie spotkać gorszy los. Mogłem wylądować w jakimś podrzędnym liceum w Illinois. A Paryż to Paryż. Amerykański College jest najsympatyczniejszą uczelnią, w jakiej wykładałem — studenci garną się do nauki, a zwykły uniwersytecki rejtach zastępuje wielojęzyczny gwar. Jednak nie mogę pogodzić się z tym, że utknąłem na wygodnej posadzie, zamiast poświęcić się poważniejszej pracy, wyznaczyć sobie odległy cel. Być może powinienem stworzyć nową religię, która sprawdziłaby się w praktyce. Taką religię, która pomogłaby ludziom wyzwolić się z ograniczeń fizycznych i psychicznych i poczuć się bardziej wartościowymi, zamiast wpajać im od dzieciństwa poczucie winy i obarczać brzemieniem grzechu pierworodnego. Religia również nie powinna być narzucana komukolwiek, żadnej grupie ludzi. Mam do tego predyspozycje, nawet powołanie, ale wciąż jestem zbyt młody. Możliwe jednak, że Hindusi już stworzyli taką religię.

Zgromadziłem na stryszku wszystkie książki, które moim zdaniem mogły zainteresować dziewczęta. Uczyniłem to z jeszcze jednego powodu. Otóż książki izolują dodatkowo wschodnią ścianę młyna — wykruszony mur, w którym jest sporo dziur, jak w szwajcarskim serze. Mike odwraca się od półek.

— Wiesz, Nickie — mówi z goryczą — mógłbym cię zamordować za to, że psujesz nam święta w ten sposób. Wciąż dostaję szału, gdy myślę o tym, jak zaprowadziłaś nas wtedy do stodoły, gdzie tato ukrył prezenty. Co ty takiego wspaniałego zrobiłaś? Boże, płakałem przez całą noc. Myślę, że to zdarzenie zapoczątkowało najgorszy okres w moim życiu. Może ty byłaś przygotowana, aleja nie, ja wciąż chciałem wierzyć w świętego Mikołaja.

Nicole przewraca się na brzuch. Opiera się na łokciach w ten sam sposób, jak zrobiła to rano Loretta. Wygląda niemal tak samo jak Lor, kiedy pobraliśmy się, jest jednak energiczniejsza i bardziej zwierzęca, za to mniej wykwinna. Od matki różni się też wzrostem i tuszą. Z pozoru

można by sądzić, że obie dorastały w różnych czasach. Jednak nie, Nicole i Loretta wzrastały w podobnych warunkach. Nicole odziedziczyła zarówno cechy mojej matki, jak i siostry Lor. Jest wesoła, bezwzględna, opanowana i piekielnie zdolna. Stanowi „materiał na sukces”, jak mówią sportowcy. Mam nadzieję, że spotka dobrego, tolerancyjnego człowieka o niezłomnym charakterze. Będzie dobrą żoną dla takiego mężczyzny. Z pewnością Bóg nie dopuści, by poślubiła kogoś takiego jak mój ojciec, Mike czy ja albo co gorsze Ben. Każdego z nas wyżełaby raz—dwa jak brudną ścierkę.

Przeraża mnie niekiedy, jak bardzo Mike jest podobny do Lor. Nie jestem pewien, czy posiada jej prężność, wytrzymałość, hart ducha, ale być może jest jeszcze zbyt młody i te cechy ujawnią się później.

Maggie zainteresowała się książkami, wyciąga jedną czy dwie, przegląda pośpiesznie.

— Tamten wieczór był okropny. Tak mocno płakałam. Potem wszyscy przysięgliśmy, że będziemy udawać, iż wierzymy w świętego Mikołaja, ale to już nie było to samo. Mama i tato domyślili się od razu, że odkryliśmy tajemnicę starego renaulta i nic nie było już tak jak dawniej. To jest zupełnie tak jak po pierwszym stosunku seksualnym. Potem, na pewno, miewa się romantyczne przeżycia, ale odtąd już zawsze dominuje seks. Prawdopodobnie troje z nas musi dorosnąć, jak mawia George, ale nie zawsze bywa to zabawne. Ja wciąż nie jestem gotowa, Nickie, ciągle tkwię w świecie Kronik narnijskich i Franky’ego Furbo. Nigdy nie będę gotowa.

Maggie jest bliska łez. Oceniam, że mogę wreszcie wtrącić swoje trzy grosze, toteż nie waham się ani chwili:

— Wcale nie jest mi przez to łatwiej. Myślę, że mamie i mnie jest obecnie trudniej dorosnąć do pewnych spraw niż do wszystkiego, przez co już przeszliśmy. Właśnie dlatego tak się cieszę z waszego przyjazdu. Marzyliśmy oboje, by znowu przeżyć w naszym starym młynie Boże Narodzenie jak w dawnych, dobrych czasach. Dziękuję wam.

Urywam i zapada cisza. Moje dorosłe dzieci zerkają niepewnie na siebie. Wiem, że znowu powiedziałem za dużo, posunąłem się za daleko. Choć z natury jestem dyplomata, stałem się ku własnemu zaskoczeniu wielkim terrorystą. Nicole odwraca się i wstaje z łóżka.

— Nie nabieraj mnie, tatusiu! Ty i mama nigdy nie do rośniecie. Będiesz zawsze wracał do baśniowej krainy Franky’ego Furbo. Nie mogę sobie nawet wyobrazić tego, żeby to wszystko miało się skończyć. Mama wytrzyma z tobą do końca, tato!

Łudzę się, że Nicole ma rację, kiedy obstaje, że Lor i ja dotrwamy w świętym stadle do grobowej deski.

Schodzimy ze stryżku. Lor przygotowała już serwis stołowy do herbaty. Zastanawiam się, jak przeniesie to wszystko. Odkąd Nicole przestała palić, Loretta, herbaciany narkoman, raczej nie pija ziołowych herbatek. Mamy w młynie aż jedenaście różnych gatunków herbaty.

W podejściu do wszelkich nałogów wyraża się podstawowa różnica charakterów — Loretty i mojego — prowadząca do wielu spięć. Jestem nieśmiały, nazbyt ojcowski, niezgrabny, niedelikatny. Wręczyłem Nicole pięćsetdolarowy banknot, kiedy postanowiła rzucić palenie, zastrzegając jednak, że tylko wtedy nie będzie musiała go zwrócić, jeśli wytrwa bez papierosów przez trzy lata. Dodatkowo odłożyłem po sto dolarów dla każdego dziecka z pozostałej trójki, które otrzymają warunkowo, jeśli Nicole wytrzyma naprawdę bez palenia. A jeśli zacznie znowu kurzyć, obejdą się smakiem. W ten sposób postanowienie Nicole o zerwaniu z nałogiem stało się bardziej wiążące.

Loretta, wprost przeciwnie, całkiem spokojnie, bez słowa, nie odzywając się nawet do Nicole, poczęstowała ją filiżanką parującej herbaty. Ofiarowała jej nie tylko to, co w jej przekonaniu stanowi cenioną przyjemność, ale zarazem udzieliła córce milczącego moralnego poparcia,

dodała jej otuchy. Poznałem po zapachu, że Loretta zaparzyła wyśmienitą herbatę. Dla mnie herbata to przeważnie zabarwiona gorąca woda. Pijam ją niekiedy, ale tylko z cukrem.

Usiedliśmy przy stole. Mike zajął moje miejsce. Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie, choć zapewne wyraża się w tym pokrewieństwo genetyczne. Obaj odruchowo szukamy tego samego miejsca przy stole. Sadowię się obok Bena, który wstaje natychmiast i siada na bujanym fotelu przy kominku.

Nikt nie robi uwag na temat ziołowej herbaty. Nie lubią mnie właśnie z tego powodu. Wysłuchujemy z Lor utyskiwań na niewygodę podróży. Mike opowiada, ile trudu i nerwów kosztowało go, zanim udało mu się zapalić naszego starego forda.

— Tato, kiedy zmieniałeś olej? Jest zupełnie czarny.

— Okay, Mike. Sprawdzę to, kiedy wrócę do Paryża. Sądzę, że prawdopodobnie wcześniej zmienię wóz niż olej.

Ten stary ford nadaje się na złom. Powiniennem pozbyć się go w pierwszej kolejności, jeszcze zanim odwożę na cmentarzysko samochodów mojego wysłużonego fiata. Ten wóz należy do mnie już tak długo, że dawno powinien przejść generalny remont. Jednak zwykle zaniedbuję przeglądy, remonty i jeżdżę samochodem bez napraw, dopóki stary gruchot nie rozsypie się ze starości.

Potem, w trakcie rozmowy na temat wymiany oleju silnikowego, kiedy Mike nie wypił nawet połowy filiżanki ziołowej herbatki, nagle z jego zaczerwienionych oczu tryskają rześiste łzy. Na litość boską, co ja takiego powiedziałem? Jeśli to tak wiele znaczy dla niego, wleję nowy olej, a nawet naoliwię silnik. Mike odsuwa się na krześle od stołu, wstaje. Dziewczęta wymieniają spojrzenia, potem powracają do swej ziołowej herbatki. Lor i ja spoglądamy na siebie znacząco. Ben nie odrywa się od magazynu „Guns&Ammo”. Dziewczęta przywozły na jego prośbę kilka egzemplarzy z jego paryskiej kolekcji.

Mike podchodzi do kominka, ściga z haczyka na obramowaniu moje kluczyki motocyklowe i rusza w dół w kierunku drzwi zapadowych.

— Pojadę do Geneviève, by powiadomić ją, że przyjechałem tutaj, okay?

Loretta przygląda mu się uważnie, w skupieniu.

— Czy wrócisz na lunch, Mike? Czy Geneviève zje z nami obiad?

Odpowiada już ze schodów, ukazując w uchylonych drzwiach twarz mokrą od łez.

— Och, jasne, że wrócę. Przecież to Wigilia. Jednak nie wiem, czy z Geneviève.

Zniknął, ale słyszymy, jak schodzi. Skrzypią drzwi na samym dole. Lor dolewa nam świeżej herbaty.

— Przygotuję na wszelki wypadek dodatkowe nakrycie dla Geneviève.

Siedzimy w milczeniu, nasłuchując, jak Mike próbuje bez powodzenia zapalić motor pięć lub dziesięć razy. Potem słyszymy, jak odmykają się wrota od stodoły i Mike pcha motocykl po zamarzniętych grudach na drogę. Kawałek za młynem próbuje uruchomić motor w biegu. Tym razem silnik zaskakuje, motocykl objeżdża młyn i skręca z warkotem w kierunku Vauchot, strzelając z rury wydechowej. Gratuluję sobie w duchu, że nie przestrzegłem go, by jechał ostrożnie po oblodzonej drodze. Ale czy pogratulowałbym sobie, gdyby zdarzył mu się wypadek na tej ślizgawicy? Dlaczego nie pojechał którymś z naszych samochodów? Przecież nie są aż tak beznadziejnie złe.

Kiedy dziewczęta poszły na stryżek, by poukładać swoje rzeczy, Ben i ja przywiązujemy choinkę do belki, by nie upadła, i zawieszamy lampki. Na szczęście mam zapasowe pudełko żaróweczek. Lampki są połączone szeregowo, więc jeśli nawet jedna żaróweczka przepali się, od

razu gaśnie cały sznur. Rozwijamy przewód, sprawdzając wszystkie lampki po kolei, dokręcając dobre żaróweczki i wykręcając przepalone, aż nagle wszystkie rozbłyskują jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, sprawiając radośnie oczekiwaną niespodziankę, tak jak śnieg w bożonarodzeniowy poranek.

Ben wchodzi na młyński kamień. Jest wystarczająco wysoki, by upiąć sznur lampek od samego wierzchołka aż do rozłożystych parterowych gałęzi, wyplątując cierpliwie z gałązek zielone druciki łączące żaróweczki. Udaje się nam rozpostrzeć cztery pasma lampek na różnej wysokości. Kiedy wreszcie włączamy je i kolorowe żaróweczki rozbłyskują magicznym blaskiem, nie posiadamy się z radości. Ben przygląda się wspaniałemu drzewku. Lekko przygarbiony trzyma kciuki w kieszeniach, rozcapierzając ręce po bokach jak wronie skrzydła, a jego twarz rozjaśnia niewymuszony, tylko na wpół świadomy uśmiech — najpełniejsza manifestacja zachwytu, na jaką chłopak potrafi, się zdobyć.

Nicole schodzi po schodach, przystaje.

— Boże święty! Spójrz tylko, oni obaj zapalili kolorowe lampki na choince. Wygląda tu teraz jak na Wilshire Boulevard albo koło samego Białego Domu.

Zeskakuje z ostatniego, podwójnie wysokiego stopnia. Maggie, która zstępuje ostrożnie za nią, zatrzymuje się w połowie schodów.

— Och, tato! Myślałam, że spędzimy święto przy prawdziwej staroświeckiej choince, na której zapalimy prawdziwe świece, takie jak w Bawarii.

Sięgam do gniazdka i wyłączam lampki.

— To tylko lampki zapasowe, Peg, które włączymy, gdy wypalą się świece. Żaróweczki i druciki są prawie niewidoczne wśród bombek, łańcuchów, świecidełek i świeczek. Naprawdę nie będzie ich widać!

Nicole stoi przed choinką, opierając ręce na biodrach.

— Ja będę widziała!

— Cóż, Nickie, to staroświeckie lampki, te same, które zapalał mój ojciec, gdy byłem dzieckiem.

Na Boga, ona jest tak wrogo usposobiona, ale może jestem przewrażliwiony, zdenerwowany. Boże Narodzenie może okazać się dla mnie trudną próbą, czasem niespełnionych nadziei.

Maggie zeszła już po schodach. Rozłożyliśmy ozdoby choinkowe na stole. Loretta wybiera bombki, przyłączając zaczepki. Robi to metodycznie, niemalże mechanicznie. Wydaje się, że błądzi myślami gdzieś daleko. To takie smutne.

Ben odkurza bombki papierowymi ręcznikami. Maggie podchodzi do naszego żłóbka, małej bożonarodzeniowej stajenki, którą Ben i ja ustawiliśmy na parapecie okna. Figurki pochodzą sprzed dwudziestu lat. Wiele z nich sam wystrugałem, niektóre dzieci zrobiły z gipsu albo mydła, inne z papier-mâché. W stajence panuje istny tłok jak w paryskim metrze.

— Jezu! Pamiętam, jak malowaliśmy tego Józefa w Seeshaupt. On ciągle wygląda tak, jakby cierpiał na zaparcie. Czy jest tu gdzieś ten baranek ze złamanymi nóżkami? Och, jest tutaj! Na Boga, uwielbiam robić żłóbek. Sama nie wiem, dlaczego nigdy nie zrobiliśmy z George'em stajenki! George tak upiera się, żeby nie wbijać Sethowi do głowy żadnych religijnych przesądów. Nigdy nie myślałam o żłóbku w kategoriach religijnych. Stajenka bożonarodzeniowa stanowiła dla mnie zawsze śmieszny domek dla lalek. Jeszcze jedną zabawkę.

— Ojej, tato! Ty i Ben zrobiliście wszystko sami. Zawsze Nickie i ja szykowałyśmy żłóbek. To było nasze zadanie!

— Rozsyp figurki i poustawiaj wszystko, jak chcesz, Peg. Ben i ja sprawdzaliśmy tylko, czy nie brakuje niczego.

— To już nie będzie to samo. Pozostawimy wszystko tak, jak jest teraz. Wykonaliście z

Benem dobrą robotę.

Nickie rusza w kierunku drzwi w podłodze. Odwraca się.

— Czy wiesz, że byłoby zabawne, gdybyśmy zrobiły wszystkie figurki od nowa? Nowoczesne, ale stylizowane na gotyk. Mogłabym sama je zrobić, by udowodnić, że naprawdę jestem rzeźbiarką.

— Rusz się, Peg! W samochodzie zostały jeszcze rzeczy. Przynieśmy je.

— Dobrze, Nickie, ale boję się przejść przez tę piwnicę. Myślałam, że wyrosłam już z dzieciennych lęków. Nie boję się ciemności w Phoenix ani ciemności w L.A., ale lękam się okropnie tej piwnicy, nawet w dzień. To przypomina mi grobowiec Drakuli.

Przeszły już przez drzwi w podłodze, najpierw Nicole. Ruszyłem za nimi, by przytrzymać drzwi, aż zejda ze schodów, a potem zamknąłem je. Gawędzą po drodze. Wydają się szczęśliwe, ale wyczuwam w ich zachowaniu pewną sztuczność. Może spowodowała to nerwowość Maggie, może moja drażliwość.

Zaglądam do kuchni, w której krząta się Loretta. Daje mi znak palcem, jakby chciała mi powiedzieć coś w sekrecie. Podchodzę bliżej. Lor szepcze:

— Otwórz usta!

Otwieram je, myśląc, że ma dla mnie jakiś smakołyk. Jestem gotów połknąć każdy kąsek. Lor próbuje rozewrzeć mi szerzej usta i zagląda w nie głęboko jak dentystka.

— Cóż, nie widzę wcale krwi. Oczekiwałam, że będziesz miał pocięty na strzępy język od nieustannego przygryzania.

Zamyka mi szczękę palcami, muskając wargi delikatnym pocałunkiem. Milczymy przez chwilę. Czuję się, jakbym otrzymał od niej miły gwiazdkowy prezent.

— To nie potrwa długo, Will. Jestem pewna, że pojedą do Paryża zaraz po naszej trzydziestej rocznicy ślubu. Pamiętaj, że to także jest trudne dla nich. Chcieliby stać się znowu dziećmi w to ostatnie nasze wspólne Boże Narodzenie, równie mocno jak my sami pragnęlibyśmy tego. Ale przecież nie możemy zatrzymać wszystkiego. To nie ma sensu.

Czy Lor próbuje mi coś powiedzieć? Obejmuję ją, tulę do siebie, patrzę w jej łagodne, brązowe oczy, które drżą jak oczy ptaka, które witają radośnie moje spojrzenie, a potem uciekają gdzieś jak oczy wiewiórki, która skacze tam i z powrotem w zadziwieniu i lęku wokół wysokopiennego drzewa. Naprawdę nie chcę jej schwytać do klatki, choć chciałbym ją zatrzymać.

— Może nie powinniśmy tak pochopnie ściągać tutaj dziewcząt, co, hmm?

Przygryzam sobie język. Oboje uśmiechamy się z mimowolnego żartu.

— Zejdę z Benem do piwnicy i przepiłujemy drewno. Zostawimy cię samą, byś mogła porozmawiać z dziewczętami, zanim wróci Mike. Coś wisi w powietrzu, ale nie potrafię ocenić, o co tutaj chodzi? Może dowiesz się czegoś od dziewcząt?

— Prawdopodobnie to tylko spóźnienie na samolot, nic więcej, stąd to całe zdenerwowanie. Poza tym Maggie boi się, że zaczniemy mówić o Georgeti i jej kłopotach. Nie zamartwiaj się aż tak. Przecież to Boże Narodzenie. Wszystko samo się wyklaruje!

— Okay, okay. Spróbuję wziąć się w karby. Aleja naprawdę chcę pokazać Benowi, jak się piłuje drewno. Ten miły staruszek — mrugam porozumiewawczo do Lor — musi znaleźć silnego chętnego do pracy pomocnika, który wspomógłby starego ojca w gospodarstwie. Może mój dzielny syn nauczy się nie tylko piłować drewno, ale zostanie w przyszłości prezydentem Stanów Zjednoczonych i wyzwoli pozostałych niewolników, kiedy Nicole skończy swoją kadencję, ot co!

Loretta wypycha mnie łagodnie z kuchni, pochyla się znowu nad zlewozmywakiem.

Wątpię w to, by Ben słyszał naszą rozmowę. Pochłonęła go zupełnie lektura kolejnego tomu z

serii „Egzekutor”, w którym tytułowy bohater rozprawia się z mafią po raz dwudziesty drugi.

— Hej, Ben, czy pomożesz mi pociąć drewno? Nauczę cię, jak posługiwać się piłą.

Chłopak niechętnie odrywa się od książki. Jego myśli błądzą gdzieś daleko od Morvan, Wigilii, kominka, drewna na ogień.

— Jest sporo pociętego drewna — mruczy i wskazuje na stertę polan w narożniku.

Nie chce przerywać lektury, toteż powinienem zostawić go w spokoju. Postanawiam, że spróbuję jeszcze raz, a jeśli nic nie wskóram, pójdę sam.

— Dalejże, Ben, sprawi ci to radość. Piłowanie i rąbanie drewna na ogień to prawdziwe gwiazdkowe zajęcie. Chyba nawet ciekawsze niż wiara w świętego Mikołaja.

Wkładam kurtkę, kapelusz, rękawiczki.

Ben zaczyna się zbierać, odkłada książkę, wsuwając zakładkę w miejsce, gdzie przerwał lekturę. Ben nigdy nie zagina oślich rogów w książce. On zawsze używa zakładki. Wszystko, co znajduje się pod ręką, może być zakładką: bilet do metra, zużyta koperta, kwitek z kasy, cokolwiek. Skoro zacznie używać czegoś w charakterze zakładki, zapisuje na niej nazwisko autora i tytuł książki, którą właśnie czyta. Odtąd ten świstek papieru zostaje przypisany na wieczność do pełnienia funkcji zakładki w tej jednej wybranej książce.

Ben używa tych prowizorycznych zakładek tak długo, aż zniszczą się na amen, wystrzępią, podrą i unicestwią. Lepiej nie dotykać ich, bo wówczas podnosi wielki lament i ruga tego, kto wyrzucił lub użył niezgodnie z przeznaczeniem, a nawet tylko odwrócił którąś z jego zakładek.

Pewnego razu wyrzuciłem przypadkowo jedną z nich do śmietniczki, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię — ot, sprzątając wszystko w zasięgu rąk, jak zawsze podczas zwykłej krzątania. Ben ocalił zakładkę i ostrożnie wyprostowując zmięty świstek, powiedział:

— Te „zaczepekki” mają dla mnie duże znaczenie! Nazywa swoje zakładki „zaczepekami”.

— Wystarczy, że spojrzę na „zaczepekę” i przypominam sobie treść książki, którą przeczytałem, używając jej jako zakładki. Gdyby „zaczepekka” zginęła, mógłbym zapomnieć o tej książce.

Ben wstaje wreszcie. Schodzimy do piwnicy. Chłopak przytrzymuje drzwi, by mnie nie uderzyły.

— Lepiej włóż kurtkę i rękawiczki, Ben. W piwnicy jest zimno, a poza tym musimy przywlec trochę drewna z dworu.

Wzrusza ramionami i schodzi za mną. Kiedy jestem na dole, otwieram drzwi wychodzące na drogę. Przed samym młynem, tuż przy wrotach do stodoły, wznosi się wielka sterta drewna. Przy fordzie stoją dziewczęta, ale nie patrzą w naszym kierunku.

Przykryłem drewno pokrowcem na stół pingpongowy, by nie zamokło. Rozwiązuję oblodzoną, zasupłaną linkę. Plastik zeszytniał na mrozie i rwie się przy każdym szarpnięciu. Powłoka ma barwę zieloniutkiej darniny i wygląda wręcz niestosownie na tle kamiennej ściany młyna, białoszarej i lodowatej. Ben wychodzi za mną; jednak założył kurtkę i rękawiczki. Pochyla się pod uderzeniami kąśliwego wiatru. Ogląda się za dziewczętami, które wciąż wyładowują rzeczy z samochodu i chyba nie widzą nas.

— Ben, chwyć za ten koniec, a ja złapię za drugi! Potem zwiniemy pokrowiec i odłożymy na bok.

Podnosimy razem płachtę, strząsamy z niej lód, śnieg, kawałki drewna, gałązki. Potem zwijamy plastikowy pokrowiec. Drewno jest suche, bez śladu lodu i śniegu.

— Na początek przenieśmy z dziesięć bierwion.

Pochwyliłem pierwsze z brzegu leżące przy drzwiach. Już wcześniej przepiłowałem większe kłody na jednometrowe kłocę. Ale i tak bierwiona są zbyt duże, by zmieścić się w kominku.

Musieliśmy przeciąć każde jeszcze na połowę. Jedno po drugim przenosiliśmy z sągu i opieraliśmy o wilgotną, oblodzoną ścianę, ustawiając niemal pionowo. Ben uparcie wybierał największe kłocę. Biorąc pod uwagę niezbyt atletyczną budowę mojego najmłodszego syna, jest on zdumiewająco silny. Kiedy ustawiliśmy cały rząd, musiałem odpocząć. Spociałem się z wysiłku.

— Okay, teraz możemy już ciąć!

Zdjąłem piłę wiszącą na gwoździu wbitym w drewnianą podpórkę mechanizmu młyńskiego. Piła jest zrobiona z metalowej rurki w kształcie łuku z brzeszczotem w miejscu, gdzie w myśliwskim łuku znajduje się cięciwa. To szwedzka piła, ale zmieniłem ostrze na nowy brzeszczot z olbrzymimi, nierównymi zębami, który Francuzi nazywają „amerykańskim”. Taki brzeszczot przecina drewno z łatwością i nadaje się znakomicie do nauki piłowania — nie ma nic bardziej zniechęcającego niż stępione ostrze.

Zaklinowuję bierwiono między podpórką na podeście schodów i stopniami. Drugi koniec opieram na średniej wielkości pniaku, na którym piłuję drewno, odkąd zbudowałem kominek. W ten sposób ciąłem drewno w naszym młynie przez te wszystkie lata.

— Okay, Ben. Teraz przytrzymuj mocno bierwiono, tak by nie wysmyknęło ci się z rąk, a ja pokażę ci, jak posługiwać się piłą. Popatrz, można jakby przysiąść w powietrzu i zrównoważyć piłowanie własnym ciężarem. Najważniejsze, to nie zaciąć się samemu. Musisz uważać, by nie zranić brzeszczotem rąk i nóg. Nie wolno piłować drewna do końca, bo można zaciąć się bardzo głęboko.

Patrzę na Bena, który obserwuje piłę, moje ręce, skupione oczy. Może nie powinienem zaczynać lekcji od przestróg przed zranieniem. Chcę, by piłowanie drewna sprawiało mu radość, ale przecież nie chcę, by się skaleczył. Psiakrew, nigdy nie wiadomo, jak postąpić.

— Dobrze, Ben. Najpierw trzeba wyznaczyć środek kłoca i zarazem wybrać miejsce bez sęków i węzłów po odciętych gałęziach. Sam zawsze szukam przewężenia, w którym bierwiono jest najcieńsze.

Przykładałem piłę do drewna i posuwam lekko brzeszczot z powrotem. Ostrze wchodzi w korę jak w masło.

— Najważniejsze, to zapamiętać, że to piła przecina drewno. Ty prowadzisz ją tylko, sterujesz nią, dodajesz jej siły długimi, swobodnymi posunięciami.

Zaczynam delikatnie przesuwając piłę tam i z powrotem. Brzeszczot zagłębia się w drewnie. Staram się rozkołysać nieznacznie piłę, potem naciskam delikatnie na uchwyt. Suwam ostro, nie napierając zbyt mocno.

— Chodzi o to, by nie wygiąć piły i zarazem ciąć tak prosto, jak się da. To naprawdę przyjemne.

Ben wlepia oczy w piłę, napina wszystkie mięśnie. Bierwiono jest już prawie przecięte i jego ciężar zaczyna wyginać ostrze.

— Teraz pochyl się troszkę, Ben, tak by ostrze piły nie haczyło się, a ja zrobię kilka ostatnich pociągnięć. Przytrzymaj mocno koniec kłoca, kiedy przetnę go na pół.

Przepiłowane bierwiono przełamuje się z lekkim trzaskiem. Przytrzymujemy obaj swoje połówki, nie pozwalając im upaść. Teraz pokazuję mu, w jaki sposób ułożyć polana na schodach, by potem, gdy skończymy robotę, można było zabrać od razu całą stertę

— Okay. Teraz twoja kolej. Wybierz jakieś bierwiono!

Ben wybiera znowu najgrubszy kłoc — na pewno nie jest próżniakiem. Klinujemy bierwiono pod schodami i wręczam Benowi piłę. Pokazuję mu, jak ją trzymać. Jestem zaskoczony tym, że drżą chłopcu ręce. Sądziłem, że to wszystko przyjdzie mu tak łatwo, jakby urodził się z piłą w ręku. Nie przypuszczałem, że będzie inaczej. Nie rozumiem, jak mogłem nie wziąć pod uwagę

wrażliwości Bena. Chyba to jakiś rodzaj psychicznej lub emocjonalnej ślepoty.

— Nie przejmuj się tak, Ben. Piłowanie to najłatwiejsza rzecz na świecie. Spodoba ci się to.

— Wiem, ale przeżywałem to samo, kiedy pierwszy raz strzelałem z mojego karabinka kaliber 22. Świetnie radzisz sobie z tą piłą, tato. Kiedy piłujesz, wydaje się, że wchodzi w najtwardsze drewno jak w masło. Myślę jednak, że to tylko wydaje się takie łatwe.

Ben przykłada piłę do drewna i przesuwa brzeszczot na próbę. Ostrze zagłębia się w korze. Ale chłopak przytrzymuje bierwiono zbyt lekko, toteż zsuwa się trochę na bok. Unieruchamiam kłoc, a Ben zaczyna piłować, starając się prowadzić piłę długimi, swobodnymi pociągnięciami. Jednak opuszcza piłę za nisko, szarpiąc odrobinę za mocno.

— Spokojnie, Ben. Pozwól, by piła sama cięła drewno. Wcale nie musimy się śpieszyć.

Zwalnia, twarz rozjaśnia mu uśmiech.

— Wchodzi jak nóż w masło! Tato, nigdy nie przypuszczałem, że piłowanie może być takie łatwe.

Ben używa z upodobaniem malowniczych komunałów i nic nie znaczących frazesów, które wyczytał w swych ulubionych książkach. Niekiedy przychodzi mi na myśl, że powtarza je w duchu po dwadzieścia lub trzydzieści razy, czekając na sposobność, by je wypowiedzieć głośno. Prowadzi piłę ponownie, doskonale, przecinając miękkie warstwy drewna. Twardy rdzeń pozostawia na koniec. Szybko dochodzi do miejsca, w którym prawie przecięte bierwiono zaczyna się rozwierać.

— Teraz bądź ostrożny. Ostatnie cięcia należą do najtrudniejszych. Upewnij się, że piła nie wygnie się lub nie złamie, zważając, by przepiłowane polana nie spadły ci na nogi, a piła nie zraniła cię.

Ben uważnie, prawie po mistrzowsku, przecina bierwiono. Przytrzymuję jedną połowę, a druga upada pomiędzy nami. Ben pochyla się, by podnieść polano.

— Najpierw odłóż piłę, Ben — przestrzegam. – Dopiero wtedy podnieś polano.

Odkłada piłę na pniak i przesuujemy kłoc na schody, skąd przeniesiemy drewno do młyna. Odwracam się po następną polano, Ben sięga również po kolejny kłoc.

— Pozwól mi przepiłować jeszcze jeden, tato. Właśnie nauczyłem się, jak to się robi. Masz rację, to naprawdę świetne.

Przysiadam na końcu kłoca. Ben piłuje systematycznie kolejne bierwiono. Wiem już, że do końca życia będzie piłował drewno w ten sposób. Ben nigdy nie zmienia swojego postępowania.

Chłopak przepiłował już połowę kłoca, gdy dostrzegam dziewczęta, które przystanąły w drzwiach i przyglądają się nam. Uśmiecham się do córek.

— Uczę Bena, jak się piłuje drewno. Robi to już niezłe, popatrzcie same!

Dziewczęta mają ręce zajęte paczkami. Zastanawiam się, czy zamierzają przejść przez drzwi w podłodze. Lepiej, żeby obeszły młyn i weszły do środka od strony grobli. Nicole schodzi do piwnicy za mną.

— Oto mamy przed sobą szlachetnego ojca, który wtajemnicza swojego młodego syna w sekrety męskich umiejętności. Jak to się stało, tato, że nigdy nas nie nauczyłeś, jak ciąć drewno? Czy oczekiwałeś od swych córek tylko tego, że będą nakrywać stół, myć brudne gary, gotować i słać łóżka? Słowem, zajmować się tym, czym powinna zająć się kobieta, czy tak, uch? To nie jest w porządku.

Doigrałeś się chłopie! A więc tu jest pies pogrzebany. Ben już prawie przeciął kłoc. Rozchyłam rozwarłe bierwiono i Ben dwoma ruchami piły przepoławia kłoc. Przenosimy polana na schody.

— Cóż, Nickie, nigdy nie przypuszczałem, że chciały byście piłować drewno. Z radością nauczyłbym tego i was. Mogę to zrobić w każdej chwili. Chociaż nigdy nie pokazałaś po sobie,

że interesują cię podobne zajęcia. Na Boga, ty i Peg zawsze nienawidziłyście wszystkiego, co robiłem w tym młynie.

Ben i ja składamy polana na wyższych stopniach. Odsuwam drewno na bok na wszelki wypadek, gdyby dziewczęta chciały wejść tędy na górę. Ben bierze znowu piłę do ręki. Nicole sięga po nią, toteż chłopiec oddaje ją starszej siostrze.

— Dobra, ludziska, oto stoi teraz przed wami sama Paula Bunyan we własnej osobie. Zaraz przekonacie się, jaka jestem silna.

Położyła paczki na progu. Tymczasem Maggie wciąż stoi w drzwiach, wzruszając ramionami. Ben staje obok mnie, pochyla się nieco.

— Uważaj, Nickie, piłą jest zbyt ostra! Możesz się paskudnie skaleczyć, jeśli nie będziesz zbyt ostrożna.

Nicole zarzuca z nonszalancją koniec swojego długiego szala na ramiona.

— Nie martw się o mnie, braciszku. Zobacz tylko, jak sobie poradzę! Drrrrwa rrąb!!!

— Uważaj, Nickie! Najważniejsza rzecz, to przesuwając lekko piłę. Pamiętaj, żeby nie naciskać zbyt mocno na brzeszczot. Siła tu nie przyda się na wiele.

Przytrzymuję bierwiono, upewniając się, że kloc jest mocno zaklinowany. Ben prześlizguje się obok Maggie, by przytaszczyć więcej drewna z sągu. Nicole zaczyna przesuwac ostrze tam i z powrotem krótkimi, szybkimi szarpnięciami. Trzyma rękę zbyt blisko, brzeszczotu, który może ją zranić w przypadku, gdy ostrze wyskoczy z nadpiłowanego drewna. Wiem, że Nicole nie zniesie żadnej krytyki czy pomocy z mojej strony. Ona pragnie coś udowodnić.

— Pokażę wam, jaka jestem silna! Jestem mała, drobna, ale mocniejsza od wielu mężczyzn.

— Bądź ostrożna, Nickie! Kiedy piła szarpie, może wyskoczyć z naciętego drewna. To podstawowa rzecz, Nicole. Trzymasz rękę strasznie blisko ostrza.

Szal opadł na powrót z jej ramienia i zwisa nisko, toteż rąbek materiału zaczepia o zęby piły, które zahaczają wełniane oczko. Nicole przestaje piłować, odkłada piłę.

— Psiakrew! Amy Lou sama zrobiła ten szal na drutach i dała mi w prezencie na gwiazdkę, kiedy wyjeżdżałam. Przeklęta piła!

Odwija z szyi szal i kładzie na paczkach, które pozostawiła na progu. Ben mija ją, niosąc bierwiono do piłowania. Maggie opiera się o framugę drzwi, Nicole chwytą znowu piłę. Tym razem trzyma rękę w bezpiecznej odległości od brzeszczotu, ale jednak wciąż zbyt blisko. Spostrzegłem od razu, że wśród pakunków, które pozostawiła na progu, znajdują się dwie butelki Chablis, jedna w połowie opróżniona. Loretta i ja kupiliśmy trzy butelki Pouilly-Fume i trzy Sancerre w Nevers, toteż wystarczy nam białego wina. Domyślam się, że Nicole kupiła Chablis dla pewności, że nie zabraknie jej ulubionego trunku. Nicole woli czerwone wino.

— Nie naciskaj tak mocno, kiedy piłujesz! Pozwól, by piła sunęła swobodnie, gdy ją prowadzisz, tak żeby ostrze nie wyginało się. Kiedy nadpiłowane drewno zacznie się rozwierać, przesuwaj ostrze wolniutko, wówczas brzeszczot nie zrani cię, gdy podzieli kloc.

Nicole nie odpowiada, tylko szaleńczo wymachuje piłą. To niemal karykatura prawdziwego piłowania. Nicole opiera się przede wszystkim na szybkości i sile. Wreszcie kloc rozszczepia się, przełamuje i spada. Nicole stoi z piłą u boku, na czole ma wielkie krople potu.

— Oto, jak się to robi! Wiedziałam, że mi się uda. Spójrzcie, przecięłam kloc na dwie równe części.

Ben bierze piłę z jej ręki.

Mam nadzieję, że Ben nie odezwie się, by jej nie rozdrażnić. Istotnie, chłopak pomija milczeniem czcze przechwałki starszej siostry. Jednak nie poszedłem w jego ślady. Wyrwało mi się nagle.

— Cóż, ciętaś zbyt szybko. Piłując w takim tempie, w dwie godziny nacięlibyśmy dość

drewna, by palić w kominku przez tydzień.

Nicole zbiera swoje pakunki. Owijają rozdarty szal wokół szyi. Maggie opuszcza swój azyl w drzwiach, śpiesząc, by załagodzić wybuch siostry.

— Szczerze mówiąc, wolę raczej pomóc przy świątecznych wypiekach. Skóra mi cierpnie w tym ponurym miejscu. Przerażają mnie te wielkie koła zębate, zbutwiała podłoga, wilgotny zapach. Chodźmy, Nickie!

Jednak obejdą młyn dookoła i wejdą do środka od strony grobli. Kładę przepiłowane przez Nickie polana na schodach. Ben jest znowu gotów do piłowania. Nie sędzę, bym rozpacział z tego powodu. Mógłbym raczej rozplakać się z powodu Nickie, gdybym pofolgował sobie. Wszyscy musimy żyć po swojemu i jesteśmy zdani tylko na siebie. Trudno jednak ratować samego siebie.

Ben i ja przepiłowaliśmy piętnaście bierwion i wnieśliśmy je do izby, ustawiając przy kominku stertę drewna sięgającą tak wysoko jak obramowanie. Wiem, że to śmieszne, ale góra drewna w izbie daje mi poczucie bezpieczeństwa, tak jak lodówka pełna żywności.

Lor zarabia ciasto na świąteczne wypieki. Zawsze przygotowuje je według przepisu mojej matki, która wypiekała pierniczki z dodatkiem zmielonych orzechów i odrobiną truskawkowego dżemu na wierzchu. Ale najpierw, zanim wstawi je do piekarnika, muszą być uformowane w kształcie kiełbasek, potem trzeba je zawinąć w pergamin i zamrozić w lodówce na kilka godzin. Odrobinka surowego ciasta, którą udaje się nam uszczknąć, zanim Lor wstawi je do lodówki, stanowiła każdej gwiazdki dla mnie i wszystkich dzieci nie lada przysmak. Lor, która sama nie lubi ciasta, zostawia trochę dla nas.

Moja matka zwykle przestrzegała mnie, że rozboli mnie żołądek i wyjdą mi pryszczki od jedzenia surowego ciasta, ale nie przejmowałam się tym, pomimo że faktycznie dostawałam pryszczki i bólu brzucha. Wtedy jeszcze nie wierzyłem, że można wyprorokować coś, a nawet wykrakaç nieszczęście, ale matczyne przestrogi sprawdzały się zawsze, jakby warunkując zarówno ból brzucha, jak i pryszczki.

Maggie stoi w drzwiach, wyglądając na tylną werandę. Młyn położony jest dosyć nisko, toteż nie można stąd wiele zobaczyć.

— Czy moglibyśmy pójść na wzgórze i obejrzeć moją własność, tato? Przesłałeś mi zdjęcia, na których są jakieś odbudowane mury, ale nigdy nie widziałam tego domku w rzeczywistości.

Lor i ja podarowaliśmy Maggie i George'owi piękne pole, mniej więcej akr, położone na stoku wzgórza, nachylonym na południowy wschód. Na pobliskim urwisku stoją ruiny pierwszego domu w naszym miasteczku Moulin de Tonnere. Są starsze nawet od naszego młyna.

Mam na myśli, że to była prawdziwa ruina. Z dawnej budowli pozostało zaledwie kilka kamieni. Kiedyś był to dom przeznaczony dla osoby, która kontrolowała by stawy w czasie flottage. Flottage to jedyny w swoim rodzaju system transportowania drewna drogą wodną z Morvan do Paryża. Działo się to w czasach, gdy drewno stanowiło główny opał w stolicy.

Rolnicy i drwale ścinali drzewa i spławiali drewno strumieniami, które wpływały do rzeki Yonne, a potem do Sekwany. Drwale znakowali bierwiona w ten sposób, by można było rozpoznać, do kogo spławiane drewno należy. Na dany sygnał otwierano bramy śluz na wszystkich stawach. Szybko wrzucano bierwiona do strumieni i drewno spływało z prądem prawie sześćdziesiąt kilometrów do Clamecy. Tam liczone oznakowane kloce i zapisywano ilość drewna na koncie prawowitego właściciela.

W zrujnowanym domku na polu Maggie zamieszkiwał niegdyś człowiek, który otwierał i zamykał bramy śluz na kilku stawach w najbliższej okolicy. Opowiedziano nam, że przed wybuchem drugiej wojny światowej mieszkała w tym samym domu samotna kobieta z dwanaściorciem dzieci, której mąż zginął podczas pierwszej wojny. Trudno w to uwierzyć, że trzynastu osób gnieździło się na tak małej przestrzeni.

Chyba sam diabeł obudził we mnie pasję archeologiczną, która nakazywała mi codziennie rozgrzebywać ruiny tego domu i każde wykopalisko traktować z pietyzmem godnym lepszej sprawy. Odślanianie pierwotnych fundamentów przerodziło się w moją małą manię. Za każdym razem, gdy przyjeżdżają do mnie z wizytą lub na dłuższy kilkutygodniowy pobyt moi przyjaciele, wciągam ich w moje prywatne wykopaliskowe szaleństwo. Najpierw wycięliśmy wszystkie krzewy, dzikie róże i tarninę. Potem kopaliśmy na skrawku przestrzeni, którą wyznaczają pozostałości ścian, wybierając ziemię również i po to, by usypać taras na zboczu wzgórza, z którego roztacza się wspaniały widok na wieś. Zbudowaliśmy go, usypując ziemię w obramowaniu z głazów. Dokopaliśmy się do starej, wyłożonej płytkami posadzki i fundamentów. Powierzchnia domu wynosiła zaledwie pięć metrów na pięć. Nawet gdybyśmy uznali, że dom miał piętro (ale oczywiście była to parterowa budowla), całe pomieszczenie miałoby zaledwie pięćdziesiąt metrów kwadratowych.

Wyobraźmy sobie rodzinę z dwanaściorciem dzieci w tej ciasnocie. Ta niewiasta musiała być prawdziwą małą staruszką, która żyła w bucie, przeniesioną w rzeczywistość ze swej bajki.

Zrekonstruowaliśmy kamienne nadproża drzwi i okien i odbudowaliśmy wszystkie framugi i węgarki. Odśloniliśmy stary piec chlebowy, który został zbudowany z kafelków i przetrwał prawie nienaruszony. Zaczęłem stopniowo odbudowywać ściany, rozważnie dopasowując kamienie jak gigantyczną układankę, wypełniając szpary wilgotną ziemią zmieszaną z wapnem, potem miksturą ziemi i cementu stanowiącą naturalne lepiszcze. Stworzyłem wspaniały projekt, cudownie pozbawiony znaczenia, moje prywatne wymarzone Holiday Spa, gimnazjum Vic Tanneya, studio filmowe Jane Fondy, po trosze wszystko to.

Kiedy ściany wznosiły się już na osiem stóp, porzuciłem pierwotny pomysł zrekonstruowania dawnego domu i połączyłem ściany drewnianymi krokwiami. Potem zasłoniłem gołe mury dębowymi deskami z pobliskiego tartaku. Zrobiłem taras na szczycie. Zbudowałem do niego kamienne schody.

Postawiłem również niewysoką, sięgającą człowiekowi do pasa poręcz, która okala taras. Można tutaj znaleźć odosobnienie, ażeby opalać się nago, i co ważniejsze, godziwe i ciche miejsce na nocleg w lecie, z dala od uprzykrzonych wędkarzy oblepiających brzegi stawu jak muchy. To również główne pole startowe dla samolotów Bena i stanowisko, z którego lubi postrzelać ze swego karabinka.

Uprawiamy tutaj ogród, gdyż gleba jest bardzo urodzajna i miejsce jest wspaniale nasłonecznione. Deszczowe Morvan raczej nie słynie z obfitości słońca. Zbudowałem również ręczną pompę, która pompuje wodę do naszego ogródka z wiejskiej studni.

Wystarczy dwuminutowy spacer z młyna, a już rozciąga się przed oczyma ogromna panorama całej doliny. To chyba największa zaleta tego uroczego wzgórza. Czuję się tutaj, tak jakbym siedział na latającym dywanie szybującym nisko nad doliną, jak gdyby we śnie. Tym miejscem włada magia. Uważając się za poważnego filozofa, nie powinienem wierzyć w magię, ale ulegam jej całkowicie. Nie sądzę, bym mógł sprostać życiu bez tej wiary.

Nie mogę się doczekać, by pokazać budowlę Maggie. Chciałbym jak wielki dyrygent ostatnim uniesieniem batuty przekazać jej swoją głęboką wiarę w ciągłość tradycji, odbudowę odwiecznych wartości. Potrafię wciąż się łudzić, wierząc, że drobne zmiany otoczenia wpływają na zachowanie.

Jestem klasycznym, niechętnym wszelkim zmianom romantykiem.

Ubieramy się ciepło. Temperatura waha się w okolicy piętnastu stopni poniżej zera. Stale zapewniam Bena, że może padać śnieg, ale sam zaczynam wątpić w to. W powietrzu nie pachnie śniegiem. Maggie, która ma pięć stóp i siedem cali wzrostu, musi schylić głowę, by przejść przez drzwi.

W środku nie wygląda imponująco. Ciągłe nie zrobiłem nic z podłogą. Większość płytek jest popękana, wielu brakuje. Powiniennem wylać świeżą zaprawę cementową i ponownie wstawić płytki czy w końcu położyć drewnianą podłogę. Ostatnio tracę chęć do pracy. W izbie stoją dwa worki zwilgotniałego cementu i taczka, na której leżą przykryte brezentem narzędzia murarskie. Trochę się niepokoję, czy Maggie spodoba się domek. Być może sądziła, że wszystko już skończone i będzie można wprowadzać się do środka. A przecież jeszcze nawet nie wstawiliśmy okien i drzwi w ziejące pustką otwory. Wszystko jest jeszcze bardzo prymitywne.

— Na Boga, tato, tutaj jest cudownie. Jeśli naprawdę osiadziemy w tej dolinie, wprowadzę się tu z Sethem. Wstawienie okien, drzwi i położenie podłogi nie zajmie tak wiele czasu. Potem zbudujemy kominek w tym narożniku. Pięknie będzie się nam tutaj żyło. Zagospodarujemy ogród i będziemy ciąć drewno, by palić w kominku. Jestem pewna, że George przyśle nam trochę pieniędzy. Moglibyśmy stać się naprawdę niezależni:

Naprawdę wierzy w to! Poznają to po wyrazie jej oczu. Pierwszy raz uświadamiam sobie, jak poważnie myśli o odejściu od George'a. Jeśli nasza Maggie nie waha się zamieszkać w kamiennej dziupli takiej jak ta, musi być źle. Zerkam na Lor, która przypatruje się Maggie przymrużonymi oczyma. Mam pewność, że Lor myśli o tym samym, co mnie gnębi. Nicole rusza w stronę Maggie i obejmuje ją serdecznie. To wspaniale, że siostry są znowu w przyjaźni. Kiedy były podlotkami, rywalizowały na każdym kroku.

— Przeprowadzę się z tobą, Peg. W dwójkę mogłybyśmy urządzić tutaj naprawdę przytulne gniazdko, którego wszyscy zazdrościliby nam.

Ben odwraca głowę i wychodzi. To było zwykle jego prywatne zacisze. Chłopak nie znosi słońca ani upału, toteż w lecie, gdy opalaliśmy się i pływali w stawie koło młyna albo wygrzewaliśmy na tarasie, słuchając przenośnego radia, przychodził do tego pokoju, gdzie jest zawsze wilgotno i chłodno, i siadał w wielkim, pustym otworze okiennym, i czytał swoje książki. Z tego okna roztacza się piękny widok, prawie jak na obrazie świetnego pejzażysty. Widać stąd wzgórze, na które wspina się droga, a w dole pole ciągnące się aż do młyna. Przez pole płynie bystry strumień. Trzy lata temu zbudowałem dla Bena domek na drzewie na wysepce pośrodku strumienia.

Loretta i ja podążamy za Benem. Dziewczęta wychodzą za nami, by wyjść na taras. Zawsze czuję się podniesiony na duchu, kiedy wchodzę tutaj. Pole Maggie jest zielone i przyszyżone równiutko dzięki zębom osiołka Pom Pom, wielkiego amatora słodkiej kukurydzy i drzew owocowych. Wspinamy się po ostatnich czterech stopniach, jeszcze drewnianych, na platformę z dębowych desek o rozmiarach dziewięć metrów na pięć, tworzącą naprawdę piękny, równiutki taras. Lor podchodzi na brzeg tarasu i wygląda w kierunku wsi. Dziewczęta postępują ostrożnie za nią. Dębową platformę otacza drewniana poręcz, która sięga na wysokość bioder.

Zdumiewa mnie, niemal przeraża, jak małym wysiłkiem wznieśliśmy się do nieba. Kiedy zastanawiam się nad tym, podziwiając pejzaż, nagle chmury odsłaniają niebo i jasne promienie słońca przebijają się, rozświetlając dolinę i wzgórze. Magia — to jedyne słowo, jakie przychodzi mi na myśl. Cienie chmur skaczą po rozświetlonych wzgórzach, jakby niebo grało w klasy z ziemią. Maggie przytrzymuje się poręczy.

— A niech to, tato, chyba oszaleję z zachwytu! To przypomina widok z okienek startującego Boeinga 747 albo z kabiny szybowca.

Słyszę warkot mojego motocykla na wzgórzu Vauchot. Rozrząd rozregulował się nieznacznie, więc kiedy nie dodaje się gazu, silnik krztusi się i gaźnik strzela. Wyteżam wzrok i dostrzegam Mike'a, którego sylwetka migoce pomiędzy drzewami. Potem widzę go jeszcze na nie osłoniętej drodze, zanim wjedzie do miasteczka. Maggie zwraca się do mnie:

— To Mike. Wyjdźmy mu naprzeciwko! Może zaprowadzi nas do swojej leśnej chatynki.

Rozglądam się za Loretta. Znów została tak daleko, jakby błądziła myślami gdzie indziej. Próbuję wywołać entuzjazm.

— Czy nie byłoby świetnie, gdybyśmy wzięli lunch i zjedli w domku Mike'a? Może nawet rozpalimy w kominku. Naniósłem całą stertę suchego drewna, kiedy sprzątałem w leśnej chatynce zeszłego lata. Ben i ja zebraliśmy dosyć trzasek na rozpałkę.

To brzmi cudownie, Will. Ale lepiej omówmy to z Mike'em.

Twarz Maggie rozpromienia się.

— Uwielbiam uroczysko Mike'a. Kiedy byłam tam ostatni raz, był tylko głęboki dół pełen błocka i kilka głazów ułożonych w kręgu w środku tego bajorka. On i Debby uwijali się jak szaleńcy. Nawiasem, co przydarzyło się Debby?

Nicole ciągnie Maggie za rękę i idą w kierunku schodów.

— Geneviève zdarzyła się Debby. A może jakiś Tom, Dick, Harry czy Harriet. Nikt nie wie za dużo o tych sprawach, moja duża siostrzyczko.

Obie wybuchają śmiechem. Loretta i ja idziemy w siad za nimi. Ben wlecze się z tyłu. Jak zwykle spaceruje, czytając książkę. To jego prywatny sposób na to, żeby być tutaj i gdzie indziej.

Nadaję sobie wciąż te cholerne pytania na temat miłości. Czy chodzi tylko o to, by czuć się dobrze z kimś, cieszyć się z jego towarzystwa? Czy raczej jest to poczucie troski? Czy przeważa w miłości poczucie własności i oddania? Nigdy nie pojme!

IV CZTERY KUKULECZKI

Ogień na kominku płonie jasno, kiedy wracamy do młyna. Mike dorzucił już dREW do ognia. Uśmiecha się do nas tym świętym uśmiechem Buddy, który nie jest prawdziwym uśmiechem. On jest bardzo miły, zapewnia, że wszystko jest w porządku i nie musimy martwić się o nic. Jego umiejętności aktorskie idą w parze z moją sztuką dyplomacji. Maggie wybuchła natychmiast:

— Mike, czy mógłbyś zaprosić nas do swojej leśnej chatki? Tato powiada, że jest tam dosyć drewna, a mama mówi, że możemy zabrać lunch i zrobić piknik.

Uśmiech znika z twarzy Mike'a. Wszak musi naprawdę przemyśleć sugestię Maggie, przezwyciężyć opory, zdecydować. Wiem, że nasza propozycja nie może go aż tak rozgniewać, jakbyśmy wybrali się do jego zacisza bez wiedzy tego samoluba. Przypuszczam, że wahanie Mike'a wiąże się z jego osobistymi przeżyciami w tej leśnej samotni. Świadomość, że w jakiś sposób będzie musiał podzielić swoje wzruszenie z gośćmi, krępuje go. Obrzuca mnie ukradkowym spojrzeniem, szuka pomocy u Lor. Potem patrzy w oczy Maggie, wyczytuje w nich szczerą pragnienie siostry, która pragnie podzielić się z nim jego samotnością.

— Jasne. Będzie wspaniale. Ale ostrzegam was, że jest tam wilgotnie i czuć zapach pleśni. Za mało słońca dociera przez konary drzew.

Z wolna uświadamiamy sobie, jak cudownie spędzimy wigilijne popołudnie. Niekiedy Wigilia może być bolesnym czasem oczekiwania. Tymczasem udamy się na krzepiącą wycieczkę do chatynki Mike'a, a potem powrócimy, by zająć się wypiekami świątecznych pierników.

— Szczerze się cieszymy, Mike, dzięki! Lor, przygotuj z dziewczętami trochę jedzenia. Ben, poszukaj zapalek i przynieś kilka starych gazet na rozpałkę. Musimy włożyć kalosze, by przejść przez podmokłą łąkę, gdy wyjdziemy z lasu po zachodniej stronie wzgórza. Możliwe, że łąka zamarzała, ale nigdy nie wiadomo.

Szykuję się jak na wyprawę wojenną, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie byłem w samotni Mike'a od lata.

Przygotowania nie zajęły dużo czasu. Ruszamy. Mike i Maggie na czele, Loretta i Nicole tuż za nimi, Ben i ja zamykamy tyły. Zachmurzyło się zupełnie i zrywa się wiatr, ale temperatura rośnie. Wyczuwam już w powietrzu zapach śniegu, lecz wciąż jest zbyt zimno.

— Możesz dostać na gwiazdkę swój wymarzony prezent — mówię do Bena.

— Domyślam się, że tak czy owak dostanę ten rosyjski karabinek, który śnił mi się zeszłej nocy. Wiesz, śniło mi się, że strzelałem z niego do bielutkich gołębi, tak jak na strzelnicy, a choć cel znajdował się w odległości stu metrów, trafiłem do wszystkich ptaków. To był wspaniały sen. Gołębie nie były prawdziwe, ale metalowe i szczękały dźwięcznie za każdym razem, gdy trafiłem do celu.

— Mówię o śniegu, Ben. Spodziewam się, że w każdej chwili zacnie prószyć, jeśli tylko mróz zelżeje o pięć stopni. Tak czy owak będziemy mieli śnieg w Boże Narodzenie.

— Och, mówisz tak co roku, tato. Jesteś niepoprawnym optymistą.

Kolejny frazes z kiepskiej książki. Przysięgam, że to pewnego rodzaju gra, w której Ben wyznacza własne reguły.

Marszruta wiedzie najpierw do sąsiedniego miasteczka Mile, około pół mili główną drogą za młynem. Potem skręcamy w prawo i wspinamy się po zamarznętej, pełnej głębokich kolein

drodze. Mróz ściał strużki wody spływające w koleinach po łagodnej stromiźnie na zakrętach, toteż jest ślisko. Ścieżka wspina się ostro w górę przez następne pół kilometra. Potem schodzimy do lasu, kierując się na południe. Maggie i Mike wysforowali się naprzód, toteż postanowili poczekać na maruderów na skraju lasu. Wyszukali sobie kije, którymi podpierają się w drodze. Ben również znalazł sobie kostur. To stary, rodzinny zwyczaj. Zadumałem się i zapomniałem o tym.

W pobliżu rosną największe w całej dolinie kępy ostro—krzewu. Miejsce jest stale nasłonecznione, więc jeśli gdzieś są jeszcze jagody, to właśnie tu. Ale również na tych krzewach nie ma jagód, jak wszędzie.

W tym roku nie będzie gałązek z jagodami na gwiazdkę. Bywały już w dolinie Morvan święta Bożego Narodzenia, kiedy musieliśmy nachodzić się po bezdrożach jak myśliwi, by wytropić gałązki ostrokrzewu obsypane jagodami. Ale to pierwszy rok, odkąd pamiętam, gdy nie widziałem nigdzie ani jednej jagódki. Nie wiem, czy sprawiła to zbyt ciepła jesień i niezbyt chłodna — przynajmniej do dzisiaj — zima, czy było zbyt wiele opadów, czy coś jeszcze. Mówiono mi, że krzewy ostrokrzewu dzielą się na męskie i żeńskie; pierwsze mają ciemnozielone, spiczaste liście, a drugie jasnozielone, mniej zaostrome. Przed laty widziałem najpiękniejsze, jakie można sobie wyobrazić, kiście purpurowych jagód w ciemnozielonej gęstwie zaostromych jak sztylety listeczków. Możliwe, że ostrokrzew posiada płęć albo przejawia pewien rodzaj dzieworództwa (partenogenezy), a może „wesoły” ostrokrzew jest biseksualny. To niezły pomysł na kartkę świąteczną lub współczesną kolędę podobną do tej, w której Arlo Guthrie śpiewa:

*Zawołaj... zawołaj...
Niech zstąpi z nieba święty Mikołaj!*

Mike wpatruje się w ostrokrzew.

— Nie mogę w to uwierzyć, tato. Nawet tutaj nie ma jagód. W tym cudownym miejscu, gdzie zawsze po rozpaczliwych poszukiwaniach znajdowaliśmy w końcu jagody w złych latach.

— Tylko wyprawa pełna przygód jest warta dzbana jagód, prawda, Mike?

Nicole i Maggie padają sobie w objęcia.

— Och, proszę! Niech ktoś go powstrzyma! Nie pozwólmy, by tato zaczął popisywać się znowu swym dowcipem. Mike! Proszę! On popsuje nam całe Boże Narodzenie, gdy zacznie układać te swoje przedługie, wymęczone kalambury.

Mike odwrócił się i ruszył w drogę. Przyspieszam kroku, by dołączyć do Nicole i Maggie. Loretta drepcze z tyłu, z Benem.

— Okay, obiecuję. Opanuję się, choćby miało wzrosnąć mi ciśnienie krwi, choćby miała ucierpieć moja duma. Nie będę się wam narzucał moimi okropnymi dowcipasami.

W tej okolicy spaceruje się najprzyjemniej. Ziemię pokrywają zwiędłe, brązowe liście — dębowe, bukowe, brzozowe, wierzbowe — przysypane śniegiem w bardziej zacisznych miejscach. Ciemna zieleń ostrokrzewów i sosen podkreśla barwy ziemi. Bardziej aksamitna jest zieleń mchu, który porasta pnie tuż przy ziemi, oraz skały, toteż zamrożone podłoże wcale nie sprawia wrażenia skutej lodem pustyni pozbawionej flory i fauny. Idziemy zamrożoną ścieżką, pełną zlodowaciałych grud błota, które trzeszczy pod podeszwami butów. Musimy zejść ze śliskiej dróżki i wspinać się po poboczu, by nie ślizgać się po oblodzonej grudzie. Posuwamy się serpentynami na szczyt wysokiego wzgórza. Z prawej strony mamy stromy stok, z lewej — głęboką dolinę porośniętą zrazu rzadkim lasem, przechodzącą potem w ogromną łąkę, która

ciągnie się aż do miasteczka. Zdumiewa mnie, że pomimo przenikliwego zimna bujna trawa na słonecznych zachodnich i północnych wzgórzach pozostała jeszcze zielona. Tutaj nic nie wskazuje na to, że nadchodzi gwiazdka.

Drepczę z tyłu. Wyprzedzili mnie wszyscy, nawet Lor i Maggie. Nie jestem zmęczony, choć czuję lekkie znużenie tą łąką. Rodzinny spacer sprawia mi ogromną radość. Tryskam radością na sam widok przed sobą pięknych, dorodnych ludzi, krew z mojej krwi, nasienie z moich lędźwi, ludzki owoc, który wydała Lor. To nasi potomkowie. Kiedy pobieraliśmy się z Lor, nie pomyślałem nigdy nawet, że przeżyję tak doniosły moment. Jasne, że pragnęliśmy mieć dzieci, jednak to zupełnie coś innego patrzeć na swoje dojrzałe potomstwo, na dorosłych ludzi. Nawet Ben jest już dorosły. Dorosłe dzieci mają już własne poglądy, żyją własnym życiem. Boże, to przecież prawdziwy cud!

Psiakrew, mam nadzieję, że oni wszyscy znajdą dobrych partnerów. Życie w samotności to według mnie najgorsze, co może spotkać człowieka. Mimo tych wszystkich kryzysów, cichych dni, nieustannego dostosowywania się, lęku przed rozłąką, życia pełnego zmartwień i udręki, nie wiem, czy życie byłoby dla mnie coś warte, gdybym nie miał rodziny. Pisanie filozoficznych rozpraw naukowych, nawet gdybym chwycił znowu za pióro, nigdy nie zastąpi mi rodziny — to tylko substytut prawdziwego życia.

Maggie wyłamuje się z grupy, idzie samotnie. Domyślam się, że dowiedziała się czegoś o tym, co zaszło pomiędzy Mike'em i Geneviève. Nie wiem jeszcze, czy to coś poważnego. Przypuszczam, że Nicole — choć trudno znieść jej kaprysy i kąśliwe uwagi — byłaby szczęśliwa z człowiekiem takim jak Mike, zaradnym mężczyzną, który poszukuje swojej własnej drogi w życiu. Ktoś taki mógłby okazać się idealnym mężem dla niej.

Myślę, że szanowałaby go i nie czuła potrzeby rywalizacji z nim.

Miłość to bardzo skomplikowana sprawa. To oczywiście, że miłość nie sprowadza się jedynie do seksu, chociaż seks, namiętność powinny stanowić jej istotny element. Konieczna jest również zgoda co do sposobu życia. Zaufanie i tolerancja są równie ważne jak szacunek, uwielbienie, a nawet namiętność. Jednak prawdziwa miłość nie obędzie się bez odrobiny manipulacji, konkwisty, władczości, walki o dominację, współzawodnictwa. Przemoc, stosowanie siły może zniszczyć miłość szybciej niż cokolwiek innego. Wieczna troskliwość i żądanie od partnera, by poświęcał wybrance całą swoją uwagę, obraca opiekuńczą miłość w klatkę, w której partner czuje się więźniem. Zawsze opierałem swoją wiedzę o miłości na tych kilku podstawowych prawdach, ale obecnie dochodzę do wniosku, że to nie jest takie proste. Zwierzę, które mieszka w ludzkiej skórze, nazwijmy je id, nie daje się tak łatwo poskromić. Nasze ego jest na ogół zbyt chwiejne, zbyt delikatne.

Nicole przystaje i wyciąga aparat fotograficzny. Dochodzimy do leśnego domku Mike'a, który jest prawie niewidoczny wśród drzew.

— Cholera jasna, zapomniałam, jak tu pięknie. To prawdziwa kryjówka, o której w Ameryce opowiada każdy, gdy jest na trawce albo czymś takim. To jest jak sen.

Mike przystaje i obserwuje, jak Nicole robi zdjęcie, potem mija go, by pstryknąć znowu. Nickie zwleka, byśmy — Maggie i ja — mogli dołączyć do Mike'a i znaleźć się na fotografii. Oglądam się za Loretta i Benem, który pozostał z tyłu i idzie brzegiem strumienia. Sięga do lodowatej wody, podnosi kamień, przygląda mu się i upuszcza w rwący nurt. Ben uwielbia wygładzone przez wodę, okrągłe jak jajka kamienie. Zebrał już całą kolekcję otoczków. Przechodzimy pod drutem kolczastym, który ogradza las należący do Mike'a. Przerzedzony las ma dwa akry i przypomina park. Na jego skraju stoją sagi suchego drewna, którego wystarczy nie tylko na zbudowanie płotu, ale i na opał — nie tylko tej zimy.

Tuż koło leśnego domku, nie dalej niż pięć kroków od werandy, którą Mike dobudował przed

samymi drzwiami, przepływa wąski, nigdy nie zamarzający strumyk. W porównaniu z maleńkimi drzwiami do chatki Mike'a, drzwi do domku Maggie wyglądają jak wierzeje do siedziby olbrzymów. To nie do wiary, ale wejście do leśnej chatynki ma zaledwie cztery stopy wysokości. Drzwi nie mogły być wyższe, gdyż Mike zaprojektował tak spadzisty dach, by wkomponować jego linie w leśny pejzaż. Zgodnie z założeniem Mike'a, z oddali widać jedynie drzwi, resztę domu zasłaniają drzewa.

Mike pomalował drzwi w kolorze indygo. Reszta wymarzonego domku wtapia się w tło lasu, gdyż ściany zbudowane są z desek, które mój starszy syn kupił w tartaku, a spadzisty dach pokrywają szare, omszałozielone dachówki.

Mike wysuwa się naprzód i wyciąga klucz ukryty pod okapem. Przypuszczalnie to ja schowałem go tam, gdy byłem tu ostatni raz pod koniec sierpnia. Mike przykuca i wsuwa klucz do kłódki. Kiedyś wygiął dwa skoble z wielkich gwoździ, wbił jeden w ościeżnicę, a drugi w brzeg odrzwi. Na skoblach zahacza kłódkę, by nikt nie wtargnął do jego samotni i nie zakłócił mu spokoju. Ta wielka kłódka istotnie chroni domek przed intruzami, ale zarazem daje sygnał potencjalnemu włamywaczowi, że właściciel nie gości tu zbyt często. Niemniej jednak, kiedy weszliśmy do środka, okazało się, że na stole leży kawałek papieru, którego, dałbym za to głowę pod topór, nie zostawiłem, opuszczając ostatnim razem chatkę Mike'a. Na blacie stołu, który Mike zrobił z surowych desek zakupionych w tym samym tartaku, co drewno na ściany, widnieją wygrawerowane imiona tutejszych dzieciaków, wraz z podpisami, pozdrowieniami i datami. Mike ogląda wystrugane nożem litery i uśmiecha się, więc domyślałam się, że powiedział kilku swoim wiejskim przyjaciółom, gdzie chowa klucz. Jestem rad, że ktoś korzysta z tego domku. Jakie to cudowne schronienie dla kochanków szukających spokoju i ciszy.

Uszczęśliwiona Maggie przekracza próg domku. Powoli obraca głowę, lustrując małą kuchnię w narożniku, naczynia wiszące na ścianie, spiżarkę, pryczę obok kominka z nie obrobionego kamienia. W środku załatany dach wygląda jak drewniana pajęczyna. By przystosować wnętrze do pobytu w zimie, należałoby uszczelnić ściany i dach watą szklaną albo pianką styropianową. Jednak to nie jest siedziba na zimę, lecz jedynie wspaniały domek letni.

Na podłodze leży dywan. Mike pozostawił zrolowany dywan przy ścianie, ale gdy byłem tutaj w sierpniu, zobaczyłem, że jest strasznie zawilgocony, toteż rozłożyłem go, by przesechł.

Maggie spogląda na dach, w którym Mike wstawił okienka wyjęte z naszego starego volkswagena. Tym „vw” ona i George jeździli, kiedy byli na studiach. Ten stary gruchot w zasadzie stanowił ich maleńki dom na kółkach.

— Spójrz, Mike! Tu jest naprawdę wspaniale. Gdybym miała taki domek, zaszyłabym się tu, z dala od zgiełku i wielkiego świata. To prawdziwy dom Franky'ego Furbo.

Franky Furbo jest postacią z książki. To sprytny lisiek, lis-mutant, mądrzejszy od każdego człowieka. Przez ponad dwadzieścia lat zabawiałem rano nasze dzieci, opowiadając im przeróżne historyjki o tym lisim spryciarzu. Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale opowieści o Frankym Furbo wiążą się z tym leśnym uroczyskiem i ukrytą wśród drzew chatynką, gdzie wszystko jest małe, proste, praktyczne. Jedyna różnica jest w tym, że dom Franky'ego Furbo był zbudowany na drzewie.

Staram się wyczyścić palenisko. Loretta znalazła w narożniku miotłę i zaczyna zamiatać. Ben i ja wymietliśmy dywan w sierpniu, być może nieznani goście zrobili to samo, ale dzisiaj całą podłogę pokrywa miękka warstwa listowia, drobnych kamyczków i ziemi. Ben przynosi cienkie gałązki i kawałeczki kory na rozpałkę. Podaje mi również stare gazety, które przyniósł z młyna, i zapałki. Trudno będzie rozpałcić ogień w wilgotnym, wyziębionym kominku.

Kiedy już włożyłem na palenisko dosyć papieru i suchych wiórków, ustawiłem małe patyczki

w kształcie indiańskiego namiotu tipi. Jeśli uda mi się rozniecić ogień, dołożę większe kawałki drewna. Maggie i Nicole siedzą przy stole, kuląc się z zimna. Nagły przeskok — wprost ze słonecznej Kalifornii do mrocznego wilgotnego lasu w samym środku zimy — stanowi szok dla ich organizmów. Mam nadzieję, że uda mi się rozniecić ogień. Wiem, że na początku będzie okropnie dymało, ale potem, gdy przewód kominowy rozgrzeje się, dym się rozproszy. Zawsze tak się dzieje.

Zapalam zapałkę. Skrawki papieru tlą się wątlwym płomyczkiem. Stopniowo papier zajmuje się ogniem, skręcając się i rozplamienając wśród suchutkich gałązek. Tymczasem wymiatam resztę popiołu szczotką, którą wręczył mi Ben. Obaj lubimy rozniecać ogień, więc im trudniej go rozpalić, tym więcej mamy uciechy. Zawsze chcielibyśmy rozpalić ogień jedną zapałką. Kłęby dymu i gęstej pary, która unosi się z mokrego drewna, wypełniają izbę. Krztusimy się, ale jakoś wytrzymujemy. Jednak dym snuje się w izbie, nie przechodząc przez przewód kominowy, który trudno będzie rozgrzać. Dmuchając, rozniecamy mały ogienek. Zużywam cały zapas suchych trzasek i papieru, próbując podsycić płomienie i rozgrzać palenisko.

Ben klęczy obok, dmuchając w nikły ogienek, ile sił w płucach. Słyszę, jak dziewczęta zaczynają kaszleć. Lor przestała zamiatać i stoi przy drzwiach, by odetchnąć świeżym powietrzem, które przedostaje się przez szczeliny pomiędzy deskami. Całą izbę wypełnia gryzący dym. Odwracam się.

— Czemu nie wybierzecie się z mamą na szczyt wzgórza, zanim nie uda się nam przewentylować komina? Za kilka minut ogień powinien palić się jasno.

Lor uchyla nogą drzwi.

— Chodźmy, dziewczęta! Z wierzchołka spływa prześliczny strumyk. Pokażę wam, gdzie Mike płucał piasek w poszukiwaniu złota.

Tymczasem Mike wyszedł, zabierając piłę, by przepiłować grubsze kłody na polana. W pobliżu leśnej chatki leży kilka drzew, które ściał Mike, by światło mogło dotrzeć do jego zacienionego ustronia. Po dwóch latach zwalone drzewa powinny być już suche.

Będzie wspaniale, jeśli uda się nam rozplamienić ledwie tłące się zarzewie. Dokładamy suchych liści i trawy, które Ben znajduje za kominkiem, i ogienek ożywia się, nabiera istic płomienistej werwy, co sprawia, że przewód kominowy ogrzewa się i w kominie jest wreszcie cug. Dym zaczyna uchodzić w górę. Zwolna znikają też wypełniające izbę niebieskie smugi. Dokładam jeszcze trochę suchych gałązek nie grubszych od palca. Jeśli uda się nam utrzymać ogień jeszcze przez chwilę, zajmą się zaraz żywym płomieniem. Mike wnosi do izby wielkie naręcze drewna i upuszcza polana na podłogę przed kominkiem.

— Hej, wszystko wskazuje na to, że udało się wam wreszcie rozpalić ogień. Jeśli te wielkie polana zajmą się płomieniem, ogrzejemy się raz—dwa!

Kiedy dokładamy po chwili grubszych gałęzi, ogień przygasa na minutę lub dwie, lecz potem buzuje ze zdwojoną siłą. Układamy pośrodku grubsze polano. Wysyłam Bena, by przyprowadził Lor i dziewczęta.

Mike wypakowuje lunch. Wyjmuje talerze z szafki, którą sam zbudował, by zabezpieczyć żywność przed szczurami i innymi szkodnikami. On i Geneviève przemieszkali tutaj dwa lata temu prawie całe lato. Geneviève jest prawdziwą gospodynią i zmusiła Mike'a do zainstalowania w tej samotni urządzeń ułatwiających życie, co jemu samemu nie przyszłoby na myśl.

Ogień buzuje jasnym płomieniem. Nie jestem pewien, czy to tylko złudzenie, ale wydaje mi się, że w domku jest już cieplej. Zdejmuję szalik i rękawiczki. Na zewnątrz zrywa się wiatr, toteż w osłoniętej przed wichurą izbie wydaje się coraz przytulniej.

Martwiłem się już, czy Ben nie zabłądził, szukając w lesie kobiet, gdy zobaczyłem, że nadchodzą od strony źródła. Ben ugina się, niosąc cieknące drewniane wiadro napełnione

kryształowo czystą wodą z płytkiego źródła na wzgórzu. Nicole i Maggie dźwigają naręcza sosnowych gałęzi. Loretta trzyma gałązkę ostrokrzewu. Otwieram drzwi nadchodzącym, którzy tupią, wycierając buty na werandzie. Nicole wchodzi pierwsza.

— Postanowiliśmy przystroić chatkę Mike'a na Boże Narodzenie. Mój duży braciszek miał nóż, toteż nacięliśmy sosnowych gałęzi na wzgórzu, a mama znalazła nawet jedną gałązkę ostrokrzewu obsypaną jagodami. Może spędzimy tu prawdziwe Boże Narodzenie.

Maggie musi się schylić, by przejść przez niskie drzwi. Gałęzie kłują ją w oczy. Jej policzki błyszczą z zimna mimo arizońskiej opalenizny. Wygląda pięknie. Gnębi mnie myśl o tym, jak ciężko musi być George'owi z powodu rozstania z nią. Zastanawiam się, co zrobiłbym, gdyby Lor chciała się rozwieść ze mną w zaledwie siedem lat po ślubie, kiedy Maggie miała sześć lat, a Mike trzy. Oszalałbym chyba z rozpacz. Wystarczająco przykro jest myśleć o tym nawet teraz, gdy wszystkie dzieci są już prawie dorosłe.

Maggie podchodzi do kominka, odwraca się plecami do ognia, grzeje plecy w jego ciepłe.

— Tato, w lesie jest tak pięknie. Mech porasta wszystko i drzewa są jak zaczarowane, ale wcale nie wyglądają groźnie. Ten czarodziejski las ma coś z niemieckiej baśni.

Razem z Nicole układa sosnowe gałęzie przy ścianie od strony łąki. Lor wchodzi do izby w sobie właściwy sposób, uśmiechając się, rozglądając na wszystkie strony, zaciekawiona każdym drobiazgiem, jak gdyby została skazana na śmierć i szła na krzesło elektryczne, żegnając się ze światem i z żalem podziwiając jego piękno.

— Spójrz na mój ostrokrzew, najdroższy! To jedyna gałązka z jagodami, jaką znalazłam na olbrzymim krzaku. To musi coś znaczyć. To dar dla nas na Boże Narodzenie. — Trzyma ją wysoko nad głową.

— Wspinaliśmy się nad strumieniem, potem zesłiśmy do źródła pod samym szczytem. Ben powstrzymywał nas, jak byśmy przebywali w lesie madame Calvet. Bardzo nam po mógł, ścinając nożem gałęzie, którymi ustroimy izbę. Czy to nie cudowne?

Ben wszedł za Lor. Przyniósł zaledwie trzy czwarte wiadra wody. Wszystko wskazuje na to, że postanowił porządnie umyć wiadro, zanim napełnił je wodą. To straszna przywara rodziców, że zawsze sprawdzają, czy dziecko wykonuje wszystkie rzeczy właściwie.

— Gdzie mam postawić wiadro, tato?

— Postaw je w części kuchennej, Ben. Jak wyglądało źródło, czy było znowu pełne liści?

— Taak, ale oczyściłem je. Woda była tak czysta jak kryształ. A te gliniane dzbanki, które ulepiliśmy w lecie i umieściliśmy w rozwidleniu drzewa przy źródle, wciąż tam stoją. Nawet deszcze i śnieg nie rozmyły tych skorup. Powinniśmy wziąć trochę tej gliny do Paryża. Mógłbym zanieść ją do szkoły i pokazać mojej nauczycielce od ceramiki. Wiesz, pani Wright zawsze szuka nowych rodzajów gliny.

— Cóż, Ben, jest zbyt zimno, by kopać glinę! Może wydobędziemy jej trochę, kiedy zawitamy tu podczas Wielkanocy.

— Och, tato, zapomnisz o tym! Nigdy nie dotrzymujesz swych obietnic.

— Przypomnisz mi o tym, Ben. Przysięgam na święty krzyż. Starzeję się, toteż często zapominam o wielu sprawach. Przypomnij mi!

Teraz Nicole grzeje plecy przy kominku. Maggie przytula się do niej. Wyglądają na bardzo zmarznięte. Maggie zerka na Bena.

— To nie ma nic wspólnego z tym, że tato się starzeje, Ben. On nigdy nie pamięta o swoich obietnicach, które znaczą dla niego tyle co nic. Ale to dobry tatuś. Tylko że wciąż buja w obłokach, rozmyślając o kosmologii, czasie, rzeczywistości, sensie życia i podobnych sprawach. Jeśli przypomnisz mu o tym, jestem pewna, że pomoże ci wykopać trochę gliny do szkoły.

Zgadza się z nią. Maggie nie powiedziałaaby tego, gdyby to miało się z prawdą. Uczciwość i

właściwe postępowanie zawsze wiele dla niej znaczyły. Musiała wykazać wiele samozaparcia, by wzrastać z taką osobą jak ja, z kimś, kto nigdy nie jest niczego pewien i nie pamięta, co mówił przed chwilą.

Przestałem już się tym dręczyć. Wiele razy przepraszałem za to. Lor przywykła do tego, ale Maggie i Nickie trudno się z tym pogodzić. Jestem wielkim obiecywaczem. Jeśli droga do piekła jest naprawdę wybrukowana dobrymi intencjami, to sam jeden wybudowałem cesarską rzymską autostradę prowadzącą na samo jego dno.

Biedna Lor. Kiedy umówiliśmy się na pierwszą randkę, a nawet zaraz po ślubie zawsze wypominała mi, że nie dotrzymałem jakiejś obietnicy, Zapomniałem o czymś albo mówię coś wręcz przeciwnego niż tydzień, dzień albo nawet pięć minut temu. Miałem zwyczaj cytować słynne zdanie kogoś wielkiego, ale nie pamiętam już kogo, na temat chochlików i konsekwencji swych słów, lecz nie mogłem nic na to poradzić, że sam rzucałem słowa na wiatr. Myślę, że Lor w końcu zrezygnowała. Bardzo rzadko próbuje walczyć z moją niekonsekwencją. Możliwe, że pogodziła się z tym, że jestem zerem, niekiedy sympatycznym zerem, i że nie może liczyć na mnie. Cóż, ja również nie liczę na nią.

W końcu Lor zrozumiała, w co się wplątała — mam nadzieję. Może myślała, że mnie przemieni w anioła, może wciąż się ludzi, że się zmienię, choć nie sądzę, by tak było.

Tymczasem Mike i Lor przygotowują wspañiały lunch. Wyszperali gdzieś stary obrus, który, o dziwo, wcale nie jest zbutwiały, i rozłożyli go na stole. Opłukali w źródlanej wodzie talerze, szklanki i półmiski. Lor wyjęła z torby, w której przyniosła posiłek, długą paryską bułkę, trochę camemberta, pomidory, parówki i pickle. Ben ostrzy długie patyki, by upiec kielbaski. Na jednym z nich Nicole opieka już w ogniu dwie parówki.

Maggie i ja stroimy chatkę sosnowymi gałęzmi i pozbawionymi jagód gałązkami ostrokrzewu. Dym już się rozwiął i w izbie jest ciepło. Nawet Maggie zrzuciła kurtkę i zdjęła wełnianą czapkę z głowy.

Na dworze wściekle wieje wiatr. Czasem dmucha tak silnie, że łamie gałęzie drzew. Ben ostrzy patyki, stojąc przy oknie i patrząc w kierunku źródła.

— Tato, pada śnieg! Naprawdę prószy! Powiedziałeś, że spadnie, i oto spełniło się. Będziemy mieli śnieg na Boże Narodzenie!

Nicole staje przy oknie obok Bena.

— Och, uspokój się, Ben. Jesteś tak szalony jak tato. To nie jest prawdziwy śnieg. To tylko zwiedłe liście i trawa, które unosi wicher.

— Nie, spójrz, Nickie! Przypatrz się dobrze! To prawdziwy śnieg!

— Wielki Boże! On ma rację. Naprawdę zaczyna prószyć.

Nicole i Maggie kręcą się w kółeczko. Ben podchodzi bliżej do okna, wychyla się, udając, że nie widzi szalejących z radości sióstr. Nicole ściąga szal i rzuca go na podłogę.

— Chodźcie, tato, mam! Zatańczcie z nami! To taniec śniegu! Będziemy tańczyć, aż śnieg zacznie sypać tak gęsto, że nie będzie widać drzew.

Nicole pozostawiła kielbaski osadzone na patykach, opierając je na obramowaniu kominka. Ben przemyka pomiędzy płaszącymi siostrami i piecze je znowu w ogniu. Obejmuję Lor, która kładzie mi ręce na ramiona, i oboje zaczynamy kręcić się w tańcu. Izba nie jest duża, toteż wpadamy na siebie raz po raz. Mike przyłącza się do Nicole i Maggie i cała trójka robi kółeczko. A kiedy kręcimy się coraz szybciej i szybciej, śnieg sypie i wiruje coraz gęściej za oknem. Lor zaczyna śpiewać Radość światu, więc tańczymy w rytmie kolędy. Pierwszy raz w życiu tańczyłem do melodii kolędy. Zresztą to możliwe, że pierwszy raz ktokolwiek tańczył kolędę.

Potem Mike śpiewa Przystrójmy izbę świętymi gałęzmi i tańczymy jeszcze szybciej. Wszyscy

łapiemy się za ręce i tworzymy wielkie koło, wirując zapamiętane. Mike i Nicole są wodzirejami. Nicole ścieśnia krąg, nakazuje nam położyć sobie wzajemnie ręce na ramionach, więc nie objamy się już o ściany, tańczymy spleceni razem, zjednoczeni. Nicole wybija stopą, rytm Zimowej krainy czarów. Podchwytyjemy melodię kolędy, naśladując w tańcu kroki Nicole, a potem wykonujemy nagły obrót. Nasze płąsy bardzo przypominają mi grecki taniec ludowy, chociaż tańczymy w rytmie klasycznych kolęd. Mike próbuje wciągnąć do zabawy Bena, ale chłopak tylko potrząsa głową, nie ruszając się z miejsca. Piecze w ogniu już drugą parę kielbasek. Sądzę, że uzewnętrznia w ten sposób wstyd przed okazaniem uczuć, ale pozbędzie się go, gdy dorośnie, mam nadzieję. To poważny problem, z którym sam borykam się przez całe życie. Nieraz narażam się na kpinki w rodzinie, gdy zamartwiam się z tego powodu.

Skończyliśmy pełną wersję Dobrego króla Wencesłasa. Taniec tak nas wyczerpał, że upadamy na podłogę jak na zakończenie zabawy w kółko graniaste. Dyszymy głośno, śmiejemy się. Nicole podnosi się pierwsza.

— Muszę stwierdzić, że wreszcie się rozgrzałam. Rusz się, Ben. Daj mi jakiś patyk i dokończymy pieczenia kielbasek. Jestem głodna.

Zabieramy się do pieczenia kielbasek i jedzenia. Kroimy bagietkę, by przygotować hot dogi. Do każdej porcji dodajemy po plasterku pomidora lub pickle z kawałeczkiem sera. Ben przynosi drugie wiaderko źródlanej wody, którą popijamy posiłek. Woda jest tak zimna i kryształowo czysta, że smakuje jak najprzedniejsze wino reńskie. Pierwszy raz czuję naprawdę smak tej krynicznej wody. Być może dlatego, że jestem w świetnym nastroju, wszystko wspaniale mi smakuje. Szczególnie lekko przypieczone, przydymione kielbaski z musztardą z Dijon i dojrzałym serem.

Zapada już mrok. Wiatr zelżał, ale śnieg sypie wielkimi płatkami. Łąka już pobieliała. Nawet w lesie, tam gdzie drzewa nie rosną tak gęsto, leży bielutka warstewka śniegu. Zapowiada się prawdziwie zimowa Wigilia, co zdarza się tutaj raz na kilka lat.

Prawie zawsze pada śnieg w czasie dwutygodniowych ferii świątecznych, ale raczej rzadko w Wigilię czy Boże Narodzenie. Jestem naprawdę uradowany, że w tym roku szczęśliwym trafem śnieg spadł akurat na gwiazdkę. Zaczynam wierzyć, że nasze sprawy ułożą się pomyślnie. Nawet jeśli wszystko się w nas wypaliło, nawet jeśli to nasze ostatnie wspólne Boże Narodzenie, w końcu przeżyliśmy wspólnie cudowny wigilijny taniec w domku Mike'a. Niczego nie można zaplanować.

Pakujemy resztki po lunchu, wygaszamy ogień w kominku, a Lor zabiera gałązkę ostrokrzewu, na której czerwienią się jagody. Mike zamyka drzwi na kłódkę i ruszamy w dół, schodząc ze wzgórza wygodną drogą dojazdową. Z żalem opuszczam leśną chatkę, która będzie stała pusta w Boże Narodzenie, choć to takie gwiazdkowe miejsce. Czy chatka, domek, dom mogą się czuć samotne, opuszczone?

Zejście drogą skraca marszrutę i jest łatwiejsze niż wędrówka przez łąkę i las. Tędy przyszliśmy tutaj, gdy kupiliśmy to leśne uroczysko, a potem tą samą drogą Mike przywoził materiały budowlane naszym wysłużonym renaultem, kiedy stawiał domek. To wyboista i kamienista droga, wzdłuż której toczą się strumyki przepływające niekiedy przez przepusty pod jej powierzchnią. Trzeba być świetnym kierowcą, by dojechać do samego domku. Udało mu się to tylko na motocyklu, nigdy nie dotarł aż do chatki samochodem.

Śnieg prószy równomiernie i majestatycznie, jak gdyby niebo rozbiło się na lekkie jak puch kawałeczki i spadało wolniutko nam na głowy. To wspaniałe uczucie. Jestem trochę zaskoczony, że śnieży, gdyż wciąż jest bardzo mroźno. Nie miałem pojęcia, że może padać śnieg, kiedy

temperatura powietrza wynosi cztery lub pięć stopni poniżej zera, a tyle chyba właśnie jest.

Nicole i Mike próbują lepić śnieżki, ale śnieg jest zbyt sypki, toteż szybko rezygnują. Podnoszę wielki kostur, na którym dostrzegam drobny ornament wystrugany nożem. To może być kij pasterski, który jakiś wieśniak porzucił albo zgubił na drodze. Teraz już wszyscy podpieramy się kijami. Wydaje mi się, że słyszę znowu słowa ballady o Dobrym królu Wenceslasie, które rozbrzmiewają w mojej pamięci. Najpierw przypomniałem sobie pierwszą zwrotkę:

*W świat wyruszyli król i paż,
W świat wyruszyli z ochotą,
Gdzie wicher srogi gna,
Gdzie noc wita ich niepogodą.*

A potem przypomniałem sobie tę część, w której paż powiada:

*Serce mi ścina mróz srogi,
Chyba nie zdołam przebyć tej drogi.*

A król rzecze na to:

*Dobry paziu o sercu czystym,
Krocz za mną śmiało,
A mróz siarczysty
Tak szybko twej krwi nie oziębi.*

Idę na końcu, stąpając po śladach, które pozostawili moi najbliżsi, starając się kroczyć równo jak po płytkach na miejskim chodniku.

W dole roztacza się przepiękny widok miasteczka Mile. Zawracamy w kierunku Morvan. Z lewej strony drogi rosną na polu drzewa owocowe, pod którymi leży trochę kompotowych jabłek. Z bliska okazuje się, że owoce są zgniłe albo rozdziobane przez ptaki. Każdą sierpowatą gruszkę czy dzikie jabłko otacza bieluteńki śnieżny kożuszek, który przypomina styropianowe opakowanie.

Ben wraca ze mną. Wnioskuje z jego spokoju, iż nie żałuje, że wybrał się na spacer z nami. Cieszy się, że spadł śnieg. Wiem, że Ben czuje się jednak przymuszony przez rodzinę do tego spaceru, ale przecież nikt nie może zawsze robić jedynie tego, na co ma ochotę.

Kiedy wracamy do młyna, ogień w kominku wygasa. Białe słońce zniknęło już dawno na zachmurzonym niebie, z którego sypie gęsty śnieg. Jest ciemno. Zapalam lampę pod stołem.

Loretta włącza lampę nad zlewem w kuchni. Ben i Mike próbują podsycić żarzące się węgielki w kominku, odwracając pogrzebaczem na wprost spalone polana i przesuwając zwęglone końce na środek. Ben wybiera gazety ze sterty starych egzemplarzy „Herald Tribune” i drze papier na małe skrawki, by rozniecić wygasający ogień.

Otwieram lodówkę i czuję zapach ciasta. Jest już wystarczająco zamrożone, by można wyciąć pierniczki i wstawić do piekarnika. Zwykle do mnie należy wykrojenie ciasteczek, potem Lor wstawia blaszkę do piekarnika i pilnuje, by pierniczki nie spaliły się na węgiel. Również do moich zadań należy wysmarowanie tłuszczem blachy, Ben ma delikatnie ułożyć gotowe, ciepłe pierniczki, uważając, by nie pokruszyły się, w słojach i puszkach. Zeszłego roku to on poukładał

ciastka na blasze i pomazał każdy odrobiną dżemu, zgodnie z przepisem mojej matki. Prawdopodobnie z tego powodu czuje się dzisiaj odsunięty.

Stół na młyńskim kamieniu pokrywa warstewka mąki, cieniutka jak pergamin. Piec rozgrzewa się dostatecznie, właśnie gdy pierwsza blacha jest gotowa. Loretta włączyła piekarnik, skoro tylko wróciliśmy do młyna. Zdejmuję na chwilę termometr ścienny, by sprawdzić, jaka jest temperatura w izbie — wskazuje znów dziewiętnaście stopni. Lor pragnie zainstalować w młynie centralne ogrzewanie, choć staram się jej to wyperswadować. Argumentuję, że tylko przez dwa tygodnie w ciągu roku, gdy spędzamy tu ferie zimowe, istotnie konieczne jest ogrzewanie w młynie. Ale prawdziwy powód mojego uporu jest zupełnie inny. Walka z zimnem to dla mnie sama przyjemność — szczególnie rąbanie drewna, wymiana butli z gazem w piecyku gazowym, rozniecanie ognia w kominku, sprawdzanie temperatury na termometrze. To wszystko daje mi złudzenie, że wykonuję jakieś ważne zadanie — biorę się za bary z prawdziwym przeciwnikiem. Nicole przygląda mi się, nakładając kleksy z dżemu na pierniczki.

— Podejź, tato! Zachowujesz się jak bęcwał...

Uśmiecha się. Jej twarz rozjaśnia słodki uśmiech, który zawsze mnie rozbraja. Ale nigdy nie jestem pewien, czy ona uśmiecha się do mnie, czy śmieje się ze mnie. I tak jest, odkąd skończyła siedem lat. Być może to wciąż ten sam przewrotny uśmiech siedmioletniej kokietki.

— ...sprawdzając, jak ciepło jest tutaj. Różnica pomiędzy temperaturą na dworze a temperaturą w środku młyna wynosi aż dwadzieścia pięć stopni.

Równocześnie wyglądamy przez okna. Na zewnątrz jest bardzo pięknie. Ciągłe pada śnieg — powoli, majestatycznie, jak we śnie. Ogarnia mnie błogie uczucie podobne do tego, jakiego doznaje pacjent w szpitalu po zastrzyku morfiny, która nie tylko uśmierza ból, ale daje poczucie bezpieczeństwa, izolacji.

Maggie rozgląda się.

— Ludziska, to prawdziwa gwiazdka! Wiem, że to bajka! Ale chociaż tyle strasznych rzeczy dzieje się na świecie, to naprawdę wspaniałe, że możemy zapomnieć na chwilę o wszystkim i udawać, że całe zło minęło jak niedobry sen. Nawiasem mówiąc, kiedy będziemy mogli spróbować pierniczków?

Lor zagląda do piekarnika. Wyciąga blachę z przyrumienionymi wypiekami.

— Wyglądają na dobre, prawda?

Stawia blachę na stole. Pokój wypełnia delikatna woń orzechów włoskich zmieszana z zapachem gorącego dżemu truskawkowego. Mike częstuje się pierwszy.

— Ależ łasuch ze mnie! — zauważa, przetykając ślinkę.

Podnosi szpatułką pierniczek z blachy. Dmucha, by go ostudzić. Wsuwa ciasteczko w usta, chrupie. Nicole, Maggie, Ben i Loretta biorą również po jednym. Ja wybieram mniej dopieczone. Z reguły nie lubię wypieczonych lub przypalonych. Lubię mięciutkie. Ogryzam dookoła pierniczek. Maniakalnie lubię to robić. Zawsze pałaszuję najpierw skórkę z chleba.

Pierwszy świąteczny pierniczek smakuje wybornie. Rozkosz dla podniebienia! Wszystkie następne to już tylko wtórna przyjemność, folgowanie mojemu przyrodzonemu łakomstwu, objadanie się. Ale smak tego pierwszego jest niezapomniany i budzi wspomnienia z czasów, kiedy byłem młodszy od Bena, dużo młodszy, a moja matka wypiekała te pierniczki w ciasnej kuchni w szeregowcu na peryferiach Chicago. Zawsze pozwalała mi zjeść przed Bożym Narodzeniem tylko jedno ciastko, jednego jedynego pierniczka w wigilijny wieczór. Czas ma szczególne właściwości. Smak jednego pierniczka może sprawić, kiedy zamykam oczy, że powracam do dzieciństwa, a pół wieku, które przeżyłem, znika bez śladu.

Większa część mojego życia uleciała w unoszącym się w powietrzu smakowitym zapachu pierwszego pierniczka.

Wypiekanie trwa do późnego popołudnia. Ben przekłada wypieki z blachy do słoików, potem do blaszanych puszek. Wreszcie ciasto z lodówki zostaje pokrojone i ostatnia blacha z gorącymi pierniczkami opróżniona. Patrzę na zegarek. Dochodzi siódma. Myślę o wyciszeniu duchowym, którego zawsze doświadczam w wigilijny wieczór.

Mike jedzie na moim motocyklu do domostwa rodziców Geneviève. Myślę, że chociaż cieszy się z przyjazdu, jest niespokojny. Odwieczny konflikt między odpowiedzialnością a przyjemnością.

Spożywamy lekką kolację. Wybieramy się dzisiaj na wigilijną biesiadę. Zarówno Nicole, jak i Maggie chciałyby się wymówić, ale byłaby to obraza dla całej wsi. Wspólna wigilijna biesiada wiele znaczy dla wieśniaków z Morvan. Życie na wsi jest trudne, toteż kiedy zdarza się okazja do świętowania, wszyscy przychodzą na festę.

Starszy syn madame Le Moine pracuje w wielkim sklepie rybnym w Auxerre położonym około dwustu kilometrów stąd. O szóstej w wigilijny wieczór szef firmy powiada zwykle do swoich pracowników, że mogą wziąć za darmo tyle towaru, ile zechcą, bo i tak te przekłete mięczaki zepsują się przez święta. W Wigilię Philippe, syn madame Le Moine, i Claude, syn madame Calvet, siedzą jak na szpilkach, czekając na telefon z Auxerre, że ostrygi i małże są przygotowane do wywózki. Młodzieńcy wyjeżdżają ze wsi jak królowie szos, pędząc na złamanie karku, co świadczy, że są nieodrodnymi synami Morvandeau, znanymi w okolicy z brawury. Jadą, by przywieźć darmowe mięczaki na wspólną wigilijną biesiadę. Jak pamiętam, to świąteczne szaleństwo powtarza się rokrocznie już od dziesięciu lat. W drodze powrotnej jeden z nich prowadzi samochód, podczas gdy drugi otwiera piętnaście tuzinów ostryg i mięczaków i wyłuskuje dwadzieścia tuzinów małży, które mają stanowić tylko *hors d'oeuvres* (przystawki).

Zachowam w tajemnicy przed dziewczętami, że głównym daniem w czasie wigilijnej biesiady będzie pieczeń z wieprzka, którego pomagałem zabić kilka dni temu u Calyetów. Nie muszę o tym mówić, prawdopodobnie już dowiedziały się. Mój udział w świniobicie daje mi poczucie, że zasłużyłem na tę wieczerzę.

Tradycyjnie wigilijna biesiada kończy się degustacją *bûche de Noël*, płonącego ciasta, które zostało specjalnie zamówione w piekarni w Ligny. Właściwie to największy wydatek ze wszystkich. Będzie również wino, które Claude i Philippe kupili w beczkach, rozlali do butelek i zakorkowali cztery lata temu. Od lat na gwiazdkę pijemy czteroletnie wino. Dla spragnionych mocniejszych trunków będzie *naöle* i zwykle jedna „kupna” butelka whisky.

W Morvan nikt nie pije whisky, która smakuje jak błotnista woda w porównaniu z mocą i zapachem *naöle*. Być może rokrocznie stoi na stole ta sama butelka. Domyślam się, że wieśniacy kupili ją pierwszego roku dla mnie, ponieważ na filmach w kinach i telewizji wszyscy Amerykanie piją tylko whisky. Ci ludzie są tak mili, że w końcu czujesz się winny prawie przez cały czas. *Rendre service* — co oznacza w wolnym tłumaczeniu: „Czy mógłby pan oddać mi przysługę?” stanowi tutaj najczęstszą formę grzecznościową niemal w każdej rozmowie.

Po kolacji zaczynamy stroić choinkę. Nicole przywiozła oryginalne łańcuchy, których nie można kupić we Francji. Te, które kupiła w Stanach, różnią się od metalicznych, błyszczących łańcuchów, jakie pamiętani z dzieciństwa. Cacka Nicole są zrobione z bardzo lekkiej substancji, która rozbłyskuje świetlicie i powiewa przy najlżejszym ruchu powietrza. Nicole rozpakowuje swoją torbę na stryszku i schodzi z nareczem łańcuchów. Przechodząc przed lustrem, trzyma łańcuchy nad głową. Jej twarz ukazuje się w srebrnej aureoli.

— Ludziska, wyglądam jak zła macocha królowy Śnieżki!

Maggie stoi za nią, ściskając w prawej ręce chusteczkę. Jest leworęczna i z nieznanego

powodu od dzieciństwa zawsze trzyma chusteczkę lub papierową serwetkę w jednej lub drugiej ręce. Kołysze biodrami, śmiejąc się głośno.

— Nie, Nickie, niezupełnie tak. Wyglądasz jak Królowa Śniegu. Gdybyś jeszcze siedziała na saniach zaprzężonych w wilki i powożonych przez karzełka. Jesteś piękna!

Nicole drapuje srebrne łańcuchy na głowie Maggie.

— Nie! Ty jesteś bardziej w typie królowej, Peg. Królowe bywają zawsze wysokie, nigdy nie mają mniej niż pięć stóp i trzy cale wzrostu.

Lor, która zawiesza bombki na choince, spogląda w górę i mówi:

— Królowa Elżbieta I, być może najważniejsza królowa w całej historii, była drobną kobietą, Nickie. Możliwe, że jesteś królową, choć wcale o tym nie wiesz.

— Zachowaj to dla siebie, mamó. Zrobisz ze mnie jeszcze prawdziwą królową. Dziękuję w każdym razie.

Podchodzi z tyłu i zawiesza srebrny łańcuch na głowie Lor.

— Oto jak wygląda prawdziwa królowa!

Przysuwam krzesła po obu stronach choinki.

— Kto zawiesi bombki u samej góry? Czy zgodzicie się, że na wierzchołku powinniśmy zawiesić raczej małe bombki?

Próbuję tylko ruszyć sprawę z miejsca. Lor podchodzi do mnie z pełną garścią bombek.

— Ty przystroisz choinkę z tej strony, Will, a Ben ubierze ją z drugiej strony. Będę wam podawać bombki. Przyczepiłam już druciki.

Ben i ja wchodzimy na krzesła. Choć Ben jest wyższy ode mnie, ma lęk wysokości, więc może Lor nie wybrała najlepiej. Chłopak staje ostrożnie na krześle, prostując się powoli.

— Proszę, Ben! Umocuj tę gwiazdę na samym szczycie!

Lor podaje mu gwiazdę. Wychylam się ze swojego krzesła i przyginam czubek choinki, ażeby Ben mógł osadzić gwiazdę na wierzchołku drzewka. Chłopak musi zadać sobie dużo trudu, by wsunąć w malutki otwór bulwiasty czubek choinki. Ben ostrożnie zestruguje go szwajcarskim wojskowym nożem, potem nasuwa gwiazdę. Powolutku odgina wierzchołek choinki, który wraca do poprzedniej pozycji. Udało mu się doskonale.

Nicole i Maggie przyczepiają na gałązkach klamerki do świeczek, zawieszają również średnie bombki. Mamy naprawdę prześliczne ozdoby choinkowe, które zgromadziliśmy w ciągu wielu lat. A odkąd stroimy również mniejszą choinkę, jest w czym wybierać. Nickie odchodzi nieco od drzewka, by sprawdzić efekt.

— Myślę, że trzeba się upewnić, czy kolory bombek są dobrane właściwie i nie ma pustych miejsc na choince.

Podchodzi do lodówki, wyciąga butelkę Chablis i nalewa sobie pół kieliszka. Loretta i Maggie dalej krzątają się przy choince. Maggie obrzuca Nicole szybkim spojrzeniem, potem zerka ukradkiem na matkę, ale Lor wlepią wzrok w drzewko z twarzą rozjaśnioną tym swoim cudownym, wszechobejmującym, prawie kretyńskim uśmiechem. Ten czarodziejski uśmiech powinien ściągnąć tutaj pielgrzymki z całego świata, przywołać tysiące statków jak głos syreny obiecującej nieziemskie szczęście, ale zwabił tylko jednego głupca, który odkrył go bez sekstansu, kompasu czy mapy, i czworo dorosłych dzieciaków, które wciąż nie znają drogi do najbliższego horyzontu. Ona naprawdę jest zbyt dobra jak na nas.

Czasem wydaje się zniechęcona, być może nie oczekuje już niczego. Zawsze próbuję czytać w ludzkich myślach, ale przeważnie babrzę się we własnych. Odwracam się.

— Nicole, czy mogłabyś mi doradzić, gdzie mam zawiesić tę bombkę? To najmniejsza bombka, sam nie wiem, gdzie będzie wyglądała najlepiej.

Ben pochyła się na krześle, jak gdyby odbywał samotną wspinaczkę na wieżę Eiffla podczas

wichury. Nicole wskazuje palcem, gdzie mam zawiesić bombkę.

— Tutaj, prawie pod samą gwiazdą jest pusta przestrzeń. Tutaj również powinieneś zaczepić srebrny łańcuch, skoro już tam sięgasz.

Podaje mi lśniący łańcuch. Spoglądam na Lorette, uśmiecham się.

— Nie martw się, kochanie. Obiecuję, że nie rzucę go po prostu na gałęzie, ale ułożę delikatnie, uważnie i z wdziękiem, wybierając starannie nie ozdobione gałązki.

Lor uśmiecha się szeroko i puszcza do mnie perskie oczko.

— Zawieś go, jak chcesz, Will! Wiem, że zrobisz to dobrze. Nie masz wcale ptasiego mózdzku, jak udajesz, spryciarzu.

— Och, nie, mam! Zdajesz się na łaskę faceta, który podrzuca bezmyślnie piłeczkę. Ja już wiele razy widziałam, jak to tato stara się zawiesić łańcuchy na choince, ot, wyrzucając je po prostu w powietrze. Niektóre nawet przelatywały nad choinką i lądowały na podłodze. Nie po to przywiozłam te błyskotki aż z San Diego.

— Przysięgam, Nicole, że będę uważał na każdy łańcuch, jakby był z prawdziwego złota. Nie zastosuję *laissez-faire*, czyli polityki wolnej ręki, rozrzucając byle gdzie te śliczności.

— Nickie, tato! Nie kłóćcie się, przecież są święta.

— Przepraszam. Muszę zawiesić te łańcuchy.

Kończymy strojenie naszej choinki. Ben czyta przy stole, odrywając się raz po raz od książki, by ocenić nasze starania. Lor mocuje świece. Maggie upina ostatni łańcuch w girlandach. Przyglądam się choince z daleka, zmiierzając do narożnika, by przysiąść na chwilkę na łóżku. Wszystko wygląda wspaniale, dzieci zachowują się rozsądnie. Panuje błogi spokój. Zdaje się, że nic nie zapowiada burzy, nikt nie próbuje wywołać awantury.

Jest już zmierzch. Gramolę się na klęczkach na łóżku i wyglądam przez zachodnie okno. Jedyne latarnie w miasteczku pali się już. Śnieg sypie tak gęsto i równomiernie jak na kartce świątecznej. Drogę przykrywa gruba puchowa kołderka, krzaki uginają się pod ciężarem śniegu.

Wstaję z klęczek, podchodzę do kominka i dokładam polano do ognia. Choinka stoi blisko niego, ale nie obawiam się, że może zapalić się od iskry. Drzewko jest zielone, a iskry nie wylatują z głębokiego paleniska. Jednak chicagowska straż pożarna zażądałaby ode mnie, bym zainstalował dwa rodzaje czujników i potrójny alarm. Potem prawdopodobnie rozpętałby się „holocaust” — gorączkowe myślenie o tym, co może się zdarzyć. Tego jestem naprawdę pewien, o ile można być pewnym czegokolwiek. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu!

Lor zaczyna śpiewać, jakby była zaniepokojona czymś, ale wtórują jej wszyscy. To Cicha noc. Śpiewamy spokojnie, zgodnie. Nikt nie próbuje grać gwiazdy. Nawet Ben przyłączył się do naszego chóru. Kończymy kolędę Nad Dzieciątka snem, nad Dzieciątka snem — i zapada cisza.

Posiadam szczególną pamięć, toteż w ciągu wielu lat przywykłem do tego, że śpiewamy kolędy w ustalonej kolejności, której nigdy nie zmieniamy, nieświadomie przestrzegając... świętego porządku. Zatem, gdy kończy się Cicha noc, automatycznie podejmuję O przybywajcie wierni pasterze!

Kiedy dzieci były młodsze i nie toczyły wydumanej walki o swoje prawa, wieczór wigilijny mijał cudownie. Wszyscy wydawali się zadowoleni, kiedy ktoś intonował kolejną kolędę, ale dzisiaj wystrzegam się, by narzucić swoją wolę. Nie chcę grać roli surowego ojca, szczególnie teraz.

Czekam. Wciąż panuje milczenie. Wreszcie Maggie, która również wpoila sobie przez lata porządek kolęd, zaczyna nucić *O przybywajcie wierni pasterze!* i śpiewamy znowu. I tak jest z każdą następną kolędą. Śpiewamy, krzątając się i zajmując wieloma sprawami. Lor wynosi z powrotem opakowania na bombki. Nicole zamiata pod choinką. Maggie siedzi przy stole, pisząc

list, mam nadzieję, że do męża. Ben gmera pogrzebaczem w ogniu. Lor przynosi adwentowe świece i zapala je. Adwent nie ma dla nas wielkiego znaczenia, ale uwielbiamy światło płonących świec w pograżonym w ciemności pokoju.

Słyszę warkot motocykla, na którym Mike zjeżdża ze wzgórza Vauchot. Wiem, że nie chciałby spóźnić się na wspólne śpiewanie kolęd. W pewien sposób jest najbardziej sentymentalnym dzieckiem spośród naszej czwórki, bardziej nawet niż Maggie. To tak trudno wyrazić, ale wiedza o naszych dzieciach zależy od tego, ile zechcą powiedzieć czy pokazać, a zwykle ujawniają tak niewiele.

Co ci sprawia przyjemność? — to pytanie zadaję sobie ostatnio. Z czego czerpię przyjemność? Czego oczekuję od życia? Jakiej nagrody, jakiego spełnienia? Czego pragnąłem najbardziej? Przeżyłem chwile upojnej radości w przeszłości i przeżywam teraz. Jednak zawsze wydawało mi się, że wykradałem je życiu, nie czekając na przyzwolenie. Podświadomie utwierdziłem się w przekonaniu, że nie ma nic oprócz osobistych złudzeń, fantazji i fanaberii, które podtrzymujemy, by nie popaść w obłąd.

Jedną z przyjemności, której szukałem, oczekiwałem, gdy zbliżałem się do czterdziestki i ledwie przekroczyłem ją — całe wieki temu — stanowiła obserwacja moich dzieci — przyglądanie się, jak dorastają, jak zaczynają żyć na własny rachunek, zastępują mnie w walce o lepsze życie. Jednak moje oczekiwania i nadzieje rozwiały się jak dym. Wszystko w porządku, jeśli karmię się złudzeniami. Muszę jednak baczyć, by nie trwało to zbyt długo, gdyż mogę obudzić się z ręką w nocniku, czyli odarty z wszelkich złudzeń. To może stać się tak łatwo.

W pewnej mierze nasze dzieci są niezależne, tak jak pragnęliśmy. W ich życiu nie ma już miejsca dla mnie i Lor, choć stanowimy dla nich pewnego rodzaju oparcie psychiczne i — w najlepszym razie — jesteśmy dla nich czymś w rodzaju ostatniej deski ratunku lub worka treningowego.

Nie wiadomo dlaczego granica między pragnieniem a spełnieniem jest zawsze tak mglista.

Mike wchodzi po schodach, obsypany śniegiem. Chyba ta cała jazda motocyklem po wzgórzach stanowiła jakiś fortel, sztuczkę, być może chciał nas oszukać. Mike ma czerwony nos, błyszczą mu oczy. Wygląda jak młodzianki święty Mikołaj, który osobiście zawitał do naszego młyna, wnosząc radość i pewną tajemniczość, rodem z bieguna północnego. Mike przytupuje, strząsając śnieg wpierw z butów i ubrania, potem z brody i włosów. Siada przy stole pomiędzy Lor i Maggie.

Intonuje następną kolędę, zgodnie z ustalonym przed laty porządkiem: Radość światu. Śpiewamy na całe gardło. Mike, wciąż podniecony śniegiem i wycieczką motocyklową wśród wzgórz, wystukuje ręką rytm na blacie stołu. Życie nie może być radośniejsze. Żałuję, że nie mogę zamknąć na zawsze tych wspaniałych chwil w lodowej kapsułce w taki sposób jak jagody oszklone przez poranny mróz, które przechowały wszystkie słodkie soki lata, dostępne jak na wyciągnięcie ręki. Pamięć to również taka lodowa torebka, w której zachowały się najśłodsze wspomnienia.

Kiedy skończyliśmy kolędę, spojrzałem na zegarek. Jest wpół do dziewiątej. W żaden sposób nie potrafię wytłumaczyć nieodpartego pragnienia, by pójść na mszę, pomimo że zwykle nie chodzę do kościoła. Według definicji nie jestem ani chrześcijaninem, ani nawet wyznawcą jakiegokolwiek dogmatu religijnego, ale na swój sposób jestem religijny. Moje pogaństwo wyrasta z mistycyzmu, jak przypuszczam. Msza odprawiana w noc Bożego Narodzenia jest dla mnie tym, czym gwoździe w krzyżu, czyli prawdą, która wiąże nas z marzeniem, pragnieniem, nieziemską ideą. Niemniej jednak każdego roku, odkąd mieszkamy tutaj, chodzę na pasterkę. Chodziłbym nawet wówczas, gdyby, tak jak bywało niegdyś, msza zaczynała się dopiero o

północy. Dla mnie to część Bożego Narodzenia. Lubię, kiedy ludzie gromadzą się razem tej nocy, również odszczepieńcy podobni do mnie, którzy rzadko zachodzą do kościoła. Zbieramy się pod sklepieniem kamiennej świątyni, w której Maggie i George wzięli ślub, gdzie pomagałem w pogrzebie zmarłych wieśniaków: monsieur Calveta i madame Jourdan. Udział w pasterce oznacza dla mnie pożegnanie ze starym rokiem, z czasem, który przeminął bezpowrotnie, i powitanie nowego roku, jakikolwiek będzie; to jeszcze jeden krok, który przybliży mnie do ostatecznego zniknięcia.

Czarowny nastrój pryska, kiedy cztery różne samochody z Moulin de Tonnere i dwa z Mile zatrzymują się, a kierowcy proponują, że mnie podwiozą, choć wieśniacy wiedzą już, że lubię swój doroczny spacer. Idę dalej, mimo że wydaje im się to niewiarygodne z powodu śnieżycy.

A śnieg sypie jak nigdy. Droga nie jest szczególnie śliska, ale jestem zadowolony, że założyłem śniegowce z karbowanymi podeszwami. Gdybym miał na nogach zwykłe buty, musiałbym chodzić na czubkach palców jak baletnica, by nie upaść. Jest zimno, choć wieje niezbyt silny wiatr. Wszystko opatula gęsty śnieg, którego płatki wirują wokół mnie.

Skrećam ostatni raz, mijam krzyż na poboczu drogi i dostrzegam niewyraźne światła Ligny. Samochody wjeżdżają na strome wzgórze i parkują na place. Na placu stoi statua poświęcona poległym bohaterom minionych wojen. Na kamiennym cokole wyryto mnóstwo nazwisk żołnierzy, poległych w pierwszej wojnie światowej, kilka nazwisk zabitych w drugiej wojnie światowej i nazwisko żołnierza, który zginął w Algierii. Posąg przedstawia *poilu* — żołnierza piechoty. Stoi pod kościołem w ciemności, zardzewiały, przyprószony śniegiem, wpatrując się ślepo w rozdzierający serce śnieżny krajobraz. On jest prawdopodobnie bardziej „rzeczywisty” dla mieszkańców, częściej wspominany niż którykolwiek z tych żołnierzy, których upamiętnia, zgniłych dawno temu w ziemi w różnych miejscach na całym świecie. Ten *poilu* musiał zostać w domu, by strzec place, kościoła, swoich przyjaciół i ich potomków w nadchodzących niepewnych czasach.

Przytupuję i strząsam z siebie śnieg. Siadam w bocznej nawie pośrodku kościoła. To moje stałe miejsce. Siedzę tutaj, skąd będę mógł się wymknąć niepostrzeżenie, gdy kazanie mnie znuży.

Tutejszy proboszcz to prawdziwy nieudacznik. Domyślałem się, że biskup zsyła tu w ramach pokuty księży, którzy gdzieś tam podpadli z tych lub innych powodów. Choć w naszej okolicy mamy wielu starców i ludzi obłożnie chorych, ten księżulo nigdy nie odwiedza samotnych ani nie pielgrzymuje po okolicy, by pocieszyć cierpiących. Za to spędza czas, krążąc w swojej simce i odwiedzając wszystkich notabli w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Zawsze z wygasłym papierosem „Gauloise” w kąci ust. Rozmawia z petem w ustach. Zapala swojego papierosa równie często jak fajczarz swoją fajeczkę, ale po chwili papieros gaśnie. Chyba dlatego, że jest wilgotny od śliny. Proboszcz z Ligny nosi spłowiałą sutannę, jest gruby i cuchnie. Chatelains i manoir — właściciele zamków i dóbr ziemskich — wzdrygają na samą myśl o jego odwiedzinach. Proboszcz nie wzbudza ani odrobiny sympatii, choć myślę, że gdybym mógł zrozumieć, co mówi, być może nie budziłby we mnie aż takiej odrazy. Swoje kazania bełkocze nad wyraz niewyraźnie. Wieśniacy również przyjmują na wiarę jego słowa, gdyż obmierzły katabas, choć stara się naśladować gwarę z doliny Morvandeau, mówi obcym dialektem, wypowiadając słowa w taki sposób, że nikt nie może go zrozumieć.

Philippe twierdzi, że nie rozpoznaje w mowie proboszcza żadnego lokalnego słowa, a słyszał wiele dialektów, kiedy przebywał w Algierii, służąc w piechocie podczas wojny algierskiej.

Nawet gdy modli się przed ołtarzem, gdzie wreszcie wyjmuje peta z ust i stara się mówić donośnym głosem, wierni słyszą tylko niewyraźne mamrotanie. Ministranci, synowie monsieur

Pinsona, wydają się tym speszeni. Podchodzą do ołtarza z niewłaściwej strony, nie klękają, kiedy powinni uklęknąć. *Monsieur le curé* traci w efekcie zbyt wiele czasu na sygnalizowanie ministrantom, co mają robić. Ewangelia i kazanie są niezrozumiałe. Chyba lepiej byłoby, gdyby wierni w czasie religijnego uniesienia wpatrywali się w ścianę niż w mamroczonego księdza.

Oto jestem w kościele. Uczestniczę w pasterce, medytując na sposób, w jaki robią to wierni w Morvan. Najpierw odbywam małą wycieczkę po świątyni, oglądając wszystkie stacje „drogi krzyżowej”. Wspominam moich rodziców, rozmyślając o tym, co się dzieje z ludźmi po śmierci. Staram się wyobrazić sobie duszę człowieka, która odradza się znowu w kolejnym wcieleniu, przechodząc po magicznym dywanie czasu.

Zatrzymałem się przed żłóbkiem, który urządziła madame Policott, żona burmistrza. Przyglądam się okazalej stajence, sprawdzając, czy wszystkie postaci i bydlątka stoją na dawnym miejscu, czy przybyły nowe figurki. Jednak stajenka jest taka sama jak zawsze. To uspokaja. Przymykam oczy i cofam się myślami dwa tysiące lat, próbując przenieść się z mokrego, zimnego Morvan na suchą, zimną pustynię. Ale to daremny wysiłek dla wyobraźni.

Klęczę, więc mógłbym oddać się gorliwej modlitwie. Wdycham mieszaną zapachów. Rozpoznaję woń naftaliny unoszącą się z ubrań wiernych, potem aromat odwiecznego kadzidła połączony z zapachem świeżego wapna na bielonych ścianach — wilgotnych i zagrzybionych — oraz zapach pleśni w zakamarkach murów. Boże, gdybym miał porzucić to pełne złudnej prostoty życie, nie mógłbym już nigdzie znaleźć swojego miejsca. Może naprawdę jestem, może po prostu jestem.

Stoję, klękam lub siedzę, zmieniając pozycję zgodnie z tokiem mszy. Postępuję tak, jak ciżba wiernych przede mną. Miejscowy porządek mszy nie ma nic wspólnego z porządkiem nabożeństw w Ameryce. Tutaj, w dolinie Monrandeau, wielka pajęczyna Watykanu pozrywała się.

Śpiewamy francuskie kolędy, w tym moją ulubioną — *Il est né le divin enfant*. Rozpoczynamy cicho, a potem kontynuujemy z werwą. Nasze głosy i ciała rozgrzewają ponure, zimne wnętrza, oddalając cmentarną ciszę i zapach tego przedśionka grobowca. Potem przyjmuję komunię świętą wraz z moimi sąsiadami. Biorę hostię do ręki i wkładam do ust, popełniając świętokradztwo, takie jak w czasach mojego dzieciństwa, kiedy przystępowałem do stołu pańskiego bez spowiedzi i rozgrzeszenia. Komunikanty zawsze smakują tak samo. Gdy byłem chłopcem, myślałem, że w opłatku jest kropelka wina. Liturgiczne aspekty świętej eucharystii pozostały mi niedostępne. Miałem dziesięć lat, gdy zdałem sobie sprawę, że tylko kapłan dostępuje pełnej komunii, spożywając chleb i wino. Ale zawsze czułem na języku smak wymagowanego wina z hostii z czasów mojego dzieciństwa.

Wypowiedziałem żarliwą prośbę, którą można by nazwać modlitwą. Prosiłem Boga, by sprawił, żebyśmy w to Boże Narodzenie nie ranili się wzajemnie. Tak trudno spełnić czyjeś oczekiwania, okazać miłość, kiedy wezmą górę zbyt silne emocje. Mam nadzieję, że sam nie popełnię błędu. Szczególnie żarliwie proszę Boga, by nie rozdzielił Lor i mnie. Nie jestem pewien, co zagraża naszemu związkowi, ale próbuję się bronić. Mamy tak wiele wspólnego, jesteśmy sobie tak bliscy. Byłoby nierozsądne zniszczyć to wszystko, rozbijając nawet naszego małżeństwa na skałach cnoty i dumy.

Spacer ze wzgórza jest cudowny. Noc jaśniejsza niż wtedy, gdy zbierałem ostrokrzew, bardziej widna niż podczas mojej złodziejskiej wyprawy po choinkę. Świeży śnieg skrzy się, cieszy oczy miriadami płatków, które spływają z ciężkiego, ołowianego nieba jak maleńkie hostie.

Wyprzedza mnie siedem samochodów. Kiedy zwalniają, by podwieźć mnie kawałek, dają znak kierowcom, że wolę wracać na piechotę. Wcale się nie dziwię, że uważają, iż Amerykanie

są zwariowani.

Kiedy przyszedłem do domu, wszyscy się już wystroili na wigilijną wieczerzę. W Morvan oznacza to, że założyłeś najczystsze ubranie, jakie akurat masz, umyłś twarz w zimnej wodzie i uczesałeś się. Ja ubrałem się już do kościoła, toteż jesteśmy gotowi do drogi. Ben, tak jak się spodziewałem, postanowił, że pozostanie w domu. Wymawia się łagodnie, pochylony nad książką, zauważając jakby od niechcienia, że nie lubi potraw, które gospodarze serwują podczas biesiady. Jak na chłopaka, który dorastał niemal wyłącznie we Francji, Ben ma dość wybredne podniebienie. Maggie, oczywiście, również wołałaby się wykręcić. Nicole jest nadmiernie ożywiona, ma rumieńce na twarzy, porusza się szybko. Czyżby w przewidywaniu dobrej zabawy? Myślę jednak, że cieszy się raczej na dobre wino, które zawsze lubiła.

Powinienem w tym miejscu skomentować raczej dziwne zjawisko, które występuje w naszej dolinie, a może nawet w całym Morvan. Sądzę jednak, że to tylko miejscowy zwyczaj. Mamy w okolicy bardzo wielu nieskorych do żeniaczki kawalerów, na których łypią pożądliwie miejscowe panny na wydaniu. Rozpiętość wieku tych samotnych mężczyzn wynosi od dwudziestu trzech lat (a więc rówieśników Nicole) aż do „tatuśków” grubo po czterdziestce. Tylko w naszej wsi mieszka Philippe, który ma trzydzieści siedem lat, Jacaues liczący sobie dwadzieścia osiem lat i młodzutki Clement. Jak na pięć domostw, to raczej spora liczba. W Mile mieszka kolejnych dwóch kawalerów, w Huis Billard również para, a w Huis de Bras jeszcze jedna. Wszyscy mieszkają w odległości zaledwie kilometra od siebie.

Ci zatwardziali kawalerowie zbierają się razem i wyruszają na męskie kolędowanie. Pod pewnym względem zgromadzenie kawalerów wiąże się z rozpoczęciem nowego sezonu łowieckiego i strzelaniem do zwierzyny. Kawalerowie kolędują po okolicy, odwiedzając po kolei wszystkie małżeństwa i tańczą w każdym domu aż do białego rana. W czasie tej męskiej kolędy tańczą na wszystkich parkietach w okolicy, w całej dolinie Morvandeau. Biorą udział we wszystkich zabawach w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Tańczą, tego piją i gardłują, ale przede wszystkim kpią z siebie wzajemnie.

Wszyscy kawalerowie przyjeżdżają na wigilijną biesiadę w naszej wsi. Za nic nie chciałbym być dziewczyną, która spróbowałaby wkroczyć w tę koterię. Wcale nie uważam, że są oni jawnie homoseksualni, w każdym razie nie bardziej niż jakikolwiek mężczyzna, który regularnie uczestniczy w rozgrywkach krykietowych, grywa w pokera czy należy do sportowego klubu dla zwykłej przyjemności.

Od zeszłorocznych świąt wykruszyło się z grona zatwardziałych kawalerów dwóch, ale nie z powodu ożenku. Obaj po prostu umarli. Jednym był młodszy z braci Carronów. Dwaj bracia wyrosli w gospodarstwie na południowym wzgórzu. Żyli samotnie, odkąd pięć lat temu zmarła ich matka. Obsiewali wspólnie pola, jeszcze zanim kupiliśmy nasz młyn. Starszy brat, silny, pracowity, przystojny i zawsze uśmiechnięty, był małowówny i nosił okulary. Młodszy, brzydki tłuscioch, przeciwnie, nigdy nie pracował ciężko, zawsze znalazł wymówkę od roboty. Za to gadał za dwóch. Stanowili podobną parę jak George i Lennie z *Myszy i ludzi*. Obaj byli znani ze swej siły i chęci do niesienia pomocy innym w potrzebie lub niebezpieczeństwie. Starszy brat miał na imię Paul, a młodszy Riri. Nie mam pojęcia, skąd pochodzi imię Riri. Nie spotkałem się nigdy więcej z tym imieniem. Na Wielkanoc Riri, który miał zaledwie trzydzieści pięć lat, dowiedział się, że ma nowotwór złośliwy, którego nie da się już zoperować. Nie minęły nawet trzy miesiące, jak niemal z pola trafił na cmentarz. Dowiedziałem się od ludzi, iż tłuscioch tuż przed śmiercią wychudł tak, że pozostały zeń tylko skóra i kości. Paul, starszy brat, pracuje teraz samotnie. Zawsze kłania się, kiedy przejeżdża koło nas traktorem, i to wszystko. Żyje samotnie w ogromnym domu na farmie na wzgórzu. Madame Le Moine i madame Calvet martwią się, czy samotny gospodarz je ciepłą strawę, czy radzi sobie ze sprzątaniem w wielkim domu i obejściu.

Paul prawdopodobnie przyjdzie na dzisiejszą biesiadę. To będzie pierwsze jego spotkanie z sąsiadami od pogrzebu brata.

Jak się dowiedziałem, drugim zatwardziałym kawalerem, którego zabrała śmierć w tym roku, był syn monsieur Boudine'a, który zginął w wypadku motocyklowym. Przez dwa ostatnie lata był duszą towarzystwa podczas dorocznej wigilijnej biesiady. Zawsze sypał żartami jak z rękawa, pogodny, miły chłopiec. Nie mogę w to uwierzyć, że nie spotkamy już tego wesołego młodzieńca.

W wigilijnym spotkaniu weźmie udział sześć kobiet liczących powyżej siedemdziesięciu lat, wraz z madame Calvet, Loretta i ja, który przekroczyłem półwiecze. Od trzech dziesięcioleci obowiązuje zakarbowany porządek biesiadny, którego wieśniacy przestrzegają jak raz ustalonego rytuału. Święty czas wigilijnej zabawy nie kłóci się z tak zwaną rzeczywistością.

Mam nadzieję, że Nicole i Maggie zdecydują się na to wiejskie świętowanie. Poprzednio, kiedy były nazbyt młode, wołały pozostać w domu jak Ben albo wrócić wcześniej. Wśród podochoconych gości króluje Katie, córka madame Calvet, rówieśnica Maggie, która jest bardzo kobietą brunetką, lubiącą się zabawić.

Lor jest w zupełnie w odmiennym typie. Zniesie pogwarki wieśniaków, obfite jadło, rubaszne żarty i ogólną wesołość, nawet nie mrugnie okiem, gdy słyszy grubiański dowcip, ale nie zdzierży dłużej, kiedy podchmieleni biesiadnicy zaczynają rzucać w siebie tortami i wyprawiają dzikie brewerie w tańcu. Nie przepadam również za takim sposobem spędzania czasu. Chyba w głębi duszy pozostałem mieszczańskim snobem.

Taniec wykonywany podczas tego wieczoru nazywa się *bourou*. Tańczy się go do muzyki, która przypomina starą wiejską muzykę irlandzką, szkocką, a może bawarską. Do tradycyjnego składu instrumentów, na których przygrywa zespół, należą akordeon, skrzypce i dudy. Taniec polega głównie na przytupywaniu w szaleńczym rytmie.

Tańczy się twarzą w twarz, noga przy nodze. Pomimo że krok jest łatwy do opanowania, ja zapominam go co roku i muszę uczyć się powtórnie. Już po raz dwunasty. Jedną z figur jest obrót i zmiana kierunku, co przypomina zabawę w kółko graniaste, czworokanciaste, ale bez wodzireja, który podpowiada, jaką figurę należy wykonać. Wszyscy tańczą, klaszczą i przytupują. Cała gromada rozbawionych i pohukujących tancerzy przesuwa się po sali. Cieszę się tym zwykle przez dwa, trzy kawałki. Zorientowałem się nawet, o co w tych płaszach chodzi, ale monotonna muzyka nuży mnie.

Idziemy brzegiem stawu, oświetlając drogę latarką. W oknach domu Calvetów palą się światła. Mam nadzieję, że nie wzbudzimy wielkiej sensacji naszym przybyciem.

Nie zapomnę nigdy wigilijnej biesiady (bodajże trzeciej lub czwartej z naszym udziałem), kiedy wracając do domu, wpadłem do stawu. Przy samym brzegu głębokość wody wynosi zaledwie trzy stopy, toteż tylko zmoczyłem się i zmarzłem. Jednak wieśniacy uważają do dziś, że to najzabawniejsze zdarzenie w historii Morvan. Loretta twierdziła, że jestem pijany, i naprawdę byłem pijany — wszak podano najprzedniejsze wino — ale przede wszystkim byłem tak zmęczony tańcami i przytupywaniem, że zeszywniałe nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Pukamy i wchodzimy, słysząc gromkie Entrez. Prawie wszyscy siedzą już przy stole. Zarezerwowano dla nas miejsca. W ogólnym podnieceniu całujemy się ze wszystkimi, życząc sobie nawzajem *bon noel*. Obcałowuję więcej starców i staruszek niż w ciągu całego roku. Żartuję w duchu, że na pewno obtarłem sobie wargi na szorstkich starczych policzkach. Potem jeszcze witanie z pozostałymi gośćmi. Boli mnie ręka w przegubie od ściskania tych wszystkich

twardych, skórzastych rąk starców czy pulchnych palców wieśniaków. Nauczyłem się to robić właściwie. Gdybym nie oderwał dłoni lub nie cofnął jej w porę, zmiażdżono by mi palce przy kolejnym uścisku.

Siedzę pomiędzy dwiema starszkami — madame Le Moine i madame Calvet. Zawsze sadowię się pośrodku tych przemiłych babć dlatego, że żadna z nich nie lubi ostryg i przekładają wszystkie na mój talerz. Nie liczę, ale musiałem zjeść ze cztery tuziny. To dwa razy tyle ostryg, ile zjadam w ciągu roku. Ostrygi są wyśmienite, moje ulubione fines claires. Pałaszuję również miseczkę moules w winie, z cytryną i cebulką. Potem pochłaniam dwie porcje boudin noirs i jedną boudin blanc.

Niebawem zabawa rozkręci się na dobre, a jeszcze nie podano głównego dania.

Wypijam więcej niż zwykle wina, próbuję się opanować i nie pić zbyt gwałtownie. Naprawdę chcę spać dzisiaj w nocy. Chcę czuć się wypoczęty w dzień Bożego Narodzenia.

Wieprzowina smakuje cudownie. Gospodarze wycięli polędwicę z boku zabitego wieprzka i zrobili pieczeń. Duszone w piwie i z cebulą mięso podano z gotowanymi ziemniakami. Danie jest tak smaczne, że objadam się wręcz nieprzyzwoicie. Jem dosłownie jak wieprz, który na dodatek pożera wieprzowinę. Prawdziwy obżartuch ze mnie, a w tym obżarstwie wspomagają mnie dwie żarłoczne starszki, moje sąsiadeczki przy stole.

Potem wnoszą płonąca Michę de noel i wino musujące. Szampan jest zbyt drogi, więc gospodarze podają białe musujące wino z pobliskiej winnicy znad Loary. Wzносimy toasty. Zauważyłem, że Maggie i Lor szykują się, by ulotnić się po angielsku. Philippe i Patrick rzucili już w siebie kilka chlebowych kuł. Niedługo zaczną się prawdziwe bachanalia, czas orgii w Morvan.

Po *bûche de Noël* Jack Calvet przynosi pięć butelek *naöle* i stawia je na stole. Wystarczy teraz alkoholu dla trzech albo czterech opojów. Philippe przynosi błyskawicznie malutki, przenośny gramofon i stawia go obok miniaturowej choinki. Nastawia czterdziestopięcioobrotowe płyty z miejscową muzyką taneczną. Zaczynają się tańce z przytupami.

Zdumiewa mnie, że nikt nie czuje się zakłopotany. Widocznie wino rozgrzało gości. Kiedy Patrick i Jack przesunęli stół pod ścianę, chwyciłem madame Le Moine za rękę i stanąłem w szeregu z rozbawioną starszką. Choć moja partnerka ma ósmy krzyżyk i miała udar mózgu zeszłego lata, wciąż jest jedną z najlepszych tancerek w dolinie. Madame Calvet tańczy z Maggie. Nickie obejmuje Paula. Wszyscy ustawiamy się w rzędzie. Gdy rozbrzmiewa muzyka, ruszamy w tany, przytupując i kołysząc się w rytmie monotonnej muzyki, co chwilę obijając się o wielki stół. Rej wodzi Katie, córka madame Calvet. Tańczy z Patrykiem. Depczą sobie wzajemnie po nogach. Jeszcze nikt nie jest pijany, choć wszyscy są na rauszu. Widzę, że Lor ma na twarzy ten swój przyklejony uśmiech, który upodabnia ją do aktora z japońskiego teatru No.

Po trzech nagraniach przerywamy tańce, by stuknąć się kieliszeczkami *naöle*. Wszyscy wznoszą toast „Salut!” i mężczyźni wypijają trunek jednym haustem. Piję ostrożnie. Nickie i Maggie krztuszą się, z ich oczu tryskają łzy. Powinienem przestrzec córki. Lor trzyma w rękę swój kieliszek, uśmiecha się do wszystkich, ale nie pije, odstawia dyskretnie kieliszek na stół. Spogląda znacząco na Maggie i obie ruszają w kierunku drzwi. Nickie daje znak, że zostaje. W żaden sposób nie zdoła się uwolnić z uścisku Paula, którego muskularne ręce są tak grube jak moje nogi. Paul ma czerwoną twarz, na której maluje się szczerzy uśmiech. Philippe nastawia znowu pierwszą płytę i ruszamy do tańca. Gospodarze rozlewają do kieliszków nowe napitki.

Od tej chwili rozpoczyna się istny wyścig w pijaństwie. Biesiadnicy obserwują, kto upije się pierwszy i kogo zwali z nóg nadmiar alkoholu lub wyczerpania. Niektórzy słabną już w przedbiegach, ale potem piją znowu. W tym roku nikt nie obrzuca się potrawami jak zwykle. Trudno rozstrzygnąć, czy to znak dobrobytu, czy też zaniechano tego zwyczaju z powodu

tegorocznych złych zbiorów. Moje przypuszczenia trochę przypominają przepowiadanie pogody na podstawie tego, czy krowy stoją czy leżą. Domyślam się, że istnieje związek pomiędzy zmianą pogody a zachowaniem krów, ale nigdy nie potrafię zapamiętać, na czym to polega.

Wymykam się tuż przed pierwszą w nocy, Nickie zostaje. Ma rumieńce na twarzy i bierze udział w konkursie tanecznym, rywalizując z Katie. Dziewczęta zmuszają wieśniaków do zawrotnego tańca, aż ci ociekają potem — jak wieprzek, którego zabili, tłuszczeniem. Tancerki wymyślają nowe kroki, nowe układy. Zrazu ich taniec przypomina rocka, ale tańczą go w taki sposób, jak tańczy się ludowe tańce w dolinie Morvandeau.

Wkrótce wszyscy wpadną w trans. Będą tańczyć „złamańca” do muzyki Morvandeau, przytupując do rytmu — „złamią” coś na pewno — nogę, rękę lub kark.

Również tańczę „złamańca”, lecz na lodzie, idąc nad stawem. Szczęśliwie unikam upadku. Wciąż sypie śnieg. Napadało już prawie osiem cali świeżego puchu. Wpatruję się w białą gładź. Założę się, że gdybym wszedł na łód tej nocy, wcale nie utonąłbym — jeśli spróbowałbym starej sztuczki Jezusa — chodzenia po wodzie. Jednak boję się zaryzykować.

W młynie jest ciepło. Dokładam dwa duże polana do ognia, ustawiając je obok siebie. Potem rozglądam się za bierwionem, które odłożyłem na bok, uznając, że nadaje się na prawdziwą *bûche de Noël*, świętą kłodę Yul, która będzie palić się przez całą noc. Wciskam drewnianego olbrzyma pomiędzy mniejsze kłocce. Zapewne bierwiono nie będzie płonęło przez całą noc, ale utrzyma ciepło w izbie i prawdopodobnie nie wygaśnie dopóty, dopóki nie wstanę w środku nocy, by ulżyć pęcherzowi, a wtedy podsycę znów ogień. Na pewno będę musiał wstać w nocy po wypiciu takiej ilości wina.

Rozbieram się i kładę obok Lor, która mruczy przez sen jak zawsze, gdy wchodzę do łóżka i przytulam się do jej pleców. Chyba już śpi głębokim snem. Leżę w ciemności i wyobrażam sobie, że zewsząd przykrywa mnie śnieg. Mam nadzieję, że Nickie wróci niebawem do domu. Powinienem czuwać i zaczekać na nią, ale chyba nie zdołam wytrwać. Już prawie zasypiam, gdy uświadamiam sobie, że zapomnieliśmy zawiesić pończochy na prezenty. Zdarzyło to się po raz pierwszy od niemal trzydziestu lat, że nie zawiesiliśmy w Wigilię pończoch na prezenty na obramowaniu kominka. Zawsze to robiliśmy. Zostawialiśmy na noc sześć różnych pończoch, każdą w innym rozmiarze i kolorze i wkładaliśmy weń potajemnie prezenty. Zwykłem pisać długie listy od świętego Mikołaja, nie tylko do dzieci, ale również do Loretty. Jakie to smutne, że pewne rzeczy kończą się nieodwołalnie. Muszę przygotować się na najgorsze.

V PIĘĆ ŻŁOTYCH PIERŚCIENI

LORETTA

Czy zrozumiałbyś to, że znowu po przeszło sześciu miesiącach mam okres? Nie mam nawet podpasek. Poproszę jedną z dziewcząt. Która będzie mniej tym skrepowana? Chyba Nicole.

Chociaż nie mogło się to zdarzyć w bardziej nieodpowiedniej chwili, jestem nawet zadowolona. Taki rodzinny zjazd jest zarówno strasznie emocjonujący, jak i kłopotliwy. Muszę okropnie uważać, by nie wydało się, co zaszło między Pete'em a mną. Myślę czasem, że mogłabym oszaleć. Łudzę się, że niczego nie powiedziałam przez sen. Jestem tym zaniepokojona.

Dzieci wydają się takie podatne na zranienie, tak spragnione miłości, tak zagubione. Pragną zapytać, ale lękają się zarazem odpowiedzi. Możliwe jednak, że tylko ja tak myślę, odczuwam. Sama nie wiem, jak postąpić, czego naprawdę chcę. Odkryłam, że moje ciało posiada własną duszę. A może to moja prawdziwa dusza, cielesna dusza, której nigdy nie znałam, uobecniła się wreszcie i żąda, by respektować jej pragnienia.

Zaraz po śniadaniu poproszę Nicole o podpaski. Moja córka pomyśli, że to najzabawniejsza rzecz na świecie — jej podstarzała matka w średnim wieku ma okres. Ale to sprawia, że czuję się lepiej — jak gdyby jeszcze nie wszystko minęło, jak gdyby wciąż tkwiła we mnie czynna biologicznie kobieta, która próbuje pokazać, że jeszcze nie całkiem zwiędła.

Will zachowuje się tak osobliwie. Czasem przyglądam mu się ukradkiem. Przypomina to obserwację toreadora, który w swym opiętym, błyszczącym stroju, zabawnej czapce i ze szpadą u boku biega śmiertelnie przerażony w tę i we w tę po arenie, robiąc uniki, podczas gdy nikt nie zwraca na niego uwagi. Niekiedy życie z zapamiętałym ontologiem może być naprawdę trudne. On walczy nawet nie z wiatrakami, ale z cieniami ich skrzydeł. Czasem z cieniami cieni. Nie, to nieprawda. Domyślam się, że wie o wszystkim, ale zarazem nawet nie wie, że zna prawdę. Boże, nie jestem pewna, czy potrafię wytrzymać to wszystko.

Mam nadzieję, że dziewczęta i Mike wyjadą niebawem. Może pozostaną tylko do naszej rocznicy? W każdym razie będą lepiej się bawić w Paryżu. Im prędzej wyjadą, tym lepiej, szczególnie teraz, gdy naszemu małżeństwu grozi rozpad.

Czy on naprawdę wie? Możliwe, że Will należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy są tak mało tolerancyjni wobec postępowania drugiej osoby, że nie dają nic po sobie poznać, a potem po prostu znikają. Znikanie to jego specjalność. On czasem zastanawia się, czy moglibyśmy cokolwiek zobaczyć, gdyby ludzkie oczy były wystarczająco szybkie, by dostrzec umykające obrazy. Mój filozof twierdzi, że wydaje się nam tylko, iż widzimy siebie wzajemnie, ponieważ nie możemy zatrzymać w tęczęwce oka obrazu poruszających się elektronów w atomach, ruchu atomów w molekułach, tego wszystkiego, co sprawia, że materia wydaje się rzeczywista, choć w istocie jest tylko złudzeniem. Will powiada, że tak naprawdę nie istniejemy — jesteśmy pustką, taką samą pustką jak wszechświat. Samo słuchanie jego wywodów może doprowadzić człowieka do obłędu.

Więc będę zupełnie sama.

Trzy tygodnie temu, kiedy Pete powiedział mi, że został przeniesiony z powrotem do Connecticut, poczułam się tak, jakby zawalił się świat. Pomyślałam, że nie przeżyję tego.

Sądziłam jednak, że znajdę w sobie dość siły i woli, by pojechać z nim gdziekolwiek, choćby na koniec świata. Ale Pete nie napomknął słowa na temat naszego wspólnego wyjazdu, jakby to w ogóle nie wchodziło w rachubę. Pete ma zobowiązania wobec Carolyn i dzieci. Rozwiódł się już raz i nie chciałby znowu stracić rodziny. Myślę, że cierpi równie mocno jak ja, ale nie zdobędzie się drugi raz na rozwód.

Zrozumiałam to, gdy powiedział, że moje dzieci już pięknie wyrosły, a on ma dwoje bezradnych, malutkich piskląt. Jedno ma zaledwie trzy latka, a drugie pięć. Pete jest prawie pięć lat starszy ode mnie. Ma już drugą żonę i drugą rodzinę. Dwoje dzieci z jego pierwszego małżeństwa jest już w tym samym wieku co Mike i Nicole.

Najbardziej kocham w nim to, że jest tak prostolinijszy. Z natury sam podejmuje decyzje i nie boi się powiedzieć, co myśli. Również jest bardzo zaangażowany w to, co robi. Prowadzi nieskomplikowane życie — bez cieni, bez niewygodnych tajemnic.

Pete uświadomił mi, kiedy zrodziła się taka pokusa, że ja również nie opuszczę swojej rodziny.

Ale, Boże, jak trudno się rozstać po tych dwóch cudownych latach? Wycisnęliśmy z tych krótkich wspólnych chwil, ile tylko można.

Trudno mi myśleć, jak sobie poradzę. Próbuję przeżyć każdy dzień, najlepiej jak umiem, wykorzystując każdą chwilę. Staram się zapomnieć, ale zarazem wspominani wszystko. Nigdy nawet nie śniłam, że przeżyję jeszcze tak namiętą miłość.

Wiem jednak, że muszę wszystko Willowi wyznać i to jak najprędzej. Jestem pewna, że ostatnie dwa lata musiały być straszne dla niego. Sądzę, że domyślił się, iż moje serce i dusza należą do kogoś jeszcze. Nie wiem, jak to przyjmie? Tak trudno przewidzieć, jak zareaguje ten marzyciel chodzący z głową w niebie? Czy kiedykolwiek będę mogła powiedzieć mu, jak bardzo kocham Pete'a, jak to się zaczęło, jak do tego wszystkiego doszło?

Zwykle matki przyprowadzają dzieci pierwszy raz do szkoły, gdy te rozpoczynają naukę. Pete był jedynym ojcem, który przyszedł z dzieckiem w pierwszy dzień roku szkolnego. Na dodatek nie zostawił córeczki samej w wielkiej, nieznannej szkole. Pozostał w klasie, ale zarazem pozwolił małej Danie zaznajomić się z innymi dziećmi.

Z postawy jest podobny do Willa, ale jest łysy i ma brodę. Zwykle bywa w ponurym nastroju, toteż nie pasowałby do rozbawionego, wielonarodowego towarzystwa w Amerykańskim College'u, w którym obraca się mój mąż. Pete ma przenikliwe, niebieskie oczy i rumianą cerę. Brakuje mu jednego zęba na przedzie, ale szparka dodaje mu tylko uroku, gdy się czasem uśmiecha. Jest tęgi, silny, misiwaty, ale porusza się zwinnie.

Pete jest o wiele starszy niż większość ojców, z którymi spotykam się dopiero na pierwszym spotkaniu rodzicielskim, albo później, gdy przyjdą dowiedzieć się o postępy swoich pociech. Dowiedziałam się, że pracuje dla IBM. Ich firma działa w Paryżu już półtora roku.

Przychodził często, o wiele częściej niż którakolwiek matka. Pewnego razu zaproponowałam dla żartu, by został „damą klasową”. Tak zaczęliśmy przekomarzać się i żartować. Większość matek, zwykle między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia uważa, że matkują zastępczo ich maluszkom podczas ich pobytu we Francji. Dla dzieci jestem raczej babcią niż zastępczą matką. Obserwowałam to stopniowe przesunięcie w ciągu piętnastu lat, odkąd uczę w tej międzynarodowej szkole. Dawniej dzieci często myliły się i zwracały do mnie „mamo!” albo „mamusiu!”, ale później, w miarę upływu lat, przestały się mylić. Najczęściej mówią do mnie „pani Kelly!” albo „proszę pani!”

Pewnego dnia, gdy dzieci miały lekcję francuskiego z inną nauczycielką, zjawił się Pete i zaprosił mnie na kawę do pobliskiej kawiarenki. Myślę, że wtedy pierwszy raz, odkąd uczę tutaj,

wysłałam ze szkoły podczas zajęć lekcyjnych. Tak nas pochłonięła rozmowa o Danie, a potem o nas, że po raz pierwszy spóźniłam się, by zabrać moją klasę z lekcji francuskiego.

Nie wiem, jak udawało mu się to pogodzić z pracą, ale przychodził coraz częściej. Chodziliśmy do kawiarni i rozmawialiśmy, zapominając o całym świecie. Coraz częściej łapałam się na tym, że czekam na jego przyjście. To sprawiło, że czułam się dojrzałe i zarazem młodziej.

Pewnego razu wyznał mi, jak bardzo czuje się nieszczęśliwy, ponieważ ożenił się z kobietą młodszą odeń o prawie dwadzieścia lat. Powiedział, że czuje się o wiele starszy niż powinien, mając zaledwie pięćdziesiąt trzy lata, a Carolyn wygląda o wiele młodziej jak na jej wiek. Jego żona była bardzo nieszczęśliwa w Paryżu. Chciała wrócić do Ameryki, ale Pete kochał Paryż. Odkrył tu kilka cudownych restauracji, do których pragnął mnie zaprosić.

To było takie łatwe. Wystarczyło powiedzieć Willowi, że miałam zebranie albo spotkanie z rodzicami. Nie pamiętam jednak, by Will zapytał mnie kiedykolwiek, gdzie byłam, z kim się spotkałam. Czasem wydawało mi się, że nie przejmuję się tym, nie zależy mu już tak bardzo na naszym małżeństwie. Sądziłam, że skoro tak bardzo jest skupiony na sobie i na swoich wymaginowanych sprawach, nic już dla niego nie znaczą. Pod pewnym względem był tylko cieniem męża.

Poglądy Willa na temat współżycia dwojga ludzi sprowadzają się do stwierdzenia, że nikt nie powinien zmuszać nikogo do robienia tego, czego nie chce robić. Zawsze postępował w ten sposób z dziećmi. To doprowadzało mnie do szaleństwa. On po prostu niczego nie kazał im robić, ale wymagał, by dzieci robiły to, co należy zrobić z własnej woli. I w jakiś dziwny sposób wymuszał posłuszeństwo. Dzieci same dochodziły do wniosku, że nie można wymigać się od pewnych rzeczy, i nie skarżyły się na ojca.

Odwiedzaliśmy z Pete'em wspaniałe restauracje. Pewnego wieczoru byliśmy nawet w słynnej „Bateau Mouche”. Strasznie się bałam, że ktoś zobaczy nas razem, ale Pete uspokoił mnie, mówiąc, że Paryż jest ogromnym miastem. Zapewnił mnie, że nawet gdyby ktoś znajomy spotkał nas przypadkowo i tak nie uwierzyłby, że coś nas łączy. Sam nie miał żadnych problemów w domu, gdyż zarząd IBM mógł wezwać go do pracy w każdej chwili, toteż jego żona nie podejrzewała niczego. W rzeczy samej trapiło go, że nie miał zbyt wielkiego wpływu na swoje życie. Przełożeni mogli wysłać go gdziekolwiek i kiedykolwiek. Mówił, że czuje się z tego powodu jak dziecko.

Spotykaliśmy się mniej więcej raz w tygodniu. Zaczęło się to kilka miesięcy temu, gdy jednego wieczoru po kolacji trzymaliśmy się za ręce pod stołem jak para nastolatków i on wsunął mi rękę między uda i zaproponował, byśmy poszli do hotelu.

Byłam śmiertelnie przestraszona. Wiedziałam, że pragnę tego, ale byłam przerażona. Nigdy nie zrobiłam czegoś podobnego. Nawet nie pomyślałam o tym. Obawiałam się również, że nasza schadzka w hotelu nie będzie dalece odbiegała od nieudanego współżycia z Willem, że jak zwykle zacisnę się przed stosunkiem i zepsuję wszystko. Nie wiem, dlaczego seks zawsze mnie przerażał. Nawet kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką i niewiele wiedziałam na ten temat. Trudno w to uwierzyć, ale nigdy nie masturbowałam się. Will chciał, żebym poszła do seksuologa, ale nawet tego się bałam. W końcu udałam się do ginekologa — kobiety, kiedy przez przeszło pół roku Will i ja nie mogliśmy odbyć stosunku. Lekarka dała mi pigułki i zestaw czarnych plastikowych penisów, którymi miałam rozszerzyć pochwę, by w końcu Will mógł we mnie wejść. Jednak to zawsze było bolesne. Nawet po urodzeniu Maggie, kiedy było już łatwiej, nigdy naprawdę nie lubiłam seksu. Zawsze byłam romantyczna i uwielbiałam romantyczne powieści. A sam akt seksualny był dla mnie nieprzyjemny. Czułam się wtedy tak, jakby pozbawiono mnie prawa do własnego prywatnego świata.

— Szczerze, Pete, nie sędzę, by to był dobry pomysł — szukałam wymówki. — Tak dobrze

układa się pomiędzy nami. Nie chciałam, żeby to się popsuło.

— Jak mogłoby się coś popsuć? Jestem pewien, że stalibyśmy się jeszcze bliźsi sobie. Wiem, że byłoby nam cudownie w łóżku.

Nie dałam się namówić. Możliwe, że po prostu czułam się winna albo nie byłam jeszcze gotowa. Chciałam spróbować seksu z nim, ale wciąż się bałam.

Potem byliśmy tak podnieceni w jego samochodzie jak para napalonych nastolatków. Pete wciąż nalegał, byśmy poszli do hotelu. Kiedy prawie zdecydowałam się, by skorzystać z okazji i zbliżyć się jeszcze bardziej do niego, poczuć wreszcie na sobie jego owłosione ciało, zrobiło się już bardzo późno. Powiedziałam Willowi, że mam w szkole zebranie kółka młodych wynalazców, ale nie mogłabym w żaden sposób wytłumaczyć mu, dlaczego wróciłam do domu po północy.

Rzecz w tym, że Will prawdopodobnie nie zapytałby, gdzie byłam. Być może nawet nie zauważyłby, że wróciłam później. Odkąd nasze dzieci wyfrunęły z gniazda, on kładzie się do łóżka przed jedenastą.

Potem, w następną sobotę, Pete zamierzał wyjechać do Brukseli. Ja miałam w planie zajęcia wyrównawcze, podczas gdy Will lekcje w trzech klasach i konferencję. Ben chciał pojechać z przyjaciółmi na wystawę znaczków w Marais, a potem pójść do kina. Więc nadarzała się wspaniała okazja. Miałam wreszcie pięć, a nawet więcej godzin dla siebie. Wiedziałam, że jeśli Pete zaprosi mnie do hotelu, tym razem nie oprę się jego namowom.

Włożyłam seksowną francuską bieliznę, którą Nicole kupiła mi na poprzednią gwiazdkę. W przezroczyście, skąpych, poziomkowego koloru majteczkach z koronką i maleńkim biustonoszu wyglądałam nadzwyczajnie. Nigdy nie nosiłam takiej bielizny, zresztą nie miałam dość odwagi, by założyć coś takiego.

Pokropiłam się dobrymi francuskimi perfumami, moimi ulubionymi „Ecusson”, które Will daje mi rokrocznie w prezencie gwiazdkowym. Uczesalam się inaczej niż zwykle. Wyglądałam świetnie jak na kobietę w moim wieku.

Spotkaliśmy się w tej samej kawiarence, gdzie zwykle się umawialiśmy. Siadaliśmy zawsze w cichym zakątku z dala od wejścia, by nikt nas nie dostrzegł. Kiedy weszłam do kawiarni, Pete już siedział przy stoliku. Jego żona sądziła, że wyjeżdża do Brukseli o dziewiątej. Dochodziło już wpół do dziesiątej. Trudno mi było oddychać. Nie mogłam powstrzymać drżenia kolan. Myślałam, że upadnę. Pete pocałował mnie w usta, potem zaczął obsypywać pocałunkami mój kark. Zaskoczyło mnie, jak bardzo jest silny, a także jak słodko i błogo czuję się w jego mocnych ramionach.

— Nie tutaj, Pete. Ktoś nas zobaczy! Poza tym patrzą na nas ci faceci przy barze.

— Wynająłem pokój w hoteliku za rogiem. Jeśli się zdecydujesz, spędzimy razem cudowną noc.

Byłam zbyt zakłopotana, by odpowiedzieć, więc tylko skinęłam głową. Pete zapłacił rachunek i wyszliśmy z kawiarenki. Za rogiem rzeczywiście był hotel. Nie mieliśmy żadnych kłopotów z wejściem. Pete wziął mnie za rękę i przeniósł przez pokój, kładąc ostrożnie na łóżku.

Rozbierał mnie powolutku, całując całe ciało. Kiedy zobaczył moją poziomkową bieliznę, wstał i zaczął się szybko rozbierać, nie odrywając oczu ode mnie. Przyglądałam się jego ręką, gdy ściągał krawat, rozpinął koszulę, pasek od spodni. Gdy zdjął spodnie, uśmiechnął się i wyskoczył ze skąpych slipków. Miał potężną erekcję. Jego członek był długi, lekko zakrzywiony, choć nie tak gruby jak penis Willa. Pochylił się i odpiął mi biustonosz. Nigdy przedtem nie miałam biustonosza z haftkami z przodu, pomiędzy piersiami. Jednak Pete wiedział, gdzie jest zapięcie i choć drżały mu ręce, poradził sobie szybko, zupełnie inaczej niż Will, który zawsze ma

trudności z odpięciem mojego biustonosza. Pete delikatnie uniósł mój przejrzysty, poziomkowy biustonosz, a ja zsunęłam ramiączka. Jestem szczęśliwa, wciąż mam ładne piersi. U wielu kobiet w moim wieku są obwisłe, a moje pozostały wciąż jędrne i twarde, no i mam różowitkie sutki jak młoda dziewczyna. Pete zaczął całować je namiętnie, a potem całował mnie już wszędzie.

Robił ze mną rzeczy, o których nawet nie śniłam, nawet nie słyszałam. Zamiast jak zwykle odczuwać napięcie, moje ciało rozluźniło się, śpiewając do melodii jego pieszczot. Potem, gdy wszedł we mnie, prawie natychmiast miałam pierwszy pełny orgazm. Przeżyłam go tak nieoczekiwanie, że nie zdążyłam nawet poczuć strachu, jak dotychczas z Willem. Wydawało mi się, że zaraz zacznę krzyczeć albo płakać. Przeżyłam się jak dzika kocica, miotałam się, wstając niemal spod mocnego, owłosionego ciała Pete'a, ale pchnął mnie z powrotem na łóżko. Otulił mnie całym sobą. Wniknął głęboko we mnie, poruszając się powoli, natarczywie. Wstrząsały mną dreszcze. To pulsowało we mnie, fala za falą, aż pomyślałam, że wszystko wypłynie ze mnie. Przyszło mi na myśl, że u kobiety w moim wieku tak silny orgazm może spowodować atak serca, ale chciałam, by trwało to w nieskończoność. Pete napierał coraz mocniej, coraz szybciej, aż on również, dysząc ciężko i jęcząc z rozkoszy, zeszywniał nagle, wciskając się jeszcze głębiej we mnie, dopóki zwolna nie rozluźnił się.

Oboje spływaliśmy kroplistym potem. Łóżko, kołdra, prześcieradło były mokre. Pete'a przetoczył się nade mną na suchą stronę łóżka. Przykryliśmy się oboje odwróconą kołdrą i zasnęliśmy od razu.

Następna rzecz, jaką pamiętam, to język Pete'a w moim uchu. Potem kładę się na nim, podnoszę na kolana, by usiąść okrakiem na nim. Wspaniały kochanek zgarnia moje piersi w swoje czułe dłonie i całuje, ściska je razem, tak by mieć w ustach dwa sutki równocześnie i drażni językiem aż do utraty zmysłów. Wyczuwam, że jest znowu podniecony. Jego penis wciska się pomiędzy moje uda. Sięgam ręką, by go dotknąć. Jest sztywny, twardy jak żelazo. Pete wchodzi we mnie. Przyciskam się z całej siły do jego brzucha. Potem on podnosi się, niemal wyslizgując się ze mnie i wciska znowu, jeszcze głębiej. Patrę mu w oczy, on wpatruje się we mnie. Kołyszemy się powolutku zapatrzeni w siebie. Z grymasu jego ust i wyrazu oczu poznaję, kiedy mam zwolnić, a kiedy przyspieszyć. Czuję się tak, jakbym była wprawnym jeźdźcem, który lekkimi poruszeniami ciała prowadzi swego rumaka. Cieszy mnie, że daję Pete'owi przyjemność, a zarazem sama doznaję coraz większej rozkoszy, odczuwając potężne fale, prawie tak, jakbym rodziła dziecko, ale zupełnie bezboleśnie.

Tym razem miotamy się wściekle, zmagamy się bez końca. Pierwszy raz w życiu odczuwam potrzebę gryzienia mężczyzny i rozdieram paznokciami jego plecy. Widziałam ślady ukąszeń i zadrapań na ciałach ludzi na plaży, ale dotąd uważałam, że to tylko popisywanie się mężczyzn, którzy pragną, by inni czuli się gorsi, pozbawieni czegoś. Pogrążamy się w słodkim odrętwieniu. Zасыpiamy znowu.

Kiedy budzę się, Pete już stoi nad łóżkiem.

— O której musisz być w domu? — pyta.

— Mamy jeszcze dużo czasu, Pete. Nie odchodź.

— Jest już prawie szósta. Chciałbym wrócić z powrotem do łóżka, ale czy możesz zostać tutaj całą noc?

Podskakuję z przerażenia i zapalam lampkę na nocnym stoliczku. Mój Boże, naprawdę jest za dziesięć szósta. Nie wiem, jak wyjaśnię Willowi, dlaczego nie było mnie w domu prawie dziewięć godzin. Mój Boże!

Wyskakuję z łóżka i staję obok Pete'a. On przyciąga mnie do siebie, tuli mocno, całuje.

— Myślę, że powinnaś już iść. Powiedz po prostu, że zostałam zaproszona na kolację przez jednego z uczestników zebrania. Na coś musisz się zdecydować. Ja zostanę tutaj. Jeśli będziesz

mogła tu wrócić, będę czekał! Nie wiem, jakie to miało znaczenie dla ciebie, ale ja nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś równie wspaniałego.

Wiem, że Pete mówił prawdę, boja również czułam to samo. Martwiłam się swoim spóźnionym powrotem do domu. Pete położył się na łóżku i patrzył, jak się ubieram. Wstał i przytulił się do mnie. Pocałowaliśmy się znowu. Był wciąż nagi i miał znowu erekcję. Pokazał na swojego wyprężonego członka.

— Widzisz, on wcale nie chce, żebyś poszła.

Mogłam się po prostu rozebrać i wślizgnąć z powrotem do łóżka, ale zbyt wiele znaczyło dla mnie moje dotychczasowe życie. Wróciłam do domu.

W ciągu kolejnych osiemnastu miesięcy korzystaliśmy z każdej okazji, by się spotkać w naszym hoteliku i za każdy razem byliśmy tak samo szaleni jak wtedy. To wszystko przypominało gwałtowną reakcję chemiczną, taką samą jak podczas lekcji chemii, kiedy do dwóch rurek z przezroczystym płynem nalewamy kilka kropelek nieznanej cieczy i nagle wszystko zaczyna burzyć się, dymić i zmienia barwę. Reagowaliśmy tak samo. A jednak nie zgubiliśmy radości, zabawy. Sprawilo nam przyjemność wzajemne oglądanie siebie, dotykanie. Dzieliliśmy wspólne poglądy na wiele spraw. Seks stanowił coś odrębnego, coś, czego żadne z nas naprawdę nie oczekiwało.

Wiem, że zaczęłam wyglądać, żyć i czuć się inaczej. Czasem czułam się bardzo piękna. Ubierałam się teraz z wyszukany smakiem, by stać się bardziej atrakcyjna. A kiedy miałam spotkać się z Pete'em, promieniałam z radości. Nie wiem, jak Will mógł tego wszystkiego nie zauważyć. Zdarzyło się, że stałam przed nim wystrojona, zrobiona na bóstwo i błagałam niemal, by spojrzął na mnie i odgadł, że dzieje się ze mną coś niezwykłego. Prawie chciałam sama powiedzieć mu o tym, że stało się coś bardzo ważnego, podzielić się z nim moją radością. Ale nie odważyłam się. Sądzę, że nigdy naprawdę nie wierzył w to wszystko, co głosił. Twierdził na przykład, że ludzie, którzy się kochają, pragną, by ukochana osoba była szczęśliwa, nieważne w jaki sposób. Obawiałam się jednak, że gdybym wyznała mu, że jestem szczęśliwa z Pete'em, poczułby się głęboko zraniony.

Teraz muszę wszystko mu powiedzieć. Jeśli mamy pozostać razem przez resztę życia, musi dowiedzieć się o mnie i o Pecie. Nie wiem, jak Will to przyjmie. Tak trudno przewidzieć jego reakcję. Zaczekam, aż starsze dzieci wyjadą do Paryża. Chciałabym, żeby Ben pojechał z nimi, ale to niemożliwe.

W pewien sposób Ben i Will są bardzo do siebie podobni, choć różnią się wyglądem. Ben chowa się w świecie książek, a Will ucieka w świat wewnętrzny. Ale kiedy tak miota się wściekle, nie znajdując sobie miejsca ani wśród swoich myśli, ani w rzeczywistości, którą traktuje jak złudzenie, doprowadza wszystko do porządku, matkując wszystkim, czy chcą tego, czy też nie.

Nawet nie wiem, jakiej miłości oczekuję od Willa. Możliwe, że idea miłości stanowiła zawsze substytut prawdziwego życia. W pewnym momencie uzmysławiamy sobie utratę miłości, tak jak utratę życia. Kiedy odchodzi dzieciństwo, znikają wraz z nim radosne zabawy. Mija życie, przemija miłość. Słowa „miłość” i „życie” brzmią podobnie, zarówno w języku angielskim, jak i niemieckim.

Nie wiem, co czują do siebie Mike i Geneviève, co robią, by powstrzymać napór dorosłości, który uświadamia, że wszystko przemija. Nazbyt często miłość staje się ucieczką od wszystkiego, co jest rzeczywiste. Boże, jakbym słyszała Willa!

Dopóki nie spotkałam Pete'a, nic nie mogło mnie zadziwić. Chyba nawet nie miałam pojęcia, że seks może tak wyglądać. Owszem byłam zdolna do głębokiego uczucia. Jednak mój osobisty

podglądacz zawsze obserwował moje reakcje z boku, by w odpowiednim momencie zagrać mi na nosie i wykrzyknąć „a kuku!”, toteż nigdy nie potrafiłam się rozluźnić. Zresztą Will był zawsze równie napięty.

Nie jestem pewna, które z nas popełniło błąd. Nie wiem, dlaczego Will nigdy nie starał się doprowadzić mnie do orgazmu i uwolnić od cierpienia. Wiem, że Will pragnął, żebym udawała, ale ja nie potrafiłam siebie okłamywać. Sama musiałam rozwiązać swój problem. Will nigdy nie zmuszał mnie do seksu, nigdy nie przejął inicjatywy. Zawsze zachowywał się tak, jakby robił to wszystko na próbę. Był niezdecydowany. Nawet gdy udawałam orgazm, odnosiłam wrażenie, że jest mu wszystko jedno.

Jednak prawdziwie pragnęłam przeżyć orgazm podczas stosunku z Willem. Stopniowo doszło do tego, że przestaliśmy szczerze rozmawiać na ten temat. A potem, dziwnym trafem, żadne z nas dwojga nie chciało w ogóle poruszać tematu seksu.

Na samą myśl o Pecie odczuwałam pożądanie, którego nigdy nie czułam w takim stopniu w stosunku do Willa. W ciągu kilku ostatnich lat Will nawet nie próbował pocałować mnie w usta. Po prostu zrezygnował. Obejmuje mnie w łóżku, przytula się do moich pleców i głaszcze po piersiach, ale to wszystko.

Mamy jednak czworo wspianałych dzieci. Rzadko się spieramy i kłócimy głośno. Nigdy nie straszymy się wzajemnie tym, że odejdziemy od siebie, ani nie próbujemy się ranić. A to dzieje się dzisiaj powszechnie. Myślę, że łączy nas pewnego rodzaju miłość. Gdyby łączyły nas tylko dzieci, trudno byłoby mówić o trwałości naszego małżeństwa. Rozpadłoby się w mgnieniu oka. Dzięki Bogu nasi rodzice nie żyją, więc nigdy nie musielibyśmy niczego im tłumaczyć.

Will różni się od wszystkich mężczyzn, których znałam. Takiej roztrzepanej, naiwnej gadule jak ja może wydawać się naprawdę tajemniczy. Jakże często nie wiem sama, gdzie krążą jego myśli, kiedy przebywa ze mną.

Kiedy poznaliśmy się, myślałam, że tylko żartuje sobie na temat rzeczywistości. Nieustannie prowokował mnie, żądając, bym ciągle wymieniała rzeczy, które uważam za rzeczywiste. Potem unicestwiał je za pomocą egzystencjalistycznych i platońskich argumentów, starając się udowodnić mi, że tak naprawdę ich nie ma. Znienawidziłam w końcu samo nazwisko Camus. Wreszcie zażądałam, by przestał, gdyż nie zniosę dłużej jego głupiej gadaniny i nie wyjdę za mąż za niego dopóty, dopóki będzie się upierał, że wcale nie istniejemy, a nasza miłość jest otwartą przestrzenią, którą określa nasza własna nicość.

Jestem pewna, że jego nonsensowne idee drażniły również nasze dzieci. Z drugiej strony zawsze bawił się z nimi, prawie jak rówieśnik. Opowiadał im najbardziej osobliwe historie, szczególnie o Frankym Furbo. Utrzymywał, że Franky Furbo żyje naprawdę, i chciał, by dzieci uwierzyły weń, tak jak on sam. To wystarczyło, by zupełnie zamącić im w głowach.

Uczył dzieci i okazał się cudownym nauczycielem. Ale pod pewnym względem nigdy nie był nim naprawdę. Porównałabym go do umykającego cienia w kącie oka. Kiedy spojrzalesz nań, już go nie było. Myślę czasem, że sam uważał się za Franky'ego Furbo. Jestem pewna, że żyje gdzie indziej, w miejscu, które należy tylko do niego. Przypuszczam, że wszyscy mają takie swoje miejsce.

Muszę z kimś porozmawiać. Obawiam się, że jeśli powiem mu o Pecie, wszystko, co łączy Willa i mnie, legnie w gruzach. Z drugiej strony, czy warto dyskutować o tym czysto fizycznym uczuciu, które może wcale nie ma tak wielkiego znaczenia. Will nawet nie straci szacunku dla mnie, gdyż tak bardzo ekscytuje go pustka. Ach, tylko żartuję sobie.

Mój Boże, co za okropne myśli dręczą mnie w samą Wigilię. Zawsze jestem taka rozdygotana na początku okresu.

Wszystko wydaje mi się takie beznadziejne, a ja zawsze byłam introwertyczką.

Muszę wyrwać się z tego stanu. Wszystko i tak jest dość paskudne. Po co wbijać gwóźdź do trumny? Gdyby tylko Pete'owi i mnie udało się wyjechać gdzieś razem na tydzień, zanim odleci do Stanów. Kiedy powiedziałam Willowi w czerwcu, że chciałabym zaprosić dzieci na Boże Narodzenie, nie miałam zielonego pojęcia o tym, że Pete wyjedzie na dobre z Paryża 1 stycznia. Prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. Boże, jak trudno w to uwierzyć.

Zauważyłam, że coś trapi Nicole. Wypija szalone ilości wina, zupełnie jak moja siostra Nora, kiedy miewała kłopoty sercowe. Została, tańcząc do upadłego z tymi wiejskimi chłopakami. Staralam się nie zasnąć i zaczekać na nią jak matka nastolatki. To właśnie wtedy poczułam, że zaczynam krwawić. Wstałam z łóżka i włożyłam majtki, do których wsadziłam zrolowane papierowe ręczniki, gdyż nie miałam podpasek. Mam nadzieję, że to wystarczy. Byłoby okropnie rozpocząć poranek Bożego Narodzenia od prania, wyżymania i rozwieszania mokrej pościeli.

Nie wydaje mi się, by Nicole naprawdę się bawiła. Po prostu było jej żal Paula, a poza tym potrzebowała kogoś, przy kim mogłaby zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. Gnębi ją coś, to pewne. Zastanawiam się jednak, co to takiego. I, na miłość boską, tak bardzo przybrała na wadze. Chyba waży więcej niż Maggie, a ona jest pięć cali wyższa.

Mike również ma zmartwienie. Możliwe, że chodzi o kłopoty w nauce. Wiem, że nie bardzo wiodło mu się w tym semestrze. Myślę jednak, że jego kłopoty wiążą się z Geneviève. Przepuszczalnie pozwolił się wciągnąć w to całe zamieszanie spowodowane rozwodem jej rodziców. Wiem, że Geneviève przeżywa ciężko rozwód rodziców, ale przecież Mike nie może nic na to poradzić. Jej rodzice chcieli się rozwieść, a ponieważ są jeszcze dosyć młodzi, przeprowadzili sprawę bez większego kłopotu. W głębi serca oboje zapewne woleliby zaczekać z rozwodem, aż Geneviève usamodzielni się. Zresztą małżeństwo stanowi tylko kontrakt i jak każda umowa może ulec rozwiązaniu, gdy wygaśnie.

Zastanawiam się, czy Will i ja rozejdziemy się kiedyś? Tak łatwo powiedzieć kilka słów, które zranią do głębi, i nie ma już odwrotu. Obawiam się, że tak może być z Willem. Odplynie po prostu spokojnie, stając się coraz mniej widoczny, aż zniknie gdzieś na horyzoncie swojej nicości. „Znikający człowiek” — tak nazywa go Nicole. Sądzę, że w naszym przypadku obeszło—by się bez takich formalności jak rozwód. Pete jest nieosiągalny, toteż nigdy nie wyjdę powtórnie za męża.

Zastanawiam się, jak sobie poradzę. Prawdopodobnie byłabym zupełnie szczęśliwa, mieszkając tylko z Benem, dopóki nie wyjedzie na studia. Jednak Ben tęskniłby strasznie za Willem. On jest taki wrażliwy. Obserwuję go i chce mi się płakać. Czuję się tak, jakby musiała raz jeszcze oglądać to wszystko, co przydarzyło się Willowi. Obaj wydają się nie pasować do tego świata. Wiem, że sama postępuję dziwnie, toteż nie uskarżam się.

Najlepiej czuję się sama. Nawet gdybym wyszła za Pete'a, musiałabym mieć czas dla siebie. Wystarczy mi do szczęścia dziewiętnastowieczna powieść, tabliczka czekolady Sucharda i muzyka Mozarta z płyty gramofonowej.

Ostatnio próbuję pogodzić trzy rodzaje czasu — najpierw godziny, które spędzam samotnie, potem czas, który poświęcam rzeczom, zajęciom domowym, zakupom, nauczaniu, pracy, która wiąże się z utrzymaniem stosunków międzyludzkich, ważnych, ale nie aż tak intymnych, by zależało od nich ciepło ogniska domowego, życie rodzinne. To czas, w którym wcielam się w różne role — gospodyni domowej, klientki, kucharki, nauczycielki, sąsiadki, przyjaciółki, gościa. Czas, kiedy nie mogę być sobą ani nie mogę powiedzieć komuś tego, co naprawdę myślę. Wreszcie trzeci rodzaj czasu — mój czas osobisty, czas związany z ludźmi, których kocham i którzy mnie obchodzą; godziny spędzone z Pete'em, Willem, dziećmi.

To jest takie trudne dla mnie. Przecież nie mogę pozwolić na to, by ci, których kocham,

musieli radzić sobie sami, skazani tylko na siebie, tylko dlatego, że ja zrobiłam głupstwo. Również oni mogą łatwo mnie zranić, choć czasem nawet o tym nie wiedzą. Więc mam się na baczności. Chcę być serdeczna, ale boję się, że zostanę odepchnięta. Coś nie pozwala mi zaufać, że ci, których naprawdę kocham, odpowiedzą miłością, jeśli odsłonię swoje skrywane głęboko uczucia i wyrażę je otwarcie.

To dotyczy również nauczania. Radzę sobie z moimi malcami, gdyż nauczyłam się kochać ich takimi, jacy są. Już teraz, choć mają zaledwie pięć lat, całe społeczeństwo próbuje zmienić ich, przetopić na własną modłę.

Muszę przyznać, że Ben wcale mrugnie potrzebuje. On jest taki słodki i tak ciężko przychodzi mu „postępować” jak wszyscy. Sama nie wiem, jak dotrzeć do niego. Wrodził się zupełnie w ojca. Myślę, że Will przelał całą swoją ojcowską miłość na Bena.

Prawdopodobnie Will uświadomił sobie, że praca w Amerykańskim College’u w Paryżu stanowi pułap jego kariery. Zadomowiliśmy się we Francji na dobre i być może nie wrócimy już do Ameryki. Nie sądzę, by Will mógł w tym wieku otrzymać pracę wykładowcy w szkole wyższej. Nie ma wiele pożytku z filozofa—ontologa w kampusie wyższej uczelni.

Will zdaje sobie z tego sprawę, choć nigdy nie poruszyliśmy tego delikatnego tematu. Powinien publikować częściej swoje prace, ale nie napisał już nic, jak wiem, od wielu lat. Mam nadzieję, że pisze coś, cokolwiek, w sekrecie, tylko dla siebie. Nie wierzę jednak, że pisze do szuflady. Myślę, że poświęcił się nauczaniu jak ja sama. Lubi uczyć, przygotowuje się starannie do swoich wykładów, więc nie ma czasu na przeprowadzenie wszystkich koniecznych badań, analiz, by nadać swej pracy formę nadającą się do publikacji. Gdyby zdobył się wreszcie na napisanie czegokolwiek i przedyskutował swoje przemyślenia, zamiast recytować w kółko, że wszystko jest niczym, ergo — nic jest wszystkim. Ta jego pusta gadanina doprowadza mnie do szału.

Wiem, że dzieci kochają go, ale lubią tylko mnie. Boję się, że Will dopiecze im do żywego. On potrafi być okrutny, nawet wbrew swojej woli. Jednak nigdy nie jest okrutny świadomie. Zachowuje się tak zwłaszcza wówczas, gdy pragnie, byś wyniósł się, gdzie pieprz rośnie. Sprawia, że naprawdę zaczynasz czuć się winny, że żyjesz i sam starasz się być niewidoczny, tak jakbyś nie istniał. Osiąga to, nie wypowiadając ani jednego słowa. Po prostu obezwładnia człowieka psychicznie. A jednocześnie, gdy już się odezwie, próbuje dojść do porozumienia, ale rozprawia tak poważnie o tym, że rzeczy nie znaczą nic dla nikogo, że trudno to znieść. Na przyjęciach ludzie starają się go unikać, gdyż potrafi być męczący.

Powinnam spróbować zasnąć. Jeśli nie prześpię siedmiu godzin, będę musiała zdrzemnąć się w dzień, a przecież nie mogę pozwolić sobie na to, gdyż muszę upiec indyka i przygotować wszystko na bożonarodzeniowy obiad.

Zastanawiam się, czy ktoś jeszcze zauważył, że nie wystawiliśmy pończoch na prezenty od świętego Mikołaja. Zapomniałam o tym w przedświątecznym rozgardiaszu, a kiedy wróciłam z wigilijnej biesiady, byłam tak zmęczona, że wszystko, co mogłam zrobić, to pójść do łóżka. Do licha, bezsenność w Wigilię przypomina mi nie przespane noce, kiedy byłam dzieckiem i wyobrażałam sobie smak cukierków, które przyniesie święty Mikołaj. Ale dzisiaj wcale nie jest mi tak słodko.

MAGGIE

Ta wigilijna biesiada była zbyt hałaśliwa. Tutejsi wieśniacy są tak rubaszni. Rozumiem, dlaczego mama i tato nie znoszą tej zabawy, szczególnie mama, którą odstręcza rubaszny humor wieśniaków i ich dzikie pijaństwo. Tato niekiedy bywa równie nieokrzesany jak ci chłopcy, a nawet ordynarny. Myślę, że stąd bierze się jego metoda „znikania”. A poza tym zawsze lubi wkręcić się tam, gdzie coś się dzieje. Natomiast mama zawsze była uważająca i elegancka. Sądzę, że mama zgadza się na udział w tych wiejskich zabawach tylko dlatego, by nie sprawić przykrości tacie.

Tato stara się zawsze zbliżyć do normalnego życia, nieważne jak jest odrażające. Dam głowę, że stał w kałuży świeżej świńskiej krwi, gdy wieśniacy zabijali to biedne zwierzę, które upieczono na biesiadę. Nie mogłam patrzeć, jak obżerał się tymi obrzydliwymi *boudins noirs*. Wyciekała z nich krew, kiedy je kroił. Krew była prawie czarna.

Nie rozumiem, co wstąpiło w Nickie. Ona zwykle nienawidzi męskiego towarzystwa tego pokroju. Ci wiejscy kawalerowie zachowują się tak, jakby mieli nie więcej niż trzynaście lat. Mają nie tylko niezgrabne, kanciaste ciała, ale również poobijane ręce, grube paluchy całe w bliznach i odciskach. Ich dłonie są pokryte naroślami i liszajami, poza tym mają połamane, brudne paznokcie, nierzadko powrastane i niekształtne, tak że przypominają zwierzęce pazury.

Jak ludzie mogą żyć w ten sposób? Boże, gdybym nawet miała połamać sobie paznokcie i nabawić się zadziórów, poradziłabym sobie z tym. Zgadzam się, że ludzie są różni. Żałuję, że sprośne żarty wieśniaków nie spływają po mnie jak woda. Nie chciałabym być aż taka wrażliwa, ale nie potrafię obrócić wszystkiego w żart, grubiański żart. Chyba odziedziczyłam wszystkie swoje zahamowania po tacie, oprócz tego cholernego poczucia beznadziejności. Dlatego tak łatwo mnie zranić. Zastanawiam się, dlaczego tato nigdy nie próbował popełnić samobójstwa? Zresztą, może i próbował się zabić, choć mama nigdy nie wspomniała o tym, a on sam nie przywiązywał wagi do nieudanej próby samobójczej albo zapomniał o niej.

George truje mi przez cały czas na temat „pedanterii”, ale on jest równie pedantyczny jak ja. Gdyby nosił koszulę przez dwa dni z rzędu, zachowywałby się, jak gdyby wyszedł prosto z kanału. Nie włoży koszuli, dopóki nie usunie najmniejszego pyłku z kołnierzyka i mankietów, nawet jeśli wyprałam mu ją, nakrochmaliłam i wyprasowałam. A poza tym nie włożyłby drugi raz jeszcze czystej koszuli, gdyż, jak powiada, używane koszule działają na niego alergicznie, wywołując ból w piersiach. Wciąż wracam do tego samego i uskarżam się na George’a. Kiedy roztrząsam za bardzo jakąś sprawę, wciąż walnię to samo. Czuję się winna i przepraszani za wszystko, by poczuć się raźniej. Sharon, moja psychoterapeutka w Phoenix, powiada: „To wszystko, na co uskarżamy się u innych ludzi, to wady, z którymi sami daremnie walczymy”.

W tym cały kłopot. Właściwie nie mogę podać żadnego poważnego powodu, dla którego chcę odejść od George’a. Naprawdę nie mam do czego się przyczepić.

A zarazem wszystko mi przeszkadza, wszystko, co wiąże się z jego osobą. Irytuje mnie to, w jaki sposób myje zęby, i to, że pozostawia mokre ręczniki na posadzce w łazience, gdy bierze prysznic, denerwuje mnie sposób, w jaki je, i to, że mówi nosowym głosem, i również to, że siusia głośno do sedesu, aż rozlega się w całym domu, i to, że odbija mu się i pierdzi, pozostawia niedopałki w filiżankach po kawie, a pudełka zapalek wśród koszul, które właśnie wyprałam, i plami wszystko, wszyściuteńko, a potem ogląda skrupulatnie wyprane koszule i pilnie wypatruje najmniejszej plamki, uśmiechając się sarkastycznie.

Rozmyślałam, jakie to niesprawiedliwe. George robi po prostu to wszystko, czego zwykle

oczekujemy od mężczyzny. Wychodzi do pracy i zostaje zrugany przez swojego szefa. Gromadzi w sobie wszystkie kłopoty związane z pracą, walką o awans. Musi pływać jak ryba w wodzie; by nie pozwolić się utopić w tej wielkiej korporacji. Nie pije więcej niż inni. Pali, ale chciałabym, żeby rzucił palenie. Ja przestałam palić, kiedy byłam w ciąży z Sethem, więc i on mógłby spróbować rzucić palenie. Istotnie, przestał palić, ale zaczął kurzyć od nowa, gdy został mianowany kierownikiem działu.

Palił przez sześć miesięcy, kryjąc się z tym przede mną. Nigdy nie kopał w domu, ale przecież nie musiał się z tym ukrywać. Kiedy nie palisz, szczególnie gdy jesteś byłym palaczem, zawsze poznasz, czy ktoś palił. Nie tylko dym przesiąka ubranie palacza, co zdarza się również, kiedy inni ludzie palą w tym samym pomieszczeniu, ale zapach nikotyny przesyca oddech, wydziela się przez pory skóry. W końcu musiałam to wyjaśnić i zapytałam go. Wcale go to nie wzruszyło. George nie znosi, kiedy ktoś psuje mu nastrój. A jak się domyślam, wciąż wszyscy sprawiają mu trudności.

Chyba nie chodzi o kobietę, o ile mi wiadomo. Ale przecież ta przeklęta kompania deleguje go często do Houston czy Filadelfii. Nie ma sposobu, bym mogła wiedzieć wszystko. Zataił przede mną, że znowu pali papierosy. Jednak nie sądzę, że w grę wchodzi kobieta.

Wiem na pewno, że kocha Seta, a maluszek odwzajemnia jego miłość. George jest wspaniałym ojcem. Robię się nawet zazdrosna, kiedy widzę, jak wspaniale bawią się razem. Zauważyłam, że Seth jest bardziej podobny do George'a niż do mnie. Obaj są w tym samym typie. Zawsze czuję się trochę wyobcowana, kiedy idziemy gdzieś w trójkę. Mam wrażenie, jakbym była matką obu chłopców. Boże, mam nadzieję, że mama i tato nie będą pouczać mnie, jak mam postąpić. O mały włos, a nie przyjechałabym tu, tak bardzo się bałam, że rodzice urządzią mi wielką awanturę. Oboje wierzą, że trzeba wytrwać razem do końca, na wozie i pod wozem.

Wiem, że mamie nie było łatwo. Chyba tato jest najsurowszym człowiekiem na świecie. Naprawdę trudno żyć z nim. To niezwykły „niewidzialny człowiek”, który wystrzeliwuje kryptonowe promienie w najgorszych chwilach. Nie wiem, jak mama to wytrzymuje. Zastanawiam się, czy nie byłaby szczęśliwsza, gdyby rozwiodła się z nim. Mogę tylko powiedzieć, że jest nieszczęśliwą, prawie pięćdziesięcioletnią kobietą. W rzeczy samej jest równie nieszczęśliwa jak każda kobieta w jej wieku.

To musi być straszne, kiedy jest się starym. Chciałabym zrobić coś dla niej, wyrwać ją z tej wariackiej pułapki, w której oboje utkwili tutaj, we Francji.

Sądzę, że nawet tato wyjechałby stąd chętnie, gdyby tylko mógł liczyć na posadę w Ameryce. Kiedy umarli jego rodzice, byłam prawie pewna, że wróci do Illinois. Ma tam przyjaciół, mógłby dostać pracę nauczyciela. Wraz z Loretą i Benem zamieszkałby w domu babci.

Cóż, gdybym miała choć trochę odwagi, powiedziałabym rodzicom, że nie mam zamiaru spędzić życia z człowiekiem, którego nie kocham, z człowiekiem, którego obecności nie mogę znieść, i który niemal przez cały czas doprowadza mnie do płaczu. Każda rozmowa z nim kończy się tym, że żądam natychmiastowego rozwodu. Jedyne nasze dorobek to kupno wielkiego domu, który urządził George. Teraz tylko ja zajmuję się wszystkim, nawet wysiewam i podlewam trawę. Jednak decyzję kupna podjął on sam, ten wspaniały, wielki biznesmen.

Zawsze wracam do tego samego. Jestem tak pełna gniewu i wrogości. Sharon mówi, że kipię z gniewu prawdopodobnie z zupełnie innych powodów. Doszła do wniosku, że moja agresja wiąże się z moim dzieciństwem i związkiem z rodzicami. Powiedziała, że przeniosłam swoje pretensje i wrogość na George'a.

Może tak jest. Rodzice narzucili nam tak szczególne życie z dala od naszego kraju. Nigdy nie mieliśmy telewizora. Zawsze żyliśmy bardzo skromnie, by nie powiedzieć nędznie. Prawie

głodowaliśmy, gdyż ojciec skąpa pieniędzy na wszystko. Nosiliśmy używane ubrania, które przechodziły z dziecka na dziecko, aż podarły się na amen. Byliśmy najbiedniejszymi dziećmi w szkole, do której uczęszczały dzieci największych bogaczy na świecie. A na domiar złego mieliśmy ojca, którego wszyscy uważali za głupca. Nie sądzę, by tato był naprawdę szalony. On zastanawia się po prostu, w jakim stopniu rzeczy, które uważamy za prawdziwe, istnieją naprawdę i czy rzeczywiście tak jest, że jeśli wystarczająco wielu ludzi wierzy w coś, to staje się to prawdą. Jego idésefixe sprawia, że dręczą mnie sny o tym, że zapadam się w ruchomych piaskach, które wsysają mnie coraz głębiej i głębiej. Szczytem wszystkiego jest to, że tato upiera się, iż wszystko jest prawdziwe i zarazem stanowi złudzenie. I on naprawdę wierzy w to. Możliwe, że jest w pewnym stopniu szalony. Prawdopodobnie cała opowieść o Frankym Furbo stanowi dowód jego obłądu.

Myślę, że byłabym, szczęśliwsza, gdybym dorastała w jakimś niewielkim miasteczku w promieniu stu mil od Chicago i była wodzirejem wśród dziewcząt dopingujących miejscową drużynę piłkarską. Zamiast tego chodziłam do francuskiej szkoły przez osiem lat, a potem do międzynarodowej, kiedy zaczęła uczyć w niej mama. Moją pierwszą miłością był na wpół Niemiec, na wpół Syryjczyk. To daje pojęcie, w jakim porąbanym świecie dorastałam. Mieszkaliśmy w dawnej stolarni, którą tato własnoręcznie przebudował na prymitywne mieszkanie. Nie mogłam nawet zapraszać koleżanek, bo byłoby to zbyt kłopotliwe dla taty. Kiedy mama zażądała wreszcie, by założył telefon w mieszkaniu, zachowywał się tak, jakbyśmy mieli zarazić się trądem. Wiem, że jestem pełna wrogości i uprzedzeń.

Myślę jednak, że moje uczucia do George'a nie mają nic wspólnego z tym wszystkim. Przyszłam, że związałam się z nim, gdyż jego rodzice byli dyplomataami i ludźmi bogatymi, należącymi do świata, o którym marzyłam.

A ten młyn jest najgorszy. Kiedy nasi koledzy szkolni wyjeżdżali w zimie na narty czy na wycieczki do Egiptu, Rosji lub do Grecji, zamykano nas tutaj, gdzie do środka wdierał się lodowaty wicher, który hulał po wyziębionym wnętrzu starego młyna wodnego pełnego szczurów i pajęczyn, za to bez gorącej wody, prysznic i wanny. W lecie wszystko rozrastało się dziko jak w podzwrotnikowej dżungli, wokół brzęczało tysiące uprzykrzonych os, much, muszek i komarów. Tutejsze owady są tak głośne, że zagłuszają nawet śpiew ptaków. Tylko wczesnym rankiem można było posłuchać śpiewu ptaków, które budziły nas przed świtem. Potem musieliśmy słuchać dziczyatych dzieciaków, wrzeszczących wniebogłosy i walczących wzajemnie ze sobą.

Tato i mama pływali w stawie, lecz tylko wtedy, gdy nie było wędkarzy. Staw jest tak zamulony, że nie można nic zobaczyć już sześć cali pod powierzchnią wody. Za skarby nie zanurzyłabym nawet palca w tej mętnej wodzie. Prawdopodobnie pływają w niej węże.

W lecie bywa zwykle niepogoda. Wciąż pada i jest pochmurno, więc nawet nie można się opalać. Po powrocie z wakacji wszyscy mieli wspaniałą opaleniznę, a moja skóra pozostawała zawsze biała. Za to twarz zdobiły wielkie piegi.

Powinłam pójść spać. Bezsenność nie wróży nic dobrego. Nikt nie wywiesił pończoch na prezenty. Co by się stało, gdybym zeszła na dół i zawiesiła pończochy na obramowaniu kominka. Czy ktoś zauważyłby mnie? Nie, nie zrobię tego. Boję się zejść tam sama w nocy.

Druga rzecz, o której zapomnieliśmy w tym roku, to zupa z kamieni. Co roku w Wigilię tato gotował zupę z kamieni. Dawniej, kiedy spędzaliśmy święta w Niemczech, tato rozpałał ognisko w ogrodzie w przeddzień Bożego Narodzenia, by uwarzyć tradycyjną zupę z kamieni. Potem, gdy rodzice kupili młyn, zawsze w Wigilię rozniecał ogień na grobli, gdzie jak sądził, zjedzie z nieba zaprzęg świętego Mikołaja. Każde z nas musiało wrzucić do saganka tyle kamyków, ile miało lat. Owszem, podobało mi się to w Niemczech, ale nie tutaj. Najpierw wyruszyliśmy na

poszukiwanie odpowiednich kamieni. Potem obmywaliśmy je w innym kociołku. Tato oglądał nasze kamienie uważnie, jeden po drugim, jakby sprawdzał, czy nie ma wśród nich diamentów. A kiedy obejrzał wszystkie, wrzucaliśmy je z pluskiem do saganka, pod którym palił się ogień. Wówczas tato wypowiadał zaklęcia. Mieszał w kociołku wielkim kijem, który przywiózł z Niemiec, zastępującym warząchem. Gdzieś nabył duży, żelazny saganek, w którym gotowaliśmy ową „strawę”. Pochylony nad kociołkiem, w którym bulgotała wrząca woda, z laską w rękę wyglądał jak pradawny druid. Wodę czerpaliśmy w stawie. Tato upierał się, że woda z kuchennego kranu zniszczyłaby magię, która nadaje zupie niezwykle smak.

Również, by magia odniosła skutek, wypowiadał swoje zaklęcia, które w istocie były nazwą jakiegoś warzywa: marchew, ziemniak, rzepa, cebula, burak, kapusta. Każdy kamień miał swój odpowiednik w jarzynie, która miała wzbogacić smak potrawy. Tato sam dokładał na koniec dwa specjalne kamienie, które wybierał przez dłuższy czas i własnoręcznie obmywał z ziemi. To był kamień mamy — „sezonowy” kamień, jak go nazywał, oraz drugi — jego, i to było „ciało”. Tymi kamieniami zataczał krąg nad kociołkiem, tak byśmy mogli je zobaczyć. Nigdy nie wiedziałam, skąd je brał. Oba zawsze były zupełnie różne od tych, które my znajdowaliśmy.

Mieszaliśmy zupę na zmianę długim kijem, który tato nazwał warząchwią. Mama nie musiała gotować z nami. Przebywała w tym czasie w kuchni, gdzie przygotowywała „prawdziwą” zupę. Była szczęśliwa, że nie musi marznąć. Zarówno w Niemczech, jak i tutaj zawsze marzliśmy na kość. Ogień ogrzewał saganek z zupą, ale nie nas.

Kiedy już ledwo staliśmy, tato próbował naszą potrawę. Nabierał wielką drewnianą łyżką trochę parującej zupy. Dmucnął na dymiącą łychę i patrzył na nas, jakby chciał sprawdzić efekt swoich słów. Zawsze mówił to samo, zanim jeszcze posmakował zupę:

— Tego roku ugotowaliśmy najlepszą kamienną zupę, jakiej nigdy jeszcze nie jedliśmy. Jestem pewien, że będzie smakowała wybornie!

Potem naprawdę próbował zupy z kamieni. Młaskał przy tym, cmokał wargami, chleptał głośno i mruczał: „Hmm, uhm, mniem, mniem, hu ha”. Zachwalał przez chwilę wyborny smak, a zaraz potem i my mieliśmy okazję poczęstować się zupką. Każdego roku odgrywał tę samą komedię i zawsze nabierał nas. Błagaliśmy go, by dał nam spróbować kamiennej zupy. Zawsze smakowała tak samo, jak gorąca woda z lekkim posmakiem błota. Wciąż nie rozumiem, jak udawało mu się po raz kolejny nabrać nas na tę samą sztuczkę. Tato z upodobaniem płał różne złośliwe figle. Nieraz przeżywaliśmy wielkie rozczarowanie, znajdując w pończosze z prezentami od świętego Mikołaja kawałek węgla albo coś podobnego.

Gdy już pokosztowaliśmy zupy z kamieni, pędziliśmy do domu, gdzie mama gotowała prawdziwą wigilijną zupę. Zawsze smakuje nam lepiej niż najlepsza zupa, jaką jemy w ciągu roku. Muszę zapytać mamę, jak przyrządza tę psychotę. Tato pierwszy próbował wigilijnej zupki, powtarzając, że jest prawie tak dobra jak nasza „prawdziwa zupa z kamieni”, którą ugotowaliśmy w ogrodzie. A mama przytakiwała mu. Tato zawsze przynosił do domu kubeczek „naszej” zupy i dolewał troszeczkę do zupy maminej, upierając się, że wymaga ona doprawienia. Mama zgadzała się z nim i w tej sprawie. Mama zgadzała się zawsze na wszystkie nawet najbardziej niedorzeczne pomysły taty. Nie rozumiem, jak mogła znosić to wszystko.

Ale, do licha, odkąd umarła babcia, tato zaprzestał robić te wszystkie szalone dziwactwa. Zastanawiam się, czy on opowiada Benowi te wszystkie historie Franky’ego Furbo. Myślę, że tato się starzeje. Wszyscy się starzejemy.

Nie wiem, jak sobie poradzę, kiedy odejdę od George’a. Coraz trudniej jest uzyskać alimenty, a nawet jeśli sąd je przyzna, mężczyźni nie płacą. Wiem, że George będzie przysyłał jakąś kwotę na utrzymanie Setha, ale to nie wystarczy. Będę musiała wyjechać i poszukać pracy, jakiegokolwiek pracy, która pozwoli mi być w domu, gdy Seth wróci ze szkoły. Byliśmy tak

młodzi, gdy wzięliśmy ślub. Ledwo zdążyłam uzyskać świadectwo ukończenia college'u niższego stopnia. Nie wiem, jak zdobyć papiery uprawniające do nauczania. Musiałabym chyba wrócić do szkoły i uzyskać dyplom. Gdyby George pomógł mi w czasie studiów, już po trzech latach mogłabym być niezależna. Ale nie zniosłabym życia w samotności.

Nie będę naprawdę samotna, dopóki mam Seta. Gdybym oddała go George'owi, mogłabym go już nigdy nie odzyskać. Wielu sędziów przyznaje ojcu prawo do opieki nad dzieckiem, szczególnie w takich przypadkach, kiedy nie ma żadnego konkretnego powodu do rozwodu.

Gdyby sąd przyznał George'owi opiekę nad Sethem, a George ożeniłby się powtórnie, mogłabym widywać synka tylko w weekendy lub podczas wakacji. Nie zniosłabym tego. A założyłabym się z każdym, że gdyby George był wolny, raz-dwa zakrzętnęłaby się koło niego jakaś panienka i zaciągnęłaby go do ołtarza. Wszak jest przystojny, a na dodatek ma wspaniałą pracę. A George dałby się natychmiast złapać w sidła i pozostałabym sama, bez Seta. Cholera, to wszystko rysuje się tak czarno! Naprawdę nie wiem, co zrobić.

Próbuję oddychać głęboko i przestać obgryzać paznokcie. Mama już śpi. Słyszę jej lekkie pochrapywanie. Żałuję, że nie mam dość odwagi, by porozmawiać z nią, powiedzieć jej o tych wszystkich sprawach, które nie dają mi spokoju. Ale ona wydaje się tak zamknięta w sobie. Uśmiecha się wciąż i robi wszystko, by urządzić wspaniałą gwiazdkę, ale nie wydaje mi się, by obchodziły ją nasze sprawy.

Zastanawiam się, czy naprawdę zwróciła się do taty, by zaprosił nas wszystkich na Boże Narodzenie. To mógł być pomysł taty. On po prostu wykorzystał mamę, by upewnić się, że naprawdę przyjedziemy. Tato jest zdolny do tego.

Mam nadzieję, że zasnę, zanim wrócą tato i Nickie, gdyż przy ich chrapaniu nie będzie to możliwe.

Ben śpi przy kominku. Naprawdę spojrzałam na niego, kiedy weszłam do izby. Przez cały dzień nosi okulary, toteż trudno to zobaczyć, ale wyrośnie z niego przystojny mężczyzna. Jest już bardzo wysoki. Myślę, że mama i tato rozpieszczają go, choć nie wydaje mi się, by sprawiał tyle kłopotu co większość dzieci w jego wieku. On jest po prostu indywidualistą, dziwakiem jak tato. Boże, spał z rękami złożonymi na piersi! Można by prawie przysiąc, że jest martwy, gdyby nie oddychał. Kiedyś nakrywał głowę kołdrą, ale teraz sypia wyprostowany, na wznak.

Zdarza się, że ssę palce, kiedy zasypiam. Szczególnie wówczas, gdy jestem zdenerwowana. George zawsze wyjmuje mi je z ust i zwykle budzi mnie. Nie mówię nic, ale to doprowadza mnie do szału. A on powiada beztrąsko, że robię tyle hałasu, iż nie może spać.

Wciąż ssę te same dwa środkowe palce. Sharon mówi, że to dlatego, iż pozostałam w stadium oralnym. Zdziwiła się niezmiernie, gdy powiedziałam jej, że mama karmiła mnie piersią tylko do dziewiątego miesiąca życia. A chociaż karmiła Mike'a przeszło rok, on wcale nie ssie palców. Zarówno Nickie, jak i ja ssiemy palce, natomiast Ben i Mike nie robią tego. Może ma to związek z seksem, a możliwe, że kobiety są z natury ssakami.

Zastanawiam się, kiedy Nickie i tato wreszcie wrócą. Mike był na tyle cwany, że zwiął.

MIKE

Jakie to dziwne, że chociaż przyjechałem do domu na Boże Narodzenie, wciąż nie mogę rozkoszować się życiem rodzinnym, którego tak mi brakuje w Stanach. Wcale nie miałem ochoty pójść na tę biesiadę u Calvetów, a Geneviève po prostu nie mogła. Boże, przecież ona nigdy nie żyła cudzym kosztem, więc nie obwiniam jej. Słyszysz się przez cały czas o ludziach, dla których rozwód jest równoznaczny z pozbyciem się balastu, który obciążał ich nadmiernie. Ale dla rodziców Geneviève to początek piekła.

Przebyłem przeszło dziesięć tysięcy kilometrów, by spędzić Boże Narodzenie z rodziną, a tymczasem uganiam się na motocyklu po oblodzonych wzgórzach trzy kilometry od młyna, w którym moi najbliżsi obchodzą Wigilię. Zastanawiam się, co sobie wyobrażają. Prawdopodobnie domyślają się, że coś zaszło. Strasznie trudno ukryć swoje uczucia, jeśli przeżywamy coś ważnego, przed własną rodziną, szczególnie gdy nasi najbliżsi są ludźmi bardzo wrażliwymi, a nawet nadwrażliwymi.

Nie mógłbym opuścić Geneviève, widząc, jak mocno przeżywa rozwód rodziców. Ona czuje się tak głęboko zraniona, widząc, jak dwoje ludzi, których tak bardzo kocha, zabija się wzajemnie nienawiścią. Najbardziej rozpacza z powodu swej bezsilności. Sądzę, że to będzie najgorsze Boże Narodzenie w moim życiu.

Jej matka i ojciec są tak uprzejmi i ucywilizowani, jak tego spodziewamy się po wykształconych, inteligentnych Francuzach, ale zarazem potrafią wyrządzić sobie tyle krzywdy. Oboje sporządzili listę rzeczy, które zamierzają zabrać. O ile się orientuję, a zostałem wplątany w tę sprawę, oboje chcą zabrać te same ruchomości, właściwie wszystko. A to jest niemożliwe, więc toczą zajadły bój o każdy przedmiot. Założę się, że żałują teraz oboje, że w ogóle wnieśli sprawę rozwodową. Ale wstydzą się do tego przyznać. Żadne nie zamierza wstąpić powtórnie w związek małżeński. Oczywiście, wolno im żyć z kimkolwiek, jeśli o to chodzi, ale dlaczego od razu wciągają w to cały świat?

Nie rozumiem tego pokolenia. Z drugiej strony podobne sprawy dzieją się wśród moich rówieśników — spójrzmy na Maggie i George'a i małego Seta, który staje się bezwolnym przedmiotem sporu. Jeśli nie opamiętają się, skończy się to katastrofą.

Panie, być może początek tych wszystkich problemów tkwi w samej idei małżeństwa. Jeśli naprawdę pragnie się poślubić kogoś, właśnie poślubić, to moim zdaniem świadczy to o braku zaufania do wybrańca czy wybranki. Bo nawet jeśli ufasz jej czy jemu, sama myśl o instytucji małżeństwa jest jak trucizna, która przypomina nieustannie, że wystartowałaś z błogosławieństwem obłudnego Kościoła czy jakiegoś perfidnego polityka wraz z całym tłumem pijawek udzielających zgody na to małżeństwo.

A jeśli chcesz mieć dzieci, to jeszcze osobny problem. Cała instytucja małżeństwa została powołana po to, by dwoje ludzi mogło dać im szansę rozwoju, pomóc im, zanim na tyle dorosną, by stanąć na własnych nogach. Samotnej kobiecie byłoby ciężko podołać tym obowiązkom, więc musi się mężczyzna włączyć, tworząc rodzinę.

Nie sądzą jednak, by większość par zawierała związek małżeński z tego powodu. Zwykle ludzie pobierają się z bardziej prozaicznych przyczyn. Poniekąd dlatego, że uważają, iż powinni to zrobić, albo kobieta ma dość pracy i chciałaby pozostać w domu, albo mężczyzna nie potrafi sam zadbać o siebie i szuka kobiety, która zatroszczyłaby się o niego jak matka. W wielu przypadkach ludzie po prostu czują się samotni. Doskwiera im życie w pojedynkę, posiłki w pustym domu, brak kogoś, z kim można by podzielić się swymi poglądami, porozmawiać o

niczym. Żaden współlokator nie zastąpi prawdziwego towarzysza życia.

Ktoś, kto dzisiaj bierze ślub dla seksu, musi być szalony. Dotyczy to w równym stopniu mężczyzn, jak i kobiet. To nie jest wystarczający powód, by zawrzeć małżeństwo. To nie ma sensu.

Zdarza się czasem, że osoba taka jak Geneviève czy moja babka chce opuścić rodzinę, odejść z domu, ponieważ jej życie stało się zbyt trudne, zbyt bolesne, by mogła pozostać dłużej w rodzinnym piekielku. Takie uciekinierki łudzą się daremnie, że uwiją własne gniazdko w małżeństwie. Ale, na miłość boską, one nie muszą wychodzić za mąż. Przecież mogą się po prostu wyprowadzić z domu i zamieszkać u kogoś. Chyba Geneviève nie rozumie tej drogi. Ona jest doprawdy typową francuską drobnomieszczanką. Muszę przyznać, że to mnie do niej zraża. Mam już naprawdę dosyć zarówno kobiet „wyzwolonych”, jak i potulnych „kur domowych”.

Coś nie pozwala mi pójść do mojego leśnego domku. Mam tyle złych wspomnień związanych z tym miejscem. Za każdym razem, gdy przebywam w chatce, przypominam sobie ten cały koszmar, przez który przeszliśmy. Wiedziałem, że Debbie czuje się przyparta do muru, ale nie przypuszczałem, że była aż tak nieszczęśliwa, by próbować się zabić. Boże, byłem przerażony. Dziewczyna połknęła około dziesięciu pięciomiligramowych tabletek valium, gdy poszedłem do tartaku po drewno. Kiedy wróciłem, znajdowała się w śpiączce. Uderzałem ją po twarzy i cuciełem zimną wodą, ale nie ocknęła się. Wtarłem mydło w jej usta, by spowodować wymioty. Grzmociłem ją po plecach. Nic nie skutkowało. Dopiero wtedy, gdy wywlokłem ją do lasu i zmusiłem do chodzenia, dziewczyna nieco oprzytomniała i zaczęła płakać. Bałem się, że może umrzeć. Na takiej zapadłej wsi nigdy by tego nie zrozumiano. Pochowano by samobójczynię pod murem cmentarnym jak w średniowieczu. Morvan to nie Wenecja, Kalifornia czy Palo Alto. Tutaj Słońce wciąż obraca się dookoła Ziemi.

Kiedy w końcu upewniłem się, że nic jej nie będzie, zaprowadziłem ją z powrotem do chatki. Leśny domek nie był jeszcze wykończony, podłoga położona zaledwie w połowie. Niewiele się zastanawiając, położyłem Debbie na śpiworze. Potem nadmuchałem materac i wsunąłem pod śpiwór. Odpiąłem mój śpiwór, przykryłem nim nas oboje i objąłem dziewczynę z całej siły. Debbie przestała płakać, ale wciąż trzęsła się tak mocno, że nie mogłem jej utrzymać w ramionach.

Dowiedziałem się później, że nie po raz pierwszy usiłowała popełnić samobójstwo. Tuliliłem ją przez całą noc, a rano powiedziałem, że zabieram ją do Paryża i telefonuję do jej rodziców. Nie mogłem ponosić odpowiedzialności za to, co się jeszcze mogło zdarzyć. Zrozumiałem również, w jakiś dziwny sposób, że była nieszczęśliwa ze mną. Ona uwielbiała ryzyko. Wspiniała się na wysokie i niebezpieczne rusztowania i udawała, że lata. Zawsze robiła coś szalonego. Potrafiła na przykład stoczyć się ze stromego stoku wzgórza, śmiejąc się i wrzeszcząc jednocześnie wniebogłosy ze strachu, rozpędzając na wszystkie strony stado pasących się krów w dolinie. Spędzała całe godziny nad źródłem, lepiąc figurki lub garnki z gliny.

Wiem, że ona jest o wiele inteligentniejsza ode mnie, ale nigdy nie potrafi pozbierać myśli. Ponadto brakuje jej chęci do życia. W każdym razie nie ma jej tyle co ja. Wiem, że gdybym żył z nią zbyt długo, mógłbym łatwo ją zranić

Więc po rozstaniu z Debbie zawsze ogarniał mnie w leśnym domku dziwny nastrój przygnębienia. Kiedy wyjechała, położyłem do końca podłogi, wstawiłem drzwi i dobudowałem werandę, potem zamknąłem chatkę na kłódkę. Nie spałem tutaj sam od rozstania u Debbie, choć minęło już pięć lat. Zabawnie mieszkało się tutaj tamtego lata z Geneviève. Uciekała stamtąd, jakby ścigała ją gromada złych duchów.

Jednak było wspaniale, gdy cała rodzinka tańczyła i śpiewała kolędy w leśnej chatce. Nickie jest trochę podobna do Debby; rzuca się na wszystko. Może to wynika z jej artystycznej osobowości. Ale Nickie robi coś z tym, rzeźbi. Owszem, potrafi być czasem twarda, ale nie sądzę, by kiedykolwiek kogoś naprawdę zraniła. Na swój sposób potrafi kochać równie gwałtownie, jak żyje. Zastanawiam się, co ją dręczy. Może ma kłopoty z chłopakiem? Ona należy do kobiet, które mogą łatwo uwikłać się w romans z żonatym mężczyzną w wieku taty. Jednak to nie mógłby być ktoś taki jak tato. Nickie nie zniosłaby kogoś tak roztrzępanego i zapatrzonego w siebie. Jednak gdyby spotkała dojrzałego, odpowiedzialnego mężczyznę, ustabilizowanego w życiu, mogłaby stracić głowę. Mam nadzieję, że tak nie jest.

Geneviève odwróciła się plecami do mnie. Oddycha równomiernie. Chyba wreszcie udało się jej zasnąć. Myślałem, że nigdy nie przestanie płakać. Gdyby rodzice mieli choć blade pojęcie, jak dzieci ciężko przeżywają ich rozwód, nawet dorosłe dzieci jak Geneviève, przemyśleliby gruntownie swoją decyzję.

W obecności rodziców Geneviève nie pokazuje, jak straszliwie jest przygnębiona. Nie opowiada się po żadnej stronie ani nie włącza do kłótni, kiedy zacierzewieni rodziciele odnawiają spór i zaczynają się wzajemnie oskarżać. Ale kiedy Geneviève jest tylko ze mną, rozkleja się. Żali się, że nigdy nie zrozumie tego, co się stało. Małżeństwo jej rodziców zawsze wydawało się jej trwałe. W domu panowała prawdziwie rodzinna atmosfera. Geneviève nie jest pewna, czy była za młoda, by dostrzec konflikt między ojcem i matką, czy też wszystko stało się tak nagle, jak mówią. O ile mi wiadomo, matka Geneviève działała w ruchu wyzwolenia kobiet. Mówiła, że Maurice, ojciec Geneviève, który był ważną osobą, traktował ją jak małą dziewczynkę. Powiedziała córce, że był czymś w rodzaju guru — kochał i rozumiał ludzi i wskazywał im, jak powinni żyć. Cóż, Maurice jest właśnie taki. Nosi bujną brodę, a jego twarz opromienia cudowny uśmiech. Należy do ludzi, z którymi lubimy rozmawiać, gdyż umie nas wysłuchać, a to rzadki przymiot. Ale co w tym wszystkim złego? Kobieta powinna być zadowolona, że ma tak interesującego męża zamiast pospolitego gburą. Jednak Valentine nawiązała romans ze swym starym przyjacielem, z którym umawiała się, zanim poznała Maurice'a. To wszystko jest takie głupie. Powiedziała o wszystkim Maurice'owi. Mąż zamierzał tolerować wybryk Valentine, ale to ona zażądała rozwodu. Zapragnęła nagle żyć tak, jak wymarzyła to sobie w dzieciństwie. Jak wiele Francuzek, matka Geneviève jest strasznie naiwna i romantyczna.

Teraz jednak sprawy przybrały zły obrót. Valentine zrozumiała, że zniszczyła swoje życie, a Maurice poznał młodą dziewczynę, którą zachwyca jego aura „guru”. Moim zdaniem to zwykła flirtiarą, która igra sobie ze starym, ale on to uwielbia.

Dzisiaj wieczorem Geneviève oświadczyła niespodziewanie, że chce, byśmy się pobrali. Sądziłem dotąd, że to ostatnia rzecz, jakiej pragnie, odkąd zaczęła się ta historia z jej rodzicami. Jesteśmy razem już prawie trzy lata i do tej pory nawet o tym nie wspomnieliśmy, choć przeżyliśmy cudowne chwile. Nigdy nie poznałem nikogo, kto jak Geneviève dzieliłby ze mną większość zainteresowań, a na dodatek byłby taki miły.

Myślę, że Geneviève pragnie po prostu wyrwać się z domu. Kiedy byłem w Ameryce i dostałem list od niej, w którym pisała, że nie może pojechać ze mną na zaplanowaną wycieczkę, domyśliłem się, że stało się coś złego. Nie mogłem się już doczekać, kiedy wybierzemy się na pustynię, gdzie praży słońce, jest czysto i gorąco. Więc po przeczytaniu listu zacząłem się zamartwiać. Wiedziałem przecież, że równie gorąco jak ja pragnęła pojechać na tę wyprawę motocyklową. O żadnych szczegółach nie napisała.

Mógłbym odpisać, że nie mogę przyjechać i pozostać w Ameryce, przyjechałem jednak i to coś znaczy. Teraz nie jestem taki pewien, czy to był dobry pomysł. A ponieważ Geneviève

oświadczyła mi się, płacząc, nie mogłem powiedzieć „nie”. Boże, naprawdę muszę to wszystko przemyśleć.

Co zrobię? Nawet jeśli zrezygnuję z doktoratu, to i tak będę potrzebował jeszcze roku, by napisać pracę magisterską i uzyskać dyplom uprawniający do nauczania. Gdybym został nauczycielem akademickim, miałbym cztery miesiące wakacji co roku, jak w żadnym innym zawodzie. Przeraza mnie jednak myśl, że miałbym spędzić całe życie w Ameryce. Do diabła, czuję się bardziej Francuzem niż Amerykaninem. Wiem, że Geneviève umarłaby z nostalgii, gdyby musiała wyjechać z Francji i żyć w Kalifornii lub gdziekolwiek indziej. Francuzi tak łatwo nie opuszczają ojczyzny.

Więc powiedziałem „tak”.

Nasuwa się jednak pytanie, jak, u diabła, poradzę sobie z tym wszystkim? Najpierw muszę powiedzieć o tym rodzinie. Boże, tato nigdy nie zrozumie, ale przecież i tak nie rozumie niczego, a nawet nie stara się zrozumieć. Wydaje się, że on odbiera wszystko, co dotyczy innych osób, na jednej fali. Tato porusza się we własnym fantastycznym wszechświecie, zamartwiając się swoimi wymyślanymi sprawami. Jak zwykle wycofa się w głąb swojego świata. Trudniej będzie to wytłumaczyć mamie. Przecież wiąże ze mną tak wielkie nadzieje.

Myślę jednak, że gdy porzucę naukę, zatrudnię się w składzie stolarskim monsieur Costy na rue Main d'Or w jedenastej dzielnicy w Paryżu. Pracowałem u niego zeszłego lata. Na pożegnanie powiedział mi, że mógłbym zostać jego pomocnikiem, gdybym zechciał. Naprawdę świetnie sobie radziłem. Być ebeniste to nie taka zła robota, a ja lubię pracę w drewnie.

Tak czy owak nie sprawdziłbym się jako naukowiec. Prędzej czy później znalazłbym się w ślepej uliczce. Nie udaję, że mam hyzja na tym punkcie jak wiele osób na uczelni. Jestem obdarzony wyobraźnią bardziej niż inni, ale większość naukowców zajmuje się skrupulatnie nieistotnymi drobiazgami, jak mi się wydaje, zupełnie bezmyślnie. Zresztą, czy można wyobrazić sobie obdarzonego wyobraźnią paleontologa? Czuję się jak w nie swoim żywiole w czasie prawie wszystkich zajęć. Uczę się tak dobrze jak inni, ale przestałem się interesować przedpotopowymi skamieniałościami.

Monsieur Costa przebywa w stolarni tylko w dzień. Ma własne mieszkanie w dwudziestej dzielnicy. Ale jego bail jest równoznaczny z bail mixte. To znaczy, mógłby mieszkać legalnie. Na zapleczu jest ubikacja i zlew. Mógłbym tam sypiać na łóżku polowym, zamiast męczyć się na tej wysłużonej zapadniętej kanapie, która stoi przy oknie. Gdyby pozwolił nam tam nocować, moglibyśmy się jakoś urządzić.

W zamian moglibyśmy posprzątać pracownię i sklep. Moglibyśmy płacić rachunki za prąd i gaz. Monsieur Costa zapewne zgodziłby się na to. Geneviève również mogłaby pracować, toteż jakoś zarobiliśmy na utrzymanie, zanim zaoszczędziłem tyle pieniędzy, by założyć własny sklep. Możliwe, że za jakiś czas mógłbym wykupić sklep monsieur Costy, kiedy wycofa się z interesu. Właściciel starzeje się i prowadzenie sklepu sprawia mu zbyt wiele fatygi. Powinien zrezygnować niebawem. Być może powolutku rozwiążemy nasze sprawy.

Cholera jasna, nigdy nie będę zdolny wyjaśnić tego wszystkiego mamie i tacie. To, co zamyślam, nawet mnie samemu wydaje się idiotyczne. Chyba posunąłem się za daleko. Nie potrafię myśleć o tym. Sam nie jestem pewien, kto wpadł na pomysł tego małżeństwa. Może to ja sam? Geneviève szlochała tak głośno, a ja nie mogę znieść, kiedy płacze. Mam wówczas zupełny chaos w głowie.

Psiakrew, zawsze obiecywałem sobie, że nigdy nie dam się zapędzić w ślepy zaułek, w którym utknął tato. Nawet jeśli pozostanę na uczelni i uzyskam dyplom, będzie tak samo. Utknąłbym jak tato, ucząc dwadzieścia pięć godzin tygodniowo, i nie miałbym właściwie dokąd odejść. Bez doktoratu nikt mnie nie zatrudni w college'u.

Szczerze mówiąc, byłbym szczęśliwy, gdybym miał taką pracę jak tato. Chociaż utknął w Amerykańskim College'u w Paryżu, ma świetną pracę, uczy przedmiotu, który lubi; wykłada tylko piętnaście godzin tygodniowo, i co najważniejsze, mieszka w Paryżu. Szczęśliwym trafem dostał tę pracę. Z pewnością nie otrzymałby jej dzisiaj, a ja na pewno nie dostałbym jej również. Zapotrzebowanie na paleontologów jest takie samo jak na ontologów.

Cholera, mam dwadzieścia pięć lat. Tato miał dwadzieścia dwa, a mama była o rok młodsza, kiedy się pobrali. Dziadek miał dwadzieścia jeden lat, a babcia dziewiętnaście, gdy wzięli ślub. Ludzie zawsze pobierają się młodo.

Nie możemy mieć od razu dzieci. Na rany Chrystusa, musimy poczekać, Geneviève ma zaledwie dziewiętnaście lat.

Nie sądzę, by tato łożył na moje czesne, jeśli Geneviève zamieszka ze mną. Jestem tego pewien. Ojciec zawsze tak postępował. Nie sądzę, by wynikało to ze skąpstwa. Ale zawsze, gdy ktoś z nas zarobił trochę grosza, musiał oddać wszystko do rodzinnej kasy. Potem, gdy potrzebowało się forsy, trzeba było prosić. Tato sądzi, że człowiek, który się żeni, powinien sam zapracować na utrzymanie rodziny. Spójrzmy na Peg i George'a. Było im naprawdę trudno po ślubie. Ojciec prawdopodobnie wspomógł ich trochę, ale w niewystarczający sposób. Gdybym pozostał w Kalifornii w tym roku, Geneviève nie mogłaby pracować, gdyż jeszcze nie mówi po angielsku wystarczająco dobrze.

Boże, jak cicho jest w kryjówce Geneviève, i zimno. Urządziła to swoje zacisze zeszłego lata. Może więc schronić się we własnym kącie, teraz gdy wszystko jest postawione na głowie. Jej rodzice nie rozmawiają ze sobą, toteż uczynili z Geneviève domowego posłańca, przez którego przekazują sobie wiadomości. To wystarczyłoby, żeby doprowadzić każdego do białej gorączki. Na domiar złego jej matka płacze bez przerwy.

Kryjówka Geneviève mieści się w części starej stajni, gdzie kiedyś trzymano krowy. Oczywiście dawniej, gdy prowadzono jeszcze gospodarstwo. W starych murach przetrwał zapach bydła, który wnikał w kamienne ściany przez stulecia. Zwykle lubię tę woń, ale dzisiaj zapach ten sprawia, że rozmyślam o tym, jak czuł się święty Józef. Brzemienna Maria, nie mieli ślubu i musieli nocować w starej, opuszczonej stajni. A działo się to prawie dwa tysiące lat temu.

Geneviève położyła grube dywaniki na klepisku, a na ścianach zawiesiła makramy, które sama zrobiła. Jest ciemno, choć oko wykol, ale wiem, że klepisko i ściany nie są nagie. Geneviève potrafi przemienić każde miejsce w wygodny i przytulny kącik. Naprawdę potrzebuję kogoś takiego.

Geneviève pojękuje, drgają jej plecy. Łudzę się, że nie zacznie znowu płakać. Opieram się na łokciach i wpatruję w nią. Myślę, że mogłaby być moją żoną do końca życia. Dostrzegam w ciemności jej policzki i głęboko osadzone oczy.

Na górze jest fantastycznie. Zanim wszystko się rozpadło, rodzice Geneviève harowali jak niewolnicy, by przekształcić ten stary mas w cudo architektury utrzymane w stylu francuskich wiejskich rezydencji szlacheckich. Zrobili wszystko własnymi rękami. Zachowali pierwotne belki i stare przyciesia, a potem wmurowali kamienie pomiędzy nie. W miejscu dawnego paleniska zbudowali wysoki kominek. Wnętrze dworku jest wykwintne, schludne i piękne, wygląda prawie jak wystrój najbardziej eleganckiego paryskiego mieszkania. Bogaci paryżanie starają się wbudować w swoich mieszkaniach poutres apparentes — widoczne belki i różne wiejskie akcenty. Za to kiedy wyjeżdżają na prawdziwą wieś, próbują urządzić wszystko tak, żeby wyglądało jak w Paryżu. Nawet Francuzi znani na ogół z dobrego smaku miewają niekiedy monstrialne pomysły.

Muszę stwierdzić, że moi rodzice są również zbyt skąpi albo zbyt leniwi, kiedy trzeba coś

zmienić. Nie przebudowali w ogóle starego młyna, w którym pozostały kamienie młyńskie pierwotne głązy w murach. Wnętrze jest niewygodne, a stolarka z surowego drewna przydaje mu jeszcze prymitywnej prostoty. Ale dzięki temu młyn stanowi część dawnego Morvan, w którym toczy się jak przed wiekami ubogie wiejskie życie.

Rozpoczynają się święta Bożego Narodzenia, ale w całym domu nie ma nic, co wskazywałoby, że rodzice Geneviève zamierzają świętować. Nikt nawet nie pomyślał o tym.

Ale i w ubiegłym roku, i jeszcze wcześniej nigdy nie wyczuwało się w tym domu świątecznego nastroju. Zwykle na stole stało kilka różnokolorowych świec i czasem gałązka ostrokrzewu w wazonie. Nawet śladu choinki. Francuzi nie świętują aż tak bardzo Bożego Narodzenia, szczególnie francuscy lewicowi intelektualiści, którymi są rodzice Geneviève. Wszystko, co choćby tylko zatraća leciutko religią czy religijnością, nie ma prawa bytu w tym domu.

Boże, moja rodzinka przed Bożym Narodzeniem krząta się jak w ukropie. Rokrocznie w okresie gwiazdki moi rodzice hołdują tradycji bożonarodzeniowej, jakiej nie ma nigdzie na świecie. Już 6 grudnia mama przygotowuje mikołajki w niemieckim stylu — Niklaus-kommt-ins-Haus — a zakończenie całego okresu świątecznego następuje 6 stycznia, kiedy obchodzimy epifanię, czyli święto Trzech Króli. Co wieczór — od pierwszego grudnia do Wigilii — śpiewamy kolędy przy świecach adwentowych, zapalając co tydzień jedną więcej aż do nocy wigilijnej.

Potem dostajemy kalendarze adwentowe. Otrzymywaliśmy je, ledwo odrośliśmy od ziemi, zanim jeszcze nikt oprócz Niemców nie słyszał o nich. Zawsze składały się z dwudziestu czterech okienek, które otwieraliśmy każdego wieczoru po kolacji, zanim zaczęliśmy śpiewać kolędy. W każdym okienku znajdował się obrazek, na którym byli aniołowie albo świąteczne łakocie czy bałwanki. Przypominało to malowane chińskie pierniczki, choć obrazki w okienkach kalendarzy adwentowych miały akcenty bożonarodzeniowe. Każde dziecko miało swój własny kalendarz. Tato ustawiał wszystkie nasze kalendarze w jednym rzędzie tuż przed płonącymi świecami w ten sposób, że otwarte okienka wyglądały prawie jak kolorowe witraże. To była prawdziwa magia. Mój tato jest na pewno specjalistą w dziedzinie magii.

Myślę, że niezwykłą tradycję gwiazdkową w naszej rodzinie zapoczątkowały dziewięć lat temu nasze wyjazdy do Bawarii. Nie pamiętam żadnej gwiazdki sprzed tego okresu. Potem spędzaliśmy święta w młynie, przenosząc tu wiele niemieckich zwyczajów bożonarodzeniowych. Z czasem dodaliśmy również francuskie tradycje.

Chłopie, pamiętam jak byłem nieszczęśliwy, kiedy spędzałem pierwszy raz Boże Narodzenie poza domem. Mieszkałem w uniwersyteckim kampusie w L.A. Prawie wszyscy wyjechali na święta do domu, ale ja musiałem pozostać w Los Angeles, gdyż moi rodzice nie mogli sobie pozwolić, by zafundować mi przelot samolotem do Francji i zaraz po gwiazdce z powrotem do Ameryki. Powiem tylko, że ciężko jest spędzić ten czas w pustym domu akademickim. W samą Wigilię kupiłem choinkę za bezcen i przemyciłem do mojego pokoju. Wyciąłem z papieru ozdoby choinkowe i pokolorowałem. Zapaliłem świeczki i śpiewałem kolędy sobie a muzom. Zagrałem również kilka kolęd na gitarze. Wieczór był ciepły, więc zaciągnąłem zasłony. Później przeczytałem sobie na głos książeczkę W noc wigilijną. Wreszcie poszedłem spać, a kiedy obudziłem się, byłem naprawdę rozczarowany, że nie znalazłem żadnych prezentów pod choinką. Chyba oczekiwałem, że tato przyleci z workiem prezentów do Kalifornii w nocy na wytresowanym przez Franky'ego Furbo orle Bimbo. Prawdopodobnie podświadomie oczekiwałem, że święty Mikołaj odbędzie specjalną podróż.

Zastanawiam się, jak będą wyglądały w przyszłości święta Bożego Narodzenia w mojej rodzinie, nasza gwiazdka i naszych dzieci. Geneviève przywyknie do tego, że będzie mieszkać z

odmieńcem, który przywiązuje szczególne znaczenie do tych świąt. Dzisiaj również nie zamierzam przesiedzieć gwiazdki w pustej izbie, której nie zdobią sosnowe gałęzie ani kartki świąteczne zawieszane na sznureczkach, ani wspaniałe girlandy wiszące na drzwiach. Nigdy nie zadowolę się siedzeniem w ciszy i popijaniem szampana z kieliszków na długich nóżkach czy dzikimi wrzaskami podczas wigilijnej biesiady. Nieważne, gdzie zamieszkamy, gwiazdka musi być staroświecka. Nienawidzę nawet tych wszystkich nowoczesnych kolęd, jak Rudolf, renifer z czerwonym noskiem czy Białe święta. Prawo powinno zakazywać chciwym kompozytorom piosenek przekręcania kolęd.

Boże Narodzenie to święto rodzinne i takie powinno pozostać. W te święta powinniśmy przebywać w gronie najbliższych i odczuwać głęboką i prawdziwą więź rodzinną. Myślę, że kiedyś, gdy byliśmy dziećmi, najbardziej starał się o to tato, choć i mama dbała, by w domu zapanował prawdziwie świąteczny nastrój. Tato stara się dopilnować, by święta przebiegały zgodnie z tradycją rodzinną, a równocześnie potrafi wygłaszać godzinami bombastyczną mowę na temat tego, że właściwie nic nią ma. Ale jest wspaniała, kiedy przygotowuje gwiazdkę. To chyba pasuje do jego świata.

Powinniście słyszeć, z jakim zapałem peroruje o czarnych dziurach w kosmosie, o innych wszechświatach po drugiej stronie tych dziur i o entropii. Może nawet opracował teorię na temat ważności fałszywego twierdzenia, jakoby przyroda była obdarzona uczuciami ludzkimi. Boże, biedna Peg zwykle zatyka palcami uszy, kiedy go słyszy. Zastanawiam się, czy wszyscy filozofowie są takimi dziwakami jak nasz tato.

Chyba już się skończyła biesiada u Calvetów. Założę się, że Peg i Nickie poszły tam niechętnie. Sam zwykle dobrze się bawię. O kurczę pieczone, zastanawiam się, czy ktoś zauważył, że zapomniałem wywiesić swoją pończochę na prezenty. Zwykle mama przypomina nam o tym. Zapewne tym razem nie było mnie w izbie, gdy mówiła, by to zrobić.

NICKIE

Nie wytrzymałabym dłużej ani chwili. Spróbuję przełknąć ślinę powoli sześćdziesiąt razy. To zwykle pomaga. Rany, mieszanina wina i kręcenie się w kółko z tymi kowbojami wywróciło mi żołądek.

Nie, muszę jakoś zejść po tych rozklekotanych schodach. Nie chcę obudzić Peg. Ona musi się wyspać. Mówiła mi tyle razy, że nie śpi więcej niż dwie godziny na dobę, gdyż tak martwi się o George'a i Seta. Ot co!

Przetykanie nie pomaga. Czuję się coraz gorzej. W ustach mam pełno śliny, a im częściej przełykam, tym jest jej jeszcze więcej.

Wysuwam się ostrożnie spod kołdry, trzymając się za brzuch i zakrywając usta. Mogłam zwymiotować do tego bidetu, który mama wstawiła tu specjalnie dla nas, ale zrobiłabym zbyt wiele hałasu, a poza tym w pokoju pozostałby nieprzyjemny zapach. Muszę zejść na dół.

Będę musiała trzymać się dwiema rękami, by nie spaść ze schodów, które wyglądają jak drabina. Wow, ale narobiłabym bałaganu, gdybym rzygnęła ze szczytu schodów prosto na środek salonu. Prawdopodobnie Ben umarłby z przerażenia i szoku. Schodzę w dół z tego wysokiego ostatniego stopnia, na którym można skrócić sobie kark. Wiem, że nie dam rady przejść przez pokój aż do toalety. Muszę zdobyć się na ogromny wysiłek.

Odstawiam butlę z butanem, którą tato zastawia drzwi, by wichur nie wyrwał ich z zawiasów i wychodzę bosą na śnieg na obolałych od tańca nogach. Przechyliłam się przez poręcz i wymiotuję wprost na lód pod zamrożonym wodospadem. Słyszę, jak wymiociny rozpryskują się na lodowej tafli, ale nie widzę nic z tej wysokości. Wymiotuję trzy razy, a potem przez chwilę wydaje mi się, że zemdleję. Rozglądam się i oddycham głęboko.

Gdy nudności mijają, wracam i nogą zamykam drzwi za sobą. Nie sędzę, żebym kogoś obudziła. Stopy zdrętwiały mi z zimna, ale czuję się lepiej. Zresztą miałam i tak nogi obolałe od tańca, więc chłód przyniósł mi ulgę. Włożyłam garść śniegu do ust, by pozbyć się nieprzyjemnego smaku. W końcu mdłości rozbudziły mnie na dobre.

Wciąż pada śnieg i wieje lodowaty wiatr. Nie rozumiem, dlaczego mama i tato przyjeżdżają tu rokrocznie na Boże Narodzenie. Tyle wspnianych przyjęć odbywa się w tym czasie w Paryżu. Oboje muszą mieć masochistyczne skłonności; stali się najprawdopodobniej ofiarami niewiarygodnych złudzeń tatusia. Mama jest na swój sposób równie niezyciowa jak tato. Oboje naprawdę wierzą w Boże Narodzenie, w dobrą nowinę, w narodziny Dzieciątka w Betlejem, kłody Yul, strojenie izby świętymi gałęziami, w świętego Mikołaja — słowem w to całe podejrzane, nieczyste kłamstwo.

Wiem, że muszę porozmawiać z nimi, zanim wyjadę. Najpierw spróbuję pomówić z mamą. Nie mamy zbyt wiele czasu. Peg zamierza wrócić do Paryża wieczorem, dwudziestego szóstego grudnia, gdyż ma wyznaczoną randkę ze swoją dawną sympatią, Francuzem. Możliwe, że pragnie sprawdzić, jak to jest być znowu wolną. Nie znam planów Mike'a. Być może utknie tutaj z Geneviève, a może ona pojedzie z nami.

Kiedy jechaliśmy samochodem, zauważyłam ze smutkiem, jak zmieniła się twarz Peg, kiedy Mike powiedział nam o rozwodzie rodziców Geneviève. Odwróciła bez słowa pobielałą, skamieniałą twarz i po prostu patrzyła przez okno. Wydawało się, że patrzy w kryształową kulę, w której widzi własną przyszłość.

Mam nadzieję, że Peg wie, co robi. O ile mi wiadomo, George wcale nie jest taki zły. Nie, to nie jest prawda. Sama chciałabym, by ojcem moich dzieci był jakiś naprawdę interesujący lalusz.

Chciałabym uwielbiać mężczyznę i zarazem szanować go. Nie obchodzi mnie, czy będzie osiemdziesięcioletnim staruszkim, czy będzie brzydki jak noc. Cenię u mężczyzny przede wszystkim umysł. Jeśli mam postawić na szali całe swoje życie i wyglądać jak wydeпта opona przez dziewięć miesięcy, a potem przez dwadzieścia lat troszczyć się o dzieciaka, muszę mieć pewność, że wyrośnie z niego ktoś niezwykły. Przecież urodzenie dziecka to kreacja artystyczna najwyższej próby. Tylko głupiec nie starałby się użyć w procesie tworzenia tego wspaniałego dzieła sztuki możliwie najlepszych materiałów. Mieć dziecko z przeciętnym mężczyzną, to jakby rzeźbić z plasteliny. Dlatego tak bardzo zależy mi na Spike'u. Na samą myśl o tym, jakie wspaniałe dziecko mogłabym mieć z tym cudownym człowiekiem, odczuwam wielką radość.

On osiągnął już tak wiele. Nie chce być ojcem i nigdy nie zdecyduje się na ślub. Ale to właśnie jego pragnę. Jest takim wspaniałym kochankiem, jest czuły, wrażliwy, utalentowany.

Mdłości minęły. Otwieram ostrożnie drzwi, zamykam i podpieram butlę z gazem. W domu jest cicho, pewnie wszyscy śpią. Siadam w fotelu na biegunach, przy kominku. Płomienie tańczą wesoło. Przyglądam się Benowi, który śpi jak zabity. Bujam się spokojnie w fotelu, próbując zebrać myśli.

Usłyszałam o Spike'u od kilku osób z La Jolla przechwalających się, że poznali „prawdziwego” rzeźbiarza, który mieszka na pustyni w pobliżu La Mesa. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze zajęcia nie miały nic wspólnego z prawdziwym rzeźbiarstwem. Włączano nam do głowy teorię. Bawiliśmy się, lepiąc z plasteliny lub z papier-mâché, poznawaliśmy wszystkie rodzaje rzeźby z odpadków. Ta cholerna pracownia rzeźbiarska wygląda jak wielkie śmietnisko. Studenci grzebią w zdemontowanych pralkach lub samochodach, spawają, szlifują, malują. Inni skleją lub przybijają gwoździami kawałki dykty i malują złotą lub czarną farbą. Boże, raz otarłam się niemal o samego słynnego Louisa Nevelsona! Zawsze myślałam, że rzeźbiarzowi wystarczy młot i dłuto, że struga kawałek drewna albo wykrusza skałę. Ale w La Jolla jest inaczej. To jakiś cholerny kindergarden, w którym wszyscy dostali amoku. Wszyscy próbują przypodobać się nauczycielowi, który wie niewiele więcej o prawdziwym rzeźbiarstwie niż ja.

Zdecydowałam się pojechać z kolegami, by zobaczyć prawdziwego rzeźbiarza z pustyni. Wskakujemy do land rovera Harry'ego i ruszamy w drogę. Tylko Harry widział przedtem tego faceta. Powiedział, że natknął się na rzeźbiarza, gdy zjechał z arroyo swym terenowym wozem.

Wjeżdżamy do niewielkiego kanionu na zupełnym odludziu. Nie wierzę własnym oczom. Artysta zbudował swoją siedzibę z wysuszonych na słońcu cegieł i betonowych bloków. Jednak to nie są zwyczajne betonowe płyty, jakie kupuje się w składzie materiałów budowlanych. Ten facet zrobił sam płyty w formach, które wykopał w piasku. Z tych niezwykłych płyt zbudował na pustyni pracownię rzeźbiarską, która sama stanowi wspaniałą rzeźbę.

Przed domem rzeźbiarza pustelnika stoi stary samochód ciężarowy bez zderzaków i plandeki. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam tego gruchota, omal nie wybuchnęłam głośnym śmiechem. Zresztą podobnie zareagowałam na widok właściciela zdezelowanej ciężarówki, który nosi tylko obcięte krótko dzinsy z dziurawymi kieszeniami i ciężkie pionierki bez skarpet. Całe ciało ma przyprószone białym pyłem. W pierwszej chwili pomyślałam, że pomalował się na biało.

Tylko jego ciemne oczy przebłyskują przez warstwę białego proszku. Nosi gogle nasunięte na czoło. Włosy ma ostrzyżone przy samej skórze, toteż wygląda, jakby był łysy. W jednej ręce trzyma wielki młot z krótkim trzonkiem, a w drugiej ostre dłuto. Nie mam wątpliwości, że to prawdziwy rzeźbiarz.

Zakochałam się w nim, jeszcze zanim wyszłam z land rovera. Nie miałam pojęcia, czy miał dwadzieścia, czterdzieści czy sześćdziesiąt lat i wcale to mnie nie obchodziło. Okazało się, że ma dwadzieścia osiem. Stał po prostu, patrząc, jak cała nasza piątka wyskakuje z auta prościutko na gorący piasek.

Przywitał się z Harrym, którego poznał od razu, i był nawet miły, ale odniosłam wrażenie, że przerwaliśmy mu pracę. Będzie zachowywał się uprzejmie, dopóki nie odjedziemy. Potem z ulgą powróci do swoich zajęć. Jest zupełnie sam. Żyje samotnie pośrodku pustyni. Często nas wodą z blaszanek, które stoją w narożniku pracowni. Jest upał. Gospodarz siada z nami, ale nie wypuszcza młota z rąk.

Pośrodku pomieszczenia leży olbrzymi głaz narzutowy, rzeczny otoczek, Spike wycina w nim spirale ślimaka, wykorzystując naturalne wyłobienia w kamieniu. W pewien sposób rzeźba ślimaka przypomina wielkie skamieniałości, które widziałam w muzeach paleontologicznych i archeologicznych. Wykuwa kształt ślimaka, kierując się naturalną formą głazu, ale dodaje własny osobisty rys. Pokazuję na ślimaka.

— Wow, to coś wspaniałego! Czy znalazłeś ten głaz tutaj?

Przygląda mi się, odstawia szklanekę z wodą. Krople wody, którą gasił pragnienie, zmyły kamienny pył wokół jego ust.

— Myślisz o Roscoe? Tak, to chyba jest coś? Odkryłem rysy w kamieniu i teraz śmiertelnie się boje, że kiedy wykuję już wszystko, mojemu ślimakowi odpadnie głowa. Tak trudno wyrzeźbić czułki. Zawinę je w taki sposób, jak robią to czasem ślimaki. Gdybym miał tutaj kilka żywych ślimaków, które posłużyłyby mi jako modele, ale jest tu za sucho. Wpadłem na ten pomysł, kiedy przytaszczyłem ten głaz do domu. Przyglądając się skałce, pomyślałem, że w okolicy nie ma żadnego chłodnego i wilgotnego miejsca, w którym można by znaleźć ślimaki. Przyszło mi do głowy, by samemu stworzyć ślimaka — pustynnego ślimaka.

Kiedy mówi o tym, patrzy mi prosto w oczy. W jego spojrzeniu nie ma nic natrętnego. Spogląda spokojnie, choć w jego wzroku daje się wyczuć żar, który w nim płonie. Odkryłam, że jego szare oczy mają tę samą barwę co kamień, w którym rzeźbi.

Rozglądam się po pracowni. Widzę w tym natłoku rzeźb zwierzęta i ludzkie figury, rzadko stojące w pojedynkę, przeważnie dwie lub trzy skomponowane w sugestywnej grupie. Niektóre z wyrzeźbionych postaci są naturalnych rozmiarów.

Nie wszystkie rzeźby są w kamieniu. Niektóre powstały ze świeżego betonu, który rzeźbiarz wlewa do matryc wyłobionych w pustynnym piasku. Teraz pokazuje nam, jak robi taką matrycę. Najpierw żłobi formę, zwilża piasek, by ukształtować matrycę zgodnie ze swym zamierzeniem, potem wypełnia ją plastikową folią, która zastępuje szalunek, utrzymując wilgoć. Z jednej strony ważny jest sposób, w jaki robi formę odlewniczą w piasku, z drugiej musi zadbać o to, by górna część, którą wypełnia zaprawą murarską, nadając ogólny zarys przyszłej rzeźbie, nie pokruszyła się po wyschnięciu. Potem, kiedy beton wyschnie, Spike rzeźbi szczegóły. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś pracował w taki sposób. Moją uwagę przykuwa skulona postać, która wygląda jak mumia wykopana z piasku albo skamieniałe ciało z Pompei. Gospodarz pokazuje nam również betonowy odlew, z którego robi gigantycznego niedźwiedzia.

— Na tę rzeźbę zużyję sześć worków cementu. Zwykle zużywam jedną piątą tej ilości. Niezmiernie trudno jest znaleźć odpowiednich rozmiarów kamienie, które mógłbym podnieść na wyciągu na pake, i przewieźć ciężarówką tutaj. Niekiedy rzeźbię w terenie, gdy nie mogę ruszyć głazów z miejsca. Tego niedźwiedzia Shorty'ego pomaluję i postawię przed domem. Powinien odstraszyc każdego rabusia, który zamierzałby mnie okraść lub pobić.

Śmieję się. Nie mogłabym sobie nawet wyobrazić, żeby ktoś był na tyle szalony, by napaść na tego półnagię olbrzyma. Poza tym nie ma tutaj nic, co można by ukraść, nic, co dałoby się stąd wynieść.

Rzeźbiarz wyjaśnia, że przygotowuje coś w rodzaju gipsu modelarskiego. Pokrywa nim betonowe posągi, kiedy są już suche. Potem je maluje. Figury, które nam pokazuje, są niewiarygodnie piękne. On maluje równie dobrze, jak rzeźbi. Harry wtrąca coś na temat

połączanych lilii, mówiąc, że może wystarczyłby sam beton.

Rzeźbiarz spogląda na niego i uśmiecha się. Nawiasem mówiąc, nazywa się Spike. Jestem pewna, że Spike to nie jego prawdziwe imię, ale jednak bardzo pasuje do niego. Nigdy nie poznałam jego prawdziwego imienia.

Podnosi znowu ostre dłuto. Spaceruje wokół ślimaka, przyglądając się rzeźbie.

— Nie jestem pewien, czy go pomaluję. Posągi starożytnych Greków i większość rzymskich były pomalowane. Farba zesza z czasem, toteż nasz współczesny kanon estetyczny, jeśli chodzi o rzeźbę, opiera się na wyblakłym pięknie wymytego kamienia. Ale to wspaniałe uczucie, gdy patrzy się na pomalowaną rzeźbę, w której nie ma fałszywych cieni, żadnego złudzenia przestrzeni. To nawet bardziej rzeczywiste niż zwyczajne malarstwo. Kiedy patrzymy na pomalowane posągi, wydaje się, że zaraz ożyją.

Muszę się zgodzić z jego stwierdzeniem, bo chociaż figury nie wyglądają tak realistycznie jak woskowe posągi w muzeum madame Tissaud, są jednak bardziej prawdziwe niż zwykłe rzeźby. Niektóre jego zwierzęta są większe niż w rzeczywistości, a za to ludzie o wiele mniejsi. Rzeczywiście te pomalowane figury są bardzo sugestywne.

Spike wraca do swojego ślimaka. To oczywiście, że poświęcił nam tylko tyle czasu, ile sam zechciał.

Odchodzę z żalem, ale nie chcę naprzykrzać się natchnionemu artyście.

— Okay, idziemy! Nie przeszkadzajmy temu szaleńcowi w pracy.

Kieruję się do samochodu, reszta podąża za mną. Spike stoi w drzwiach, odprowadzając nas spojrzeniem. Kiedy odjeżdżamy, kiwa nam na pożegnanie ręką, w której trzyma dłuto. Wiem, że kiwa do mnie.

Wszystko, co robiłam w ciągu dwóch następnych tygodni, wydawało mi się pozbawione znaczenia. Śniłam o Spike’u Tate. Wszystkie moje sny o rzeźbiarzu z pustyni miały seksualny kontekst. Nie miałam marzeń seksualnych, odkąd stałam się na tyle dorosła, by rozpocząć normalne życie seksualne. Przez dwa tygodnie dreptałam w kółeczko, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Wreszcie zdobyłam się na odwagę. Najpierw pożyczyłam wóz od Amy Lou. Powiedziałam jej, że oddam samochód jutro wieczorem. Wymknęłam się z pokoju wcześniej rano i wałęsałam po kampusie, zanim nie znalazłam dziesięciu dużych ślimaków. Wzięłam trochę chleba, szynki, sera, butelkę wina. Wniosłam do bagażnika duży pojemnik z wodą. Starłam się zapamiętać drogę, kiedy wracaliśmy land roverem, więc wiedziałam, w którym miejscu trzeba zjechać na pustynię. Dojechałam bez trudu.

Parkuję samochód, zamykam drzwi i zarzucam plecak na ramiona. Mam na sobie dzinsy i kolorowy podkoszulek. Nie założyłam stanika. Panuje okropny upał.

Zaczynam wędrowkę przez pustynię około ósmej rano. Kiedy mówię, że wstałam wcześniej, to znaczy, że nie tylko zerwałam się o świcie, ale również nie mogłam spać w nocy i musiałam poszukać tych cholernych ślimaków. Na ścieżkach koło szkoły widziałam zawsze błyszczące ślady, jakie pozostawiają pełznące ślimaki, toteż wiedziałam, gdzie ich szukać.

Doszłam do wniosku, że powinnam odszukać arroyo. Jeśli zacznę się wspinać, na pewno nie zabłądzę. Po dwóch godzinach wyczerpującego marszu odnajduję kryjówkę Spike’a. Rany, jeśli ktoś pragnie samotności, to tutaj znajdzie odpowiednie miejsce. To dopiero kwiecień, ale panuje okropny upał. Wchodzę tak cicho, jak to możliwe. Ale Spike nie rzeźbi ślimaka. Miesza zaprawę murarską w ręcznej betoniarce. Potem wypełnia betonem matrycę tego olbrzymiego niedźwiedzia, którego nam pokazał. Patrzy w moją stronę, jakby nie wierzył własnym oczom. Wspiera się na łopacie i przygląda mi się badawczo.

— Na Boga, jak się tutaj dostałaś?

— Przyszłam na piechotę.

— Przyszedłeś z La Jolla?

— Nie. Pożyczyłam samochód od przyjaciółki i zaparkowałam go na autostradzie, a resztę drogi przeszłam.

— Cholera, mogłaś się zgubić! Na pustyni łatwo skrócić w złym kierunku, gdyż wszystko wygląda tak samo...

Urywa i patrzy na mnie ze zgrozą. Zaczynam żałować, że przyszłam. Wiem, że kiedy zapyta, dlaczego tu wróciłam, nie potrafię odpowiedzieć. Szybko zrzucam plecak, sięgam do środka i wyciągam ślimaki.

— Oto, oto... kilka modeli dla ciebie.

Spike opiera łopatę obok mieszarki betonu, podchodzi i bierze ode mnie ślimaki.

— Dziewczyno, one są przepiękne! To naprawdę miło z twojej strony, dziękuję.

Niesie je do domu, a ja podążam za nim. Stawia słoje pomiędzy dwiema blaszankami z wodą.

— Nie wiem, jak długo przeżyją w tym pustynnym skwarze.

Wykułam dziurki w blaszanym wieczku, by ślimaki mogły oddychać, jeśli ślimaki oddychają. Spike zrasza wodą wieczko, toteż woda spływa kroplami do słoja.

— Boże, nie mam pojęcia, co będą jadły! Tutaj nie rośnie nic takiego, co nadawałoby się na pokarm dla nich!

Znowu rozgląda się niespokojnie. Patrzy na miejsce, gdzie przed chwilą mieszał i wylewał beton.

— Czy nie masz nic przeciwko temu, jeśli wrócę na chwilę do roboty, by rozrobić cement z piaskiem i wodą, zanim zastygnie w mieszarce? Poza tym muszę odlać do końca tę wielką bestię, gdyż w przeciwnym razie betonowy niedźwiedź wyschnie w środku i rozleci się od razu, gdy będę wyciągał go z formy.

Mija mnie. Idę za nim. Siadam na workach z cementem przykrytych plastikową powłoką. Spike wrzuca kilka szufli cementu do betoniarki, potem zaczyna obracać ją ręką. Boże, jakie to wspaniałe widowisko, gdy obserwuje się jego muskuły. Spike jest szczupły, a jego mięśnie są sprężyste. Chyba ma bardzo cienką skórę, gdyż widać każdy mięsień. Przy ruchu uwydatniają się, jakby były wyrzeźbione — mięśnie ramion, pleców, nóg, nawet szyi. Wydaje mi się, że ciało Spike'a pokrywa ta sama powłoka pyłu od dwóch tygodni. Nie przypuszczam, by miał wystarczający zapas wody, by mógł pozwolić sobie na luksus kąpieli,

Przekłada zaprawę murarską do matrycy i kształtuje odpowiednio figurę. Kiedy wygładza i formuje odlew, usypuje wał z piasku wokół matrycy, by mokry beton nie wylewał się. Okazuje się, że to skuteczna technika.

— Czy mogę napełnić betoniarkę w tym czasie?

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem.

— To nie takie łatwe. Ostrzegam cię. Ale byłoby wspaniałe. Zyskałbym bardzo na czasie.

Pracuję szufłą przez trzy godziny. Odpoczywam króciutko tylko wtedy, gdy Spike miesza i nalewa beton. To, co robi, wydaje się na pozór niemożliwe. Nie wiem, jak mógł wpaść na podobny pomysł. Rozmowa nie klei się. Spike jest całkowicie pochłonięty swoją pracą, a ja po prostu sypię cement do betoniarki i mieszam zaprawę murarską. Kiedy wylał już dziesięć ładunków, wstaje, prostuje plecy, obchodzi swojego niedźwiedzia i przygląda mu się ze wszystkich stron. Schyla się i nabiera ręką trochę betonu, by wypełnić odlew. Pracuje gołymi rękami w świeżym betonie.

— No, wystarczy. Zróbmy przerwę! Nawet nie myślałem, że tak daleko posunie się dzisiaj moja praca nad Shortym. Jeszcze raz dziękuję ci!

Spoogląda na mnie z uśmiechem. Muszę wyglądać nieszczególnie. Zwykle bardzo się pocę, ale

jeszcze nigdy nie oblałam się potem tak jak tego ranka. Mój podkoszulek można wyjąć. Jestem pewna, że sutki sterczą mi jak śliweczki.

— Wejź do środka! Musimy ochłodzić się wodą. Podnoszę mój plecak. Jest tak gorący od słońca, że aż parzy.

Powinłam wnieść go wcześniej. Wyśmienite wino „Chablis” będzie ciepłe jak siki świętej Weroniki. Wchodzę za nim do środka.

Spike zamiata podłogę miotłą z gałązek. Zabija muchy dwiema poduszczkami, potem kładzie je na podłodze. Napełnia wodą dwie szklanki. Chyba nie ma nic do jedzenia. Nie widzę lodówki. Rozpakowuję prowiant. Wyciągam wino. Spike siada po turecku niedaleko mnie i przygląda mi się.

— Wow, dawno nie oglądałem takich pyszności!

— Czy masz otwieracz do butelek?

— Nie, ale mogę otworzyć bez niego.

Przynosi wielki młot i gwóźdź. Boję się nawet pomyśleć o tym, co zamierza uczynić z drogocenną butelką „Chablis”, która kosztowała mnie piętnaście dolarów. Wbija młotem gwóźdź w korek. Potem pod kątem wyciąga gwóźdź kombinerkami i nagle korek wyskakuje z butelki z miłym dla ucha „glok!” Rozkładam kanapki. Tymczasem Spike oblewa się wodą. Spragniona wypijam całą szklanicę. Spike pije wino.

Podnoszę szklankę, by się trącić z gospodarzem, który zauważył moje spojrzenie i szybko stuka się ze mną. Wznoszę toast:

— *À la votre.*

On przymyka oczy. Obserwuję z zachwytem, jaką rozkosz sprawia mu smak wina. Mija prawie pięć minut, zanim ponownie otwiera oczy. Patrzy na mnie z uśmiechem.

— To mój pierwszy łyk wina od prawie trzech lat. Warto było poczekać!

Spogląda w swoją szklankę.

— Jeszcze nie tak dawno, zanim skończyłem dwadzieścia pięć lat, nie mogłem obejść się bez wina. O mały włos nie zostałem alkoholikiem. Teraz jestem tak zapracowany, że nawet nie mam czasu na żadne przyjemności, ale czuję się lepiej. Boże, co jest w tym winie? Kiedyś zaharowywałem się tylko, a teraz nauczyłem się smakować rzeczy, którymi potrafię się naprawdę cieszyć!

Jemy sandwicze. Spike w ten sam sposób, jak smakował wino, rozkoszuje się każdym kęsem, zując jedzenie z przymkniętymi oczami. Przeżuwa dokładnie, przetyka, dopiero później gryzie kolejny kęs i popija odrobiną wina. Te dwa sandwicze z szynką i serem złożone w jednym kawałku je półtorej godziny. Ja jem tak wolno, jak umiem, by dotrzymać towarzystwa Spike’owi, ale przecież nie mogę przeżuwać jedzenia zbyt długo, bo stanie się wstrętne.

Gdy skończyliśmy posiłek, wyraziłam swoją propozycję. Zapytałam wprost, czy zgadza się, bym została jego uczennicą. Najpierw myślałam, że nie dosłyszał. Wypił następny łyk wina.

— Masz na imię Nickie, prawda? Słyszałem, że tak zwracał się do ciebie Harry.

Jestem zdumiona, że pamięta.

— Nickie, w co się chcesz wpakować? Po pierwsze, nie jestem nauczycielem. Nienawidzę nauczycieli i nauczania. Żadna kobieta nie może żyć w takich warunkach. Nie mogę zgodzić się również na to, żebyś wędrowała w każdy wtorek lub czwartek przez pustynię. Nie znoszę planu zajęć. Poza tym nie ma tu toalety, nie ma bieżącej wody. Sypiam na tym kawałku pianki poliuretanowej, która zastępuje mi prawdziwe łóżko. Zresztą nie zawsze śpię w nocy. Kiedy pracuję, nie ma miejsca w tym domu na nic więcej. Po prostu nie ma gdzie się położyć.

Urywa i patrzy na mnie, głowę ma przechyloną jak ptak. Odwzajemniam jego srogie spojrzenie. Znowu mierzy mnie wzrokiem badawczo.

— Pozwól mi spróbować! Nie musisz mnie uczyć, dawać mi lekcji, ani robić nic podobnego. Pozwól mi po prostu obserwować, jak pracujesz, i pracuj troszkę razem ze mną. Jestem twardsza niż na to wyglądam. Nie boję się niczego.

— Powinnaś się bać! Skąd wiesz, że nie jestem drugim Charlesem Mansonem, zwabiającym na pustynię młode dziewczęta. Skąd wiesz, że na pustyni nią ma setek zakopanych ciał kobiet, które zgwałciłem i zabiłem? Czy przyszło ci to w ogóle na myśl?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Spoglądam w jego gorejące, szaroniebieskie oczy. Po raz pierwszy zaczynam rozumieć dziewczyny Mansona.

— Tylko raz w miesiącu jeżdżę do miasta, Nickie. Tylko do najbliższego miasteczka. Kupuję worek soi, worek ryżu, mąki, sorgo, dziesięć worków cementu, trochę oleju i dwa tuziny jaj. To mi wystarcza. Oprócz cementu oczywiście, ale kto wie, czy kiedyś nie spróbuję, jak smakuje cement. Nie mam zbyt wiele pieniędzy i nie sprzedaję swych rzeźb. Nigdy nawet nie próbowałem tego. Mógłbym dostać za nie trochę pieniędzy, ale sprzedaż wymaga tyle zachodu. Tę odrobinę pieniędzy, które potrzebuję, by przeżyć, zarabiam w mieście, podejmując się przeróżnych dorywczych prac. W miasteczku znają mnie i wiedzą, że jestem dobrym robotnikiem. Zwykle w ciągu dwóch, trzech dni, jeśli dobrze się uwinę, zarabiam tyle, że wystarczy mi na przeżycie następnego miesiąca.

Wstaje, przeciąga się. Wypiliśmy całą butelkę wina. Podnoszę się również.

— Wobec tego „nieproszona koleżanka” wychodzi.

— Wcale cię nie wyganim. Próbuję tylko powiedzieć, jak się tu żyje. Gdybyś mogła mi zapłacić za swój pobyt, nie musiałbym jeździć do tej głupiej roboty do miasteczka. Bo muszę przyznać, że wcale mi to nie odpowiada. A gdybyś jeszcze zrobiła trochę porządków, nie przeszkadzając mi zbyt w pracy, byłbym naprawdę zadowolony. Uśmiecha się ciepło.

— Jeśli nauczysz się żyć bez strachu w pracowni rzeźbiarza, to będzie już dużo. Ostrzegam cię jednak, że wprawdzie nie jestem Charlesem Mansonem, a po prostu zwyczajnym mężczyzną, jednak lubię różne pozycje, gdy dochodzi do seksu. Więc jeśli pozostaniesz tutaj z tymi sterczącymi cycuszkami, na pewno cię przelecę bez żadnych skrupułów. A jeśli ci to nie odpowiada, lepiej wróć od razu do La Jolla i nie przyjeżdżaj więcej!

Mija mnie we drzwiach, wychodząc na zewnątrz, by popracować jeszcze nad swoim niedźwiedziem. Stoję naprzeciw niego i zdejmuję mokry podkoszulek. Cuchnę chyba jeszcze bardziej niż on.

— Myślę, że mogłabym tu wytrzymać.

Wtedy Spike obejmuje mnie. Tak to się zaczęło. Nikt nie uwierzyłby, że w czasie najwspanialszego pieprzenia w moim życiu, on wstaje nagle, bierze jedną z tych blaszanek z wodą i wychodzi nago, z gołą dupą, by spryskać wodą tego betonowego niedźwiedzia.

Wróciłam samochodem do Amy Lou, spakowałam swoje rzeczy i poszłam do dziekanatu, by powiadomić opiekuna roku, że wyjeżdżam na pewien czas. Musiałam skłamać, twierdząc, że wracam do chorych rodziców we Francji.

Wyciągnęłam wszystkie pieniądze z banku, które przysłali mi rodzice, a także te, które zarobiłam zeszłego lata, pracując w charakterze kelnerki na przyjęciach. Pobrałam pieniądze w dwudziestodolarówkach. Okazało się, że mam prawie dwa tysiące dolarów, całkiem pokaźny zwitek banknotów. Potem poprosiłam Amy Lou, by podwiozła mnie do miejsca, skąd zamierzałam powędrować już sama przez pustynię. Wzięłam mnóstwo osobistego bagażu i ukryłam pod kaktusem pięćdziesiąt jardów od drogi. Przyjdę po rzeczy później, a może Spike przywiezie je swoją ciężarówką. Zarzuciłam plecak na ramiona i wyruszyłam w drogę. Amy Lou była przekonana, że mi odbiło. Myślę, że miała rację.

Było tak źle, jak mówił. Zawsze gorąco w dzień i zimno w nocy. A chociaż wyniosłam tę cholerną piankę poliuretanową na słońce i wytrzepałam porządnie z kurzu, wciąż cuchnęła potem i gumą. Gotowałam w rondlu na trójnogu i z długą rączką na ogniu, który rozpalaliśmy za domem. Próbowałam różnych mieszanek ryżu, soi i sorgo, by urozmaicić jadłospis. Spike nie miał nawet soli czy pieprzu ani kawy. A siusiał po prostu, gdy mu się zachciało, tam, gdzie akurat stał. Czasem, kiedy rzeźbił jakiś trudny element, błyskawicznym ruchem ręki wyciągał kutasa z rozporka i pryskał na swoje dzieło, mówiąc, że mocz nadaje osobowość jego rzeźbie. Okay, niech będzie, ale to przecież śmierdzi jak wszyscy diabli! Spike twierdzi, że człowiek, który żyje na pustyni wystarczająco długo, cieszy się, że z jego ciała wytryskuje płyn, uważając to niemal za cud.

Sama jednak wychodzę na dwór, by się załatwić. Ale nie przeszkadza mi to, szczególnie w te noce, gdy niebo jest tak niewiarygodnie czyste, jak to bywa tylko na pustyni.

Spike robi, co do niego należy. Kiedy przymawia się o poczęstunek, rąbie drwa i roznieca ogień. Czasem pierze ubrania. Robi to w ten sposób, że udeptuje je w wodzie w betonowym zagłębieniu, które zrobił za domem. Jednak mamy kłopoty z wodą. Spike twierdzi, że jego metoda jest najbardziej oszczędna. Kiedy już upierze rzeczy, rozwiesza je na krzewach i kaktusach i potem pachną czystością i słońcem.

Właściwie nie mamy tak wiele rzeczy do prania. Spike nosi na zmianę trzy pary obciętych, superkrótkich džinsów, które zrobił z podartych na kolanach lewisów, zakupionych w sklepiku Armii Zbawienia. Nigdy nie wkłada bielizny. Ja mam bieliznę, dzinsy i kilka podkoszulków. W upalny dzień chodzę tylko w majteczkach, bez staniczka i podkoszulka. Tak jest chłodniej, a poza tym opaliłam sobie piersi. Talerze i garnki czyścimy piaskiem.

Wcale nie uprawiamy tak wiele seksu. Spike zachowuje się jak człowiek opętany. Zdarza się, że sypia zaledwie trzy lub cztery godziny nad ranem pośród odłamków w miejscu, gdzie ociosował kamień przez dziesięć albo dwanaście godzin. Czasem udaje mi się zaciągnąć go do łóżka, ale nierzadko leży jak nieboszczyk i nie mogę ruszyć go z miejsca.

Nigdy nie wiem, co planuje. Spike nigdy nie mówi za dużo.

Wreszcie pokazuje mi, jak używać pobijaka i dłuta, uczy, jak się ostrzy dłuto. Przywozi ciężarówką kilka głazów średnich rozmiarów; każdy kamień waży przeszło sto funtów. Każe mi przeciąć głazy na kilka mniejszych bloków. Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do miasteczka, kupiłam rękawice, gdyż mam pokaleczone i posiekane ręce. Wiem, że nigdy nie będzie lepiej. Spike zawsze miał poobijane ręce, jakby walczył na pięści na śmierć i życie.

Odkryłam, że pod pewnym względem dzielenie kamieni przypomina walkę na pięści. Po chwili zmagania tracisz poczucie czasu, przestajesz odczuwać ból, walczysz po prostu, by przeobrazić ten piekielny kamień w to, co chcesz. To kwestia dominacji.

Pozostałam z nim przez pięć miesięcy. Nauczyłam się jedynie tego, że nigdy nie będę prawdziwą rzeźbiarką. W La Jolla wciskano nam straszny kit.

Spike jest wyrozumiały i nie wytyka mi moich błędów, ale ja sama widzę, że nie nadaję się na rzeźbiarkę. Nieźle już radzę sobie z dzieleniem kamieni, ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić przyszłej rzeźby w tych wymiarach. Kiedy patrzę na Spike'a, wydaje mi się, że w trakcie pracy staje się sam kamieniem, a kamień w jakiś niesamowity sposób staje się nim.

Udaje się nam za pomocą wyciągu na ciężarówce wydobyć betonowego niedźwiedzia z matrycy, przyciągnąć i ustawić przy drzwiach. Spike spędza tydzień, przycinając i wygładzając chropawe krawędzie. Potem pokrywa rzeźbę gipsem i maluje. Przez ponad dwa tygodnie maluje wielkiego niedźwiedzia. Kiedy kończy malowanie, niedźwiedź wygląda jak żywy. To więcej niż niedźwiedź. W tej olbrzymiej figurze wyraża się cała potęga i chwała przyrody. Sprawił to

prawdziwy talent Spike'a, który pozwala mu tak przeobrazić zwykłą rzecz, by uczynić z niej niezwykły symbol.

Budzi się we mnie nieodparte pragnienie, by mieć z nim dziecko. Przez trzy lata brałam pigułki, ale teraz chcę z tym skończyć. Wszystko, co głosiłam, odkąd skończyłam szesnaście lat, dążąc do tego, żeby być niezależną kobietą i żyć własnym życiem, traci znaczenie tutaj, na pustyni. Chciałabym być zwyczajną squaw, a najgorsze, że to mi odpowiada.

Kiedy kochamy się pewnej nocy, mówię Spike'owi, że chcę mieć dziecko. Leży na wznak, a ja tulę się do jego piersi. Ani drgnął. Tak jak tyle razy przedtem, nie jestem nawet pewna, czy usłyszał moje słowa, gdyż bardzo długo nie odpowiada.

— Jeśli chcesz mieć dziecko, Nick, to znaczy, że wszystko jest ze mną w porządku. To wyłącznie twoja sprawa. Rzeźbiarstwo za to jest moją sprawą. Nie mogę być ojcem. Tutaj nie ma miejsca na dziecko. Zresztą nie chcę zostać ojcem. Te kamienie, te rzeźby są moimi dziećmi. Czułbym się, jakbym je porzucił. Rozumiesz?

Rozumiem doskonale. Wiem, że Spike nie plecie nonsensów. W jego życiu znalazło się malutkie miejsce dla mnie, ale to i tak za dużo, ażeby mógł jeszcze znieść myśl o dziecku. Leżę jak skamieniała przez całą noc, starając się nie płakać.

Rano mówię mu, że odchodzę. On właśnie pracuje nad ogromnym, prawie pionowym kamieniem, który wygląda jak obelisk. Harowaliśmy przez dwa dni, by ściągnąć go niżej w arroyo. Spike nigdy nie mówił mi, co zamierza wyrzeźbić, dopóki sama nie odkryłam tego w kamieniu. Powiada, że rzeźba musi przemówić.

Kiedy słyszy, że odchodzę, przerywa robotę, trzymając młot i dłuto w ten sam sposób jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Jego ciało sływa potem.

— Jeśli tego chcesz, Nick, w porządku. Możesz również zostać tak długo, jak ci się podoba. Zrobisz, jak zechcesz. Będzie mi ciebie brakowało.

Sądzę, że to ostatnie zdanie to jedyne kłamstwo, jakiego dopuścił się wobec mnie.

Załadowaliśmy mój bagaż na ciężarówkę i Spike odwiózł mnie aż do La Jolla. W drodze prawie nie odzywaliśmy się. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Spike wysadził mnie przy wejściu do szkoły. Za kilka dni miał rozpocząć się nowy semestr. Zawrócił i pokiwał mi na pożegnanie z szoferki. Patrzyłam, jak odjeżdża, i pragnęłam aż do bólu, ażeby podarował mi coś, cokolwiek. Chyba dlatego zdecydowałam się, żeby mieć z nim dziecko. Udało mi się wpisać na ostatni zaciąg i wróciłam znowu na zajęcia. Wszystko wydawało mi się tak znane, oklepane, nudne jak nigdy przedtem. Codziennie chciałam wrócić do Spike'a, ale pozostawałam w La Jolla. Kiedy przeczytałam list od taty, w którym zapraszał mnie na Boże Narodzenie do Francji, na które miała zjechać cała rodzina, napomykając, że opłaci podróż, zaczęłam dociekać, co się stało, a potem wpadłam na pewien pomysł. Zatelefonowałam do Francji i zdumiałam się, że odebrał tato, który zwykle unika telefonu jak ognia. Zapytałam, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że przywiozę swojego chłopaka na święta.

— Jeśli tylko i ty przyjedziesz, Nickie, na pewno nie. Powiem matce. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze.

Dowiedziałam się, że okazując moją legitymację studencką, mogę kupić dwa bilety powrotne w tej samej cenie co normalny bilet, na który zwykle tato przysyłał mi pieniądze.

Moi rodzice nie mieli najmniejszego pojęcia, że przeżyłam pięć miesięcy ze Spike'em na pustyni. Nie mamy zwyczaju często pisywać. Amy Lou odbierała listy, które przychodziły do mnie i przechowywała je. Dopiero teraz przeczytałam list od taty, który napisał miesiąc temu.

Najpierw poszłam do sklepu Armii Zbawienia, gdzie kupiłam za ledwie dziesięć dolców odpowiedni kawałek używanej pianki gumowej grubej na sześć cali. Potem kupiłam butelkę wina

i zawięłam w zrolowaną piankę, którą związałam linką i przerzuciłam przez ramię. Amy Lou zgodziła się odwieźć mnie do miejsca, skąd trzeba wyruszyć już na piechotę przez pustynię. Była wyraźnie zdegustowana moją decyzją. Powiedziałam jej o wszystkim, co się zdarzyło. Jednak Amy Lou, która miała swoisty stosunek do mężczyzn, nie mogła mnie w pełni zrozumieć.

Panuje potworny upał. Kiedy dochodzę wreszcie na miejsce, okazuje się, że Spike'a nie ma. Ktoś nieznamy uznałby, że dom wygląda na opuszczoną ruinę. Lecz ja wiem, że tak nie jest. Spike nie jest schludny, ale za to bardzo zdyscyplinowany. Wszystko, czego potrzebuje — żywność i narzędzia — są na miejscu, chociaż nigdy nie sprząta, nie odkurza ani nie robi nic podobnego.

Nie widzę ciężarówki, więc domyślałam się, że wyjechał. Być może na arroyo, by przywieźć trochę kamieni, albo do miasta. Postanawiam, że zaczekam, aż wróci.

Czekając na powrót Spike'a, sprzątam trochę. Zwijam jego stary materac z pianki, przewiązuję linką, której użyłam do niesienia nowego kawałka, i robię coś w rodzaju krzesła. To jedyna rzecz, która przypomina krzesło w tym domu bez sprzętów. Układam nową podkładkę gumową w miejscu, gdzie leżała stara. Rany, naprawdę sprawia mi to przyjemność. Mam nadzieję, że Spike nie poczuje się urażony. Zwykle, gdy starałam się ułatwić mu życie, mawiał, że próbuję ratować jego skórę, co stanowiło jedyny powód do kłótni między nami. Jeśli chciałam zmienić coś w jego siedzibie, nawet przestawić w inne miejsce pudło lub blaszankę z wodą, musiałam 'najpierw zapytać go o to. On mówi, że może pracować w swojej pracowni po ciemku, gdyż wie, gdzie wszystko jest, a kiedy coś zmienia swoje miejsce, nie czuje się tak jak przedtem. Korzystam więc z okazji, że go nie ma.

Chowam wino w cieniu blaszanki z wodą. Nie jest tam zimno, ale jednak odrobinę chłodniej niż gdziekolwiek indziej w tym upale. Spociłam się jak mysz.

Próbuję rozniecić ogień, by upichcić coś na kolację, gdy słyszę warkot ciężarówki, która nadjeżdża z arroyo. Denerwuję się tak bardzo, że nie mogę usiedzieć spokojnie. Chcę wyjść mu na spotkanie, ale zmuszam się, by zostać i poczekać na niby—krzesła, które zrobiłam ze starej podkładki.

Słyszę, jak hamuje, wyskakuje z ciężarówki, trzaskając drzwiami. Potem jego kroki chrzęszczą wśród kamiennych odłamków otaczających dom. Podchodzi do blaszanki, gdy nagle zauważa moją obecność. Przez chwilę po prostu wpatruje się we mnie. Wstaję, a Spike podchodzi i bierze mnie w ramiona. Prawie zapomniałam, jak on pachnie. Gdyby ktoś przedsiębiorczy potrafił napełnić tym zapachem miliony buteleczek i sprzedawać je mężczyznom, kobiety na całym świecie oszalałyby ze szczęścia.

Po chwili odsuwa mnie troszeczkę od siebie, wciąż obejmując, i mówi (jeszcze mnie nie pocałował):

— Co za miła niespodzianka! Wyglądasz wspaniale, Nick. Właśnie myślałem o tobie. Rzeźbię około trzech mil stąd, a raczej pomagam wyrzeźbić wodzie ogromny owalny głaz z dziurą w środku, który wygląda prawie jak pączek, a ponieważ porobiły mi się odciski na rękach od ciężkiej roboty, zacząłem wspominać wszystkie nasze wspaniałe chwile.

Patrzy tam, gdzie znajdowało się stare posłanie. Na jego twarzy maluje się zdumienie.

— Cholera jasna! Spójrz tam! To wszawie miejsce zmienia się w jakiś luksusowy pałac.

Spogląda potem na swoją starą podkładkę, z której zrobiłam niby—krzesło.

— Pal to lichy! Mamy nawet krzesło! Pomyślałaś o tym?

Rozgląda się, pociągając nosem, sprawdzając podejrzliwie wszystko.

— I nawet wysprzątałaś tę jaskinię grzechu. Niech to diabli!

Wyciągam butelkę wina.

— To wszystko wygląda wspaniale, Nick. A to nowe łóżko jest całkiem, całkiem. Czy

zgodzisz się ze mną?

Przytulam się do niego, a on podnosi mnie wysoko. Ogarnia mnie tak dzikie pożądanie, że wpijamy się w siebie nie rozebrani. Dostałam skurczu nogi, próbując zrzucić buty bez rozwiązywania sznurowadeł. Ale nie czułam nic oprócz Spike'a. On zachowuje się jak szaleniec, właśnie tak, jak powinien zachowywać się mężczyzna, który żyje samotnie na pustyni i od dawna nie miał kobiety. Niemal przeraża mnie. Może jest naprawdę Charlesem Mansonem i za pierwszym razem udało mi się po prostu uciec cudem.

Kiedy w końcu zwalniamy, zupełnie wyczerpani, wyczołguję się spod niego i otwieram wino. Tym razem przywiozłam korkociąg. Spike przygląda mi się, gdy wyciągam korek z butelki. Pijemy na zmianę wprost z butelki — powolutku, delektując się smakiem, przerywając za każdym razem, gdy Spike odzyskuje męskość. Wciąż niewiele mówimy. Czekam na odpowiednią chwilę, kiedy Spike wreszcie się mną nasyci.

— Więc wracasz do mnie, Nick? Pamiętam, że powiedziałem ci, gdy odchodziłaś, że będziesz zawsze mile widziana.

— To nie jest takie proste, Spike.

Ma pełne usta wina. Przełyka je wolno, wolniutko, delektując się.

— Nigdy nic nie jest proste.

— Spike, pozwól mi przez kilka chwil pomówić poważnie!

Wypija następny łyk wina i przytakuje, wpatrując się w skorodowany metalowy sufit.

— Wciąż chcę mieć z tobą dziecko. Wiem, że nie ma w twoim życiu miejsca dla mnie ani dla dziecka. Rozumiem to i szanuję. Chciałabym sama wychowywać nasze dziecko. Nie tutaj, oczywiście, ale we Francji, w domu moich rodziców. Później wróciłabym do Kalifornii i skorzystałabym z praw przysługujących samotnym matkom. Dostanę stałą zapomogę, która wystarczy na wygodne życie dla nas wszystkich. Wiesz dobrze, że nie potrzebuję tak wiele pieniędzy na życie.

Spike przełyka wino i przygląda mi się.

— Jesteś szalona, Nick! Nigdy nie mógłbym zdecydować się na coś takiego. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że zastawiasz na mnie sidła. Przecież wiesz, jaki jestem. Złości mnie nawet, jeśli ktoś dotyka kamieni, które sam podzieliłem. Czułbym się osaczony, gdybym został ojcem i stracił kontrolę nad własnym życiem. Dobrze wiesz o tym.

Niemal eksploduję ze złości. Próbuję zacząć od nowa, ale z trudem opanowuję łyzy, które napływają mi do oczu.

— Okay, zapomnijmy teraz o tym wszystkim. Chciałabym najpierw porozmawiać o tym z moimi rodzicami. W końcu mają prawo wiedzieć o moich planach, skoro zamierzam obarczyć ich na jakiś czas swoim dzieckiem. Ale posłuchaj, Spike, mam jeszcze jedną sprawę. Mój tato przysłał mi pieniądze na bilet, chcąc bym odwiedziła ich w czasie Bożego Narodzenia. Spędzamy zawsze święta w prastarej dolinie, gdzie znajduje się więcej kamieni niż możesz sobie wyobrazić. Chciałabym, żeby moi rodzice poznali ciebie. Moglibyśmy pojechać do Paryża i zobaczyćbyś dzieła Maillota, Rodina i Houdina, wszystkich sławnych rzeźbiarzy. Dowiedziałam się, że moglibyśmy kupić zniżkowe bilety na moją legitymację studencką. Akurat wystarczyłoby dla nas obojga tych pieniędzy, które tato przysłał na mój przelot. Co ty na to?

Jestem pewna, że zamierza wypić następny łyk wina, więc pierwsza podnoszę butelkę i pociągam sporo. Leżę na wznak.

Czekam, Jak zwykle Spike jest spokojny, wyczekujący. Postanowiłam, że zaczekam do jutra, jeśli nie udzieli mi odpowiedzi od razu. Jednak sam zaczyna mówić:

— Zacznę od końca, Nick. Wcale nie chcę oglądać dzieł tych rzeźbiarzy ani tych sławnych starych miast w Europie. Nie mam nic wspólnego z nimi. Sam nawet nie uważam się za

prawdziwego rzeźbiarza. Po prostu dzielę bloki skalne i robię odlewy z betonu, to wszystko. Moje prace nie mają nic wspólnego z tym wszystkim, co można obejrzyć w muzeum. Jestem pewien, że twoi rodzice to naprawdę mili ludzie, ale naprawdę nie chcę ich poznać. Nie lubię spotykać się z ludźmi. Nie chcę mieć do czynienia z kimkolwiek. Odpowiada mi w tych głazach to, że nie poruszają się i są nieme. Poza tym nie mógłbym zostawić tego wszystkiego. W czasie mojej nieobecności mogliby zjawić się tu jacyś szaleńcy z wielkimi młotami kowalskimi albo z dynamitem i porozbijać wszystko, co naprawdę kocham. Zamartwiałbym się przez cały czas, gdybym poleciał z tobą do Francji.

Spodziewałam się, że tak odpowie. Przełykam wino, którego nie śmiałam przełknąć, gdy mówił.

— Okay, Spike. Nie chcesz być ojcem i nie chcesz polecieć ze mną do Francji. Rozumiem to, naprawdę rozumiem. Myślę, że jesteś zbyt przywiązany do swojego szalonego świata, zbyt zakochany w tych kamieniach, być może jesteś największym artystą naszych czasów. Nie mogłabym sobie nigdy wybaczyć, gdybym zrobiła coś, co zniszczyłoby ten wspaniały twórczy świat, który stworzyłeś.

Wierzę głęboko w to, co mówię. Zachowam jednak dla siebie to, że on będzie tak czy owak ojcem mojego dziecka, nawet wbrew swojej woli. To nie powinno go zranić. Spike patrzy na mnie, przełykając ostatni łyk wina. Wytrzymuję jego przenikliwe spojrzenie.

— To wszystko, chłopie. A teraz pieprzmy się! Chyba nie masz nic przeciwko temu, byśmy się popieprzyli trochę, prawda? To nie zniszczy twoich kamieni. Więc połóżmy się na tej mięciutkiej podkładce i pieprzmy, ile tchu, okay?

Spike przyciąga mnie za włosy, przybliżając moją twarz do swojej i wyciska gorący pocałunek na moich ustach. Próbuje siłą przelać do moich ust wino i oboje przełykamy je, o mało nie dławiąc się na śmierć. Śmiejemy się i jak zwykle jego niepokój mija.

Ogień dogasa. Odwracam wielkie bierwiono i ogień buzuje znowu. Przyciągam dwa polana ze sterty drewna koło kominka i umieszczam na płonącym kłocu. Rozdmuchuję ogień i polana zajmują się płomieniem. Żałuję, że tak mało wiem o rozniecaniu ognia. Zawsze pozwalamy to robić tacie. W naszej rodzinie istnieje silny seksizm, który polega na dyskryminacji kobiet i naprawdę wyczuwa się różnicę pomiędzy dziewczętami i chłopcami, kobietami i mężczyznami. Kiedy przebywałam ze Spike'em, on również sam rozpałał ogień, więc dyskryminacja występuje nie tylko w naszej rodzinie.

Idę na stryżek po swoją torbę. Rany, jaka jest ciężka. Dzięki Bogu czuję się lepiej, ale mam wciąż odrętwiałe stopy, po trosze od śniegu, po trosze od zawrotnych tańców z kawalerami z doliny Morvandeau.

Wow, ten taniec był naprawdę wspaniały. To cudowne, kiedy kobieta czuje na sobie pełne uwielbienia spojrzenia mężczyzn. Ach, oni prawie ślinili się, dotykając mnie czy patrząc mi w oczy. Podobało im się nawet, kiedy musieli w tańcu unieść mnie w powietrze. Myślę, że obmacywali mnie jak dobrą krowę o wielkich cycach. Kiedy opuściłam Spike'a, powracając do cywilizacji, żarłam jak świnia. Możliwe, że chciałam zająć w ciężę od nadmiernego jedzenia. A może byłam tak wygłodzona po tych wszystkich posiłkach z ryżu i sorgo. Przybrałam dwadzieścia pięć funtów w ciągu czterech miesięcy.

Wiem, że każdy z tych wiejskich chłopaków poleciałby za mną jak w dym i poślubiłby mnie bez wahania, ale to byłoby niemądre jak kupno konia i furmanki w czasach, kiedy wszędzie jeżdżą samochody. A ja poczułam już, co to znaczy jechać ciężarówką z silnikiem diesla. Gdybym wyszła za mąż za tutejszego wieśniaka, dołabym mleczne kozy i wypasałabym stada owiec w zimnie i w deszczu przez resztę życia. Tego również nie chcę.

To mój problem. Peg i ja zostałyśmy wychowane w tym niesamowitym świecie pomiędzy wysoce rozwiniętą cywilizacją technologiczną Ameryki i wiejskim zaściankiem na francuskiej prowincji. Chciałabym zrobić w życiu coś ważnego, uczynić je prawdziwym. Myślałam, że chcę rzeźbić, ale teraz już wiem, że nie będę dobrą rzeźbiarką. Być artystą, to znaczy opanować własne szaleństwo i przetworzyć swoje prywatne obsesje w dzieło sztuki. Szaleństwo objawia się w naszej rodzinie; być może tato jest artystą, choć nie uprawia żadnej dziedziny sztuki. Możliwe jednak, że jego sztuka jest niewidzialna, a polega na głoszeniu wszystkim, co jest rzeczywiste, a co stanowi tylko złudzenie. Mój Boże, zostaliśmy zawieszani pomiędzy praktycyzmem mamy a solipsyzmem taty.

Mama zawsze chodziła pewnie po ziemi, choć tato przekonywał ją nieraz, że ziemi w ogóle nie ma. Zawsze jest zorganizowana, zawsze wie, jak dojść do celu. A tato to programowy nieudacznik, ślamazarny filozof, duchowy niezguła, który marzy o rebisie — kamieniu filozofów. Byłoby wspaniale wyrzeźbić prawdziwy kamień filozofów. Spike mógłby pokusić się o to. To jego dziedzina.

Jednak tato jest wrażliwy, inteligentny, odpowiedzialny i ma intuicję. Jaka szkoda, że trwoni swoje zalety na jałowe filozofowanie na temat pustki, nicości, złudzenia. Tato buduje „gniazdo”, próbuje pomóc mamie, dzieli z nią prace domowe; z jednej strony jest pantoflarzem, z drugiej wykonuje swoją robotę. Zepsuł nas wszystkich. Nie ma takich mężczyzn jak on. Zresztą nawet nie przychodzi mi na myśl, by porównywać go z innymi. Sądzę, że prowadzi grę, której reguły ustalił sam, a na dodatek zmienia je w trakcie gry.

Znam wielu wrażliwych, inteligentnych, interesujących mężczyzn oprócz Spike'a. Znam również solidnych stypendystów, którzy marzą o stałej pracy, chcą mieć dzieci, osiągnąć sukces. Wydaje mi się, że nie ma w nich choćby odrobiny szaleństwa. Myślę, że to właśnie przydarzyło się Peg, która poślubiła kogoś, kto stanowił jakby jej drugą połowę, ale pragnie kogoś bardziej podniecającego, mężczyzny z szalonymi pomysłami, z wyobraźnią. Powinnam przedstawić ją Spike'owi. Och, nie! Po jednym dniu spędzonym na pustyni, wróciłaby z płaczem do George'a. Musi mi uwierzyć, że właściwej mieszanki nigdy nie znajdzie.

Sama dokonujesz wyboru. Sama wybierasz ojca swojego dziecka, interesującego mężczyznę, którego naprawdę szanujesz, albo zwiążesz się z jakąś starą szkapą, która przyklei się do ciebie, nawet jeśli nie będziesz jej chcieć. Świetny wybór — na dobre i złe!

Wreszcie uwinęłam się ze wszystkim. Mam nadzieję, że rodzinie spodobają się prezenty.

Wspinam się po tych stromych schodach i wślizguję ostrożnie do łóżka. Pościel jest bardzo wyiębiona, ale mogę leżeć na boczku i nie myśleć. Już myślałam, że wreszcie uda mi się zasnąć, gdy nagle wybuchnęłam płaczem jak małe niepocieszone dziecko. Płacę w tę samotną Wigilię, choć zdawało mi się, że będę wreszcie szczęśliwa.

Wycieram łzy, ale wciąż płyną z moich oczu, spływają po twarzy, wsiąkają we włosy. Z trudem powstrzymuję głośny szloch. Nie chcę obudzić Peg. Nie chcę rozmawiać z nikim, tłumaczyć się przed kimkolwiek, wysłuchiwać słów pociechy. Każdy ma prawo do własnych tajemnic, do ciała!

Musiałam walczyć o siebie przez całe moje życie i teraz chcę mieć prawo do własnego życia. Chciałabym uwierzyć w coś bez zastrzeżeń. Ślepo. W cokolwiek. Wiem już trochę o życiu. Wiem, że wiara przenosi góry, jest nieodzowna do życia jak chleb i woda. Jeśli zamierzasz zostać artystą, musisz naprawdę w coś wierzyć, musisz sam dobijać się o prawdę, w którą wierzysz. A jeśli jesteś głuchy na prawdę?

Świat jest tak nonsensowny. Gdybym tylko mogła mieć małą istotkę, która należałaby jedynie do mnie, wszystko nabrałoby znowu sensu. Może życie polega na tym, by się weselić?

Ho! Ho! Wesołych świąt!

Muszę wreszcie zasnąć. Jutro będzie tutaj prawdziwy dom wariatów! Możliwe, że płaczę z radości, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Mogłabym płakać z radości, nie wiedząc nawet o tym. Tato zgodziłby się, że to możliwe.

BEN

Jeszcze jest ciemno, ale już wyspałem się. Rozglądam się po izbie i widzę, że Nickie dokłada dREW do ognia. Mam nadzieję, że robi to właściwie. Odkąd pamiętam, nigdy tego nie robiła. Tak, nawet nieźle jej to wychodzi, więc zamykam oczy, by sprawdzić, czy potrafię wślizgnąć się w przestrzeń pomiędzy jawą a snem. Obserwuję spod przymkniętych powiek, jak ogień znowu buzuje.

Do diabła, to nie jest prawdziwa gwiazdka! Nie wywiesiliśmy wieczorem pończoch na prezenty, toteż rano nie znajdziemy żadnych niespodzianek. Prezenty będą pod choinką, ale przecież wiem, co dostaniemy. Wiem również, że nie przyniósł ich święty Mikołaj.

Kiedyś byłem tak podniecony w noc wigilijną. Nigdy nie mogłem zasnąć. Obecnie zasypiam bez trudu, a mama i tato zawsze układają prezenty pod choinką bez mojej wiedzy. Jednak wciąż wydaje mi się, że nie spałem przez całą noc.

Cholera, nienawidzę tego, że rosnę. Nie przejmuję się tym, że staję się większy, silniejszy i mój penis powiększa się, że rosną mi włosy na nogach, broda, sypie się wąs. To wszystko jest bardzo śmieszne. Czuję się tak, jakbym obserwował pisklęta w gnieździe albo kijanki zmieniające się w żaby. Ale stawanie się dorosłym wcale nie wydaje mi się zabawne.

Nickie, Maggie i Mike nie wyglądają na szczęśliwych. Wydaje mi się, że starają się przede wszystkim udowodnić sobie nawzajem, jak wspaniale im się wiedzie. Zawsze sprawiają wrażenie, jakby wciąż sprawdzali, czy podziwiam ich za to, że są już tak dorośli.

W rzeczywistości są tacy sztuczni. Do licha, podczas tej gwiazdki nawet tato zachowuje się jak dorosły. Nie ma czasu, by pobawić się ze mną. Biega tylko w tę i we w tę, niemal goniąc w piętę — sprzątając, zamiatając, pomagając innym, łagodząc nieporozumienia czy po prostu udając, że nic się nie zdarzyło. Kłótnia wisi na włosku.

Układanie pierniczek w słojach sprawiło mi dużą frajdę, ale ja muszę zrobić coś ważnego. Nickie, Maggie i Mike zakręcili się jakoś i robili ważniejsze rzeczy. Nie, w tym roku nie ma prawdziwej gwiazdki, a ile jeszcze świąt Bożego Narodzenia spędzę w domu?

Szczerze mówiąc, moi szkolni koledzy nie potrafią się bawić. Te łamagi uważają, że jestem stuknięty. Kiedy przynoszę do szkoły model samolotu i wypróbuję nad szkolnym boiskiem, ulatniają się gdzieś jak para. Jestem pewien, że chętnie pobawiliby się ze mną, ale boją się, że ktoś mógłby pomyśleć, iż zachowują się jak dzieciaki. Nawet Serge trzyma z nimi. Niedawno jeszcze mogłem namówić go na zabawę w okręty albo w coś innego, ale ostatnio wstydzi się ze mną bawić, bojąc się śmiechu chłopaków.

Chłopaki w szkole gardzą zabawami, chcąc uchodzić za dorosłych. Palą papierosy i żują tytoń, by upodobnić się do słynnych zawodników z drużyn baseballowych, albo przechwalają się, ile wypili piwa w czasie weekendu, i jak obrzydliwie się czuli po popijawie, lub o tym, jak świsnęli wino rodzicom czy palili trawkę.

Chłopcy rozmawiają najczęściej o dziewczętach, przechwalają się, którą obmacywali tu czy tam, jak chodzą w krzaki i pozwalają im robić z sobą wszystko. Domyślam się, że dziewczyny rozmawiają bez przerwy o chłopcach; którzy z nich mają największe muskuły albo najdłuższe penisy. No, nie wiem.

Później wszyscy popychają się wzajemnie i zaczynają popisywać się szaleńczym karate albo chwytami dzudo. Nikt z tych dzieciaków nie potrafi się naprawdę bawić. To tylko udawanie, że

się jest już dorosłym, tym zwariowanym dorosłym. Nikt nie śmieje się dlatego, że jest mu wesoło. Oni potrafią śmiać się jedynie z kogoś.

A dziewczęta myślą tylko o tym, jak wyglądają, interesują się jedynie tym, czy któraś umówiła się na randkę, poszła z chłopakiem na zabawę lub do kina. Chciałbym naprawdę poznać poważną, inteligentną dziewczynę, z którą mógłbym porozmawiać. Miłośnikowi książek dostarcza radości nie tylko lektura, ale również to, że może porozmawiać z kimś o tym, co przeczytał lub właśnie czyta. Jediną osobą, z którą mogę porozmawiać o książkach, jest tato, pomimo że ostatnio nic nie przeczytał. Książki mojej mamy nie interesują mnie w ogóle. Wydaje mi się, że wszystkie powieści, które czyta mama, mówią o tym, jak miłej, biednej dziewczynie udało się poślubić bogatego dziedzica lub pastora.

Chodzi jeszcze o to, że tato nie chce czytać większości książek, które mnie się podobają. On nie weźmie do ręki nic o wojnie lub o podobnej tematyce. Jedinie mogę się spodziewać, że przeczyta czasem powieść science fiction, jeśli napisał ją autor, którego uważa za dobrego pisarza, na przykład Heinlein, Clarke czy Asimov. Niebawem nie będę miał z kim rozmawiać.

Wydaje mi się, że człowiek zapomina, jak się bawić, gdy skończy trzynaście lat. Odtąd uważa każdego za konkurenta i wszystko robi tylko na pokaz. Nawet Mike jest taki. Kiedyś bawił się ze mną, ale teraz nie odstępuje Geneviève nawet na chwilę. Stał się tak poważny jak wszyscy. Śmieje się rzadko, choć nie tak dawno śmiał się naprawdę szczerze. To było wspaniałe, gdy słyszało się jego śmiech.

Nie przypominani sobie, by Peg albo Nickie śmiały się naprawdę. Obie śmieją się w taki sposób, jakby grały w sztuce i miały się tylko w tych momentach, gdy w tekście sztuki znajduje się uwaga: „[śmiech]”. Zawsze śmieją się za głośno i zbyt długo. Zastanawiam się nieraz, czy to wszystko jest naprawdę tak okropne, jak mi się wydaje.

Bardzo lubię przebywać w domu. Pozostanę tutaj i pozwolę rodzicom troszczyć się o mnie, dopóki nie wydorosnę na tyle, by zrobić doktorat albo coś podobnego, co pozwoli mi zarabiać pieniądze. Potem, kiedy mama i tato zestarzeją się, będę troszczył się o nich. To chyba niezły pomysł. Nie przypuszczam, ażeby sam został kiedyś ojcem. Nawet ten cholerny malutki Seth doprowadza mnie do szału. Dzieci za bardzo hałasują. Malcy w jego wieku nie rozumieją, że ktoś chce być sam, by zastanowić się nad czymś lub przeczytać książkę.

Kiedy dorosnę, będę miał przynajmniej sześć stóp i trzy albo cztery cale wzrostu, więc nikt nie ośmieli się mnie lekceważyć. Zapuszczę wspaniałą brodę i będę nosił okulary. Nie chcę nosić soczewek kontaktowych. Za moimi grubymi szklami czuję się bezpiecznie. W okularach i z wielką brodą mogę stać się naprawdę niewidzialny. Możliwe, że upodobnię się do prezydenta Lincolna, tyle że będę tylko prezydentem samego siebie.

Zupełnie serio, byłbym szczęśliwy, gdybym przeżył swoje życie tutaj, w naszym starym młynie. Mógłbym do końca życia słuchać trzasku ognia na kominku, jeść proste potrawy i czytać książki. Niczego więcej mi nie trzeba. Chodziłbym na długie spacerunki i strzelałbym trochę na wzgórzu. Sklejałbym również modele samolotów. Być może pewnego dnia zrobię samolot pływający. Mógłby wzbicić się w powietrze, a potem wylądować na powierzchni stawu.

Nie ma takiego miejsca, do którego chciałbym się udać. Jednak byłoby przyjemnie spojrzeć na wszystko z lotu ptaka. Gdybym tak mógł zamienić się w jastrzębia i popatrzeć z góry na naszą dolinę! Ale przecież mogę wejść na wierzchołek wzgórza i zobaczyć to samo.

Cóż, jest Wigilia, choć wcale jej nie przypomina. Może przyszłoroczna gwiazdka będzie szczęśliwsza? Nie zniósłbym myśli, że odtąd wszystkie następne Wigilie będą podobne do tej. Nie, przyszła Wigilia musi być zupełnie inna. Musimy sprawić, by święta były znowu tak piękne jak dawniej.

VI

SZEŚĆ GĄSEK NA TRAWIE

Budzę się, ale nie otwieram oczu. Leżę tutaj, gdzieś w nieskończoności, gdziekolwiek. Czy naprawdę jestem pięćdziesięciodwuletnim mężczyzną, żonatym od trzydziestu lat, ojcem czworga dzieci, nauczycielem filozofii w obcym kraju? Czy może mam tylko siedem lat, a cała reszta jest snem?

Muszę poruszyć się — zanim otworzę oczy — uszczypnąć się, by sprawdzić, czy istnieję naprawdę. Nawet kiedy otwieram oczy, nie jestem niczego pewien. Równie dobrze wszystko może być snem po otwarciu oczu, tak jak to, o czym śniłem przed chwilą.

Wprawiam w ruch kołowrotek myśli. Gdybym znalazł choćby małe dowód na to, że świat istnieje! Tym razem stwierdzam, że podążam śladem Boga.

Prawie tysiąc lat temu święty Anzelm założył, by udowodnić istnienie Boga, że „nie można sobie wyobrazić istoty wyższej od Niego”. A zarazem stwierdził, że Bóg jest nieunikniony; niematerialny, nieziemski, niewymierzalny. Wszystko, co znamy, postrzegamy, czego doświadczamy, jest możliwe, materialne, doczesne, określone, uwarunkowane. Ale Bóg jest wszystkim. Jest wszechświatem, jest więcej niż wszechświatem. Jednak nie da się z niczym porównać. Nie jest ani przyczyną, ani skutkiem. A zarazem uważa się Go za władcę wszechświata. Zwierzchnik żąda porównań, prawda? Jestem zbyt niemy, zbyt pokorny, ażeby być ontologiem. Przepraszam święty Anzelmie. Wierzę jednak w istnienie Boga lub pierwotnej siły, której nie można poznać. U podstaw mojej wiary leży coś tak bardzo osobistego, że nie mogę się podzielić tym z nikim.

Jeśli Bóg jest wszystkim, wobec tego jest również niczym, zakładając, że nic jest wszystkim. A nawet jeśli nic jest tylko niczym, Bóg musi być również niczym, skoro jest wszystkim. Jakkolwiek Kant twierdzi, że egzystencja nie jest orzeczeniem i nie dodaje nic do doskonałości podmiotu. Dlatego obiekt żyjący nie jest bardziej doskonały niż martwy przedmiot.

Zatem jestem tutaj i zarazem nigdzie, istnieję w nicości. Jednak nawet moje istnienie jest złudne. Jestem tego pewien. Dlatego nicość musi być zarazem wszystkim, choćby bez Boga, ale jednocześnie złudzenie nie mogłoby się pojawić, zaistnieć i niemal urzeczywistnić bez Boga.

Udało mi się skupić i przeprowadzić dowód na istnienie Boga.

Wreszcie otwieram oczy. Wciąż jest ciemno, choć oko wykol. Czy to możliwe, że spałem tylko kilka minut i jeszcze nie jest Boże Narodzenie?

Przesuwam się ostrożnie w łóżku, by nie obudzić Lor. Tak trudno uwierzyć, że jutro mija trzydziesta rocznica naszego ślubu. Ludzie mawiają: „To trzydziestka!”, kiedy chcą powiedzieć, że coś się skończyło. Myślę, że to powiedzenie upowszechniły gazety. Łudzę się, że nas to nie dotyczy. Wierzę, że uda się uratować nasze małżeństwo. Jednak doszukuję się czegoś pozytywnego w tym naszym memento. Myślę, że dzięki tej okrągłej rocznicy oboje uświadomiliśmy sobie, iż w naszym związku istnieją wartości, które warte są ocalenia. Ostatnio zauważyłem, że Lor spogląda na mnie tak, jakby nie znała mnie wcale, a może nie chciała znać. Również to mogę zrozumieć.

Ogień wciąż płonie w kominku. Ktoś musiał wstać i dorzucić dREW. Możliwe, że to był Ben. Nie, on prawie nigdy nie budzi się w nocy. Zatem zrobiła to Nicole, gdy wróciła z biesiady. A może jeszcze nie ma jej w domu. Mój zegarek leży na kredensie, więc nie wiem, która godzina.

Spycham dopalające się bierwiona bliżej siebie i dokładam dwa rozszczępione polana. W ciągu kilku minut ogień powinien znowu buzować aż miło. Przemierzam pokój, by spojrzeć na

termometr w migotliwym świetle płomieni. Jest dziewiętnaście stopni, zatem kominek płonął przez całą noc. Sprawdzam, że dwa palniki w grzejniku gazowym palą się równym płomieniem.

Wracam tip—topami. Biorę latarkę kieszonkową, która leży obok Bena. Przytrzymuję opadające spodnie od piżamy, gdyż guma jest pęknięta, i mimo paska z klamerką obsuwają się co chwilę. Rozchylam draperie, by spojrzeć na termometr za oknem. Na dworze jest dwadzieścia stopni mrozu! Zatem amplituda między temperaturą w środku a temperaturą na zewnątrz wynosi trzydzieści dziewięć stopni. Czy zasłony na ścianach z waty szklanej zwiększyły izolację, czy też to nasze ciała ogrzały izbę?

Spoglądam na choinkę. Nie chcę, żeby świece stopiły się od ciepła i krople wosku spadały na prezenty. Ben oddycha głęboko, zarazem spokojnie.

Nie sądzę, by pod choinką było zbyt wiele prezentów. W każdym razie jest ich nie więcej niż w innych domach.

Wybieram się na mój zwykły poranny spacer, zastanawiając się, czy mamy prezenty dla wszystkich. Chyba zawsze będzie czegoś brakować. Nawet jeśli zostaniemy nagle milionerami, prawdopodobnie zapomnę o kimś albo będzie mi się wydawało, że kogoś pominąłem, że nie mam podarków dla każdego.

Wsuwam nogi w pantofle, wkładam sweter na piżamę. Zaciągam pasek na swetrze, by przytrzymać opadające spodnie. Na głowie mam wełnianą szlafmycę, w której zawsze śpiam w młynie zimą. Teraz naciągam ją na uszy. Wezłowie łóżka znajduje się naprzeciwko zimnej zachodniej ściany, w którą wciąż dmuchają wichry. Mroźne porywiste wiatry wdzierają się do wnętrza młyna przez szczeliny między kamieniami.

Wchodzę ostrożnie trzy stopnie wyżej i otwieram drzwi na poddasze. Boże święty, jak tu zimno! Zapalam światło w łazience. Siusiam silnym, długim strumieniem, a potem spuszczam wodę. To zdumiewające, że woda w muszli nie zamarzła. Przypominam sobie, że zostawiłem lekko odkręcony kran nad zlewem w kuchni. Kiedy się obudziłem, usłyszałem kapanie, więc dzięki temu woda nie zamarzła w rurach. Mam nadzieję, że system wodno—kanalizacyjny działa bez zarzutu.

Zdarzyło się już nieraz, że Mike i ja spędziliśmy wiele zimnych poranków na dole, przenosząc butlę butanową z długim węzłem i zapalki i próbując roztopić ten cholerny lód w miedzianych rurach, które prowadzą od piwnicy aż do zlewu w kuchni. Ogrzewaliśmy zamarznięte wodociągi, aż lód w rurach zaczął pękać z niesamowitym odgłosem, który przypominał trzask pękających lodów na wiosnę rozlegający się podskórnym echem, kiedy rzeka rusza wraz z płynącą krą. Zgadzam się, że dźwięk pękających lodów przypomina najpiękniejszą muzykę.

Splukuję. Wylewam wodę z małej patelni, którą podstawiłem z tyłu, gdzie przecieka zbiornik z wodą. Możliwe, że przeciek powstrzyma wodę w basenie od zamarznięcia.

Teraz muszę wykonać najtrudniejsze zadanie, zejść po prezenty, który ukryłem w piwnicy. Doszedłem do wniosku, że nikt nie zajrzy do nieczynnego mechanizmu młyna, ale, do licha, to wcale nie jest takie pewne. Wyciągam ze schowka elektryczną formę do wypieku wafli; kupiłem ją w sekrecie przed Loretą, która udawała, że nie zauważyła robota kuchennego Moulinexa, choć z pewnością musiała go wypatrzeć, gdy podjechaliśmy wózkiem do kasy. Moja żona ma wrodzone zdolności detektywistyczne niemal jak Sherlock Holmes.

Mam dla niej również małą buteleczkę perfum „Ecusson”. Zanim wyjechaliśmy z Paryża, poprosiłem przyjaciela, by kupił mi je w tanim sklepiku, Lor zapewne domyśla się, że je dostanie. Zawsze na gwiazdkę daję jej te właśnie perfumy. To już nasza mała tradycja.

Mogę otworzyć buteleczkę perfum i poczuć zapach Loretty. Tak pachnie kapryfolium, które przypomina mi lato, nawoskowaną podłogę lufa świąteczne pierniczki. Ich zapach zmienia mnie na powrót w małego chłopca czekającego niecierpliwie na prezenty.

Nie mam nic dla Mike'a. Mógłbym ofiarować mu elektroniczną grę w bitwę morską, którą kupiłem dla Bena. Po zainstalowaniu baterii i lampek ta nieskomplikowana gra zmienia się w fantastyczną zabawkę. Wiem, że Ben lubi grać w bitwę morską, lecz i Mike również często grywał w nią. Chociaż to strasznie dziecinna zabawka dla dwudziestopięcioletniego mężczyzny, a nawet dla piętnastolatka, ale co zrobić. Mike zaskoczył nas swoją wizytą.

Co pozostało dla Bena? Mamy dla niego rosyjski karabinek, ale chłopak już go widział. Mógłbym podarować mu mój motocykl. Już niedługo będzie mógł jeździć legalnie, ale tutaj i tak nikt nie zwróci uwagi na to, że jeszcze nie skończył szesnastu lat. Szkopuł w tym, że nigdy nie interesowały go motocykle ani nawet rowery. Czasem jeździł ze mną, ale dla niego jazda rowerem to tylko sposób na przemieszczanie się z jednego miejsca na drugie nie powodujący dreszczyku emocji.

Opuszczam drzwi zapadowe nad głową. Brr... tutaj jest naprawdę zimno. Jest tu taka wilgoć, że niemal ziębi płuca. Woda, która przeciekła pod drzwiami i tuż nad podłogą, zamarzła. Nie pamiętani, by kiedykolwiek zamarzła tu woda, więc to najzimniejsze Boże Narodzenie, odkąd kupiliśmy ten młyn. Powinienem przenieść na górę wina i nalewki, zanim zamarzną w butelkach, rozsadzając grube szkło.

Uświadamiam sobie, że nie wyjrzałem na dwór, by sprawdzić, czy wciąż jeszcze pada śnieg. Wyglądam więc przez małe okienko w piwnicy wychodzące prosto na drogę. Trudno cokolwiek zobaczyć przez pajęczyny, które pozostały od lata. To jedyne okno, którego zapomniałem umyć w trakcie szalonych porządków przedświątecznych.

Przecieram kawałek szyby. Na dworze leży niezmierny, głęboki, czysty śnieg, ale przestało już sypać. Stoję na oblodzonej granitowej posadzce, wyglądając przez szybę i drżę z zimna. Przechodzi mnie dziwny dreszcz, w oczach mam mroczki, jakbym miał zaraz umrzeć. Wcale mnie nie przeraża myśl o śmierci. Przez chwilę wydaje mi się, że od świata oddziela mnie to maleńkie okienko. Trudno mi oderwać wzrok od wyczyszczonej z pajęczyn i kurzu szyby.

Przechodzę ostrożnie obok kosza młyńskiego, na tyły za gigantyczne zęby koła zębatego, które przed wiekami obracało młyńskie kamienie. Schowałem tu wszystkie prezenty. Leżą nieco przyprószone śniegiem, który wiatr przywiał do środka przez dziurę w ścianie. Przez ten otwór przechodziła kiedyś oś, na której obracało się młyńskie koło. Zabieram paczki.

Nie mamy żadnych prezentów dla dziewcząt, no jedynie portrety, które zamówiliśmy u paryskiego malarza. Nic lepszego nie mogliśmy wymyślić. Lor napisała kilka słów na kartkach świątecznych, pod którymi podpisaliśmy się oboje, i włożyliśmy po dwadzieścia dolarów do każdej koperty. Banknoty dwudziestodolarowe pozostały nam po naszej ostatniej wizycie w Stanach dwa lata temu.

Na pewno spodobają się im portrety, które namaluje Jo, nasz stary przyjaciel z Paryża. Dziewczęta znają go dobrze, a sądzę, że również lubią. Z pewnością to będzie interesujące przeżycie dla nich, kiedy usiądą w jego przytulnej pracowni i Jo zabawi je wyszukaną rozmową podczas pozowania. Z Jo naprawdę świetnie się gawędzi.

Zdumiewa mnie sposób, w jaki Jo kocha ludzi. Ten świetny malarz kocha ludzi jak nikt inny, kocha ich takimi, jacy są. Zarazem w jakiś dziwny sposób, paradoksalnie, kocha ludzi takimi, jacy mogliby być! Patrzy z miłością na wszystko i wierzy w to, co widzi. To może być cokolwiek, niekoniecznie ludzie, on potrafi wierzyć w pejzaż, w ciche spokojne życie lub w stary gazomierz w paryskim mieszkaniu. Całym sobą stara się uwierzyć w każdy obraz, na który patrzy, i nagle staje się on na jego płótnie prawdziwszy niż w rzeczywistości. Kiedy oglądam obrazy Jo, wydaje mi się, że na chwilę zatrzymała się karuzela życia i mogę zobaczyć, co się zmieniło.

Biorę prezenty pod pachę i pędzę do góry. Kiedy otwieram drzwi zapadowe, bucha mi w twarz ciepło z rozgrzanej izby. Zapach płonącego drewna miesza się z wonią rozgrzanego kamienia.

Zmieniam na „bitwie morskiej” imię „Ben” na „Mike”. Mam nadzieję, że Loretta przygotowała coś ekstra dla Bena, przecież zawsze kupuje mu jakąś niespodziankę. Rokrocznie sprawia nam wszystkim małe niespodzianki pod choinkę. Mnie sprawia niespodziankę codziennie. To zupełnie nieobliczalna kobieta. Co najdziwniejsze, nikt poza mną nie wydaje się dostrzegać tej oczywistej prawdy.

Ogrzewani ręce przy buzującym ogniu. Używam kijka narciarskiego, który służy jako pogrzebacz, by odsunąć płonące polano, aby nie zaślaniało wielkiej kłody Yul. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu widzę rozwieszane na kominku pończochy. Jak mogłem nie zauważyć ich wcześniej? A może wcale ich tutaj nie było? Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Na całym obramowaniu kominka wiszą pończochy, połyskując rubinową czerwienią w migotliwym świetle ognia! Wspaniałe, duże pończochy, zrobione na drutach! Spostrzegam, że na każdej wyhaftowano imię osoby, dla której święty Mikołaj przyniesie prezenty. Nie brak nawet pończoch dla Mike’a i Geneviève! Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widzę przed sobą. Wydaje mi się, że kolorowe pończochy wyłoniły się nagle znikąd!

Cieszę się jak dziecko. To będzie prawdziwe Boże Narodzenie. Te wspaniałe pończochy wynagrodzą nam wszystko. Stoję przed kominkiem i promienieję wewnętrzną radością. Blask ognia, migotanie czerwonych pończoch w ciemności każe mi zachowywać się szczególnie cicho. Odwracam się i patrzę na zegar na kredensie. Jest siedem minut po siódmej. Poranek Bożego Narodzenia.

Wiem, że nie zasnę, ale wślizguję się z powrotem do łóżka i czekam na świt. Poślubiłem właściwą kobietę. Jak to się stało, że dokonałem mądrego wyboru, chociaż byłem tak młody? Zastanawiam się, w jaki sposób Lor zdołała zrobić na drutach pończochy, pomimo że ma tak wiele zajęć. Może nie ona je zrobiła? Może wysłała pończochy z Paryża pocztą do madame Calvet i zabrała je teraz od niej niepostrzeżenie, może nawet w czasie wigilijnej biesiady? I zastanawiam się, kto zrobił je na drutach? Czy madame Sybella — Włoszka, która mieszka w Paryżu piętro wyżej? Kiedyś Lor poprosiła ją, by zrobiła grube, ciepłe skarpety dla niej i rajtuzki dla Seta. Rany, to był wspaniały pomysł. Ciekawe, co włożyła do pończoch. Czuję się naprawdę jak dziecko, które czeka na poranek Bożego Narodzenia. Jestem tak podniecony. Już nie zasnę.

Przychodzi mi do głowy, by wstać znowu i zapalić wszystkie świece na choince, a potem zaśpiewać głośno moją własną wersję kolędy Radość światu, niezupełnie zgodną z tradycją. Ale Ben śpi tak głęboko i przecież wszyscy udali się na spoczynek bardzo późno. Musimy trochę wypocząć po tej całej przedświątecznej krzątaninie.

Ostrożnie wślizguję się pod kołdrę i przytulam do Lor, która mruczy coś przez sen. Chcę obudzić ją, świętować wraz z nią, tylko we dwoje, ten wspaniały cud, który sprawiła. Ale tylko przytulam się i całuję ją w ramię przez jej flanelową koszulę nocną.

Ocknąłem się, kiedy zaczął pikać budzik w elektronicznym zegarku Bena. Chłopak nastawił go na siódmą dwadzieścia pięć. O tej godzinie zwykle wstaje do szkoły w Paryżu. Zawsze słyszę go z naszego pokoju; zaczyna pikać pięć minut wcześniej niż nasz radiowy budzik. Jednak Ben nigdy nie budzi się na dźwięk tego sygnału. Również dzisiaj nie reaguje. Wśluchuję się w dwutonowe „pii piip” przez trzydzieści sekund, licząc jak zwykle sygnały, aż alarm ucichnie.

Podnoszę głowę z poduszki, by spojrzeć przez świetlik w dachu. Ciepło ze środka stopiło śnieg na szybcie, więc widzę niebo. Okienko w dachu powoduje dużą stratę ciepła, ale przecież rozjaśnia izbę. Ściany młyna są tak grube, że niewiele światła dociera przez pozostałe okna. Niebo nie chce się rozjaśnić. Ma wciąż posępną, ołowianą barwę. Nie mogę nawet dostrzec

gałęzi brzoź, które zwieszają się nad dachem młyna.

Łapię się na tym, że wstrzymuję oddech i nad słuchuję, i naprawdę coś słyszę. Domyślam się, że to tylko lód pęka pod śniegiem na dachówkach. To nie może być szamotanie się myszy w pułapce.

Zwykle wstaję od razu, kiedy już się obudzę, bowiem dręczą mnie wtedy najbardziej przygnębiające myśli na temat pustki i bezcelowości życia. Są to w pewnym sensie narzędzia mojego rzemiosła, toteż potrafię rozwiązać swoje problemy, przynajmniej teoretycznie, ale nie chciałbym popaść w ponury nastrój zwłaszcza w ten wczesny, zimowy, świąteczny poranek!

Dzisiaj nic mnie nie trapi. Jestem szczęśliwy, cieszę się, że żyję tak, jak żyję. Jestem zadowolony z tego, że przytulam się do swojej żony, czując jej rozgrzane ciało i tak dobrze znany, bliski zapach. Przenika mnie tajemnica, przepełnia serce radość życia.

Słyszę, że któraś z dziewcząt krząta się już na stryszku. Nad słuchuję, zastanawiając się, czy wstała, by skorzystać z przenośnego bidetu.

Potem słyszę warkot motocykla. To musi być Mike, który zjeżdża ze wzgórza, wracając od Geneviève. Pędzi jak szalony przez ten śnieg, ale jest dobrym motocyklistą. Prostuję się i podnoszę. Całuję delikatnie Lorette w ramię. Potrząsam nią lekko.

— Słyszę, że nadjeżdża Mike, Lor. Myślę, że już czas na Boże Narodzenie. Twoje pończochy są absolutnie piękne. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić cudowniejszej niespodzianki.

Zaraz zapalę świeczki.

Lor patrzy na mnie w ciemności. Ma wciąż zamglone, rozespane oczy. Uśmiecha się, przybliżyła swoją twarz do mojej i całuje mnie lekko w usta.

— Wesołych świąt, Will! Jakie pończochy? Czy podgrzałeś już wodę na mycie?

Wpatruje się w ciągle ciemny świetlik w dachu.

— Czy to nie okropne, że zapomnieliśmy zawiesić pończochy na kominku? Byłam tak zmęczona, że wczoraj, gdy kładłam się spać, nawet o tym nie pomyślałam.

Wysuwam się z łóżka. Wstaję, przyglądam się jej. Wkładam pantofle. Wciąż mam na sobie sweter przewiązany paskiem. A więc Lor postanowiła udawać, że to święty Mikołaj zawiesił na kominku pończochy z prezentami. To naprawdę miło z jej strony.

Podchodzę do kominka, gdyż na obramowaniu leżą zapałki. Potem zapalam świece, najpierw nasze adwentowe, stojące na okapie. Kolorowe pończochy sprawiają, że kominek wygląda tajemniczo jak zaczarowany kominek ze starej bajeczki. W fotelu na biegunach siedzi święty Mikołaj i uśmiecha się dobrotliwie. Migotliwe płomienie z ognia sprawiają, że oczy tajemniczego gościa iskrzą się, a cała postać jaśnieje w blasku.

Najpierw zapalam świeczki przy samym wierzchołku choinki. Płomyczki odbijają się w kolorowych bombkach. Po chwili ciepło palących się świeczek wprawia w ruch leciutkie łańcuchy. Nie mogę się oprzeć myśli, że wspaniale wyglądałaby choinka z kolorowymi lampkami. Poczekamy, aż dziewczęta wyjadą do Paryża i dopiero wtedy je zapalimy.

Loretta wyszła z łóżka i wdziwając poranek jak szatę ceremonialną, znieruchomiała z szeroko otwartymi ustami, wpatrując się w pończochy. Kiedy była studentką, grała kiedyś w studenckim teatrze i uchodziła nawet za gwiazdę na lokalnej scenie. Założę się jednak, że dopiero teraz zagrała najwspanialszą rolę w całej swojej karierze.

— Mój Boże, Will! Gdzie zdobyłeś te piękne pończochy?

Mija śpiącego Bena i podchodzi do kominka. Bierze do ręki każdą z pończoch, podnosi do oczu, obracając zupełnie tak jak ja i odczytuje wyhaftowane imiona.

— Ależ, Will. To ręczna robota, a imiona są wspaniale wyhaftowane. To jest po prostu przepiękne!

Odwraca się do mnie. Trzymam zapaloną świeczkę w ręce, ale Loretta nie zważa na to i obejmuje mnie mocno. Zdmuchuję świeczkę ponad jej ramieniem, by nie przypalić jej włosów. Lor płacze. Sam jestem bliski płaczu. Zaiste, byłby to wspaniały początek Bożego Narodzenia, gdybyśmy rozszlochali się oboje.

— Cicho, Lor. Nie musisz płakać!

— Och, Will. Potrafisz być takim wspaniałym człowiekiem, gdy zechcesz. Stać cię naprawdę na cudowne, szalone pomysły, które rodzą się w tej twojej nierzeczywistej, nie istniejącej, beznadziejnie pozbawionej znaczenia, jak wmawiasz nam wszystkim wokoło, łepetynie. Ale to najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Założę się, że zaplanowałeś to już w lecie, kiedy zapytałam cię, czy chciałbyś, żeby nasze dzieciaki przyjechały na Boże Narodzenie. Nigdy nie zapomnę tych wspaniałych pończoch.

Patrzy mi w oczy. Na jej zapłakanej twarzy wykwita uśmiech.

— Wybacz mi, najdroższy! Zawsze mi się to zdarza. W najważniejszych chwilach muszę pójść zrobić siusiu. Ale zaraz wrócę. Zostań po prostu tu, gdzie stoisz!

Mówiąc to, wyswabada się z moich ramion, mija rozświetloną świeczkami choinkę i wchodzi trzy schodki w górę do toalety.

— Zapnij szlafrok, Lor! Tam jest istna lodownia, ale spłuczka działa. Z jakiegoś powodu woda nie zamarza w rurach. Czy nie przeszkadza ci, że zapalam świeczki?

Odwraca się i obdarza mię szybkim uśmiechem.

— Nie zapomnij podgrzać wody, kochanie!

Zabiera zwitek papierowych ręczników. Czy znowu zużyliśmy cały papier toaletowy? Maggie poskarżyła się kiedyś Lorecie, że zawsze brakowało w domu papieru toaletowego, gdy jeszcze mieszkała z nami. Teraz Loretta trzyma w zapasie dziesięć rolek. Trudno znaleźć miejsce, w którym można by przechowywać taką ilość papieru.

Idę do kuchni. Lor zachowuje się dziwnie. Wiem, że strasznie się wszystkim przejmuje. Zresztą ja też, ale to dziecinada, że udaje, iż to nie ona zawiesiła na kominku pończochy z prezentami, a potem płacze i wybiega prędko do toalety. Szczególnie to jest dziwne.

Wolałbym być nieco bardziej wrażliwy lub nieco bardziej gruboskórny. A tak, ni pies, ni wydra. Z jednej strony wrzusza mnie jej płacz, z drugiej irytuje. Coś się kryje w tym płakaniu. Lor bardzo rzadko płacze. Zwykle bywa twardsza niż niejeden mężczyzna w identycznej sytuacji i nie pokazuje swoich uczuć.

Możliwe, że naprawdę musiała pójść do łazienki. To zwykle mnie tak gna rano, ale wszystko ostatnio zmieniło się z jakiegoś powodu.

Napełniam czajnik, jak zwykle przez dziobek. Zapalam największy palnik i stawiam wodę do zagrzania. Płomień trochę strzela i skwierczy. Należę do osób, na których zawsze robi wrażenie widok płonącej zapałki. Jaki to cudowny wynalazek? Jak łatwo się zapala? Jak łatwo można zapalić gaz zapałką. Jak łatwo podgrzać wodę, po którą nie trzeba pójść do studni. Jakże te wspaniałe wynalazki ułatwiają nasze życie.

Niekiedy przychodzi mi na myśl, że nigdy naprawdę nie stałem się dorosły, wciąż jestem dzieckiem. Zwykle urzędnicy, do których powinienem się już dawno przyzwyczaić, wydają mi się istnymi cudami. Z tego samego powodu nie zauważam prawdziwych cudów, które zdarzają się wokół mnie, cudów, o których nawet nie wiem, a w które sam nie potrafiłbym uwierzyć. Czasem trudno mi uwierzyć w to, że żyję tak samo i w tym samym świecie, jak inni ludzie. Jestem w pewnym sensie obcym.

Maggie schodzi ze schodów. Ma na sobie jasnoczerwoną flanelową piżamę w białe pasy, ze

ściągniętymi tasiemką nogawkami w kostkach i rękawami w przegubach. Zeskakuje z ostatniego, wysokiego stopnia. Na nogach ma czerwone, futerkowe pantofle.

— Jak ci się podobam, tato? Czy wyglądam jak madame święty Mikołaj? Szkoda, że nie ma tutaj Setha!

Przystaje zdumiona i wpatruje się we mnie jak w jakieś dziwadlo.

— Och, mój Boże! Wyglądasz jak pirat, który zabłąkał się w dzielnicy nędzy. Skąd wzięłeś ten zwariowany strój?

— Jesteś piękna, Maggie. Na twój widok raduje się moje serce w ten ciemny, zimny poranek bożonarodzeniowy.

Czekam, aż Maggie zauważy kolorowe pończochy nad kominkiem. Dziewczyna przegląda się w lustrze nad umywalką.

Ben otwiera oczy. Dopóki nie poruszy się, nie będzie wiadomo, czy obudził się naprawdę. Powoli sięga po okulary i spogląda na swój elektroniczny zegarek z kalkulatorem.

— Czy to Boże Narodzenie?

Maggie odrywa się od lustra i podchodzi do Bena. Ma włosy przewiązane przepaską. Wygląda prześlicznie. Przepaska bardzo przypomina kolorowe pończochy na kominku. Maggie pochyła się nad rozspanym Benem i całuje go impulsywnie.

— Oczywiście, że tak, głuptasku. Nie sądzisz chyba, że mamy Wielkanoc?

Słyszę, jak Mike otwiera drzwi na dole i wchodzi po schodach. Podnosi drzwi zapadowe głową. Jest ubrany w czerwonopomarańczową kurtkę motocyklową i czarną wełnianą czapkę w pomarańczowe pasy. Musiał pożyczyć kurtkę i czapkę od Maurice'a.

Jego twarz jest czerwiejsza niż kurtka. Przez ramię przewiesił torbę, toteż wygląda jak święty Mikołaj. Lawiruje torbą, przechodząc przez otwór w podłodze,

— Wesołych świąt! Gdzie jest mama? Gdzie Nickie?

Z góry dochodzi niewyraźny, zaspany głos:

— Jestem tutaj, Mike, w łóżku, w którym nikt rozsądny nie położyłby się. Co za paskudny zwyczaj wstawać, zanim słońce wszędzie nad wzgórzami. Musicie być szaleni, skoro zrywacie się przed świtem!

Mike ściąga czapkę i kurtkę i zawiesza na wieszaku przy drzwiach wychodzących na staw.

— Wiesz dobrze, Nickie, że to nasza rodzinna tradycja świąteczna. Zawsze wstajemy wcześniej w Boże Narodzenie. Nigdy nie pozostajemy w łóżku, aż wszędzie słońce. Moglibyśmy przeoczyć przyjście starego świętego Mikołaja. Musimy być wierni tradycji.

Na Boga, czy to naprawdę Mike? W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat w każdą noc wigilijną raz po raz wskakiwały nam do łóżka dzieci, pytając niecierpliwie, czy już jest rano. Zwykle zaczynało się to już około godziny jedenastej wieczorem i trwało aż do samego rana.

Domyślałam się, że tak bywa w każdej rodzinie. Jednak w naszej zawsze przybierało przesadny charakter. Słyszymy, jak skrzypi łóżko, w którym przeciąga się Nicole.

— Okay! Okay! Zaraz zejść. Która godzina? Piąta rano?

Ben siedzi na brzeżku swego łóżka. Spogląda znowu na zegarek.

— Jest dokładnie siódma trzydzieści cztery. Sądzę, że możemy powiedzieć, że jest już bożonarodzeniowy poranek.

Opuszcza nogi z łóżka i wsuwa stopy w swoje wielkie jak kanonierki pantofle numer trzynaście. Chłopak bierze ubranie i zmierza do lodowatej łazienki, Wchodząc na schody, odwraca się i spogląda na kominek, nad którym wiszą kolorowe pończochy z prezentami. Wychyla się w przód, wybałuszając oczy ze zdumienia.

— Ojej! Święty Mikołaj był naprawdę! Spójrzcie na te olbrzymie pończochy! Chyba są pełne prezentów!

Zastanawiam się, czy wszyscy udawali, że ich nie widzą? Poczekam więc, dopóki nie wróci Lor. Powinna być tu teraz, by móc cieszyć się swoją wspaniałą niespodzianką.

Mike i Maggie również oniemieli na widok pończoch przy kominku. Otwierają usta ze zdumienia, jakby doznali szoku. Właśnie w tej chwili Lor otwiera drzwi toalety, wciąż ma oczy błyszczące od łez.

Kiedy Loretta pojawia się na szczycie schodów, Mike i Maggie podchodzą do pończoch z prezentami majestatycznie w unisonie jak para pacholąt ubranych w śmieszne stroje ministrantów.

Nickie schodzi ze stryszku. Ma na sobie długą męską piżamę w kratkę i przyciska do piersi kilka ładnie opakowanych zawiątek. Drugą ręką trzyma się poręczy. Zatrzymuje się na ostatnim wysokim stopniu i zastyga ze zdumienia, tak jak reszta.

— Och, mój Boże! Co się stało? Skąd się to wzięło?

Jej ostry, przenikliwy ton kontrastuje wyraźnie z prawie nabożną czią, która wyraźnie pobrzmiwała w głosach Mike'a, Maggie i Bena. Głos Nickie rozbrzmiewa tak, jakby wypowiadała kwestię w studenckim przedstawieniu teatralnym. Dziewczyna schodzi z ostatniego stopnia, patrząc pod nogi. Stopień jest wyraźnie zbyt wysoki jak dla niej.

Loretta wciąż stoi na szczycie schodów przed łazienką, zawiązując szlafrok.

— Mój Boże, jak to pięknie wygląda, kiedy cała rodzina zbierze się w domu podczas świąt.

— Muszę zapamiętać dokładnie każdy szczegół tej sceny, by przetrwała w mojej pamięci aż do końca życia. Przyjrzyjcie się tym pończochom. Czyż tato nie urządził wam najbardziej czarodziejskiego Bożego Narodzenia, jakie można sobie wyobrazić?

W izbie wciąż panuje cisza, słychać tylko trzask ognia w kominku. Nicole powolutku schyla się pod choinką, przytrzymując paczuszki na piersiach. Kładzie prezenty pod choinką, potem dotyka ręką jednej z pończoch wiszących na obramowaniu kominka, na której jest wyhaftowane moje imię.

— Jak to zrobiłeś, tato? Przecież wiem, że nie umiesz robić na drutach. Kiedyś próbowałam nauczyć cię, pamiętasz? Ale nic z tego nie wyszło. A kto zrobił na drutach pończochę dla ciebie? Wiem, że jesteś „znikającym człowiekiem”, tajemniczym jak sam diabeł, ale, na Boga, jak sobie poradziłeś z tym wszystkim? Wow! Te pończochy są po prostu cudowne!

Uznaję, że to już trwa wystarczająco długo. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Loretta nie przyznaje się, że zrobiła nam taką wspaniałą niespodziankę.

— Poczekajcie chwileczkę! Ja naprawdę ani nie zrobiłem na drutach tych pończoch, ani nie włożyłem prezentów do nich. Masz rację, Nickie, że to przerasta mnie, chociaż chciałbym to zrobić. Szkoda, że nie przyszło mi to do głowy. Ba, nawet nie pomyślałem o tym! To naprawdę nie ja!

— Pomyślcie, dzieciaki. Kto przypomina wam każdego roku, byście wywiesiły swoje pończoszki w noc wigilijną? Kto upewnia się zawsze, czy macie parę ładnych, czyściutkich pończoch, gdy przyjeżdżacie tutaj, zapominając przywieźć z sobą pończochy na prezenty?

Urywam i rozglądam się po twarzach, potem wszyscy jak jeden mąż obracamy się w stronę Loretty, która wciąż stoi u szczytu schodów.

— W tym roku była u nas madame święty Mikołaj, która stara się przypisać mnie to, co sama przygotowała w tajemnicy przed wszystkimi. Zejdź na dół, madame święty Mikołaju i pokaż się nam! To największa niespodzianka, jaką nam sprawiłaś, choć zawdzięczamy ci już wiele innych niespodzianek. Zejdź wreszcie i wyznaj nam wszystko!

Klasczemy w ręce, nawet Ben bije brawo. Jestem zaskoczony, widząc pod szklami okularów łzy w jego oczach. Nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z tych łez. Mike podaje rękę Loretcie.

— Hurra na cześć mamy, naszego świętego Mikołaja!

Maggie wyciąga ku matce otwarte ramiona, ale w jej głosie brzmi wyrzut:

— Powinam była się domyślić. Mamo, to już naprawdę za wiele. Nie dosyć, że rozpieszczaliście nas, chowając w ciepłarnianych warunkach, a teraz jeszcze to Boże Narodzenie!

Ben poprawia palcem zsuwające się okulary. Wciąż trzyma ubranie w rękę.

— Dziękuję ci, mamo, choć żałuję, że to nie prawdziwy święty Mikołaj przyniósł prezenty. Byłoby wspaniale, gdyby zjawił się tu naprawdę!

Nicole przygląda mu się, chwyta się pod boki i potrząsa głową.

— Wielkie nieba, Ben! Ależ z ciebie prawdziwy prostaczek!

Loretta wciąż tkwi na schodach. Nie podała Mike'owi ręki. Stoi na górze w rozkroku, zaciskając pięści, co zupełnie nie pasuje do niej. Lor zwykle pozuje na prawdziwą damę. Kiedy staje w tej pozycji, wróży to zazwyczaj kłopoty. O co jej chodzi?

— Okay, Will. Tego już za wiele! To zabawne odgrywać świętego Mikołaja i całą tę szopkę, ale ty zawsze przesadzasz. Co roku wychodzisz w nocy na dwór, żujesz marchew i rozrucasz ją na śniegu, żebyśmy myśleli, że jadł ją renifer z sań świętego Mikołaja. Potem chodzisz w tych butach, pod którymi osadziłeś reniferowe kopytka, które sam wystrugałeś z drewna i chowasz na poddaszu przez cały rok. A jeszcze kupiłeś ten duży czarny pas i pozostawiłeś pewnego razu na stole, po tym jak opchałeś się pierniczkami i opiełeś mlekiem, które dzieci pozostawiły dla świętego Mikołaja. Gdyby prawdziwy święty Mikołaj wypił tyle mleka i zjadł tyle pierniczków, z pewnością nie mógłby przecisnąć się przez komin.

Słuchamy jej słów, które rozbrzmiewają jak kwestie w sztuce. Świecek na choince oświetlają jej twarz. Jej czerwony porannik wygląda w ciemności jak szata świętego Mikołaja; jest prawie tak czerwony jak pończochy. Wyciągam rękę, by pomóc jej zejść ze schodów.

— Uspokój się, Lor! Nie próbuj mnie przewyższyć w mojej własnej grze. Tutaj ja jestem prawdziwym specjalistą od fantazji i nierzeczywistości. Dzieci są już dorosłe, również ja. Pragniemy ci tylko podziękować. To, co zrobiłaś, jest po prostu zbyt cudowne, by potraktować to jak dzieło jakiegoś tajemniczego, mitycznego dziadunia. Chodź wreszcie do nas!

Loretta wycofuje się z powrotem do drzwi, nie podaje mi ręki.

— Will, to jest naprawdę nie do zniesienia. Jak możesz być tak niewrażliwy? Czy nie rozumiesz, jakie to dla mnie przykre, że dzieci myślą, iż to moja zasługa, choć wcale tak nie jest? Czuję się głupio, jakbym nie była naprawdę matką. Bo może prawdziwa matka przygotowałaby to wszystko. Wiesz dobrze, że podobnie jak ty, nie umiem robić na drutach. Pozwólcie, że zadam wam jedno pytanie! — Czekamy. Lor ma oczy pełne łez, ale to Izy innego rodzaju niż poprzednio. To łzy gniewu, a zarazem łzy żalu. — Czy kiedykolwiek was okłamałam?

— Nie, nawet o tym nie myślę, Lor.

— Cóż, więc uwierzcie mi teraz! Nie zrobiłam na drutach tych pończoch, jak również nikt inny nie zrobił ich na moje zamówienie. Nie kupiłam prezentów, które są w tych pończochach. Nie mam nic wspólnego z tym. Dobrze o tym wiesz, Willi! Chciałabym więc, żebyś to ty wyznał wszystko, zanim popsujesz nam wszystkim święta przez swoją głupotę.

Lor bierze mnie za rękę i schodzi prosto w moje objęcia. Wszystkie dzieci są cicho. Ben zrywa się pierwszy. Schyla się pod wiszącymi pończochami i przysuwa kijkiem narciarskim, który zastępuje pogrzebacz, płonące polana bliżej siebie.

— Wobec tego to sprawa świętego Mikołaja! Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że wmawianie dzieciom, iż święty Mikołaj nie istnieje, to tylko okrutny żart rodziców, którzy pragną zmusić nas, byśmy szybko wydorosłeli. To równie nieprzyjemna metoda wychowawcza jak zmuszanie nas do chodzenia do szkoły bez pytania, czy zgadzamy się na to, a również do mycia zębów, obcinania paznokci, kąpania się w sobotę, do lekcji gry na fortepianie, nauki pływania, jazdy konnej, gry w tenisa, grzecznego zachowania, siedzenia plackiem. Słowem,

zmusza nie nas do tych wszystkich rzeczy, które sprawiają, że dziecko przestaje być istotą ludzką i staje się dorosłym.

Wypowiadając ten monolog monotonnym głosem, Ben zbiera swoje rzeczy i udaje się do łazienki, by się przebrać. Wyciągam włącznik grzejnika z gniazdka.

— Włącz grzejnik w łazience, Ben, bo zmarzniesz! Na dworze jest dwadzieścia stopni mrozu.

— Okay. Nigdy nie odczuwam zimna, jeśli nie chcę.

Otwiera drzwi i wychodzi. Nicole bierze się pod boki, potrząsa głową.

— Ten chłopak jest niesamowity. Jak można nie odczuwać zimna? Przypuszczam, że on będzie nawet gorszy od ciebie, tato. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistości. Ale ja tak, więc marzną nawet tutaj. Niech się ktoś ruszy i przepuści mnie bliżej ognia.

Składam przenośne łóżko Bena. Wciągając materac do schowka pod schodami. Zastanawiam się, które z dzieci przygotowało tę cudowną niespodziankę i wywiesiło pończochy nad kominkiem. Nie wierzę, by Lor kłamała. Przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

Kiedy wracam do izby, dzieci zgromadziły się wokół kominka pod samą choinką, sadowiąc się na krzesłach, które wyciągnęły pod stołu. Przyglądam się im przez chwilę. Lor krząta się w kuchni. Wyłączyła gorącą wodę. Nalewa trochę ukropu do miednicy. Nicole spogląda na mnie.

— Chodź do nas, święty Mikołaju! Przysuń sobie krzesło i ogrzej się przy kominku!

— Jest mi ciepło, Nickie. Poza tym nie ma tu dość miejsca. A w ogóle to nie jestem świętym Mikołajem.

— Och, przestań, tato! Wszyscy wiemy, że mama nie kłamie, więc to musiałeś być ty. Jesteś największym kłamcą w naszej rodzinie. Nie, to tylko część prawdy. Przecież ktoś, kto nie wierzy, że istnieje prawda, nie może kłamać. Skoro wszystko jest złudzeniem, nic nie jest prawdziwe, wobec tego prawdy nie ma. Mogłeś zrobić to wszystko, nawet o tym nie wiedząc, ponieważ wydawało ci się to nierzeczywiste. A może po prostu zapomniałeś o tym?

Mike obejmuje delikatnie Nicole.

— Och, przestań, Nickie! Czy nie chciałabyś czasem, by twój ojciec był pewnego rodzaju komputerem IBM? Myślę, że Ben jest najbliżej prawdy. Święty Mikołaj zrobił tutaj specjalny przystanek i zostawił te pończochy z prezentami. Jakie to ma znaczenie, czy zrobiła to mama, tato, święty Mikołaj czy zajączek wielkanocny? O co się kłóćcie? Lepiej zobaczmy, jakie prezenty są w tych pończochach! — Maggie pochyla się i przygląda Mike'owi. — Poczekajmy na Bena. On byłby strasznie rozczarowany, gdybyśmy zaczęli bez niego. Wiesz, przemyślałem również to, co powiedział Ben. To nie jest zły chłopak, Nickie! On tylko inaczej patrzy na świat.

Loretta kończy myć zęby. Spośród wszystkich osób, jakie znam, tylko ona jedna myje zęby zarówno przed śniadaniem, jak i po śniadaniu. Skończyła mycie, ale wciąż jest w koszuli nocnej i w poranniku. Podchodzi do kominka.

— Mike ma rację. Przestańmy bawić się w detektywów i zobaczmy, co jest w pończochach. Umieram z ciekawości. Zastanawiam się, co przyniósł nam święty Mikołaj. Mnie zawsze trudno było wybrać coś dla kogoś, a nawet kupić coś samej sobie.

Mike podnosi i odczepia swoją pończochę z haczyka. Na tych haczykach w obramowaniu kominka suszymy od lat ubrania przemoczzone w czasie śloty, kostiumy kąpielowe w słoneczną pogodę w lecie czy ciepłe skarpety, kiedy wracamy ze ślizgawki na stawie. Rokrocznie też zawieszamy na nich pończochy w noc wigilijną. Mike kładzie swoją wypchaną prezentami pończochę pod kominkiem na cembrowinie młyńskiego kamienia, na którym zbudowałem kominek. Patrzy w górę.

— Hej, spójrzcie, jest nawet pończocha dla Geneviève! Ten święty Mikołaj wie, co w trawie piszczy! Juu huu!

Już do tradycji rodzinnej należy wspólne oglądanie prezentów, tak by wszyscy mogli się nimi cieszyć. To również pozwala dłużej świętować Boże Narodzenie.

Obserwuję świece na choince. Już prawie się wypaliły, więc otwieram nowe pudełko, by osadzić je w żabkach, w których dogasają maleńkie ogarki. Nickie chwyta mnie za rękę.

— Daj spokój, tato! Zapomnij o świeczkach, wesel się razem z nami.

— Ojej! Choinka nie będzie taka śliczna bez świeczek!

Wymieniam kolejną świeczkę. Tymczasem Ben schodzi ze schodów już ubrany, trzymając pizamę pod pachą. Nickie spogląda na chłopaka, potem na mnie.

— Okay, okay. Możecie już obaj zapalić te wasze nowomodne elektryczne lampki, jeśli chcecie, ale chodźcie już, włączcie się do zabawy!

— Moje lampki choinkowe nie są znów tak nowomodne. Przywiozłem je tutaj z naszego domu w Illinois. A jeszcze wcześniej używano ich w domu moich rodziców, w którym dorastałem. To właśnie te same lampki choinkowe, które twój dziadek zapalał na choince, kiedy byłem dzieckiem.

— Dobrze tato, więc włącz je.

Schylam się, by włączyć wtyczkę do gniazdka. Lampki rozbłyskują nagle jak w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy byłem dzieckiem. Nie potrafię ukryć zachwytu. Lor bierze mnie pod ramię.

— Myślę, że to najpiękniejsza choinka, jaką mieliśmy kiedykolwiek, mój święty Mikołaju.

Uśmiecha się do mnie, spoglądając mi w oczy. Wszyscy tłoczą się wokół Mike'a. Z jego pończochy wysuwa się człowieczek, który wygląda jak świąteczny pierniczek domowego wypieku. To mały święty Mikołaj w czerwonym lukrowanym kożusku z białymi ozdobami, z białym garnirem w brodzie z lukru. Dopiero teraz zauważyłem, że w każdej pończosze sterczy mały święty Mikołaj.

Każdy mikołajek trzyma w ręku zasnurowany mocno maleńki pofałdowany worek. Mike otwiera ostrożnie woreczek i znajduje w środku papierowy rulonik. Papier jest żółty i ma karbowane brzegi. Mike powoli rozwija rulonik. Lor zapala żółtą lampę z jedwabnym kloszem wiszącym nisko nad stołem, przy którym jemy posiłki. W woreczku znajduje się list od świętego Mikołaja. Tak, to taki sam list, jaki zwykłem pisywać do wszystkich dzieci w każde Boże Narodzenie. Zerkam ukradkiem i widzę, że list został napisany starannym — moim — charakterem pisma, które zawsze miało udawać pismo świętego Mikołaja: wielkie, okrągłe, pochylone litery wykaligrafowane starannie i olbrzymie śnieżynki w miejscu kropek.

Mike odwzajemnia moje spojrzenie i uśmiecha się, znacząco pokazując list

— Teraz już wiemy. Spójrz, tato! Nie mam pojęcia, jak poradziłeś sobie tym wszystkim, ale musisz przyznać, że mimowolnie zdradziłeś się tym listem od świętego Mikołaja.

Zbliżam się do Mike'a. Sięgam po list. Czuję dziwne mrowienie w opuszkach palców.

— Pozwól mi obejrzeć ten list, Mike! Nie mogę w to uwierzyć.

Mike wręcza mi list, w którym czytam:

Drogi Michaelu,

Mam nadzieję, że spodobają się Tobie prezenty, które Ci przyniosłem. Życzę Wesołych Świąt! Bądź miły dla brata i sióstr, jak również dla Twoich rodziców. Nie zapominaj, że kocham Ciebie i myślę o Tobie przez cały rok. Przypomnij Twoim rodzicom, że chętnie znowu spróbuję świątecznych pierniczków i mleka. A moim

reniferom będzie smakowała marchew również w przyszłym roku. One tak ciężko pracują.

Wesołych Świąt.
Twój
Święty Mikołaj

— To jest fałszerstwo! Kto podrobił moje gwiazdkowe listy od świętego Mikołaja? Przez dwadzieścia lat szlifowałem mój osobisty styl.

Nicole odchyła się do tyłu i wybucha sztucznym śmiechem.

— Hej, a może to oryginał. Może święty Mikołaj zdecydował się przyłożyć rękę do tego wszystkiego. Szczerze mówiąc, tylko ciebie można w tych okolicznościach uznać za fałszerza. To właśnie ty, tato, próbowałeś przez te wszystkie lata wmówić nam, że to święty Mikołaj pisał listy do nas, choć pewnie nie on to robił.

Przyglądałam się listowi z bliska. Gdybym nie wiedział, że to nieprawda, przysięgłbym, że to ja sam napisałem ten list. Maggie zbliża się do mnie i sięga po tajemniczą karteczkę. Wręczam jej list.

— Masz rację. To najprawdziwszy list od świętego Mikołaja. Nikt nie mógłby tego sfałszować. Czy wiesz, że wciąż przechowuję listy, które dostawałam co roku od świętego Mikołaja, odkąd skończyłam pięć lat, choć nie umiałam jeszcze ich przeczytać. Jeśli Seth będzie grzeczny, wezmę go kiedyś na kolana i przeczytam mu je wszystkie. On uwielbia tak samo te listy jak ja. Takie listy to jakby wieści z innego świata. Zeszłego roku sama próbowałam napisać taki list. Myślałam, że to nic trudnego, ponieważ jestem leworęczna, a patrząc na listy od świętego Mikołaja, nabrałam przekonania, że i on jest mańkutom. Jednak okazało się to niezmiernie trudne. Po dziesięciu nieudanych próbach byłam gotowa napisać do ciebie, tato, i poprosić cię, żebyś napisał dla mnie i dla Seta listy od świętego Mikołaja. George patrzył na mnie tak, jakby sądził, że oszalałam. Do licha, to strasznie trudno przygotować prawdziwe Boże Narodzenie, takie jak w naszym starym młynie.

Oddaje list Mike'owi. Patrzy mi głęboko w oczy. Zawsze jest taka onieśmielona, kiedy spogląda w czyjeś oczy.

— Daj spokój, tato! To twój list. Nikt inny nie potrafi pisać listów od świętego Mikołaja.

— Z wyjątkiem samego świętego Mikołaja.

Uśmiecham się i też patrzę jej w oczy. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy spoglądam w ludzkie oczy, szczególnie w oczy tych, których naprawdę kocham. Nigdy nie mogę się zdecydować, w które oko spojrzeć najpierw, a nie potrafię wejrzeć w dwoje oczu naraz, gdyż widzę wówczas przez mgłę. Boję się również utonąć, zagubić się w czyjejś nicości. Jest i tak wystarczająco ciężko żyć własnym życiem.

Tym razem nie obawiam się spojrzenia Maggie. Przesuwamy równocześnie wzrok, by obserwować Mike'a, który wyciąga z pończochy walcowaną, cylindryczną paczkę owiniętą w piękny, gwiazdkowy papier.

Co to może być, u diabła? Święty Mikołaj staje się strasznie tajemniczy na starość. Może w tej paczce znajduje się odrobina magicznego pyłu, którym Franky Furbo posypuje płozy swych snów, by mknęły szybciej. Mike odwija cylinder, potem spogląda w otwór na końcu.

— Na świętego Józefata, toż to kalejdoskop z prawdziwymi przezroczystymi kolorowymi szkiełkami!

Trzyma kalejdoskop naprzeciwko oświetlonej świeczkami choinki i obraca powoli czarny

cylinder.

— To wygląda jak katedra w Chartres albo Sainte Chapelle. Wow! A świece na choince sprawiają, że mozaika staje się cudownie psychodeliczna. Nie mogę w to uwierzyć!

Wszyscy po kolei patrzymy w kalejdoskop. Chyba nigdy nie widziałem nic piękniejszego. Ben nigdy nie miał w rękach takiej zabawki, więc nie może oderwać oczu od kolorowych zwierciadełek.

— To prawdziwa magia! Niech mi ktoś powie, jak to działa. Według mnie to po prostu czary. Chciałbym, żeby to nigdy nie przestało działać...

Mike sięga głębiej do swojej pończochy. Po chwili wyciąga wielkie szkło powiększające w skórzanym etui. Przykłada je do oka jak monokl i przygląda się nam.

— No cóż, drogi Watsonie, nie jestem pewien, jaka jest na tura tej tajemnicy, poza tym, że stanowi dla mnie tajemnicę...

Wybuchą swym bulgoczącym śmiechem. Potem podchodzi do choinki i skupia światło na jednej z bombek.

— Blask bombki wypełnia całe szkło — mówi.

Otoczamy go ciasnym kręgiem. Wszystko wskazuje na to, że prezenty są równie niezwykle jak same pończochy.

Potem Mike wyciąga parę staromodnych pantofli z owczej skóry, z króliczymi pyszczkami na przedzie, zupełnie podobnymi do tych, które zdobiły moje bambosze, a które nosiłem, gdy byłem dzieckiem. Rokrocznie przed samym Bożym Narodzeniem poszukiwaliśmy wszędzie takich pantofli, ale nie było ich w żadnym sklepiku. Mike pokazuje je wszystkim po kolei. Podskakuje z radości jak mały chłopczyk.

— Wow! Popatrzcie tylko! Przysięgam, że to ręczna robota!

Lor pochyla się.

— Pokaż mi je, Mike! Czy jesteś pewien, że są dobre na ciebie?

— Oczywiście, są w sam raz, mamó. Święty Mikołaj wie wszystko, nawet to, że noszę rozmiar dziewięć i pół.

Mike wciąż wyciąga prezenty. Każdy wspanialszy, bardziej oryginalny niż poprzedni.

Wyjmuje garść kryształowych pryzmatów o różnych kształtach — serca, diamentu, okrągły, podłużny i nawet jeden zakończony szklanym berłem.

Później, kiedy każdy z nas zagłąda do swojej pończochy, znajdujemy wiele takich samych prezentów, które otrzymał Mike, oprócz szczególnego podarunku przeznaczonego wyłącznie dla każdego nas.

Maggie wyciąga ze swojej pończochy młotek geologiczny do kamieni w pięknym skórzanym etui. To wspaniały prezent dla kogoś, kto pisał pracę dyplomową z geologii. Za to dla Nickie jest zestaw narzędzi rzeźbiarskich do obróbki drewna.

— Powiedz mi, tato, skąd święty Mikołaj wiedział, że chciałam spróbować, jak się pracuje w drewnie. To naprawdę jest coraz bardziej tajemnicze.

Ben wyciąga ze swojej pończochy teleskop. Maggie znajduje komplet Kronik narnijskich w oprawie z marokańskiej skóry. Lor dostaje kółka na serwetki z imionami wszystkich dzieci. Wciąż zastanawiam się, kto to wszystko przygotował. Pod pewnym względem mógłbym podobnie jak Ben uwierzyć, że to zasługa świętego Mikołaja, ale z drugiej strony chciałbym naprawdę wiedzieć, co się zdarzyło. Kto kupił te cudowne prezenty? Kto miał tyle pieniędzy i wyobraźni?

Całe dwie godziny zabiera nam oglądanie prezentów. Każdy z nas dostaje ładowaną wielokrotnie latarkę z wtyczką do kontaktu.

Lor otrzymuje komplet książek Jane Austen w skórzanej oprawie. Ona wciąż przygląda mi się spod oka, jakby to była moja sprawka. Otrzymała również drugą buteleczkę perfum, lecz tym razem o nazwie „Mój grzech”.

Każdy znajduje jeszcze jeden drobiazg, który wydaje się nam raczej nieistotny. We wszystkie pończochy włożono małe pudełka jubilerskie, w których odkrywamy małe, złote pierścienie, zupełnie takie same jak ten złoty sygnet, który niegdyś moja matka kupiła mojemu ojcu, zanim jeszcze się pobrali, przeszło pięćdziesiąt lat temu, i który mój ojciec dał mi przed swoją śmiercią.

Ten pierścień zgubiłem zeszłego lata, pływając w stawie. Byłem naprawdę zrozpaczony. Całe lato nurkowałem, rozgrzebując dno i przesiewając muł przez sito i wyrzucając sobie, że byłem taki nieuważny. Jakże mogłem zgubić tak cenną pamiątkę, którą przez tyle lat nosiłem pieczęlowicie na palcu? Czułem się jak pęknięta opona lub pęknięta sprężyna w maszynie czasu.

Ale te pierścienie nie mają inicjałów mojego ojca. Na każdym widnieje pięknie wygrawerowane na okręgu nazwisko naszej rodziny. Pierścienie są bardzo skromne. Mogą je nosić zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Różnią się od siebie tylko wielkością. Zamierzam wsunąć na palec mój pierścień, kiedy Nickie mówi:

— Załóżmy je wszyscy jednocześnie! Myślę, że święty Mikołaj chciałby, by te pierścienie stanowiły część świątecznej ceremonii albo nawet rodzinnego rytuału. Możliwe, że oczekuje od nas, że odbędziemy rodzinne ślubowanie. Staniemy w kręgu, a potem każdy niech założy pierścień na palec swojego sąsiada. Okay?

Nie daje nam czasu na zastanowienie, popycha nas do koła.

— Ustawmy się według wieku. Ty stań tutaj, tato!

Każe mi stanąć naprzeciwko kominka. Ustawiamy się zgodnie ze wskazówkami Nickie.

— Mamo, stań na prawo od taty!

Lor podnosi swoje pudełeczko z pierścionkiem. Cały stół i krzesła są wypełnione podarunkami. Potem Nicole poleca Maggie stanąć obok Lor, która spogląda na mnie z uśmiechem. Pojmuje w czym rzecz i podoba się jej to. Później ustawia Mike’a. Nicole bierze Bena za rękę i popycha lekko, by chłopak stanął między nią a mną. Wyglądamy teraz jak grono na wpół rozebranych druidów, którzy szykują się do jakiegoś uroczystego tańca obrzędowego. Nicole uśmiecha się do wszystkich w blasku oświetlonej choinki.

— Okay, czy wszyscy mają swoje pierścienie?

Przytakujemy jeden przez drugiego, trochę zaskoczeni tym wszystkim.

— Teraz niech każdy wyjmie pierścień z pudełka i trzyma go w lewej ręce w taki sposób, by mógł wsunąć go na prawą rękę osoby, która stoi z prawej strony. Zakładamy pierścień osobie młodszej od nas, z wyjątkiem Bena, który zamyka czarodziejski krąg i zakłada pierścień tacie. Powinniśmy zrobić to w tej samej chwili.

— Hejże hola! Poczekajcie chwilę! Każdy powinien założyć pierścień osobie z lewej strony, gdyż w przeciwnym razie pierścień nie będzie pasować!

Wymieniamy pierścienie. Ben daje swój pierścień Nicole. To cudowne, że wszyscy traktują to tak poważnie, nawet Ben. Współuczestniczymy w fantazji Bożego Narodzenia.

— Teraz, tato, powiedz coś odpowiednio tajemniczego i uroczystego. Ciekawa jestem, czy potrafisz wprowadzić nas w nie zwykły nastrój, jak to robiłeś zawsze, kiedy byliśmy dziećmi.

Chcę zrobić to od razu. Wczuwam się w rolę kapłana. Podnoszę mój pierścień, obracając go nieznacznie w stronę choinki. Wszyscy robią to samo.

— W imię tego świętego drzewa, które jest symbolem całej natury, a zabraliśmy je z lasu i przynieśliśmy do naszego domu, by pomogło nam święcić narodziny słońca w nowym roku, błogosławię naszą rodzinę — mary las ludzi dążących do pokoju i miłości!

Nie jestem pewien, czy powiedziałem to, o co mi chodziło, ale odwracam się i wsuwam

pierścień na palec prawej ręki Lor. Na lewej ręce Lor nosi ślubną obrączkę; jutro minie trzydzieści lat, odkąd nałożyłem ją pannie młodej. Wymieniamy złote pierścienie. Mike wsuwa pierścień na palec Nicole.

— Jezu, szkoda, że nie ma Geneviève. Zastanawiam się, czy w jej pończosze też jest pierścień.

Lor patrzy mi w oczy, potem spogląda na Mike'a.

— Jeśli nie ma go tam, zawsze możesz kupić jej pierścionelek. Pożyczę ci pieniądze.

Kiedy już pierścienie lśnią na naszych rękach, a ich magiczny blask nie pozwala nam oderwać od nich oczu, zapada nagle cisza. Stoimy przez chwilę, nie wiedząc, co robić, gdy Mike intonuje:

Sześć złotych pierścieni...

Podchwytujemy melodię i swobodnie, bez pośpiechu śpiewamy dalszy ciąg piosenki, wymieniając wyższy liczebnik w każdej linijce, aż dochodzimy do trzynastu. Po każdym wersie następuje pauza i Nicole podejmuje nowy wątek:

Trzynastu malców odbija piłkę...

Śmiejemy się, tańcząc w zawrotnym kręgu, kończąc piosenkę i wracając do początku, aż poprzestajemy na „przepiórcie na gruszy”. Coraz wolniej drepczemy w czarodziejskim kręgu, aż wracam znowu na swoje poprzednie miejsce, stając plecami do kominka.

Przełamujemy krąg i zaczynamy oglądać prezenty leżące pod choinką. Włączam grzejnik gazowy. Śnieg przestał wprawdzie sypać, ale nigdy dotąd nie napadało go aż tyle! Wyglądam przez okno, kiedy Lor szepcze coś Nicole do ucha. Przypuszczam, że wyjaśnia jej, które prezenty są dla kogo, toteż jestem zdumiony, kiedy Nickie odchyła się i wybucha tym swoim głośnym, nieszczerym śmiechem.

— Och, przestań, mammo, chyba żartujesz!

Potem obie idą na stryszek, na którym śpią dziewczęta. O co teraz chodzi? Na Boga, odnoszę wrażenie, że otacza mnie zbyt wiele tajemnic. Kiedy byłem dzieckiem, nadawano w radio show „Kocham tajemnice”, toteż nauczyłem się uwielbiać sekrety, a obecnie żyję pośród tajemnic już tak długo, że nawet je polubiłem.

Czekamy, aż Lor i Nickie zejdą ze stryszku. Maggie spogląda na mnie i wzrusza ramionami, jak zwykli robić to Francuzi. Mike i Ben kłęczą pod choinką tuż przy cembrowinie młyńskiego kamienia, na którym osadziłem drzewko, i oglądają prezenty, udając, że wcale nie czekają na mamę i siostrę.

Z góry słyhać szeptanie. Zrazu brzmi to, jakby matka i córka śpiewały, potem zapada cisza, później znowu rozlegają się szepty. Zamierzam coś powiedzieć, ktoś musi to zrobić.

— Hej, co tam się dzieje na stryszku? Zejdźcie tu, jest Boże Narodzenie! Czekamy na was.

Loretta rozchyła zasłony na górze i pokazuje się w prześwicie. Stryszek przypomina raczej galeryjkę, w której mieści się salonik zasłonięty draperiami.

— Zejdziemy zaraz, mój drogi! Możecie obejrzeć prezenty bez nas. Słowo honoru, że zejdziemy za chwilę.

Coś w jej twarzy, w jej głosie przeraża mnie. Tak samo wyglądała, kiedy przyjechała niespodziewanie do domu, gdy Maggie połknęła chloradyne. Miała ten sam wyraz twarzy, kiedy dostała list od matki z wiadomością, że ojciec zmarł — nie telegram, ale właśnie list. I teraz ma

poszarzałą, przerażoną twarz, ale na ustach spokojny uśmiech kapitana, który idzie na dno wraz z tonącym statkiem. Boże, co się stało tym razem?

Przez kilka chwil nie ruszamy się z miejsca jak nakręcane zabawki. Świece, które wymieniłem, już się w połowie wypaliły. Nagle rozlega się hałas i widzę stopy Nickie, która schodzi po schodach. Spogląda na nas z góry. Uśmiecha się, a jej buńczuczny uśmiech przypomina tak bardzo uśmiech Loretty, jakby był jego młodzieńczą wersją. Lor postępuje za nią, ostrożnie unosząc połowę szlafroka, by się nie potknąć.

Nickie upiera się, by Ben włączył komputer Atari. Z Mike'em dają mu wskazówki. Zdobyli dla niego wszystkie programy, które zamówił. Chłopak rozsiada się wygodnie w narożniku i pogrąża w przeglądaniu dyskietek.

Mike zrobił własnoręcznie prezenty. Dla Loretty zbił z drewna skrzyneczkę na zapałki. Przynosi nawet młotek i gwoździe ze stryszku, by ją zawiesić nad piecykiem. Pomalował skrzyneczkę w ludowe wzory i polakierował. Na szczęście nie pokrył lakierem zaryski, jak sam zrobiłem to niedawno.

Loretta wyraża swój zachwyt, całuje go, ale myślami błądzi gdzie indziej.

Dla mnie Mike sporządził skórzaną pochwę na mój szwajcarski wojskowy nóż. Powycinał rylcem kwiatuszki na skórze, takie same jak na skrzyneczce na zapałki. Wykonał również drewniane kukielki dla Nickie i Maggie. Kiedy pociąga się za sznureczki z tyłu, zabawne kukielki chodzą. Maggie dostała kacuzkę, a Nickie kurczątka. Nickie przechadza się tam i z powrotem przed lustrem, naśladowując ruchy marionetek.

— Spójrz, to jesteś ty, kacuzsko! A teraz to ja, kurczak!

Benowi Mike podarował drewniane zakładki do książek, ręcznie przycięte i pomalowane w deseń. Zakładek jest dwadzieścia. Na każdej Mike wystrugał tytuł i nazwisko autora. Wybrał książki, które sam szczególnie ukochał. Ben zachwyca się zakładkami, tasując je jak talię kart. Wiem, że chłopak przeczytał wszystkie z tych dwudziestu ukochanych książek Mike'a, w tym: Zen i sztuka porządkowania motocykla, W drodze, Zbrodnię i karę czy Wilka stepowego.

Loretta całuje mnie, gdy wręczam jej buteleczkę ulubionych perfum. Forma do wypieku wafli podoba się wszystkim. Zgadza się co do jednego, że musimy upiec wafle na śniadanie. Loretta wyciąga z kredensu książkę kucharską i wertuje w poszukiwaniu przepisu. Cieszymy się również, że dostała robota kuchennego firmy Moulinex, ale nie płąsa z radości, udając, że nie widziała, jak kupiliśmy go w Nevers. Wciąż jesteśmy pod wrażeniem tajemniczych pończoch i prezentów, które przyniósł święty Mikołaj. Jednak nie przestaję zastanawiać się, co zdarzyło się na stryszku między Loretą i Nicole.

Po jakimś czasie Loretta niespodziewanie, ale spokojnie wychodzi do łazienki. Nie wraca przez pięć minut, kiedy wszyscy rozpakowują prezenty. To do niej niepodobne. A kiedy wraca, widzę na jej twarzy dziwny uśmiech. Trzyma w ręce paczkę obwiązaną wielką wstążką. Wręcza mi ją.

— Proszę, drogi. Myślę, że to będzie służyło zarówno tobie, jak i mnie.

Zazwyczaj nie dostaję prezentów. Ostrożnie odwiązuję wstążkę, odlepiam kawałki taśmy klejącej przytrzymujące papier, Loretta własnoręcznie zapakowała prezent. Otwieram pudełko. W środku jest lekka, ciemnobrązowa piżama ze ściągaczami przy rękawach i nogawkach, w której można również uprawiać jogging. Przymierzam ją, przykładając do piersi na starą piżamę i sweter, które opinają mój zaokrąglający się brzusek.

— Jaka świetna piżama! Wyglądam jak francuska reklama męskiej mody.

Loretta odwraca się nad umywalką, gdzie myje ręce.

— Muszę przyznać, że to prawda. Znudził mi się już widok twojej starej wystrzępionej piżamy, w której wyglądasz jak obdartus.

— Gdybyś wszyła nowe gumki, mógłbym jeszcze pochodzić i w starej. Spójrz, tu jest nawet dziurka na gumkę!

Odkładam nową piżamę na stół. Przyglądam się łachmanowi, który mam na sobie. Nie dostrzegając dotąd, że rzeczywiście flanela jest postrzępiona, a wzór kratki prawie zniknął. Nosilem tę podartą, spłowiałą piżamę, myśląc przez cały czas, że wciąż jest nowa. Zresztą naprawdę wydawała mi się nowa. Myślę, że była taka, gdyż patrzyłem na nią oczyma wyobraźni.

— Przebiorę się zaraz w tę nową. Wesółych świąt! Możemy od razu podrzec ten stary łachman na szmatki, by twoi uczniowie mogli używać ich w szkole do wycierania farb.

— Nie, Will. Nigdy nie zrobiłabym tego moim kochanym malcom. Wyrzucimy starą piżamę do kubła na śmieci. Potraktuj to jako gwiazdkowy prezent dla mnie, którego najbardziej pragnęłam.

— Okay, okay, zrozumiałem.

Pędzę do łazienki i przebieram się szybko. Nowy strój leży doskonale i nie uwiera mnie nigdzie, choć spodnie w pasie są troszeczkę ciasne, ale ostatnio wszystko mnie ciśnie w tali. Muszę przyznać, że nie mam już trzydziestu trzech lat.

Wracam przy — akompaniamencie okłasków, radosnych okrzyków i szalonych gwizdów Nickie i Mike'a.

Odpakowujemy resztę prezentów i wszystkie papiery i pudełka wrzucam do kominka. To również tradycja rodzinna, którą kiedyś zapoczątkowałem. Może trochę niebezpieczna, ale podniecająca. Bożonarodzeniowy poranek może przypominać przejście cyklonu, jeśli nie zachowa się porządku. Loretta i Nickie zaczęły przyrządzać wafle, Mike wspiera je swoją wiedzą techniczną. Maggie i Ben siedzą przy stole wygodnie usadowieni, jak zawsze. Ben utrzymał nawet swoje stałe miejsce przy stole. W izbie panuje prawdziwie gwiazdkowy nastrój. Sprawily to magiczne pończochy, a szczególnie złote pierścienie. Wyłączam z gniazdka grzejnik w narożniku i idę włączyć piecyk w łazience. Jest już przeszło dwadzieścia stopni. Chciałbym jednak, by było też choć trochę cieplej w naszej toalecie.

Wyciągam koperty gwiazdkowe dla córek z banknotami dwudziestodolarowymi i naszymi życzeniami, w których wspominamy, że zamówiliśmy ich portrety u Jo Lancastera. Podaję koperty Lorecie, która wręcza je dziewczętom. Obie wydają się zadowolone. Mam nadzieję, że to nie jest zbyt egoistyczny prezent? Obawiam się, że córki będą zbyt krótko w Paryżu i mogą nie mieć czasu na pozowanie.

Dla Mike'a przygotowałem kopertę z czekiem na pięćdziesiąt dolarów. Podaję ją ukradkiem Lorecie, by napisała kilka słów od siebie. Potem wręczam synowi.

— To dla ciebie, Mike. Te pieniądze nie mają nic wspólnego z chesnym, z biletem lotniczym ani niczym takim. To dodatkowa kasa, kup sobie za to, co zechcesz. Sprawileś nam wspaniałą niespodziankę, ale zostaliśmy zaskoczeni twoim przyjazdem i nie przygotowaliśmy prezentu, więc przyjmij to jako podarek.

Mike otwiera kopertę, czyta życzenia i ogląda czek. Ma oczy pełne łez. Odwraca się, podchodzi do choinki, wpatruje się w nią, przeciera oczy rękawem swetra. Przyglądam mu się, czuję się jak balonik, z którego uleciało powietrze.

Boże, przecież to tylko pięćdziesiąt dolarów. Dlaczego mój syn się rozplakał? Czy zrobiłem znowu coś złego? Nie wiem, czy podejść do niego, wziąć go w ramiona, powiedzieć coś, czy też udać, że nic nie zauważyłem. Panie, tutaj aż kipi od gwałtownych uczuć! Zaczynam czuć się trochę nieswojo. Za chwilę sam wybuchnę płaczem, jeśli nie będę trzymał się w ryzach. Być może płacz przyniosłby mi ulgę.

Mike odwraca się od choinki, podchodzi do Lor i całuje ją w szyję. Potem potrząsa moją ręką w podziękowanie.

— Do licha, dziękuję wam, tato, mamó. Z pewnością kupię sobie coś, ale nie zasłużyłem na to. Przeczuję, że nigdy nie będę mógł się wam odwdziaczyć za to wszystko, co otrzymałem od was.

Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. Ta sytuacja przekracza moje zdolności pojmowania. Powinienem chyba coś powiedzieć. Ratuje mnie, Nickie.

— Nie martw się, Mike! I tak będziesz musiał odpłacić. Wiesz, jaki jest tato. On nigdy nie traci. Tak czy owak w jakiś sposób zwrócisz dług. Więc nie martw się tym!

Bierze się pod boki. Pokazuje mi język i uśmiecha się, rozładowując atmosferę.

Okazuje się, że trafiłem w dziesiątkę, kupując formę do wypieku wafli. Zajadamy się smakowitym ciastem, które piecze się tak szybko, że ledwie nadążamy je połykać. Loretta robi wspaniały sos, mieszając karmel z klonowym syropem i dodatkiem mąki.

Po śniadaniu sprzątam, po czym ubieramy się ciepło i wychodzimy na dwór. Powietrze jest rześkie i mroźne. Mike próbuje, czy lód na stawie jest mocny i przekonuje się, że można bezpiecznie się ślizgać. Loretta zasłania z przerażenia usta, kiedy Mike podskakuje i tupie na gładkiej powierzchni, pokazując, że lód jest mocny. W końcu nawet Ben wchodzi na pokryty śniegiem, skuty mrozem staw. Sypki śnieg daje się z łatwością odgarnąć nogą, ukazując kryształowy, przejrzysty lód.

Lor wraca do młyna po prezenty dla dzieci Katie Calvet. Minęła już dziesiąta, ale wciąż nie widać żadnych oznak życia w okolicy. Uzgadniamy, że pójdziemy do domu Calvetów trochę później. Prawdopodobnie gospodarze, którzy bawili się do samego rana, odsypiają całonocną pohulanekę.

Mike przynosi miotłę z brzozowych różeg i wymiata śnieg z lodowej tafli. Nicole schodzi do piwnicy po łyżwy, które przeleżały w kącie przeszło cztery lata. Okazuje się, że jedna para butów z łyżwami będzie w sam raz dla Mike'a, jeśli poprzestanie na jednej parze skarpet. Druga para jest dobra dla mnie, a do podziału pomiędzy „trzy kuropatwy” — Maggie, Nicole i Lor — pozostały jeszcze dwie pary. Oczyszczamy łyżwy z pajęczyn, kurzu i rdzy, wreszcie smarujemy oliwką spożywczą. Wracamy do środka, do naszego salonu, w którym płonie ogień w kominku, gdzie zakładamy łyżwy.

Zabieramy miotłę z piwnicy, drugą z pokoju Maggie, więc wraz z miotełką z brzozowych witek mamy aż trzy. Mike, Nicole i Maggie zamiatają raźnie przyprószony śniegiem lód, by przygotować miejsce na ślizgawkę. Zaskakuje nas, jak szybko powstają śnieżne zaspę, które usypujemy, odsłaniając przejrzystą jak szyba tafle zamarniętego stawu. Pracujemy ciężko i w ciągu piętnastu minut udaje się nam oczyścić lód na powierzchni stu jardów kwadratowych. Wszystkie łyżwy są za małe dla Bena, który ma olbrzymie stopy. Zresztą nawet gdyby się znalazły odpowiednie, jestem pewien, że chłopak nie założyłby ich tak czy owak.

Niemal zapomniałem, jak to wspaniale mknąć po lodzie tak gładkim, że łyżwy suną niemal same. Loretta i ja ślizgamy się, trzymając się za ręce. Ona ma kłopoty z utrzymaniem równowagi. Zawsze miała słabe kostki. Nawet podczas tej cudownej zimy w Bawarii, kiedy harcowaliśmy na lodowisku prawie co dzień, jej łyżwy rozjeżdżały się, grożąc skręceniem nogi w kostce.

Mike decyduje się pojechać po Geneviève. Wsiada na motocykl, nie odpinając łyżew. Domyślam się, że będzie ślizgał się i hamował łyżwami, choć nie mam pojęcia, jak to możliwe. Wraca mniej więcej po pięciu minutach. Nie mógł wjechać na wzgórze Vauchot w głębokim śniegu.

Nicole i Ben zmiotli jeszcze więcej śniegu, więc mamy wspaniałą ślizgawkę, która ma już teraz sto pięćdziesiąt jardów kwadratowych. Nicole i Maggie ślizgają się razem. Mike wiąże

kilka krótkich linek, które odciął od siatki, którą rozwieszamy, gdy gramy w siatkówkę. Obwiązuje je wokół kół motocykla. Grabieją mi ręce z zimna. Zastanawiam się, jak Mike daje sobie radę z węzłami na tym mrozie. Zasupłał jednak sznur i wjeżdża teraz motocyklem na lodowisko.

— Dalejże, tato! Zabiorę cię na przejażdżkę!

Ślizgam się, trzymając się bagażnika. Mike rusza, powoli ślizgając się, ale jednak utrzymuje się i ciągnie mnie za sobą. Opiera się stopami o lód, by zachować równowagę. Sunę za nim najpierw po gładkim lodzie, potem po tafli pokrytej nietkniętym śniegiem. Gdy przejeżdżamy przez usypane przez nas zasy, śnieg stawia lekki opór moim łyżwom. Ślizgam się w tę i we w tę; przypomina to jazdę na nartach w syrkim śniegu, który unosi się wokół mnie. Mike krzyczy i trąbi w czasie jazdy. Hałasy powinny wreszcie obudzić Calvetów.

Kiedy dojeżdżamy do końca stawu, Mike opuszcza stopy na lód i skręca gwałtownie. Puszczam się motocykla i pozwalam nieść łyżwom. Zatrzymuję się dopiero w sitowiu. Mike czeka. Wracam do niego i łapię znowu za bagażnik. Odzyskujemy szybkość. Na wymiecionym lodzie puszczam się znowu i zawracam, by zatrzymać się obok Lor. Mike wyjeżdża ze stawu na groble.

— Wróć niebawem! Geneviève będzie zachwycona! Uwielbia to!

Jedzie po grobli i ostrożnie zjeżdża ze stoku na drogę. Mam nadzieję, że równie świetnie poradzi sobie na wzgórzu i dojedzie do Vauchot, nie zrywając linek z opon. Do diabła, da sobie radę!

Nickie i Maggie toczą śnieżne kule po całym stawie, jakby chciały zmieść do reszty wszystkich śnieg z tafli lodowej. Śnieg jest wprawdzie syrkim, ale słońce przygrzewa mocno, niebo jest jasnobłękitne, więc niebawem śnieg staje się lepki i dziewczęta mogą utoczyć kule. Zaczynają od małych śnieżek, ale już po kilku chwilach kule są tak duże, że można na nich usiąść. Kule wyśmienicie oczyszczają lód ze śniegu, toteż nasza ślizgawka powiększa się w oczach.

Nickie siada na utoczonej przez siebie ogromnej kuli śnieżnej. Zgrzała się, więc zdjęła szal i rozpięła kurtkę. Jest niezmordowana.

— Wow, czy nie wpadłam na dobry pomysł?

Rozgląda się wokoło, jakby mierzyła staw. Dyszy, z trudem łapie oddech. Maggie skończyła właśnie swoją wielką kulę i zatrzymała ją obok kuli Nicole. Przysiada na niej. Nie pamiętam, by Maggie kiedykolwiek zrobiła coś, co wymagałoby dużego wysiłku fizycznego. Dysząc ciężko, zdejmuje kapelusz, ściąga wełniane rękawice, pociera zziębnięte ręce, dmucha na palce, by je rozgrzać ciepłym oddechem, i wkłada z powrotem rękawiczki. Spogląda na Nicole, która wybucha głośnym śmiechem. Nie mogę osądzić, czy śmieje się szczerze, czy tylko udaje wesołość. Ale kim jestem, do licha, że uzurpuję sobie prawo do osądzania, czy ktoś śmieje się serdecznie, czy pokrywa fałszywym śmiechem swoje prawdziwe troski.

— Posłuchaj! Mamy już surowiec. Wyrzeźbimy więc żłódek naturalnej wielkości na lodzie. Mike, Ben i ja będziemy rzeźbiarzami. Tato, mama i Maggie mogą zgromadzić śnieg, tocząc wielkie kule. Zbudujemy tutaj wspaniałą żłódek, który przyćmi sławę Chartres, Fatimy, Lourdes, Notre Dame i Saint—Denis.

Milczę, by nie odwieść jej od tego wspaniałego pomysłu, ale zgodzę się natychmiast, gdy reszta podchwyci go. Ben zamknął się w sobie. Lor spogląda na Maggie, potem na mnie.

— To cudowny pomysł, Nickie. Nie wymyśliłabym czegoś bardziej pasującego do gwiazdki. Jesteś geniuszem!

— Oczywiście, mamo. Najwyższy czas, by wreszcie ktoś poznał się na mnie. Mam twórczą osobowość. Dowiedziałam się o tym z tych wszystkich idiotycznych testów, które przeprowadzano w La Jolla. Dlaczego wątpisz w moje wybitne zdolności artystyczne? Przecież

zamierzam zostać najślawniejszą na świecie rzeźbiarką.

— Okay, zabierzmy się zatem do dzieła! Tato, czy możesz podnieść kulę utoczoną przez Peg i postawić na tej?

Maggie i Nicole wstają. Chwytam kulę śnieżną, która ma trzy stopy średnicy i z pomocą Nicole wtaczam ją na drugą kulę.

Nicole wklepuje śnieg w szczeliny pomiędzy kulami i wygładza połączenie.

— Okay, to będzie Maria.

Przemieszcza się kawałeczek i wydrapuje miejsce na łodzie czubkiem buta.

— Żłóbek będzie tutaj. Czy wciąż trzymasz w stodole ten stary kozioł do cięcia drewna, na którym zwykłeś piłować bierwiona?

Przytakuję. Kozły do drewna stoją w piwnicy.

— Okay, odwrócimy je i nasypimy śniegu, by zrobić żłóbek. Niech Mike robi Dzieciątko. To jego specjalność!

Co ona ma na myśli? Czy to jakaś aluzja? Czy właśnie o tym rozmawiała z Loretą na stryszku? Czy Mike będzie ojcem? Czy Geneviève jest w ciąży? Staram się dociec prawdy. Nie chcę w to uwierzyć. Chodzi jej zapewne o to, że Mike malował Dzieciątko w naszej stajence na oknie przez te wszystkie lata.

Kiedy wraca Mike z Geneviève i dowiaduje się o naszym zamiarze, jest równie podekscytowany jak Nickie. Geneviève wygląda prześlicznie. W jej osobie zawarto się wszystko, co najpiękniejsze we Francuzkach. Geneviève jest drobna i inteligentna, ma rumieńce, bystre oczy, zręczne ręce. Ona i Mike spotkali się tutaj, w młynie, gdy mój starszy syn obchodził swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Urządziliśmy przyjęcie, na które przyszła Geneviève. Co za wspaniały prezent urodzinowy! Lor i ja rozmawialiśmy niekiedy o tym, jakimi pięknymi wnukami obdarzy nas ta para. Całujemy się z Geneviève na powitanie. Jej policzki są gładkie i chłodne. Dziewczyna witając się, obejmuje każdego, czego Francuzi raczej nie robią. Mike idzie z Geneviève do młyna, by pokazać jej pończochę z prezentami, która czekając na nią, wciąż wisi na obramowaniu kominka. Chciałbym pójść z nimi, ale Lor potrząsa nieznacznie głową, dając mi znak, bym zrezygnował. Toczmy więc nowe śnieżne kule. Nickie rzeźbi w śniegu za pomocą motyki. Po pięciu minutach narzeczeni wracają. Geneviève spogląda w zachwycie na pierścień na placu. Mówi do Mike'a

— Ale przecież, Michaelu, nie ma świętego Mikołaja, nie ma Pere Noel. To bajeczka dla dzieci. Kto mógł to wszystko zrobić, kupić te cudowne podarki? Nie rozumiem.

Mike uśmiecha się i obejmuje ją ramieniem. Krzyczy do nas:

— Biedna Geneviève nie wierzy w świętego Mikołaja, co wy na to?

Geneviève schodzi na zamrznięty staw. Jest taka piękna. Podchodzi do mnie. Właśnie utoczyłem wielką kulę.

— Nie powinieneś tego robić. To naprawdę za wiele, ale dziękuję ci. Bardzo podoba mi się pierścionelek.

Podnosi rękę z pierścieniem na palcu, który pasuje doskonale.

— Nie dziękuj mi, Geneviève, bo święty Mikołaj obrazi się i wszystko zniknie.

Mike pomaga mi wtoczyć jedną kulę na drugą.

— To racja, Geneviève. Takie rzeczy zdarzają się przez cały czas.

Nicole wysyła Mike'a, by przyniósł drewniane kozły z piwnicy. Potem Mike i Geneviève usypują śnieg na dnie odwróconego stojaka. Nickie posiada szczególny dar widzenia. Z pewnością nie odziedziczyła go ani po Lor, ani po mnie. Oboje jesteśmy dobrymi obserwatorami, ale żadne z nas nie jest obdarzone taką bystrością widzenia jak Nickie. Geneviève wciąż

rozmawia z Mike'em po francusku o prezentach i o Pere Noel. Wciąż wątpi w istnienie świętego Mikołaja. Jej logiczny francuski umysł nie może przejść nad tym do porządku.

Maggie i ja wspaniale się bawimy, tocząc kolejne kule. Jesteśmy oboje spoceni jak myszy. Nasze rękawiczki można by wyżyć, ale pochłonięci artystyczną wizją całości musimy dokończyć dzieła. Lor przypodchlebia się Benowi i nawet on włączył się do pracy. Jego specjalność to rzeźbienie twarzy. A może Nicole pozwala mu się tym zająć, bo to najbardziej interesujące. Sama kształtuje piękne figury w spływających szatach. Najpierw wyrzeźbiła Marię, potem Józefa, pochylonych „nad Dzieciątka snem, nad Dzieciątka snem”. Figury są nieco większe niż ludzie, ale za to bardziej przysadziste. Bardzo trudno formuje się ze śniegu szczupłe sylwetki. Nicole ulepiła również dwóch pasterzy z krową na postronku. Bydlątko ma naturalną wielkość i zostało uformowane z sześciu ogromnych śnieżnych kuł. Nickie nie poprzestała na krowie, ale ukształtowała także osiołka i dwie owieczki. Każde jagniątko leży na lodzie, unosząc głowę w kierunku żłobu. Śnieg jest zbyt sypki, toteż nie udało się zrobić cienkich nóg, by zwierzęta mogły stać. Istotnie, cała grupa wydaje się bardziej przekonująca, jeśli ograniczy się do postaci matki, ojca i dwóch pasterzy, klęczących przy żłóbku z Dzieciątkiem oraz do zwierząt leżących na śniegu.

Mike po mistrzowsku poradził sobie z Dzieciątkiem Jezus. Sam wyrzeźbił twarzyczkę, która wygląda prawdziwie anielsko. I naprawdę przypomina małego Chrystusa. Zastanawiam się, czy Jezusek w żłóbku nie powinien mieć mesjanistycznej twarzy, takiej jak fizys Rasputina? To jedyna figura z aureolą wokół głowy. Mike zrobił ją z kawałka węża gumowego, którym otoczył głowę małego Jezusa, mocując końcówki w śnieżnym sianie.

Mike i Nicole nalegają, by zrobić figury trzech króli. Maggie, Lor i ja schodzimy z pokładu. Lor idzie przygotować obiad bożonarodzeniowy. Jest już prawie trzecia. Wciąż nie ma oznak życia w obejściu Calvetów.

Ulegając szalonej pasji rzeźbienia, Nicole, Mike, Geneviève, Ben i ja lepimy figury trzech króli. To już prawie obsesja, ale wspaniała obsesja. Nie przypominam sobie, ażebym kiedykolwiek pozwolił się wciągnąć w realizację tak monumentalnego ‘projektu’. Wydaje mi się, że wyrzeźbione ze śniegu postaci żyją własnym życiem.

To Boże Narodzenie będę pamiętał do końca życia, nawet te — wszystkie komplikacje, tajemnice, zmartwienia, scysje. Zapamiętam tę niezwykłą gwiazdkę nawet bardziej niż moje dzieciństwo. Nie uwierzyłbym nigdy, że przeżyję coś równie wspaniałego jak ten dzisiejszy dzień, choć pod niektórymi względami mógł wydawać się pełen niezrozumiałych sekretów. I dobrze, że tak właśnie było.

Kiedy ulepiliśmy ostatniego z mędrców Wschodu, którego ustawiliśmy na grobli, jakby właśnie przybył z dalekiej podróży, madame Calvet otwiera drzwi, by wytrzepać obrus z okruchów. Jest wciąż w tej swojej niebieskiej podomce, którą nosi od dwunastu lat, odkąd przybyliśmy do młyna.

Staruszka stanęła nagle jak wryta, potem schodzi dwa stopnie, wybałusza oczy i zawraca z powrotem do domu.

— *Katie, Claude, venez voir! Venez voir ce qu'ils ont fait!*

Nicole i Mike podłączają wąż ogrodowy do kurka na zewnątrz i delikatnie polewają śniegowe rzeźby wodą. Temperatura powietrza wciąż jest grubo poniżej zera, toteż spływająca woda zamarza na śnieżnych figurach, tworząc gładką jak szkło, przejrzystą powłokę. Teraz dopiero rzeźby są naprawdę piękne. Może dlatego, że wykonaliśmy je własnymi rękami; przypominają mi posągi, które widziałem w Rzymie czy Florencji. Ujmują prostotą, a jednolity materiał sprawia, że wyglądają równie wspaniale jak posągi z marmuru lub spiżu. Krótki zimowy dzień

kończy się, światło zaczyna przygasać, a różowa poświata od zachodu nadaje śnieżnym figurom niemal purpurową barwę.

Geneviève ślizga się na łyżwach za motocyklem, na którym Mike prawie płąsa po wymiecionym ze śniegu lodzie. Dziewczyna pierwszy raz w życiu jeździ na łyżwach, toteż stale przewraca się. Trzyma się sznura, który Mike przywiązał do bagażnika motocykla. Ich krzyki i śmiech kontrastują z powagą, pełnym godności milczeniem lodowych figur. Cudowna, prawdziwie bożonarodzeniowa muzyka wypełnia moje uszy. Jestem zmarznięty, podobnie jak Maggie i Ben. Nicole wydaje się nie odczuwać zmęczenia, zimna, niczego. Przykręca do butów łyżwy, by przyłączyć się do Mike'a i Geneviève. Wchodzę ostrożnie po schodach, mając na nogach łyżwy. Siadam w fotelu na biegunach przy kominku, zdejmuję łyżwy i grzeję nogi przy buzującym ogniu. Pomagam Maggie zdjąć łyżwy. Potem wieszamy płaszcze i rękawiczki na hakach wbitych w obramowanie kominka, aby przeschły. Czarodziejskie pończochy i prezenty od prawdziwego świętego Mikołaja leżą na łózkach. Ben również zawiesza swój płaszcz i rękawiczki na haczykach. Rozsiadam się znowu w fotelu na biegunach. Loretta krząta się w kuchni.

— Will, drogi, czy byłbyś łaskaw wymieszać nadzienie i przyprawić indyka? Wiem, że lubisz to robić, a ja sama nigdy nie potrafiłam przyrządzić tego właściwie.

Myję ręce w umywalce. Uwielbiam nadziewać indyka. Staram się dobrze wymieszać nadzienie, by miało jednolitą konsystencję. Najpierw rozdrabnam kawałki chleba, seler, kasztany, jabłko, dodaję przyprawy i ucieram na papkę. Tylko w jeden sposób można osiągnąć pożądaną efekt — ugniatając nadzienie obiema rękami tak długo, aż powstanie jednolita masa. To głupie zajęcie, ale przysparza mi wiele radości. Prawdopodobnie ma związek z represjami, które stosowała moja matka, kiedy zrobiłem kupkę w majtki. Zgniecenie na miazgę indyczego nadzienia wyraża w pewien sposób moją potrzebę dominacji.

Ugniatam farsz i nadziewam nim wypatroszonego indyka. Zszywam potem tuskę grubą nitką i robię dodatkową kulkę nadzienia, którą zawijam w aluminiową folię, tak jak całego ptaka. Nigdy nie mam dość nadzienia, szczególnie gdy jest delikatne i aromatyczne jak to. Farsz zawsze rekompensuje suchość indyczego mięsa.

Wkrótce indyk już się piecze w piekarniku. Lor przygotowała wcześniej ziemniaczki w oliwie. Wystarczy, że wstawimy je do piekarnika trzy kwadransy przed wyjęciem indyka. Loretta proponuje, byśmy wybrali się przed obiadem na długi spacer. Tymczasem zagotuje na wolnym ogniu żurawiny, które kupiłem w magazynie Marche Aligre w Paryżu. Dzięki temu zrobi prawdziwy sos żurawinowy.

Pozostaje nam tylko zaczekać, aż zestawi żurawiny z palnika. Upewniam się, że w butli z butanem jest dosyć gazu. Nie będziemy musieli jeść na wpół surowego indyka, co zdarzyło nam się zeszłego roku.

— Okay, kto wybierze się z nami na spacer zaostudzający apetyt?

Lor ściąga płaszcz z wieszaka. Wkłada kapelusz i rękawiczki. Jestem trochę zmęczony, ale spacer przed posiłkiem to również tradycja rodzinna. Ale nigdy nie wychodzimy, zanim nie ustawimy całej stajenki pełnej figurek ludzi i zwierząt. Zawsze robimy to przed obiadem bożonarodzeniowym. Maggie wyciąga się w fotelu na biegunach.

— Nie mogę iść. Zasnąłabym potem podczas obiadu. Chyba zostanę w domu i będę pilnować indyka.

Nicole opadła na nasze łóżko. Ma bladą twarz i podsiniąte oczy.

— Wyłączcie również mnie! Zamierzam uciąć sobie drzemkę, a raczej zaraz sen mnie zmoże.

Ben pochyła się przy kominku, poprawiając polana kijkiem narciarskim.

— Ja też zostanę i dopilnuję ognia. Chcę przeczytać książkę, którą dostałem od Maggie i Nicole.

Siostry podarowały Benowi ogromną księgę o historii lotnictwa. Chyba musiała kosztować pięćdziesiąt dolarów i ma setki ilustracji, na których jest prawie każdy typ samolotu, odkąd pierwszy aeroplan wzbił się w przestworza. Dziewczeta przeżyły zabawną przygodę w podróży, wioząc tę książkę. Nicole kupiła ją na lotnisku im. gen. de Gaulle'a i kiedy jechały pociągiem z terminalu do Paryża, położyła ją na półce bagażowej. Książka spadła z góry iomal nie pozbawiła męskości młodego Francuza, który siedział obok Nicole. Młodzieniec zerwał się ze swojego miejsca i popędził do toalety na końcu pociągu, prawdopodobnie by sprawdzić, czy nie został okaleczony. Nicole powiedziała, że nigdy nie widzieliśmy bardziej przerażonego faceta. Kiedy Francuzik wrócił, usiadł przezornie na innym miejscu.

Mike zdejmuje łyżwy, siadając na kamieniu młyńskim pod choinką; bombki uderzają go lekko w potylicę. Geneviève stoi obok niego.

— Geneviève i ja wyjeżdżamy zaraz do jej domu, by sprawdzić, co się tam dzieje. Wrócimy na obiad. O której będziemy jedli?

Loretta spogląda na wiszący nad termometrem mały zegar z kukułką, w którym już dawno nie ma kukułki.

— Wszystko powinno być gotowe na siódmą trzydzieści.

Nicole unosi głowę znad poduszki i mówi sennym głosem, już prawie śpiąc:

— Jeśli nie zdążycie, zjem wasze porcje.

Jej głowa opada bezwolnie na poduszkę. Mike wstaje, wzuł już buty. Zdejmuje kluczyki samochodowe z obramowania kominka. Tylko jeden haczyk jest wolny, na pozostałych suszą się parujące okrycia. Dokładam dwa polana do ognia,

— Okay, pójdziemy sami. Ben, nie zapomnij oderwać się co jakiś czas od książki, by sprawdzić, czy ogień nie wygasa. To nasze główne źródło ciepła. Temperatura opadnie, gdy zacznie się ściemniać.

— Okay, okay. Będę siedział przy kominku i podsyczał ogień. Ja nigdy nie pozwalam, by ogień zgasł.

Chłopak jest zdenerwowany, w porządku. Zawsze bywa taki drażliwy. Zwykle daje sobie radę z ogniem. Zwracam się do Lor;

— Cóż, kochanie! Chyba wybierzemy się tylko we dwoje.

— W którą stronę pójdziemy?

— Chciałabym zobaczyć krowy i jagnięta w oborze. Przejdziemy się do obejścia Pinsonów, potem starym galijsko-rzymskim traktem i wyjdziemy na drogę do Vauchot nad polem Maggie. Zgoda?

Przytakuję i wychodzimy, przytrzymując drzwi. Ben domyka je, podpierając butlą gazową, by nie otworzył ich podmuch wiatru. Sprawdzam temperaturę — są tylko cztery stopnie mrozu. Sądziłem, że jest zimniej.

Wchodzimy na groblę. Claude, Philippe, Katie, Pierre Rousseau i dwie małe dziewczynki podziwiają nasze rzeźby. Pierre podchodzi do nas i wita się ze mną. Ma niski głos. Mówi prawie tak, jakby szeptał w kościele:

— *Ah, c'est quelque chose. Est-ce-que vrai que vos enfants ont fait cette miracle?*

Uśmiecham się i opowiadam, jak Maggie, Loretta i ja toczyliśmy śnieżne kule, podczas gdy Nicole, Mike i Ben rzeźbili figury.

Stajenka jest wspaniała. Niskie zachodzące słońce rzuca długie cienie, nadając figurom jeszcze większą jedność. To wstyd, że nie możemy utrwalić tych rzeźb na zdjęciu. Zapomniałem zupełnie o aparacie i filmie, które kupiłem dla Lor, Przepraszani, wracam do młyna, odsuwam

butlę gazową, by otworzyć drzwi. Nowy aparat fotograficzny leży w opakowaniu pod choinką. Myślę, że Lor postępuje identycznie jak Ben, pozostawiając sobie trochę gwiazdki na później, aż będzie spokojniej. Moja żona zawsze powoli otwiera prezenty; skubie jednym zębkiem całe Boże Narodzenie. Wracam na dwór i podaję jej paczuszkę. Lor rozmawia z Katie i małymi dziewczynkami, spacerując wśród śnieżnych figur. Loretta spogląda na paczkę, potem na mnie.

— Czy naprawdę muszę to otworzyć?

— Będziesz zadowolona, jeśli to zrobisz!

Lor rozwiązuje wstążkę, która upada. Odpakuje pudło i uśmiecha się do mnie, widząc aparat fotograficzny.

— Przecież wiesz, że nie umiem obchodzić się z takimi machinami, Wili. Ale masz rację, powinniśmy zrobić kilka zdjęć na pamiątkę!

Wręcza mi aparat w futerale. Wyjmuję kamerę, otwieram pudełko z filmem i zakładam go do aparatu. Nic nie działa prościej. By zademonstrować działanie aparatu, podnoszę go do oka. Światło jest odpowiednie, wciskam migawkę. Słyszę cichy furkot polaroidu i odbitka wysuwa się. Czekamy przez chwilę w wolno zamierającym świetle zimowego dnia aż stopniowo ukazuje się fotografia. Magia polaroidu prawie przyćmiewa piękno śniegowych rzeźb. Wydajemy okrzyki zachwytu „och” i „ach” w dwóch językach.

Zdjęcie wyszło znakomicie. Figury są wyraźne. Na fotografii panuje tajemnicza aura niezmienności, bezruchu. Zarazem wyczuwa się bardzo zmysłowe, wewnętrzne człowieczeństwo wyrzeźbionych postaci, uderza symbolizm figur.

Z trudem udało mi się zmusić Loretę, by oderwała oczy od zdjęcia i sama zrobiła kilka fotografii. Przypominam jej, żeby trzymała spokojnie aparat i nie poruszyła nim, gdy naciska migawkę. Tylko te dwie czynności należą do człowieka, cała reszta działa automatycznie. Lor chce obejrzeć od razu wywołaną odbitkę, ale zmuszani ją, by wypstrykała do końca zdjęcia z całej rolki, fotografując figury pod różnym kątem, robiąc zbliżenia, zanim zapadnie zmierzch, który szybko nadchodzi. Wyciągam każde zdjęcie, które wysuwa się z kamery i trzymam wszystkie odbitki w ręku, rozkładając jak talię kart. Otacza nas tłum wieśniaków. Kiedy Lor zrobiła ostatnią fotografię, przyłączyła się do naszej gromady. Ma ożywioną twarz, jest wesolutka jak szczygieł. Odczuwa radość świąt w całym tego słowa znaczeniu. Potem, kiedy odbitki są już wyraźne, każda lepsza od poprzedniej, a wszystkie niewiarygodnie transcendentne, oboje przeżywamy niezwykłą chwilę. Doświadczamy właśnie teraz pełni radości. Oglądamy wspólnie zdjęcia. Loretta odwraca się do mnie i mówi po angielsku:

— Will, to najmiłszy prezent, jaki mogłeś mi dać. Gdybyśmy nawet zgubili gdzieś aparat fotograficzny, to i tak wydatek już się zwrócił, choćbyś nie wiem, jak dużo zapłacił za niego. Te zdjęcia będą dla mnie największym skarbem. Pomyśleć, że nasze dzieci, my sami zrobiliśmy te cudowne rzeźby własnymi rękami.

Chowam aparat do pudełka wraz ze zdjęciami i odnoszę na werandę. Nikt go stąd nie ukradnie. Nie znam nikogo w promieniu dwudziestu kilometrów, kto ukradłby coś komukolwiek.

Wyruszamy w kierunku Huis de Bras. Kiedy przechodzimy przez most i wspinamy się na wzgórze, wyczuwani, że atmosfera zmienia się. To nie ma nic wspólnego z pogodą, choć chyba również i ona się zmienia. Na niebie gromadzą się chmury. Mówiąc o zmianie atmosfery, mam na myśli nastrój Loretty. Ona tak łatwo ulega zmiennym nastrojom. Nagle, od euforii, którą wywołało fotografowanie, przechodzi do depresji. Czekam. Nie mogę zrobić nic więcej. Wiem z doświadczenia, że trzeba mieć cierpliwość, gdy to się zdarzy. Bo jeśli się próbuje wpłynąć na zmianę nastroju Lor, kończy się to zawsze katastrofą.

— Will, muszę ci coś powiedzieć i nie wiem, jak zacząć.

Chłopie! A więc jednak Czekam, serce wali mi jak młot.

Może powinienem uciec stąd. Nie, stawię czoła tym wieściom, skoro Lor zdecydowała się wreszcie podzielić się nimi ze mną. Staram się osłabić uderzenie, udając roztargnienie.

— Czy chodzi o Mike'a? Czy Geneviève jest w ciąży?

Ona patrzy na mnie. Widzę strach w jej oczach łzy.

— Czy domyślasz się, co chcę ci powiedzieć?

— Nie wiem. Mogę tylko zgadywać!

— Chodzi o Nicole. Rozmawiałam z nią na stryszku, kiedy otwieraliście prezenty gwiazdkowe. Niespodziewanie dostałam okres i poprosiłam ją o podpaskę. A ona zaczęła mówić, po prostu musiała się wygadać. Dlatego nie schodziłyśmy tak długo. Było nam przykro, że czekacie tak długo, ale nie było sposobu, by jej przerwać.

— Chcesz powiedzieć, że Nicole jest w ciąży?

— Nie, niezupełnie. Chodzi o to, że pragnie tego. Ona chce mieć dziecko.

— Cóż, z tym nie ma problemu. Wystarczy znaleźć odpowiedniego człowieka i zrobić to, co należy, i jeśli będzie miała szczęście, zajdzie w ciążę i urodzi dziecko. Co w tym straszne go? Czy już znalazła właściwego mężczyznę?

— Tak, wybrała już swojego mężczyznę, rzeźbiarza z Kalifornii, z którym chciała przyjechać do nas na święta. Ten człowiek nie chce się z nią ani ożenić, ani nie chce być ojcem. Ale Nicole wciąż pragnie mieć z nim dziecko.

— To szaleństwo!

— Ona chce, żebyśmy pomogli jej.

— Wyłączam się! Pomóc jej! Jak możemy jej pomóc?

— Ona chciałaby zamieszkać z nami przez ostatnie trzy miesiące ciąży, urodzić dziecko w szpitalu amerykańskim, w którym urodził się Ben, wykorzystując nasze ubezpieczenie rodzinne. Potem, kiedy stanie na nogi, wróci z dzieckiem do Ameryki i spróbuje sobie jakoś radzić.

— Wspaniale! Ale jak zamierza żyć?

— Nie wściekaj się na mnie, Will. Tylko powtarzam tobie to, co ona mi powiedziała. Nicole mówi, że w Kalifornii żyje wiele samotnych matek, które otrzymują pomoc od państwa: zasiłek, bony żywnościowe, opiekę medyczną, lekarstwa. Sama nie wiem! Ona mówi, że w Kalifornii są wspólnoty samotnych matek, które wzajemnie sobie pomagają. Zgłosi się tam, jeśli ten człowiek jej nie pomoże. Czy możesz sobie wyobrazić, że nasza córka będzie żyła w takich warunkach?

— Nie mogę sobie niczego takiego wyobrazić. To wszystko jest takie nierzeczywiste, że wydaje mi się tylko mirażem.

Muszę przyznać, że nie jestem zupełnie przygnębiony tymi wieściami. Jakoś mnie to nie martwi, choć powinno. To lata osiemdziesiąte. Mija 1984 rok. Te sprawy nie wydają mi się aż tak szalone jak kiedyś.

Spacerujemy dalej. Ciężko mi zebrać myśli. Nie znoszę zbyt wielu zmian — żadna zmiana nie wydaje mi się sensowna, nawet w nonsensownym świecie.

Lor patrzy na mnie i uśmiecha się tajemniczo, ale w jej uśmiechu kryje się smutek, czułość, zrozumienie. Gdybyśmy nie byli tak zmarznięci, gdyby Lor nie miała wilgotnych rękawiczek, z pewnością zdjęłaby je i poklepała mnie po policzku jak konia przed trudnym skokiem przez przeszkodę albo psa, który aportował.

— Will, czy nie moglibyśmy pomóc jej finansowo przez pierwszych sześć miesięcy, kiedy będzie musiała pozostać w domu, poświęcając dziecku cały swój czas? Pomyśl, możemy być znowu dziadkami!

Przeprowadzam w myślach szybki obrachunek. Mam na koncie pięć tysięcy dolarów.

To wszystko wydaje mi się coraz bardziej fantastyczne. Jakim cudem, u diabła, osoba z naszej rodziny wpadła na tak horrendalny pomysł? Lor spogląda na mnie znowu. Przystaje i odwraca

się, biorąc mnie za rękę. Stoimy w przejściu w żywo płocie. Patrę przez jej ramię na białe ośnieżone pola. Widzę, jak dwa jastrzębie czy kruki pikują nad doliną. Patrę Lor w oczy. Tyle w nich wyrazu, że mogłyby stanowić model dla artysty malującego portret świętej Filomeny lub świętej Teresy. W jej oczach wyraża się odwieczne cierpienie.

— Zająłabym się dzieckiem, gdyby Nicole zdecydowała się wrócić do szkoły, Will. Myślę, że tak byłoby najlepiej. Sądzę, że odpowiadałoby mi to. Mam zaległy roczny urlop. Wezmę go!

Wow! Znowu upiera się przy tym. Jak mało wie o kobiecie mężczyzna, choćby przeżył z nią trzydzieści lat? Nie, to zły pomysł. Wolałbym mieć trochę czasu do namysłu.

— Mój Boże, Lor! Jesteś bardziej szalona od Nicole. Mam już przeszło pięćdziesiąt lat. Nie dalibyśmy sobie rady z niemowlęciem. Dostalibyśmy w końcu kręcka. A potem, co się stanie, jeśli Nicole pozna mężczyznę, którego będzie chciała poślubić, który będzie chciał się ożenić z nią, ale może się okazać, że nie będzie chciał wychowywać dziecka innego mężczyzny? Wtedy Nicole obarczy nas wychowywaniem wnuka. Będę musiał pracować aż do siedemdziesiątego piątego roku życia w tym college'u. Nie jestem nawet pewien, czy zrobiłbym to dla Bena.

— Daj spokój, mój drogi! Czujesz się teraz o wiele młodszy niż wtedy, gdy urodził się Ben. A zresztą wraz z wiekiem nabiera się doświadczenia w tych sprawach. Nie byłoby to takie złe, gdybyśmy wychowali jeszcze jedno dziecko. A poza tym mam pewność, że moja Nicole nie porzuciłaby swego dziecka. Prawdopodobnie nie zgodziłaby się nawet na moją propozycję. Ale chciałabym jej to zaproponować, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Myślę, że Nicole potrzebuje przede wszystkim moralnego oparcia. Chce mieć pewność, że opowiemy się po jej stronie. Nieważne, na co się zdecyduje...

Czuję się oszołomiony. Wiem, co mnie trapi, ale nie wiem, jak to powiedzieć. To mój odwieczny problem. Zaraz poczuję się winny! Nie chcę, żeby Lor obwiniła mnie, że nie pomogłem córce. Muszę to powiedzieć, zanim zmarszczy brwi i zacznie bocyć się na mnie.

— Okay, Lor. Pod pewnym względem zgadzam się nawet z tobą, ale przemyślmy to. Przypuśćmy, że za kilka lat Nicole pozna mężczyznę, za którego zapragnie wyjść za mąż, ale on nie ożeni się z nią z powodu dziecka, które ma z innym mężczyzną. W rezultacie Nickie pozostanie samotną kobietą i nigdy nie będzie miała towarzysza życia. Wtedy może zapytać nas, dlaczego nie powstrzymaliśmy jej. Czy nie obwini nas wówczas?

— Kiedy myślę o tym wszystkim, co kiedyś wyprawialiśmy z dziećmi, bo wydawało się nam właściwe, a teraz one wypominają to przy każdej okazji. Nie jestem już niczego pewna.

— Jestem zmęczony ciągłym wysłuchiowaniem tych wszystkich pretensji pod naszym adresem. Ciebie to nie wzrusza, bagatelizujesz ich wyrzuty, ale ja jestem inny. Może jestem zbyt dumny, może mam o sobie fałszywe mniemanie, może chcę być kochany przez wszystkich, nie wiem, ale teraz martwi mnie, że Nicole będzie nam to wyrzucać za pięć lub dziesięć lat. Jestem egoistą, za jakiego mnie uważasz. Taka już kolej rzeczy, że dorosłe dzieci odplacają szczęśliwym rodzicom czarną niewdzięcznością, ale ja nie chcę być chłopcem do bicia.

Wciąż jeszcze nie powiedziałem tego, co naprawdę czuję, ale to tak osobista sprawa. Zaraz powiem, co mi leży na wątrobie. Zaledwie kilka razy w trakcie naszego małżeństwa zdarzyło się, że Lor płakała. Dzisiaj płacze już drugi raz. W naszym życiu panuje chaos. Łzy płyną strumieniem po jej twarzy, którą wyżłobiły w ciągu naszych wspólnych lat szczerze jak złoto i fałszywie jak tombak uśmiechy mojej żony, dzięki którym władała udzielnie moim sercem. Nie mogę znieść jej płaczu. Odwracam oczy.

— Biedaku, czy nie rozumiesz, że dzieci kochają cię głęboko. Dlatego też muszą cię ranić. One czują się zniewolone przez twoją miłość, gdyż kochasz ich tak szalenie, całkowicie, osobiście. Przeczuwają, że muszą walczyć z tobą, by przeżyć. Stąd te wszystkie wewnętrzne powikłania, burze w szklance wody, huśtawka uczuć, sprawy, których nie rozumiemy, a możemy

się jedynie domyślać.

Dlaczego to wszystko wydaje mi się takie trudne? Co Lor pomyśli o mnie, kiedy zrobię to, co muszę uczynić? Czy będzie szczęśliwsza?

Stoimy wciąż w przejściu w żywopłocie. Próbuje uspokoić myśli. Czuję, że serce mi się ściska. Ruszamy dalej, trzymając się za ręce. Znowu czuję się wspaniale.

Szybko zapada zmierzch. Ciemność drzew na tle nieba, na tle śniegu nabiera głębi, barwy granatu. Niedługo już wieczór, ale nie staje się zimniej, pomimo przesilenia zimowego. Śnieg robi się gąbczasty. Zamiast chrzęścić lub poskrzypywać, płaska pod butami. Spoglądam w szare niebo, po którym suną czarne skłębione chmury jak przed letnią burzą. Mówię, nie patrząc na żonę:

— Okay, Lor, ale ty jej powiedz o tym! Nie jestem pewien, czy mogę ufać sobie. Mogę wyrzucać jej lekkomyślność albo skołowaciele mi język i nie powiem nic. Ona już nieraz celowo doprowadziła do scysji, jak dobrze wiesz, uważając, że jestem „niewidzialnym człowiekiem”.

Spacerujemy dalej. Jesteśmy na głównej ulicy w Vauchot. Po obu stronach drogi wznoszą się ciemne, kamienne domy. Przez zamknięte okiennice przebłyskuje światło. Zerkam na Lor, która przypatruje mi się spod oka.

— Masz rację, Lor. To byłoby zabawne, gdybyśmy znowu mieli malutkie dziecko w naszym domu. Na pewno byłoby fantastycznie, gdybyś znów była przez rok gospodynią, matką i żoną, jak w dawnych dobrych czasach. Pomyśl, zarazem bylibyśmy dziadkami. Przemysł to, babuleńko! Ale wyznaj szczerze, Lor, czy naprawdę tego chcesz?

Lor zagradza mi drogę i zatrzymuje się gwałtownie, więc wpadam w jej objęcia. Przybliżyła swoją twarz i całujemy się tak namiętnie, że jej kapelusz ląduje w śniegu. Czuję, że na głowę spadają mi krople deszczu. Odrywamy się od siebie. Podnoszę kapelusik, otrzepuję z białego puchu i wkładam jej na głowę. Sprawdzam, czy ktoś nie podgląda nas zza okiennicy.

— Wracajmy lepiej do indyka i dzieci, Lor. Obawiam się, że zaraz lunie deszcz. O pogodzie w Morvan jedno można powiedzieć na pewno, mianowicie, że lubi kaprysić.

Przyśpieszamy kroku, potem biegniemy truchtem, zmykając przed ulewą. To prawdziwa sztuka biec po topniejącym śniegu, więc wciąż na siebie wpadamy. Gdy wbiegamy na wzgórze, z którego już tylko parę kroków do naszego młyna, dyszymy ciężko, z trudem łapiąc oddech.

Jest już po szóstej, gdy docieramy do młyna. Nicole jeszcze śpi. Maggie właśnie zamyka piekarnik, do którego zajrzała przed chwilą, by sprawdzić, jak piecze się indyk. Ben zdemontował karabinek i czyści części broni na stole, na tym samym stole, przy którym zaraz zasiądziemy do świątecznego posiłku. Chłopak pyta:

— O której będzie obiad?

Loretta dołącza do Maggie, zagląda do indyka, z piekarnika unoszą się wspaniale zapachy pieczonego mięsiwa.

Wyjmują z kredensu talerze, noże, widelce. Przygotowujemy również nakrycia dla Mike’a i Geneviève, chociaż jeszcze nie wrócili. Czuję się lekko, chociaż zarazem nieco odsunięty, gdyż teraz Lor gra pierwsze skrzypce. Przyglądam się Nicole śpiącej z lekko rozchylonymi ustami. Dziewczyna jest bystra i nerwowa, toteż nie mogę jej sobie wyobrazić w roli cierpliwej i wyrozumiałej matki.

Chcę pomóc w nakrywaniu stołu, ale Ben i Maggie poradzili sobie wspaniale, słuchając wskazówek Loretty. Ogrzali talerze nad grzejnikiem gazowym. Słyszę warkot motocykla, na którym zjeżdżają ze wzgórza Mike i Geneviève. Nicole przewraca się na bok i otwiera oczy. Wstaje, ziewa, potem opuszcza nogi z łóżka.

— Do licha, wygląda tutaj jak w warsztacie świętego Mikołaja. Jaką cholerną robotę wymyśliłeś znowu dla tego zmęczonego elfa, tato?

Lor pomaga wstać Nicole. Daje jej kuksańca w żebra. Nicole poddaje się, ale jest urażona. Możliwe, że jest tylko śpiąca.

— Nickie, czy pomogłabyś mi zrobić sos żurawinowy? Według tego, co wyczytałam w książce kucharskiej, część sosu robimy z jagodami, a drugą część z galaretki. Sprawdź, czy mam rację! Zawieruszyłam gdzieś swoje okulary, a druk jest tak drobnutki.

Nicole i Lor zdejmują pokrywkę z parującego garneczka z żurawinami. Moje zadanie to podzielenie indyka, więc tymczasem wyciągam się na łóżku, na którym spała Nicole. Nicole wygrzała posłanie i teraz jej ciepło promieniuje w moje plecy, krzepiąc moje ciało.

Nagle przychodzi mi na myśl, by umieścić nowe świece na choince i zapalić je podczas obiadu. Wstaję z łóżka i otwieram dwa nowe pudełeczka. Wyjmuję wypalone ogarki z lichtarzyków i wstawiam nowe świece. Trzeba sporo trudu, by ustawić je prosto, gdyż gałązki uginają się pod ciężarem metalowych żabek do świeczek. Również zawieruszyłem gdzieś swoje okulary, pewnie kiedy wyjeżdżaliśmy z Paryża. Boże, jak nienawidzę tego, że jestem zależny od tych szkieł, tym bardziej, że niemal przez całe życie miałem wspaniały wzrok.

Mike z Geneviève wchodzi po schodach, tupiąc i rozmawiając głośno. Mam nadzieję, że Mike wyczyścił motocykl z błota i śniegu. Gdyby nie zrobił tego, blacha mogłaby zardzewieć. Potem, za diabła, nie można się pozbyć rdzy. Ale Mike nigdy nie zastanawia się nad takimi sprawami. Mało tego, wiem, że lubi jeździć na ubłoconym motocyklu, jakby brał udział w szaleńczym motokrosie. To prawdopodobnie współczesna wersja macha, która wyraża się również w sposobie, w jaki podwijamy rękawy T-shirtów, udając Marlona Brando czy Jamesa Deana. Ja lubię jeździć na mojej maszynie, gdy wszystko lśni, jakby motocykl zszedł właśnie z fabrycznej taśmy.

Geneviève pomaga Lor i Nicole. Ben układa polana przy kominku. Mam nadzieję, że we wszystkich lichtarzykach na choince umieściłem świece.

Za kwadrans siódma wyciągam indyka z gorącego piekarnika. Pieczeń wygląda wspaniale. Lor położyła już specjalny nóż i widelec na stole i ogromny półmisek, na którym mam ułożyć podzielone mięso. Nicole wkłada do lodówki dwa rodzaje sosu żurawinowego, by go ochłodzić i wyjmuje zimne białe wino. Zręcznie odwija folię metalową osłaniającą korek i błyskawicznie wyciąga korek. Nickie pracowała jako kelnerka dwa lata temu i otwieranie wina to jedna z jej umiejętności.

Kiedy odcinam nogę indyka, ze środka wypływają soki. Oddzielam uda od pałek. Nie kroimy tego mięsa w plasterki, lecz pozostawiamy w jednym kawałku. W ten sam sposób odcinam skrzydła. Teraz mam przed sobą korpus indyka. Ostrzę nóż na naszej okrągłej staroświeckiej osetce. Nie opanowałem dotąd mistrzowskich ruchów rzeźnika, który ostrzy nóż równomiernie w tę i w tę, choć staram się naśladować ten sposób ostrzenia. Nauka takich czynności nigdy nie przychodzi mi łatwo.

Tnę białe mięsiwo w długie, cieniutkie plastry. To moja specjalność. Kroję więcej niż dziesięć plastrów z każdej strony piersi indyka. Potem obracam korpus i wykrawam małe kawałeczki z wszystkich części indyka, które zwykle uchodzą uwagi. Układam białe mięso po jednej stronie półmiska, a ciemne po drugiej. Ale ten indyk ma prawie całe mięsiwo białe, nawet uda są bielutkie, po prostu trochę bardziej soczyste.

Później rozcinam szew i wyjmuję nadzienie. Lor rozgrzała już talerz i wykłada z folii aluminiowej gorący farsz, który pachnie rozkosznie — nadzienie nie jest zbyt wilgotne ani zbyt suche, jest w sam raz. Ślinka napływa mi do ust. Połykam ukradkiem mały smakowity kąsek z

indyjskiej polędwiczki. Kiedy dzielę indyka, kaczkę, gęś, kurczaka czy nawet perliczkę, zawsze zjadam ten kawałek jako należne mi myto. Mięsko jest delikatne i smakowite. Pierwszy kęs jest zawsze najlepszy, więc smakuję go wolniutko, starając się wchłonąć go w siebie, tak bym mógł odczuć całym sobą, wszystkimi zmysłami smak i zapach tego cudownego pieczystego.

Kiedy odwracam się, wszystko jest już przygotowane. Zasiadamy do stołu. Dwa razy w roku w naszym domu wyrażamy wdzięczność modlitwą — w Dzień Dziękczynienia i w Boże Narodzenie. Chociaż Loretta i ja wywodzimy się z rodzin katolickich, nie lubimy używać oklepanej formułki „Boże pobłogosław...”, ale wolimy bardziej naturalną, może pogańską pochwałę wszystkich darów ziemi. Rozglądam się i Mike puszcza do mnie perskie oko, dając znak, że on chciałby to uczynić.

Nikt nie wyraża sprzeciwu, więc skłaniam głowę na znak zgody. Do tradycji rodzinnej należy już to, że zasiadając do obiadu bożonarodzeniowego, kładziemy płasko ręce na stole i patrzymy sobie w oczy, wyrażając wdzięczność. Potem wznosimy kieliszki do toastu.

Nicole rozlewa wino do kieliszków. Mike pochyla się nad Geneviève, wyjaśniając jej zapewne, co nastąpi. Później wstaje.

— Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność losowi, że pozwolił mi być tutaj. To wspaniała rzecz, przebywać pośród swoich najbliższych i dzielić się darami naszej pięknej ziemi. Jeśli istnieje Bóg lub jakaś boska siła, która sprawiła to, dziękuję mu. Jestem częścią tej społeczności, którą miłuję, odwiedzając się w ten sposób moim rodzicom, którzy nauczyli nas miłości, dzieląc się z nami swoją miłością. Dziękuję wam!

Patrzy na nas oboje. To niepokojące. Widzę, że przeczuwa mój problem, nie wiedząc zbyt wiele na ten temat. Wytrzymuję jego spojrzenie, choć to trudne. Łzy napływają mi do oczu, ale też płyną po twarzy Mike'a. Mój starszy syn unosi dłoń Geneviève, w drugiej ręce trzyma kieliszek. Nie mam pewności, czy dziewczyna pochylała głowę na znak uległości, czy ze skrywanej radości.

— Geneviève i ja pragniemy ogłosić, że zamierzamy po dziękować światu i życiu, wstępując na wspólną drogę, by podzielić się swoim życiem z tymi, którzy zrodzą się z naszej krwi. Wesołych świąt!

Wznosi kieliszek, by stuknąć się w toaście. Spełniamy toast kieliszkiem mleka, soku jabłkowego, coca-coli, gorącej czekolady i wina. Istne pandemonium dźwięcznego szkła! W końcu dotarło do mnie to, co powiedział. Chyba zamierzają się pobrać czy coś takiego.

Nicole, która siedzi obok Mike, rzuca mu się w ramiona, potracając jego kieliszek. Trochę wina wylewa się na jej suknię. Nickie nawet tego nie zauważyła. Potem ściska Geneviève, odciąga ją od stołu, tańcząc obie. Ben wstaje i odchodzi od stołu. Lor obchodzi mnie i obdarza Mike'a i Geneviève serdecznym całusem, a potem kuksańcem. Spoglądam na zastawiony jadłem stół, myśląc o tym, że wszystko ostygnie. Zastanawiam się, czy nie powinienem wstawić mięsa z powrotem do piecyka.

Kobiety otaczają Mike'a ciasnym kręgiem. Obchodzę stół, mijam Bena w fotelu na biegunach. Mike zajął moje zwykłe miejsce przy stole. Wyciągam rękę do niego, drugą klepię go po plecach.

— Gratuluję, Mike, i tobie również, Genevieve. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi tak jak mama i ja.

Pochyłam się i całuję Genevieve. Dziewczyna jest drobna, subtelna, niższa od Nicole. Prawdopodobnie będę miał małe wnuki, ale jeden olbrzym w rodzinie wystarczy.

Lor obejmuje jedną ręką Mike'a, drugą mnie. Patrzy raz na mnie, raz na syna.

— Jakie to wspaniałe, że będę miała dwóch żonatych mężczyzn w rodzinie. Wiesz, Mike, twój tato i ja byliśmy już po ślubie, a ja byłam w ciąży, gdy on był w twoim wieku.

Domyślałam się, że powiedziała to do mnie. Tak, to prawda. Wydaje mi się, że dzisiaj młodzi ludzie są mniej dojrzały. Lor nie wspomniała jednak, że miałem już dyplom i pracę. Uczyłem w szkole średniej. Zarabiałem wtedy 527 dolarów miesięcznie, co wówczas, w połowie lat pięćdziesiątych, wystarczało, by utrzymać rodzinę. Nie wiem, co zamierza robić Mike, ale uśmiecham się do niego.

Nicole wciąż trzyma w objęciach Geneviève, jakby chodziło o jej życie. Trajkocze coś do niej po francusku. Ja mam straszliwy akcent, gdy mówię po francusku, ale rozumiem wszystko, co mówi Nicole.

— Boże, Geneviève, musisz być szczęśliwa! Poślubisz najbardziej interesującego mężczyznę, jakiego znam. Chyba zdajesz sobie sprawę, że wygrałaś los na loterii. A jeśli zmienisz decyzję, powiadom mnie. Nie mam nic przeciwko małemu kazirodztwu.

Mike słyszy wszystko, co plecie Nicole.

— Okay, Nickie — odparowuje. — Jesteś druga w kolejce. Jeśli Geneviève rozmyśli się, wezmę pod uwagę twoją propozycję.

Unikam wzroku Nicole. Jeśli nasze spojrzenia spotkają się, pozna, że już wiem. Co to za diabelskie miejsce, ta Kalifornia, gdzie kobieta pragnie dziecka, pomimo że nie może liczyć na mężczyznę i zdaje się na rodzicielską pomoc. Nie mogę w żaden sposób tego zrozumieć, ale zaczynam pojmować, co próbowała mi powiedzieć Loretta.

Tymczasem wspaniała potrawa stygnie. Ben narzeka jak zwykle przy kominku. Maggie płacze w kącie. Łzy płyną strumieniem po jej twarzy. Znosi się od płaczu. Również na nią patrzę z bólem.

Nic na to nie poradzę, że myślę o jej wspnianym weselu w młynie. Podrobiłem świadectwo chrztu, więc George mógł poślubić ją w kościele na wzgórzu. Maggie nie przywiązuje wagi do religii, ale chciała mieć ślub w staroświeckim wiejskim kościółku. Na wesele przyjechała z Ameryki moja siostra z mężem. Moja siostra Joan pomogła Maggie uszyć suknię ślubną. Mój stary przyjaciel od przeszło trzydziestu lat, Syl Bernstein, którego córka Maggie odbierała kwiaty na naszym weselu — potem nadaliśmy imię naszej córce na jej cześć — grał na skrzypcach w czasie mszy. Śpiewaliśmy pieśni ze *Skrzypka na dachu*. Rozpłakałem się, kiedy goście zaśpiewali:

*Gdzież jest teraz
ta dziewczynka maleńka,
którą nosiłem na rękach?*

Potem rozbawił wszystkich wakacyjny temat *Słońce wschodzi i zachodzi*.

Po mszy tańczyło w naszej stodole przeszło pół setki wieśniaków. Bałem się, że dach stodoły zwali się na weselników. Kiedy wielkie stado krów przyszło do wodopoju i zaczęło zapadać się w błocie przy brzegu stawu, wesele nabrało naprawdę czarodziejskiego uroku. Mężczyźni pobiegli ratować grzęznące w błocie zwierzęta.

Jednak największe wzruszenie wywarła na nas strzelanina, którą usłyszeliśmy, wychodząc w orszaku weselnym z kościoła przy wtórze skrzypiec, na których grał przez całą drogę Syl Bernstein. Za każdym razem, gdy mijaliśmy jakiś dom, rozlegała się palba, jakby właśnie wybuchła wojna.

W dolinie Morvandeau panuje stary zwyczaj, który polega na tym, że młodzieńcy ze strzelbami biegną przed orszakiem weselnym i kryjąc się za węglami stodoł, wypalają w powietrze na wiwat.

Później udaremniłem inny regionalny zwyczaj. W stodole, gdzie odbywały się tańce, wieśniacy rozpalili ognisko, do którego zamierzali zgodnie z tradycją wrzucić stertę mokrej słomy i petardy. Upłynęło sporo czasu, zanim przekonałem ich, że panna młoda jest nerwowa i wcale by się to jej nie spodobało.

Tkwie tu jak kołek w płocie, nie ośmielając się spojrzeć ani na Maggie, ani na Nicole, ani na Lor, ale uśmiecham się. Trudno mi również spojrzeć na Mike'a. Na jego twarzy maluje się uśmiech kota z Cheshire. Ten uśmiech pojawia się na twarzy mojego syna, gdy chłopak czuje się zdenerwowany i winny. Mike zaciska wąskie wargi, ukrywając zęby. Przysięgam, że jego niebieskie oczy zezują jak oczy syjamskiego kota, gdy zamierza skoczyć na ofiarę. Nauczyłem się rozpoznawać ten uśmiech. Kiedy Mike uśmiecha się w ten sposób, należy trzymać język za zębami i zejść mu z drogi. To wersja uśmiechu mistrza zen — wyrażającego zarazem wrogość, rozpacz, zadowolenie.

Wolałbym być ślepy, skoro nie mogę zobaczyć wszystkiego. Może gdybym był ślepcem, pisałbym jak Homer. Nie, wcale nie jestem podobny do Homera, nie bardziej niż uprzykrzona mucha, brzęcząca nad uchem.

Czuję, że muszę grać dalej.

— Okay, usiądźmy do stołu i uczcijmy to wielkie wydarzenie. Jedzenie wystygnie.

Nicole podnosi kieliszek.

— Najpierw chcę wznieść toast.

Wszyscy podnosimy kieliszki. Może wreszcie zaczniemy jeść. Nicole rozgląda się, patrzy wszystkim w oczy. Nic się przed nią nie ukryje.

— Za rodzące kobiety i mężczyzn skorych do żeniaczki!

Wypijamy łyček. Stoimy przy stole — oprócz Bena, który wciąż tkwi przy kominku. Maggie przesuwa swój kieliszek. Oczy ma mokre od łez, więc wyciera je papierową chusteczką. Mówi cicho, zdławionym głosem:

— Za długie szczęście w małżeństwie, takie jak mamy i taty!

Wypijamy następny łyk. Zaczynam się obawiać, że będziemy wznosić toast za toastem jak rosyjscy dyplomaci.

Istotnie, mam rację. Łamię sobie głowę, by wymyślić coś, co nie zabrzmiałoby fałszywie, coś, czego nie będę później żałować. Lor wygłasza swoją przemowę:

— Byście zdrowi byli, żyli długo i szczęśliwie, a wasze małżeństwo nie było takie jak nasze, ale ciekawe, spełnione i trwało aż do końca waszego życia!

Zapada chwila ciszy. Próbuję zrozumieć, co miała na myśli. To czasem przypomina tłumaczenie wyroczni delfickiej. Teraz moja kolej. Ben wciąż trzyma się z boku.

— Za życie i za waszą wspólną radość życia!

Nie wykroczyłem poza swoje granice.

Mike odwraca się do Geneviève. Ma czerwoną twarz, kropelki potu nad górną wargą.

— Och, nie, Michaelu!

Mike stara się ją ośmielić. Geneviève podnosi kieliszek.

— Mam nadzieję, że Mike i ja będziemy szczęśliwi przez sto lat i nigdy nie będziemy się kłócić.

Zwraca się niepewnie do Mike'a:

— Prawda, Michaelu?

Nicole podchodzi do Bena, ciągnie go za ramię.

— Rusz się, Ben! Twój starszy brat zamierza się ożenić. Czy nie życzysz mu szczęścia w tym wielkim dniu?

Chłopak niechętnie pozwala się podnieść z fotela i zaciągnąć do stołu. Przez cały czas

wpatruje się w ziemię. Trzyma sztywno swój kieliszek, jakby wyciągał rękę w pozdrowieniu na jednym z obrazów Dawida.

— Okay, za szczęście! Kiedy wreszcie zabierzemy się do jedzenia?

Jego słowa przełamują napięcie i przywracają ład rodzinny. Siadamy do stołu. Na szczęście indyk nie jest taki zimny, jak myślałem. Dzięki ogrzanym talerzom pieczone wcale nie wystygło. A możliwe, że zdawało się nam tylko, iż toasty trwają w nieskończoność. W istocie wszystko jest wystarczająco ciepłe. Nadzienie, sos od pieczeni, indyk, ziemniaki, sos żurawinowy smakują wybornie; nie są zbyt gorące, więc można rozkoszować się w pełni ich smakiem. Myślałem, że nie będę miał apetytu, ale jem za dwóch.

Przy stole toczy się ożywiona rozmowa. Maggie i Nicole zamęczają Mike'a i Geneviève, wypytując na zmianę to po francusku, to po angielsku o szczegóły. Kiedy zdecydowali się na ślub? Czy będzie ceremonia ślubna? Czy wezmą ślub kościelny tak jak Maggie?

Z tej gorączkowej paplaniny zorientowałam się, że wesele odbędzie się niebawem, wezmą tylko ślub cywilny i to we Francji. Dzięki temu Mike uzyska francuskie obywatelstwo, jeśli zechce tego. Wciąż jednak nie wiem, z czego młodzi będą żyli? Geneviève wspomina coś o pracy na poczcie, ale to wszystko. Czy Mike zamierza zostać we Francji? I jaką pracę dostanie? Martwię się okropnie, ale nie mogę nic poradzić na to wszystko. Mam naturę człowieka, który lubi się martwić. Więc?

Staram się jeść powoli, nie łykać w pośpiechu. Jakże łatwo zaniedbujemy zasady dobrego wychowania! Na deser jemy pyszny placek z dynią, niespodziankę, którą upiekły Maggie i Lor. Puskę dyni przywiozła z Ameryki Maggie, która teraz cieszy się jak dziecko, widząc, jak zajadamy się smakowitym ciastem.

— Pomyślałam, że podczas obiadu bożonarodzeniowego nie może zabraknąć placka z dynią. Chyba pomyliłam gwiazdkę z Dniem Dziękczynienia, ale okazało się, że zrobiłam dobrze, hej?

Pomagamy sprzątnąć ze stołu. Włącza się nawet Ben, który strzepuje okruchy z obrusa i serwetek. Właściwie wchodzimy sobie w drogę i bardziej przeszkadzamy sobie wzajemnie niż pomagamy.

Kieruję się w stronę toalety, ale wychodzę przez boczne drzwi wprost na groble.

Jest niewiarygodnie ciepło. Wieje wiatr z południa, więc śnieg topnieje w oczach. W zamglonym świetle figury z naszego żłóbka na lodzie wydają się gładze, nieostre, przypominają po trosze rzeźby Henry'ego Moore'a. Staw jest wciąż zamrożony, ale teraz nie odważyłbym się wejść na lód. Schodzę z grobli na drogę. W gospodarstwie Calvetów palą się światła, ale przez okiennice domu madame Le Moine nie przedostaje się blask lampy. Stoję na środku drogi i przeciągam się. Czuję się przejezdony. Jestem przygnębiony, ale być może to tylko wina południowego wiatru, który czasem działa na mnie w ten sposób.

Wchodzę do garażu, by zobaczyć, czy Mike zdjął z opon linki. Jeśli śnieg stopnieje, nie będą mu potrzebne. Kucam obok motocykla i sprawdzam opony. Linki są w strzępach, niektóre zaplątały się w osie. Jazda z nimi mogłaby być niebezpieczna.

Szukam dużej latarki, którą przechowuję tu na wszelki wypadek. Kieruję snop światła na koła. To będzie wymagało trochę roboty. Rozglądam się za nożem i kombinerkami. Próbuje odwinąć linkę. Po chwili dochodzę do wniosku, że robota pójdzie mi łatwiej, jeśli podniosę motocykl na stojaczkach i zostawię silnik na wolnym biegu. Zabieram się do tego, gdy słyszę czyjeś człapanie w błocie, a potem odgłos skobla i otwierają się drzwi.

— Jezu Chryste! Nie musisz tego robić, tato! Linki wystrzępiły się w drodze, kiedy wyjechaliśmy z domu Geneviève, ale byliśmy już tak spóźnieni na kolację i tak niecierpliwi, że postanowiłem zejść później do garażu i obciąć je. Nie wiem, w jaki sposób zawsze odgadujesz, że coś jest nie tak, i natychmiast zbiegasz co sił, by doprowadzić to do porządku. To chyba jakiś

szczególony talent albo magia.

Nie trzeba do tego ani szczególnego talentu, ani magii. Odziedziczyłem ów szósty zmysł po matce, która zawsze wiedziała zawczasu, że coś zmaluję, zanim jeszcze pomyślałem, by, to zrobić. Byłem przekonany, że moja matka jest czarownicą.

Wstaję z kucek, a Mike ciągnie linkę, kręcąc kołem, by wyplątała się z osi. Linka jest wytłuszczona i pokryta supłami. Klękam na jedno kolano i obcinam wystrzępione końcówki. Linki nie sposób wyplątać do końca z kół. Pracujemy w milczeniu. Wiem, że powinienem powiedzieć coś, a może tylko odegrać moją rolę Dagwooda. Chyba zapytam go wprost.

Pomyśleć, że nie znam imion dzieciaków Dagwooda. Wiem, że go pies wabi się Daisy, a dzieci ma w tym samym wieku, co ja, ale nie znam ich imion. To musi coś oznaczać, prawda, panie doktorze?

— Czy naprawdę chcesz się ożenić, Mike? — odzywam się w końcu.

Chłopak nawet się nie odwraca.

— O co ci chodzi, tato?

— Myślę, że Geneviève jest w ciąży i ty tylko chcesz jej ulżyć?

— Nie. To nie jest tak!

Odcinam dwie linki z przedniego koła. W żaden sposób nie udało mi się ich rozwiązać. Domyślam się, że Mike zawiązał je na marynarski węzeł.

— Gdzie będziecie mieszkać, Mike? Z czego żyć? Sam nie znoszę, kiedy robię się taki ojcowski, ale jestem twoim ojcem, więc muszę z tobą porozmawiać. Chyba za mało rozmawiałem z Maggie o jej małżeństwie. Ona sama decydowała o wszystko i sam widzisz, co z tego wynikło!

Mike pracuje, siedząc w kucki w taki sam sposób, jak zwykło to robić mój ojciec. Chłopak może wytrzymać przez godzinę przykucnięty, oporządzając motocykl, kiedy ja już po pięciu minutach dostaję skurczu mięśni. W tej dziedzinie przeskoczył mnie o całe pokolenie. Mike wreszcie odwraca się i patrzy na mnie.

— Nie martw się o Peg. Ona pomału dojdzie do siebie. Możliwe, że ona i George popełnili błąd, pobierając się, to wszystko.

Obciąłem linki i wstałem. Mike reguluje latarkę, by skupić światło na drugiej stronie koła. Zapalam lampę i siadam okrakiem na motocyklu, kierując snop światła prosto przed siebie. Obaj mamy na sobie tylko swetry, ale nie odczuwamy zimna.

Nasze oddechy parują w wyziębionym, wilgotnym powietrzu. Mike siada teraz na tylnym siedzeniu motocykla, obejmując koło nogami.

— Odchodzę z uczelni, tato, więc nie wysyłaj już czeku na chesne. Geneviève i ja będziemy mieszkać we Francji. Ona znalazła małe mieszkanko w dwudziestej dzielnicy, które można wynająć tylko za sześćset franków miesięcznie. Myślę, że dostanę pracę w sklepie monsieur Costy, który zaangażuje mnie w charakterze ucznia. Prawdopodobnie będzie mi płacił cztery tysiące franków miesięcznie. Z tym zarobkiem i pensją Geneviève, która będzie pracowała na poczcie, powinniśmy dać sobie radę. Prawdopodobnie otrzymam *carte de travail*, jeśli ożenię się z Geneviève.

— Czy właśnie tego chcesz, Mike? Twój dziadek i pradziadek, i wielu moich wujków było stolarzami. To ciężka praca, z której trudno wyżyć. Posłuchaj, Mike! Wystarczy, że wytrzymasz jeszcze dwa lata i zrobisz doktorat i otrzymasz akademicką legitymację związkową. Nie uzyskałem stopnia doktora, ponieważ ożeniłem się zbyt wcześnie. Nie zniosę myśli, że popełniłeś ten sam błąd. To może zaważyć na całym twoim życiu.

— Twoje życie wcale nie wygląda tak źle, tato. Byłbym niezmiernie rad, gdyby moje życie było choć w połowie takie jak twoje.

Czy nie powiedziałem za dużo? Nie chcę się pokłócić z synem. Chciałbym tylko, by zobaczył i drugą stronę medalu. Nikt nie potrafi wnikać do duszy drugiego człowieka. Jestem wstrząśnięty słysząc, że Mike uważa moje życie za tak wspaniałe. Boże święty!

— Posłuchaj, Mike! Jeśli wrócisz na uczelnię tylko na rok, otrzymasz dyplom uprawniający do nauczania i prawdopodobnie uzyskasz tytuł magistra. To wystarczy, byś mógł otrzymać pracę na całym świecie, nawet tutaj we Francji w szkole międzynarodowej, w której uczy mama lub na przykład w szkole amerykańskiej. Wspomożemy was finansowo przez ten rok, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jeśli wrócisz na uczelnię i uzyskasz dyplom, utrzymasz poziom życia, do jakiego jesteś przyzwyczajony. Ale najpierw musisz zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcesz się ożenić? Czy robisz to dlatego, że żal ci Geneviève, gdyż strasznie przeżywa rozwód swoich rodziców? Chcemy ci pomóc, ale też nie chcemy, żebyś potem żałował, że wplątałeś się w coś, co zmieniło twoje życie w piekło?

Mike wyplątuje ostatnie kawałki linki z osi. Sprawdza również przednią oponę. Podnosi się, prostuje się, staje na baczność, ziewa. Możliwe, że próbuje mi powiedzieć, że jest zmęczony tą rozmową i chce, byśmy przestali o tym mówić. Nie, to tylko zmęczenie.

— Tato, czy sam byłeś tak zupełnie pewien wszystkiego, kiedy poślubiłeś mamę? Czy nie mając wątpliwości, że ją kochasz, nie martwiłeś się jednak, czy uda się wam żyć zgodnie, skoro tak różnicie się charakterem? Mama miała bogatą rodzinę, próbowała uciec od bogactwa, prawda? Czy nie martwiłeś się z tego powodu i nie czułeś do niej żalu? Chyba pragnąłeś ją uchronić przed światem?

Przerywa. Schodzę z motocykla, świecę latarką na klepisko. Niemożliwe wręcz, że mój syn jest taki bystry. Jak doszedł do tego wszystkiego? Jego życie powinno być lepsze od mojego. Niechętnie myślę o tym, jak mało wiedziałem o swoich rodzicach, gdy byłem w jego wieku. Byli dla mnie tylko źródłem, z którego zaczęła płynąć rzeka mojego życia. Nie wiedziałem nawet, skąd przybyli, dopóki nie umarli, kiedy miałem czterdzieści pięć lat.

Mike otwiera drzwi, by wpuścić trochę światła z dworu, zanim zgaszę latarkę.

— Oto jak się mają moje sprawy, tato! Czasem mam pewność, że podjąłem słuszną decyzję, a potem zdaje mi się, że się mylę. Zastanawiałem się już nad tymi wszystkimi sprawami, o których mówiłeś. Nie mogę zagwarantować nic, co dotyczy mnie samego czy Geneviève. To ryzyko, ale sądzę, że wystarczy mi woli, by je ponieść. Porozmawiam z Geneviève na temat mojego powrotu do Kalifornii i zrobienia dyplomu. Nie mogę sam podjąć żadnej decyzji, która może zaważyć na naszym wspólnym życiu, już nie. Cieszę się, że proponujesz mi pomoc, ale chyba powinienes najpierw porozmawiać o tym z mamą? To również jej pieniądze, prawda?

— Mike, kiedy już przeżyjesz trzydzieści lat w małżeństwie, sam zapomnisz powiedzieć swojej żonie o wielu sprawach. Tak to już jest!

— To wszystko, co mogę powiedzieć, tato, zrozum mnie!

Mike otwiera szerokie wrota. Gaszę latarkę, zawieszam na ścianie nad wodomierzem. Wychodzimy ze stodoły prosto topniejący śnieg i błocko. Obchodzimy młyn i wspinamy się groblę. Przystajemy na chwilę i patrzymy na topniejące z wolna figury na lodzie, potem wchodzimy do środka.

Sprzątanie już prawie skończone. Lor wypłukała wszystkie naczynia w zlewozmywaku. Maggie i Geneviève, wycierając je, ucięły sobie pogawędkę po francusku. Nicole spogląda na nas, ścierając stół.

— Cóż, faceci zawsze mają na wszystko czas! Najeść się i pozostawić bałagan kobietom, niech sprzątną, to ich dewiza. To typowe dla mężczyzn!

Ale nie ma goryczy w jej głosie, uśmiecha się. Mike wiesza kurtkę na wieszaku.

— Walczyliśmy z niedźwiedziami polarnymi i wilkami, Nick. Wokół młyna grasuje cała

zgraja tych bestii. Próbowaliśmy upolować trochę zwierzyny, ale było za ciemno.

Dopiero teraz zauważam, że zapomniałem zapalić świeczki na choince. Równie dobrze mogę zrobić to teraz. Wchodzę do kuchni i wyciągam zapałki ze skrzyneczki, którą Mike zrobił dla Lor.

Nicole kładzie obrus na stole i przestawia dzban z gałązkami ostrokrzewu ze stołu na młyńskim kamieniu na stół, przy którym jadamy. Chcę zapalić najpierw świeczki u samego wierzchołka drzewka, potem pozostałe, nie pomijając żadnej, gdyż trudno zapala się zapomnianą świeczuszkę, która zagubiła się gdzieś w gęstym igliwiu, kiedy reszta świeczek już płonie. Nicole pomaga mi w tym przyjemnym zajęciu.

— Jeśli naprawdę chcesz włączyć elektryczne lampki, tato, możesz to śmiało zrobić. Byłam po prostu w złym nastroju.

— Nie, to tylko rezerwa, Nickie. Na wypadek, gdyby wypaliły się świeczki, a ja byłbym zbyt leniwy, by otworzyć nową paczkę świeczek, osadzić je w lichtarzykach i zapalić. Wy trwamy przy staroświeckim zwyczaju.

Kiedy palą się już wszystkie świeczki, robimy krok do tyłu, by sprawdzić, czy nie pominęliśmy żadnej i zachwycamy się rozświetloną choinką, która jaśnieje blaskiem maleńkich płomyków. Reszta rodziny siedzi przy stole i wpatruje się w drzewko. Ben wrócił na fotel na biegunach, odłożył jednak książkę. Spogląda na przemian w ogień i na jaśniejącą choinkę. Mike zaczyna nucić *W żłobie leży*, potem śpiewamy kolędę, która ma taką samą melodię jak *Zielone rękawy*. Nigdy nie mogę zapamiętać jej słów. Lor i Nicole mają dobrą pamięć, więc wtórujemy im. Mike kładzie się na łóżku. Geneviève wyciąga się obok narzeczonego i kładzie głowę na jego piersi. Żadna z tych kolęd nic nie znaczy dla niej.

Intonuję następną kolędę *Il est ne le divine enfant*. Geneviève obrzuca mnie prędkim spojrzeniem, uśmiecha się i śpiewa z nami. Cieszę się ogromnie, że ta śliczna Francuzka będzie należeć do naszej rodziny. To wspaniałe, że zyskamy nową córkę. Śpiewamy kolędy, dopóki nie gaśnie ostatnia świeczka na choince. Obserwujemy dogasający ogarek, jak gdybyśmy patrzyli na kogoś, kto umiera, walczy ze śmiecią, mruga, migocze, potem ostatecznie gaśnie i zamiera. Przez kilka minut pozostajemy tylko w blasku ognia, który płonie w kominku, odbijając się w bombkach choinkowych.

Niebawem Mike i Geneviève zrywają się, by pojechać do jej domu. Wyczuwałem, że dziewczyna była niespokojna, martwiła się o skłóconych rodziców. Mówię Mike'owi, że może pojechać samochodem. Drogi są pełne topniejącego śniegu i błota, więc ochlapią się, jadąc motocyklem. Dają synowi kluczyki.

— Nie zapomnij, że trzeci bieg nie działa, hamulce zawodzą, sprzęgło ślizga się, a okno się nie domyka.

— I co jeszcze nie działa, tato? Czy kiedykolwiek miałeś sprawny samochód? O ile dobrze pamiętani, nigdy nie prowadziłem twojego wozu, który nie miałby przynajmniej trzech niesprawnych części.

Daje mi przyjaznego kuksańca. Mówi cichym głosem, który graniczy z szeptem:

— Porozmawiam z Geneviève o sprawach, o których mówiłeś: Dziękuję ci jeszcze raz za propozycję, ale nie zapomnij uzgodnić jej z mamą!

Wcześniej niż zwykle Maggie i Nicole udają się do łóżek. To był długi, wyczerpujący dzień. A poza tym nikt nie spał zbyt długo poprzedniej nocy. Sam padam z nóg. Ben przynosi swoje składane łóżko, materac i ustawia przy kominku. Kiedy dziewczęta są już na stryszku, włączam elektryczne lampki choinkowe. Ich ciepły blask stapia się z blaskiem ognia w kominku. Loretta włożyła już swoją flanelową koszulę nocną. Kiedy Ben wychodzi do toalety, by przebrać się,

prędko zrzucani ubranie i wkładam nową piżamę. Co za wspaniały gwiazdkowy upominek! Kładę się do łóżka, gdy Ben wraca z toalety. W jednej ręce trzyma swoje złożone ubranie, a w drugiej kilka prezentów gwiazdkowych. Kładzie paczuszki pod choinką, potem wślizguje się do śpiwora, kładzie okulary i zegarek na stole i wyciąga się na długość łóżka. Ben, oczywiście, zamierza cieszyć się własnym Bożym Narodzeniem.

Zastanawiam się, co dostał w prezencie od nas. Staram się zgadnąć, czy ma coś dla Mike'a, Nicole i Maggie. Wątpię w to. Ben przełożył swoją gwiazdkę na jutro. To zagadkowy chłopiec. Mam nadzieję, że pozostałe dzieci nie poczują się zranione, jeśli nie znajdą nic. Nie mogę się zdecydować, czy powinienem wstać i wyłączyć lampki choinkowe, lecz wnet zapadam w głęboki sen.

VII

SIEDEM ŁABĘDZI PŁYWA PO STAWIE

Budzę się w ciemności. Zdawało mi się we śnie, że ktoś potrząsnął mną, by mnie obudzić. I naprawdę otworzyłem oczy. Nie muszę pędzić do łazienki, więc nie może być późno. Wszyscy śpią. Słyszę równe spokojne oddechy ze stryżku i z łóżka Bena. Podnoszę się, by doglądnąć ognia. Polano, które dorzuciłem ostatnio, jest w trzech czwartych wypalone. Powinienem dołożyć dwa kłocę więcej, ale na dworze jest ciepło, więc to raczej niekonieczne. Kładę się z powrotem do łóżka. Próbuję zobaczyć, która jest godzina, ale jest zbyt ciemno, bym dostrzegł cyferki rozspanymi oczyma. Czuję, że nie zdołam zasnąć pomimo zmęczenia. Głowę zaprzatają mi niespokojne myśli. W końcu decyduję się wstać, napić się wody, by wypłukać resztę wina, które wypilem wczoraj do kolacji, dorzucić do ognia i wysuszać się. Dzięki temu może uda mi się jakoś przeczekać noc.

Przesuwam się do ściany, odkrywam się z jednej strony. Potem prześlizguję się ostrożnie w nogach łóżka, by nie obudzić Lor. Najpierw wypijam dwie szklanki wody tak zimnej, że aż rozboleły mnie zęby. Lor zawsze podgrzewa wodę, myjąc zęby, i nigdy nie pije jej prosto z kranu, nawet w lecie. Zwykle nalewa wodę do dzbana i czeka, aż woda ociepli się w temperaturze pokojowej. Podsyłam ogień, dokładając dwa upatrzone wcześniej polana. Wypracowaliśmy przez lata naszą własną metodę podsycania ognia, która polega na nieustannym dostarczaniu opału. Biegamy po drewno, dokładamy do ognia, budzę się nawet w nocy, by dołożyć drewna. Postanowiłem, że wysusiam się na dworze. Wsuwam stopy w pantofle, których używamy wspólnie z Lor. Biorę małą latarkę, odsuwam butlę gazową od drzwi, wychodzę i zamykam za sobą cichutko drzwi, potem zapalam latarkę. Sikam z werandy wprost do małego wodospadu na stawie, który szumi w dole. Zamarzłe kaskady płyną znów jak przed nadejściem mrozu.

Ostrożnie idę po śliskiej grobli. Świecę latarkę na nasz lodowy żłóbek. Czuję się tak, jakbym obserwował tonący „Titanic”.

Mógł mnie obudzić huk pękającego lodu. Topniejące figury zmieniły się w kuliste bryły. Trudno rozpoznać w nich nasze wspaniałe rzeźby. Jednak wciąż wystają nad powierzchnię stawu, choć tafla popękła i zanurza się, toteż i figury z wolna pogrążają się w wodzie. Dwóch spośród trzech króli już zniknęło w wodzie, wielkie kule śnieżne pływają w ciemnej toni. Ostatni z mędrców świata stopił się w niekształtną bryłę na grobli. Woda powoli, bezlitośnie zatapia pozostałe postaci. Na moich oczach zatapia się pasterz kłęczący przy żłóbku i Dzieciątko. W stawie pływają kozły do drewna, z których zrobiliśmy żłóbek. Maria, Józef i zwierzęta pogrążają się błyskawicznie w wodzie. W ciągu dziesięciu minut nie ma śladu po naszych rzeźbach.

Jest mi zimno. Mimo że wieje ciepły wiatr, odczuwam zimno.

Schodzę ostrożnie ze stopnia na stopień, zdając sobie sprawę ze swojej kruchości. Jak łatwo mógłbym poślizgnąć się na schodach pokrytych tającym śniegiem, upaść, złamać kość. Śmierć dopada nas niepostrzeżenie. Tylko nam się wydaje, że możemy pokonać ją, gymnastykując się, odżywiając się właściwie, biegając, uprawiając jogę. Przecież nikt nie pokona tygrysa, polując nań ze złości. Świecę latarką na termometr. Jest dziesięć stopni Celsjusza powyżej zera. Oświetlam tarczę zegarka. Właśnie mija północ.

Cały się trzęsę, gdy zsuwam z nóg mokre i zimne pantofle i układam się z powrotem w wygodnym łóżku. Nie potrafię chyba wyjaśnić Lor, w jaki sposób przemoczyłem pantofle, które wkładamy na zmianę. Mamy takie same stopy. Chyba powinienem wstać i położyć mokre buty

koło kominka, by wyschły. Nie, nie mogę tego zrobić. Za bardzo się trzęsę. Wiem, że nie uda mi się zasnąć. Loretta odwraca się i zasłania listą rękami. Całuję jej dłonie; palce Lor są tak wrażliwe jak wargi.

— Przepraszam, Lor. Czy obudziłem cię?

— Nie, już nie spałam.

— Wyszedłem na dwór.

— Wiem.

— Przemoczyłem pantofle.

— Sprawdź jak bardzo. Nie martw się tym.

— Czy nie sądzisz, że powinienem położyć je koło ognia, by przeschły?

— Nie. Nie martw się tym. To nie ma znaczenia.

Kładzie się na boku. Nie jestem pewien, czy ma otwarte oczy.

— Przyglądałem się, jak złóbkę tonie w stawie. Lód stopniał i stajenka ześlizgnęła się do wody. Wyglądało to zupełnie jak tonący statek.

— To smutne, mój drogi. Miałam nadzieję, że nasze rzeźby przetrwają aż do wyjazdu dziewcząt. One tak bardzo się starały.

Czuję, że Lor jest na wpół śpiąca. Mówi cichym i łagodnym głosem, tak czystym jak nigdy dotąd. Powinienem zamknąć się i zostawić ją w spokoju, ale czuję się bardzo samotny. Obejmuję ją ramieniem. Lor odwraca się plecami do mnie, wypinając swój cieplutki tyłeczek.

— Wszystkiego najlepszego, Lor!

— Czy nasza rocznica ślubu nie przypada jutro, mój drogi!?

— Już jest jutro, kochanie. Już po północy. Minęło już trzydzieści lat od naszego ślubu! Czy możesz w to uwierzyć?

— Owszem, ale pobraliśmy się w Illinois, toteż mamy jeszcze siedem godzin w zapasie. A poza tym wzięliśmy ślub dopiero o dziewiątej rano. A więc nasza trzydziesta rocznica ślubu przypada dopiero za szesnaście godzin. Trzydzieści lat to poważny jubileusz.

Wiem już, że obudziła się naprawdę. Nikt nie potrafiłby przeprowadzić tych obliczeń na wpół śpiąc.

— Rozmawiałem z Mike'em. Zamierza zatrudnić się w stolarni monsieur Costy i zamieszkać w Paryżu. Chce rzucić studia.

— Jeśli Mike naprawdę tego chce, nic na to nie poradzimy. Nigdy nie wierzyłam, że on naprawdę chciał zostać paleontologiem. To takie niepodobne do niego. Myślę, że wplątał się w jakąś skomplikowaną sprawę.

— Taak, może? Ale ja martwię się, że być może on wcale nie chce się ożenić. A robi to w ten sposób, w jaki zajął się pracą naukową, a więc znów decyduje przypadek.

— Prawie o wszystkim decyduje przypadek, mój drogi. Przestań się tak zamartwiać. Pogódź się z tym, co i tak się musi zdarzyć! Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Ufaj, że wszystko potoczy się dobrze!

Przewracam się znowu na wznak. Loretta pozostaje w poprzedniej pozycji, odwrócona plecami do mnie. Słyszę, jak gałęzie drzew uderzają o dach. Jeśli nie przytnę ich, mogą uszkodzić dachówki. Zanim wyjedziemy z młyna, poproszę Bena, by przytrzymał mi wysoką drabinę i zetnę parę gałęzi. Tymczasem porozmawiam z Lor.

— Próbowałem przekonać Mike'a, by pozostał na uczelni i uzyskał dyplom. Wtedy mógłby wszędzie dostać pracę nauczyciela, może nawet w szkole międzynarodowej w Paryżu. Powiedziałem mu, że pomożemy im, zanim on uzyska dyplom. Czy zgadzasz się na to?

— Oczywiście, Will. Zgadzam się na wszystko, co tylko pomoże im stanąć na własnych nogach i żyć szczęśliwie. Nic więcej nie ma znaczenia.

Przewraca się na plecy. Rozbudziła się zupełnie i wpatruje się w sufit.

— Wobec tego muszę się zastanowić. Jeśli Nicole spodziewa się dziecka i będziemy musieli jej pomóc, a ty weźmiesz roczny Urlop, w czasie którego otrzymasz tylko połowę pensji, a jeszcze kto wie, jak poradzi sobie Maggie, gdy rozwiedzie się z George'em i skąd weźmie na honorarium dla adwokata, jeśli nie od nas, a do tego jeszcze Mike i Geneviève... Nie wiem, jak sami przeżyjemy.

Loretta odwraca się do mnie, podnosi się na łokciu i głaszcze mnie po piersi. Całuje mnie w policzek, potem muska leciutko w usta.

— Poradzimy sobie ze wszystkim, mój drogi. Przestań się martwić! Założę się, to wcale nie pomaga na twoje ciśnienie, kiedy tak tłuczysz się po nocy jak nocny marek. Nie ma żadnych wielkich zmartwień. Wszyscy jesteśmy zdrowi. A jeśli chodzi o pieniądze, możemy sprzedać dom twojej matki.

Siadam na łóżku. Lor odwraca się. Pochylam się nad nią.

— Ależ, Loretto, to nasze gniazdo rodzinne! Oprócz tego młyna mamy tylko ten dom. Chyba żartujesz! To jedyne miejsce, do którego powrócimy na starość.

Lor uśmiecha się do mnie. Potem obejmuje delikatnie rękoma moją głowę i przyciąga czule do siebie, mocno całuje mnie w usta. Nie całowaliśmy się od dawna w ten sposób. Prawie już zapomniałem, jakie to przyjemne, jakie Lor ma delikatne i czułe usta. Teraz patrzy mi prosto w oczy.

— Posłuchaj, mój drogi! Mimo mojego ostatniego wypadku, mam na myśli spóźnioną miesiączkę, nie mamy już nic wspólnego z wysiadaniem piskląt, więc niepotrzebne nam gniazdo rodzinne! Ta część naszego życia minęła bezpowrotnie. Myślę, że nie ma lepszego sposobu, by wydać pieniądze niż zainwestować w gniazda naszych piskląt, w ich pisklęta. Sądzę, że twoi rodzice odczuwali to w ten sam sposób. Pracowali ciężko, by zarobić. Zapewne, gdyby żyli, wydaliby właśnie w ten sposób swoje pieniądze.

Więc nie zrozumiałem znowu. Sam jednak nie potrafię rozstrzygnąć tej sprawy. Potrzebna mi była rada Lor. Przytulałam się mocniej do mojej mądrej żony.

— Jak mogłaś wyjść za takiego postrzeleńca, Lor? Nie spełniłem żadnej obietnicy. Poślubiłaś kogoś, kto chciał zostać sławnym filozofem, ale nic z tego nie wyszło. Na domiar złego ugrzęzłaś w obcym kraju z dala od dzieci, od naszego jedyne wnuka. Musisz pracować, byśmy mogli związać koniec z końcem. Kiepsko wyszłaś na tym małżeństwie. W każdą rocznicę naszego ślubu pytam ciebie, również dziś, choć trzydziesta rocznica przypadnie według twoich obliczeń dopiero za piętnaście godzin, czy chcesz się rozejść? Myślę, że mało się zmieniłaś przez te lata. Dlaczego nie odejdziesz? Z tego, co przeczytałem o seksie, Johnson i Masters skazaliby nas na dwadzieścia lat codziennych sesji zmysłowych, w trakcie których musielibyśmy się pobudzić oboje, ale nie wolno byłoby nam odbyć stosunku. Czy jesteś pewna, że chcesz brać udział w tym treningu?

Z początku nie mogę poznać, czy Lor śmieje się, czy płacze. Całe jej ciało trzęsie się, drży. Potem uświadamiam sobie, że moja żona śmieje się i płacze na przemian. Obejmuję ją mocniej. Kiedy przybliżam twarz do jej twarzy, wiem już, że płacze. Jej policzki są zimne, mokre od łez.

— Zostanę z tobą, Will! Nigdy nie znałam lepszego i miłszego człowieka niż ty. Niewiele kobiet może to powiedzieć o swoich mężach. Ale proszę, daj mi jeszcze trochę czasu.

Wszystko zostało już powiedziane. Przytulałyśmy się mocno. Myślę, że Lor zaśnie w moich objęciach. Rozluźniam się i wyprężam plecy. Czuję się, jakbym miał orgazm. Czuję się lekki jak ptak i rozpływam się jak wosk. Nie dręczą mnie już złe myśli. To przyjemne uczucie. Czy inni ludzie doświadczają wielu takich chwil jak ta? To taka niepowtarzalna chwila.

Przesuwam się, obracam w lewo, wpatruję się w kamienną ścianę w ciemności, obserwuję jak błyszczą kamienie, połyskując różowopomarańczowym odblaskiem w świetle ognia, przechodzącym w szary błękit, ciemną ochrę — naturalną barwę kamienia, tam gdzie nie dochodzi blask ognia. Mogę tak wytrwać tylko przez kilka chwil. Jeśli pozostanę dłużej w tej niewygodnej pozycji, dostanę postrzału, jeśli zasnę, wyskoczy mi znowu dysk i będę miał zepsute całe święta. Ale czuję się tak wspaniale, jakbym próbował zakazanego owocu. Taka chwila to prawdziwy gwiazdkowo—rocznicowy prezent.

Jestem przekonany o jednym. Nie można pokochać nikogo, dopóki nie pokocha się samego siebie. Stąd biorą się wszystkie moje problemy. Chyba gdzieś przekroczyłem granicę i straciłem złudzenia.

Miłość, jeśli to coś więcej niż szacunek, podziw, namiętność, ma jakąś tajemniczą właściwość, dzięki której dzieli uczucia drugiej osoby — jej radość, smutek, rozkosz, rozpacz. Jesteś szczęśliwy, jeśli ona jest szczęśliwa i płaczesz razem z nią. Przewracam się na plecy, wpatruję w belkę pod sufitem i żałuję, że sam nie potrafię tak kochać. Zasypiam.

Kiedy budzę się, jest już jasno. Śnieg stopniał na świetliku w połaci dachowej, więc mogę zobaczyć przez szybę poruszające się lekko gałęzie drzew.

Rozglądam się i widzę, że Ben już wstał. Wyniósł nawet składane łóżko i materac, a ogień w kominku płonie mocniej. Słyszę, jak Lor krząta się w kuchni. Ze stryszku dochodzi chichot i krzątania dziewcząt. Lor spogląda na mnie.

— Więc obudziłeś się w końcu! — Patrzy na zegarek. — No cóż, za sześć godzin minie trzydziesta rocznica naszego ślubu.

Wyciągam rękę i patrzę na zegarek. Lor ma rację. Jest już prawie dziesiąta. Nie pamiętam, ażeby spał tak długo w tym roku. Zeskakuję z łóżka i wyglądam kołdrę. Czuję się bardzo wypoczęty, ale ociężały. Otrzepuję poduszki i rozpościeram brązową narzutę. Loretta obejmuje mnie z tyłu.

— Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy, Will. Możesz się umyć w gorącej wodzie, zanim zejdą dziewczęta. One dzisiaj wyjeżdżają z Mike'em i Geneviève do Paryża. Nie mogą się doczekać, żeby się trochę zabawić w starym, wesołym Paryżu. Za kilka dni Mike i Geneviève wrócą tutaj.

Jest podniecona. Wciąż poruszam się na zwolnionych obrotach, ale wracam do siebie. Myję się szybko. Wczoraj pocilem się nerwowo, więc myję się porządnie gorącą wodą i mydłem. Używam jednej z gąbek, które Lor kupiła nam na gwiazdkę, potem rozpryskuję odrobinę perfum, które podarowałem Lor. Zawsze obdarzam w nadziei, że otrzymam jeszcze cenniejszy dar. Szybko ubieram się moje wyjściowe ubranie. Wzுவam buty, kiedy schodzą dziewczęta. Nicole czeka na dole, kiedy Maggie podaje jej torby.

— Cześć, tato! Już myśleliśmy, że umarłeś. Czy dobrze spałeś?

— Sądzę, że tak. Nic nie pamiętam. Rozmyślałem i nagle poczułem się tak, jakbym dostał cios obuchem w głowę od karateki w amerykańskim wydaniu, który wali zniecka w łepetynę torbą z piaskiem.

Schodzi Maggie, zeskakując z ostatniego stopnia.

— Wszystkiego najlepszego, tatusiu, z okazji waszej rocznicy! Mamie już złożyłam życzenia. Nie mogę sobie wyobrazić, że jesteście już trzydzieści lat po ślubie.

Nickie składa swoje rzeczy przed drzwiami do piwnicy.

— Pomyśleliśmy, że zjemy jubileuszowe śniadanie, a potem wyruszymy w drogę.

Podchodzi do lodówki i wyciąga butelkę szampana.

— Spójrz! Wstawiliśmy szampan do lodówki wczoraj wieczorem. Wszystko robimy jak

należy.

Nicole ma na sobie ten sam kostium, w którym przyjechała. Wtedy musieli przejechać tę długą drogę przy otwartym oknie, ale tym razem nie powinno być tak zimno. Ben wyciąga spod choinki swoje dwa prezenty. Kładzie na stole obok naszych talerzy.

— To są gwiazdkowe prezenty — wyjaśnia — ale prezenty z okazji waszej rocznicy ślubu. Moim zdaniem jestem jeszcze zbyt młody, by dawać rodzicom prezenty na gwiazdkę, a poza tym prezenty z okazji jubileuszu są o wiele ważniejsze.

Lor podchodzi i daje mu lekkiego kuksańca, który nie powinien go zdeprymować. Kładzie wafel na moim talerzu.

— Chodź, Will, zacznij jeść! Ben, odpakujemy prezenty, kiedy wypijemy szampana.

— Jasne.

Lor przynosi wafle, które pałaszujemy ze smakiem. W trakcie śniadania słyszymy, że mój stary ford zatrzymuje się przed młynem. Po chwili Mike i Geneviève wchodzi po schodach. Gawędzą wesoło. Wszystko wskazuje na to, że humor im dopisuje. Raz po raz wydają radosnym śmiechem. Zastanawiam się, czy zawsze byli tacy rozbawieni, czy tylko wydawało mi się, że byli oboje zrozpaczeni?

— Witajcie! Przepraszamy za spóźnienie. Mieliśmy ciężką drogę z powodu ślizgawicy, a poza tym poszliśmy wczoraj późno spać, więc trochę zaspaliśmy.

Zasiadają przy stole. Lor upiekła trochę wafli na zapas, więc przysiada z nami. Naprawdę więcej przyjemności sprawia mi to wspaniałe domowe śniadanie niż przyjęcie w restauracji madame Le Page, które zamierzaliśmy urządzić z okazji naszej rocznicy ślubu. Czujemy się tak lekko, tak swobodnie jak: w dniu naszego ślubu. Weselne śniadanie zjedliśmy o dziesiątej trzydzieści w mroźny słoneczny poranek nazajutrz po Bożym Narodzeniu w restauracji hotelowej w Chicago, gdzie z okien roztaczał się wspaniały widok na jezioro Michigan.

Nicole otwiera butelkę szampana. Rozlewa pewnie, nie roniąc nawet kropelki na obrus, do kieliszków stojących w okręgu. Nie mamy specjalnych kieliszków do szampana, więc trzeba nie lada zręczności, by napełnić kieliszki do wina pieniącym się płynem. Nickie nalewa również kieliszek dla Bena. Wznosimy kieliszki. Wszyscy spoglądają na mnie. Patrzą na Lor, która skinęła głową.

— Okay, ale tym razem będzie tylko jeden toast.

Nie mógłbym znieść kolejnej dawki emocji. Rozglądam się po twarzach.

— Za minione trzydzieści lat, które wcale nie były tak łatwe, jak wiele tu obecnych osób sobie to wyobraża, ale warto było je przeżyć. Małżeństwo to nie dzbanek pełen słodkich wiśni, ani łożo usłane różami, ani nic podobnego. To również nie tylko łożo. Małżeństwo to stałe wzajemne podtrzymywanie się na duchu i wzajemne uwielbienie dwojga ludzi.

Wyciągam rękę, by stuknąć się z Lor. W tej samej chwili wszyscy trącają się kieliszkami, nawet Ben. Pijemy powolutku. Szampan ma wspaniały smak, jest wystarczająco zimny, wytrawny i ma lekki posmak pestek winogronowych. Ben wacha musujący płyn, potem wypija malutki łysek, wyciera nos i odstawia kieliszek.

— Otwórz prezent, tato!

Odstawiam kieliszek i odwiązuję sznurek, by rozpakować prezent, który leżał obok mojego talerza. Ostrożnie odwijam papier, potrząsam pudełkiem, przykładam do ucha, by zgadnąć, co może być w środku. Robię to w taki sposób jak mój tato, który zwykł otwierać podarki, uśmiechając się i zgadując zawartość. Czy Ben i Mike będą tak samo zachowywali się wobec swoich dzieci? Założę się, że tak.

Kiedy otwierani pudełko, wydaje mi się, że nie zdołam powstrzymać łez. Myślałem, że mocny, głęboki sen pomoże mi jakoś utrzymać nerwy na wodzy. Ale moje oczy napełniają się

łzami, gdy wyjmuję prezent. Skąd Ben mógł wiedzieć? Przecież nigdy o tym nie wspomniałem.

Odwracam kulę, stawiam znów na stole. W środku szklanej prószki wolniutko śnieg nad wystylizowanym bałwankiem, tory trzyma miotłę na kiju, ma cylinder, oczy z czarnych węgielków i nos z marchwi. Wszyscy podziwiają prezent. Ben uśmiecha się szeroko, jak nigdy.

— Cóż, kupiłem go, kiedy obiecałeś mi, że będzie padać śnieg. Teraz mamy prawdziwy śnieg i zrobiliśmy prawdziwe bałwanki, więc to tylko mały dodatek do naszej gwiazdki.

— Otwórz swoje pudełko, mammo!

Lor otwiera zręcznie paczuszkę, bez ceregieli, ale i bez pośpiechu, tak jakbyśmy oglądali w zwolnionym tempie film o kimś, kto rozpakowuje coś, rozplątując mnóstwo supełków, jeden za drugim, by wreszcie po mozolnym wysiłku dostać się do środka. Wreszcie Lor wyciąga wystylizowaną na staroć przeglądarkę z otworem w boku służącym do wsuwania slajdów.

W specjalnym pudełku znajduje się około dwudziestu slajdów. Ben wyciąga jeden ze slajdów z przegródki i wsuwa w otwór z boku przeglądarki. Twarz Lor rozjaśnia cudowny uśmiech.

— To przepiękne, Ben!

Ben przykłada obok niej, reguluje gałkę na wierzchołku.

— Spójrz, mammo! Czy patrząc na ten obrazek, nie masz wrażenia, że tam jesteś? To bardziej prawdziwe niż w rzeczywistości.

Lor podaje mi przeglądarkę. Oglądam stado wielbłądów stojących przed piramidami egipskimi. Pustynny krajobraz jest utrzymany w łagodnej tonacji sepii. To jakby wejrzenie w przeszłość. Odsuwam przeglądarkę od oczu. Każdy detal jest starannie wykończony. Wszystkie slajdy są oszklone i oprawione w drewnianą rameczkę. Ben jest tak podniecony, że drżą mu ręce.

— Wypatrzyłem to cudo w Marche Aligre. Właściciel sprzedał mi przeglądarkę, opuszczając cenę do połowy, kiedy zobaczył, że nie mogę oderwać oczu od slajdów. Wiesz, odkryłem po raz pierwszy, jak wspaniale być samemu świętym Mikołajem. To naprawdę pomaga w życiu.

Lor całuje Bena w jego pokryty miękkim meszkiem policzek. Trochę go to rozbija, choć stara się opanować wzruszenie.

— Dziękuję ci, Ben. To cudowny prezent. Z pewnością spędzę wiele godzin, wpatrując się w te magiczne widoki i pokażę je moim pierwszoklasistom. Wiem, że spodobają się im, tak jak mnie. Zgadzasz się na to?

Ben przytakuje.

Potrząsam raz po raz szklaną kulą z bałwankiem w środku, obserwując jak spadają płatki śniegu, wspominając taniec w leśnym domku Mike'a, budowanie żłóbka z puszystego śniegu, topnienie lodu na stawie i zatonięcie śnieżnych figur. To wspaniała pamiątka tych pięknych dni. Ilekroć spojrzę w tę kulę, tylekroć proszący śnieg wywoła w mojej pamięci wspomnienie tych cudownych chwil.

Mike stoi z kieliszkiem w ręku i stuka widelcem w brzeg talerza. Patrzymy na niego. Jest bardzo poważny.

— A ja zdecydowałem się ogłosić naszą ostateczną decyzję. Geneviève i ja postanowiliśmy, że powinienem wrócić do Kalifornii i uzyskać dyplom. Tymczasem ona będzie pracować na tutejszej poczcie. Będzie mieszkała z matką i zaoszczędzi trochę. Tym razem jeszcze nie dajemy na zapowiedzi. Ślub będzie za rok, a ogłosimy go w przyszłe Boże Narodzenie.

Obrzucam Geneviève szybkim spojrzeniem. Dziewczyna uśmiecha się do Mike'a. Zastanawiam się, jak dadzą sobie radę. Martwię się, czy nie wtrąciłem się za bardzo w ich sprawy, ale to oni sami podjęli taką decyzję. Uświadamiam sobie, że gnębi mnie znowu dziwne poczucie winy.

Teraz Nicole puka w brzeg swojego talerza. Jej poważną twarz rozjaśnia leciutki uśmiech.

— Posłuchajcie, ludkowie! Wracam do szkoły. Później zamierzam uczyć się rzeźbienia w

kamieniu razem z człowiekiem, z którym chciałam przyjechać tutaj na Boże Narodzenie. Mam nadzieję, że porozmawiam z nim o czymś trwałym. Nie nadaję się na przenajświętszą Marię Pannę. Widziałam, co dzieje się z samotnymi Mariami pannami — wszystko topnieje w oczach, lód przechyla się, zanurza i figury pogrążają z wolna pod wodą. Chcę żyć razem z moim mężczyzną i sprawić, by zrozumiał, jak bardzo go kocham. Muszę przekonać go, by przyjechał tutaj ze mną, nawet jeśli będę musiała łupnąć w ten jego zakuty łeb jednym z jego młotów albo wbić ostre dłuto w jego pierś. Jestem pewna, że uczynię z niego wspaniałego męża i ojca. Wszyscy go polubicie. On naprawdę wie, czym jest miłość. Teraz marnuje ją wśród kamieni i betonu. On mógłby wykuć całe Morvan w gigantycznej skale i uczynić to miejsce sławnym na cały świat.

Spoglądam na Lor. Uśmiecha się i wygląda, jakby wierzyła w to wszystko.

Dopijamy szampana, pałaszujemy ostatnie wafle. Dziewczęta pakują się. Mike i Geneviève wychodzą na dwór. Kiedy zamykają za sobą drzwi, Lor rzuca mi się w ramiona. Stoimy w objęciach, gdy drzwi znowu się uchylają i ukazuje się w nich Maggie, która zamyka je za sobą. Przygląda się nam. Wciąż obejmujemy się.

— Mamo, tato! Mam nadzieję, że przyjmiecie to ze spokojem, ale ostatecznie zdecydowałam się rozwieść. Może wyda się dziwne, ale pomogliście mi podjąć tę decyzję, choć wiem, że nie chcecie, bym się rozwiodła z George'em. Pomiędzy mną a nim nigdy nie będzie tak jak pomiędzy wami. Strasznie mi przykro z powodu Setha. On i George tak bardzo się kochają. Nie mogę znieść myśli o ich rozdzieleniu, ale muszę żyć na własny rachunek, własnym życiem. Najbardziej nie chcę martwić was obojga. Jestem dorosła. Poradzę sobie sama.

Zaczęła śmiało, ale zanim skończyła mówić, z jej oczu popłynęły rześiste łzy. Nie wystarczyły jej nawet dwie papierowe chusteczki, by wytrzeć mokłą twarz.

Kiedy dochodzimy do drogi, mój stary ford jest tak wyładowany bagażami, że Nicole tylko z trudem udaje się wcisnąć na tylne siedzenie. Maggie sadowi się obok niej. Geneviève kuli się obok Mike'a.

Zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy w nastroju, by odegrać wielką scenę pożegnalną, toteż niecierpliwimy się.

Mike rusza i samochód skręca na drogę. Dziewczęta kiwają nam przez otwarte okna, kiedy wspinają się na wzgórze Vauchot do domu rodziców Geneviève, by zabrać jej torby. Mam nadzieję, że ten stary gruchot nie rozleci się w drodze.

Boże, zaczynam znowu. Wszystkie moje kłopoty zaczynają się w ten sposób. Myślę, że to choroba. Lor pochyla się nade mną, kładzie mi rękę na ramieniu.

Czy już czas? Rozglądam się, by sprawdzić, czy jesteśmy sami. Nigdzie nie widzę Bena. Nawet nie przyszło mi na myśl, że mógł zejść, by się pożegnać. Łudzę się, że reszta dzieciaków była tak podekscytowana wyjazdem, że nawet nie zauważyli jego nieobecności.

Odwracam głowę, by spojrzeć na Lor. Wciąż wpatruje się w zakręt, za którym samochód wspina się na wzgórze Vauchot. Boże, mam nadzieję, że uda mi się przejść przez to wszystko, nie raniąc jej. Nie chciałbym, by pomyślała, że jestem nikczemnym egoistą. Nie jestem już pewien, jak się zachowam. Wszystko, w co wierzyłem i co cenilem, ulega rozpadowi, znika. Czuję, że stałem się taki sam jak wszyscy ludzie.

Przemyślałem już to wszystko dziesięć tysięcy razy, próbując się z tym pogodzić. Teraz jednak jestem tak bezbronny i skrzywdzony jak wtedy, gdy się o tym dowiedziałem.

Odsuwam się od Lor i biorę ją pod ramię, spoglądając w jej piękne, uciekające gdzieś oczy. Pod wieloma względami jest nawet piękniejsza niż wtedy, kiedy spotkałem ją po raz pierwszy w Evanston. Jej oczy skrzą się niezwykłym blaskiem, twarz rozjaśnia ten jej nieświadomy uśmiech,

który jednak nie przesłania jej smutku, znużenia. Jej głos jest cichy, opanowany, tak różny od tego, co dzieje się w mojej duszy.

— Przyznasz, że pięknie obchodziliśmy trzydziestą rocznicę naszego ślubu, Will? Czy dzieciaki nie były cudowne?

Wciąż patrzę w jej oczy, szukając w nich oparcia. Zaczynam tracić odwagę. Może powinienem trochę poczekać. Ale nie chcę wracać do młyna, do naszego bożonarodzeniowego domu, zanim cały jad nie ujdzie ze mnie. Czuję, że czekałem za długo. Nigdy nie zdołałem wypowiedzieć słów, które powinny być powiedziane, i nic się nie zmieni w naszym związku. Lor oddali się ode mnie jeszcze bardziej.

Zastanawiam się, czy nie zawiedzie mnie głos. Czuję się silny, a zarazem wewnętrznie spustoszony.

— Tak, Lor. Oni byli wspaniali. Nie sądzę, by ktokolwiek domyślił się naprawdę, że mogło to być nasze ostatnie wspólne Boże Narodzenie. Próbowałem im to powiedzieć, ale nie słuchali.

Uśmiech Lor powoli znika. Krew odpływa z jej twarzy, toteż roziskrzone oczy zdają się lśnić w zimnym świetle.

— Co masz na myśli, Will? Jestem pewna, że następnym razem, może już nawet w przyszłym roku, spędzą święta znowu z nami, a Maggie przyjedzie z Sethem.

— Nie mówię o nich, Lor. Chodzi mi o nas. — Czekam, biorę głęboki oddech. Wciąż mogę się wycofać, ale brnę dalej. — Naprawdę jest mi ciężko mówić o tym wszystkim, Lor, ale ja wiem o tobie i Pecie. Strasznie mi przykro.

Jej twarz staje się nagle szara jak na wpół stały śnieg na poboczu drogi. Wciąż patrzy mi w oczy, ale z jej oczu zaczynają płynąć łzy. Wciąż trzymam ją pod rękę. Nie odzywamy się, wpatrujemy się w siebie w milczeniu, tak jak nie patrzyliśmy na siebie od wielu lat. Z jakiegoś powodu mam suche oczy. Nie mogę płakać. Może dlatego, że myślałem o tej chwili tyle razy, tak długo, lękając się jej, odkładając wszystko na później, chcąc mieć to już za sobą, udając, że to się nie zdarzy. Ale właśnie to się zdarzyło, więc teraz czuję się wewnętrznie wolny, jakbym rozwiązał wreszcie trudny problem. Lor otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale wciąż nie odzywa się. W końcu opanowuje się.

— Proszę, Will. Odłóżmy tę rozmowę na później. Wejdzmy do środka!

— Przykro mi, Lor. Jeśli wejdziemy do środka, nigdy nie będę zdolny do tej rozmowy. W środku tyle rzeczy przypomina mi wszystkie nasze wspólne chwile, że nie mógłbym powiedzieć słowa. Czy nie rozumiesz tego?

— W porządku, Will. Przykro mi, że nie mogłeś poczekać jeszcze trochę. Sama chciałam ci powiedzieć o tym wszystkim, spróbowałam ci to wyjaśnić. Teraz już nigdy nie będziesz mi wierzył. Sądzę, że to ja zwlekałam zbyt długo.

— Wierzę ci, Lor. Zawsze wierzę tobie. Wiesz o tym. Tak było zawsze między nami.

Milczymy przez chwilę. Przyciągam Lor bliżej. Nie mogę dłużej znieść jej spojrzenia. Przyciskam ją mocno. Czuję, że coś ściska mi gardło i zbiera mi się na płacz, więc muszę się spieszyć.

— Teraz ty musisz uwierzyć mnie. Czy wiesz, że od razu podejrzewałem, że coś jest nie tak, Lor? Boże, to takie do mnie podobne. Pewnego sobotniego popołudnia, gdy prowadziłem wykład podczas małego seminarium, poczułem nagle, że ziemia zatrzęsa się pod mną. Ku memu zdumieniu odkryłem, że mam erekcję. Całe to doznanie trwało zaledwie kilka chwil. Nie wiem, co sobie pomyślała moja klasa. Sam myślałem, że miałem niewielki wylew albo słabiutki atak serca. Rozważałem później, czy nie pojechać do Ameryki, by przeprowadzić badania lekarskie. Miałem zamiar powiedzieć ci o tym, ale zapomniałem o wszystkim, jak zwykle. Wiesz dobrze, jaki jestem. To było jedenastego maja, półtora roku temu. Czy ta data cokolwiek znaczy dla

ciebie? Wiedząc to, co teraz wiem, sądzę, że miałaś wtedy pierwszy orgazm, wspaniały orgazm, którego nie udało ci się osiągnąć ze mną przez trzydzieści lat naszego małżeństwa.

Lor szlocha w moim ramionach. Przytulam ją mocniej. Tak bardzo słania się na nogach, że muszę ją podtrzymać. Ona nie odpowiada, tylko przytakuje głową, którą złożyła na moim ramieniu. Próbuję pozbierać się, by mówić dalej. To jest nawet trudniejsze, niż mi się wydawało. Wciągam powietrze głęboko do płuc.

— To zdarzało się później kilka razy, zwykle w soboty albo w te dni, kiedy zostawałaś dłużej w pracy lub wychodziłaś na zebranie. Nie było to jednak już nigdy tak silne jak za pierwszym razem, no i nie byłem już tak przerażony. Wówczas nie łączyłem tego z tobą. Myślałem, że tak przejawia się męska menopauza. Erekcja występowała nagle, a potem bolały mnie jądra. Przedtem nigdy nie miałem takich przypadkowych erekcji.

Czekam. Lor wciąż milczy. Teraz trzeba przejść do najtrudniejszej części rozmowy.

— Potem, pewnego dnia, kiedy nie było ciebie w domu, zadzwoniła pewna kobieta. Miała na imię Carolyn i płacząc przez telefon, powiedziała, że musi porozmawiać ze mną. To była żona Pete'a. Wiesz, jakie mam zdanie na temat amerykańskich żon, ale jej głos brzmiał tak żałośnie, że zgodziłem się spotkać z nią nazajutrz po sobotnich zajęciach. Wiedziałem, że nie będzie ciebie w domu. Ostatnio nie wracałaś wcześniej do domu w soboty. Zawsze znalazłaś jakąś wymówkę. A to jechałaś na wycieczkę do Luwru czy na wystawę, a to do oranżerii czy na przedstawienie w Comedie Francaise, czasem to były zakupy, inny razem wyjście do opery. Czułem, że jesteś szczęśliwa, więc również byłem szczęśliwy, choć brakowało mi ciebie. Carolyn przyszła do naszego mieszkania. Przyniosła kilka twoich listów do Pete'a. Wysyłałaś je do jego biura. Nie wiem, dlaczego zabrał te listy do domu. Przypuszczalnie były tak piękne, tak pełne miłości, że pragnął mieć je zawsze przy sobie. Wiem, że sam nosiłbym te listy w wewnętrznej kieszeni marynarki i nie rozstawał się z nimi, gdybym był ich adresatem. Carolyn chciała, żebym przeczytał je. Powiedziała mi, że to listy miłosne, pełne obrzydliwości. Była oszalała z zazdrości, zapiekła w swoim gniewie. Mimo makijażu miała pobielaną twarz. Oznajmiłem, że nie przeczytam tych listów. To były twoje prywatne listy do Pete'a. To nie byłoby sprawiedliwe, gdyby ktoś jeszcze zajrzał do nich. Przyznam, że poczułem się głęboko zraniony, ale nie zaskoczony. W głębi serca cieszyłem się z twojej radości, twojego szczęścia. Czułem podświadomie, że znalazłaś kogoś, kogo wreszcie pokochałaś w taki sposób, w jaki nie mogłaś pokochać mnie. Myśl o tym sprawiła mi radość. Cieszyło mnie twoje szczęście. Musisz w to uwierzyć.

Próbuję odsunąć Lor, ażeby spojrzeć jej w oczy, ale przywiera do mnie z całej siły. Chcę zebrać myśli. Nie chcę wracać do tego samego.

— Wbrew wszystkim moim argumentom Carolyn pokazała listy Pete'owi. Powiedziała mu, że zamierza się rozwieść z nim i zabrać dzieci, jeśli on nie poprosi natychmiast o przeniesienie i nie zaprzestanie widywać się z tobą. Twierdziła, że gdyby wyjawiała gdzie trzeba kilka spraw, o których napisałaś w tych listach, zakazano by ci nauczania w szkole. Pete poprosił o przeniesienie. Wiemy, że widywał się z tobą od tamtego czasu, ale, oczywiście, nie powiedziałem tego Carolyn. Poza tym, ona nigdy nie uwierzyłaby mi, gdybym powiedział jej, skąd o tym wiem. Wybiłem jej z głowy myśl o zanieśieniu listów do dyrekcji szkoły. To nie było trudne. Odwiodła ją od tego przede wszystkim jej własna duma. Wymusiłem na niej obietnicę, że nie spotka się z tobą i nie urządzi ci publicznej awantury. Udało mi się to jej wyperswadować również bez większego trudu.

Czuję, że Lor sztywnieje w moich ramionach. Trzymam ją mocno, ale jej ręce zwisają bezwładnie. Nie patrzy na mnie. Właśnie ją zraniłem. Nie mogę znieść myśli, że ranie kogoś, kogo najbardziej kocham. Ale już prawie skończyłem. Muszę brnąć dalej. Nie chcę niczego

przyspieszyć, ale również nie pragnę ciągnąć tej rozmowy w nieskończoność.

— Teraz wiedziałem już, co oznaczało tamto dziwne doznanie. Na początku nie mogłem się pogodzić z tym wszystkim. Przez kilka dni nie mogłem pracować. Obserwowałem ciebie i wiele rzeczy, których nie rozumiałem poprzednio, stało się dla mnie jasne — twój sposób ubierania się, fryzura, a nawet sposób poruszania; znowu chodziłaś z wdziękiem. Przeczuwałem to od początku wiedziony podświadomą zazdrością. Czasem odczuwałem fizyczne dolegliwości. Wymiotowałem, rozmyślając o tym wszystkim. Rozumiałem jednak, że muszę z tobą porozmawiać szczerze i otwarcie. Tak bardzo chciałem, żebyś powiedziała mi o tym sama. Zastanawiałem się, ile Pete powiedział tobie, czy wiesz, że ja wiem.

Lor wciąż nie odpowiada. Stoi zeszywniała, odsunięta ode mnie, ale wciąż w moich objęciach.

— Kocham cię, Lor. Wiem, że strasznie cierpisz. Rozumiem, jak mocno kochasz Pete'a. Wiem, że nigdy nie zraniłabyś mnie, gdyby to uczucie nie znaczyło tyle dla ciebie. Wiem, że kochasz mnie na swój sposób. Rozumiem, jak trudno jest mnie kochać. Nie mam dobrych więzi z tym światem. Spędzam zbyt wiele czasu, miotając się niepotrzebnie, próbując zachować pewien ład i sprawić, by nie zapanował chaos, a robię z siebie głupca, starając się uwierzyć w tę tak zwaną rzeczywistość, o której istnieniu wszyscy tak łatwo przesądzają z góry, chociaż naprawdę jest tylko złudzeniem.

Lor pochyła się i patrzy mi w oczy. Ma rozpłonioną twarz, policzki błyszczące od łez. Potrząsa głową, ale nie dość szybko, by można uznać to za zaprzeczenie, i nie dość wolno, by poczytać to za wyraz niedowierzania. Spoglądam na dom madame Le Moine. Okiennice są wciąż zamknięte. Gdyby ktoś zobaczył nas, mógłby pomyśleć, że rozpaczamy z powodu wyjazdu dzieci.

— Posłuchaj, Lor. Wcale nie jest mi łatwo o tym mówić, ale muszę to zrobić. Zamierzaliśmy wydać mnóstwo pieniędzy na Nicole, ale już nie musimy tego robić. Dlaczego nie moglibyśmy wydać tych pieniędzy? Mogłabyś wziąć urlop na pracę badawczą poza obrębem uczelni. Należy ci się zaległy urlop. Jeśli chcesz, wybierz się do Connecticut, porozmawiaj z Pete'em i Carolyn. Zobacz, co z tego wyniknie! Chcę, żebyś zrobiła wszystko, by znowu stać się sobą, tą kobietą, którą kochałem przez te wszystkie lata. Nie chcę, żebyś zrobiła to tylko dla siebie, ale również dla mnie, dla naszej całej rodziny. Kiedy już dowiesz się, czego sama pragniesz, co możesz zyskać, a czego nie, pomyślimy, co zrobić dalej. Jestem przekonany, że to najlepsze wyjście dla nas wszystkich.

Stoimy bez ruchu. Lor przestała potrząsać głową. Przestała również płakać. Już prawie skończyłem.

— Lor, wiem tylko, że nasz związek nie był ostatnio taki sam jak w poprzednich latach. Nie chodzi mi o seks. Mam na myśli to, że nie dzieliliśmy się swoimi myślami, troskami, mieliśmy swoje sekrety. Chodziliśmy wokół siebie na paluszkach, udając, że nic nie zaszło, albo udając, że coś nas obchodzi. Odgrywaliśmy komedię, która źle wpływała również na Bena. Jestem pewien, że chłopak ucieka w fikcyjny świat swoich książek nie tylko dlatego, że odziedziczył niektóre cechy po mnie, ale również z tego powodu, że stara się nie widzieć, udając, że wszystko jest w porządku.

Lor wciąż ma opuszczone bezwładnie ręce. Cofam się, puszczam ją, potem łapię ją za ręce — są zimne jak lód. Patrę w jej oczy. Są puste, bezbarwne, martwe. To przeraża mnie.

— Lor, pragnę twojego szczęścia bardziej niż czegokolwiek innego. Gdybyś miała być nieszczęśliwa, pozostając ze mną, z dala od Pete'a, a ja zgodziłbym się na to, oznaczałoby to, że nie kocham cię prawdziwie. Czy rozumiesz? Proszę cię, żebyś zrobiła to, co sprawi, że będziesz znowu szczęśliwa, choćby było to nie wiem jak bolesne dla mnie!

Z moich oczu tryskają łzy, łzy egoizmu, radości, że wreszcie powiedziałem to wszystko, łzy ulgi, że zrobiłem to w końcu, być może na swoją zgubę. Nie wiem? Zawsze brakowało mi pewności.

Lor patrzy mi prosto w oczy. W jej spojrzeniu zawiera się zarazem siła i pytanie. Odsuwa się ode mnie, wysuwa ręce z moich dłoni.

— Will, to wszystko jest tak okropne. Najpierw chcę powiedzieć, że kocham cię i jest mi strasznie przykro z powodu tego wszystkiego, co się stało. Przepraszam, że w ten sposób dowiedziałeś się o tym. To wszystko musiało wydawać się tobie takie nędzne. Jak mogłam być tak ślepa, by tego nie widzieć. Nie ma sensu, bym próbowała ci wyjaśnić, co było pomiędzy Pete'em a mną. Byłoby to tak, jakbym spróbowała opowiedzieć sen, który był tak prawdziwy, tak intensywny, że nie można opisać go żadnymi słowami, a zarazem rozproszył się już gdzieś w oddali tak nagle, jak się zdarzył. Wiem, że nigdy nie chciałeś mnie zranić. To nie leży w twojej naturze. Jednak uczyniłeś to. Nie wiedziałam nic. Pete nigdy mi nie powiedział, że Carolyn znalazła moje listy. Nie wiedziałam, że to on poprosił o przeniesienie. Ciepłe wspomnienia, które zachowałam o nim w swym sercu, teraz wystudziły się, a nawet zacierają się przez to drobne oszustwo. Czy rozumiesz? Czuję się zdradzona. Nigdy nie myślałam, że mogłabym być bardziej nieszczęśliwa niż wtedy, gdy powiedział mi, że wraca do Ameryki, ale tak jest. Chciałabym umrzeć.

Jej głos jest tak napięty jak cięciwa. Szlocham jak dziecko. Pragnę ją objąć z całej siły, ale odsuwa się.

— Jedno, co dobre w tym wszystkim, to tylko to, że nie czuję się już winna. Mam na myśli to, że przez trzydzieści lat obwiniałam się z powodu naszego nieudanego pożycia seksualnego, ponieważ nie reagowałam na twoje pieszczoty. Myślałam, że to była moja wina, ale teraz już wiem, że nie jestem oziębła. Pod pewnym względem oboje, ty i ja, nie jesteśmy wzajemnie dopasowani. To ma związek z chemią czy czymś takim. Często mówi się, że partnerzy są niedobrani seksualnie. Myślę, że tak właśnie jest w naszym przypadku. Poślubiłam cię, bo byłeś jedynym mężczyzną, który nie przerażał mnie. Byłeś delikatny, nigdy nie wywierałeś żadnej presji na mnie. Nigdy nie zmuszałeś mnie do tego, czego nie chciałam robić. Teraz najbardziej dokucza mi twoje zaabsorbowanie teorią filozofii, ale wtedy podobało mi się to. Czułam, że mogłabym dzielić z tobą życie. Nie rozumiem, dlaczego ożeniłeś się ze mną?

— Poślubiłem cię, Lor, gdyż kochałem cię. To wszystko. Chciałem, żebyś została moją żoną. Chciałem mieć dzieci z tobą. Wiedziałem, że jesteś bardzo nieśmiała i skromna, i to podobało mi się w tobie. Lubiłem przebywać z tobą.

Lor przygryza wargę. Wiem z doświadczenia, że to oznacza, iż chce wyznać coś, co mnie zrazi, ale musi to powiedzieć. Przygryza wargę, jakby zadając sobie karę, albo może próbowała powstrzymać usta przed powiedzeniem prawdy.

— Will, myślę, że boisz się seksu, mnie, seksu ze mną. Sądzę, że brak ci silnego zwierzęcego popędu id albo libido, czy jak to chciałbyś nazwać. Wydaje mi się, że ja potrzebuję mężczyzny, który właśnie to posiada. Pete był takim mężczyzną. Prawdopodobnie znajdzie sobie kolejną kochankę, zanim przemieszka miesiąc w Connecticut. Po prostu taki jest. Teraz już wiem o tym. Myślę, że zawsze wiedziałam. Może jestem zwykłą flądą, która leci na każdego mężczyznę, może Carolyn miała rację, chcąc zanieść moje listy do szkoły? Cieszyłam się z tego, że jestem jego kochanką, oddawałam się miłości z nim bez opamiętania. To sprawiło, że moje życie stało się tak podniecające, że nie mogłem myśleć już o niczym innym. Przykro mi, Will, ale tak właśnie było. Taka po prostu jestem. — Wbija wzrok w ziemię. Potem znów podnosi oczy. — Ale pomimo to ja kocham cię, Will. Kocham cię za całą twoją miłość, za to, że kochasz nasze dzieci. Kocham cię wciąż z tych samych powodów, dla których wyszłam za ciebie i dlatego, że

lubię być z tobą. Ale to wszystko nie zmieni naszych problemów seksualnych. Chciałabym, żebyśmy mieli udane pożycie seksualne, ale nie jestem tak pewna, że to jeszcze możliwe. Przepraszam, Will. To nie jest twoja wina ani moja. Nie w tym rzecz.

— Myślę, że powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne. Ja będę dalej uczył. Ben może pozostać z tobą albo ze mną, jak tylko zechce. Możemy żyć razem albo osobno. Jak zechcesz. Muszę ci wyznać, że chciałbym żyć z tobą w dalszym ciągu i spróbować przezwyciężyć to wszystko, ale zrozumieć, jeśli nie zechcesz. Decyzja należy do ciebie.

Lor przygląda mi się przez chwilę, patrząc mi prosto w oczy.

— Wybacz mi, Will. Nie mogę już dłużej prowadzić tej rozmowy. Czuję się tak, jakbym miała zemdleć. Poza tym zostawiłam czajnik z gotującą się wodą na piecyku, a nie chciałabym spalić całego młyna.

Odwraca się. Obserwuję, jak z wdziękiem przechodzi wśród tych patyków i drzazg, które zostawiliśmy w miejscu, gdzie ciągnęliśmy bierwiona. Lor otwiera drzwi, przechodzi i zamyka je, nie oglądając się za siebie.

Obchodzę młyn i wspinam się na drżących nogach na groble. Jest mi zimno. Zapinam kurtkę na zamek błyskawiczny. Niebo rozjaśnia się i prześwituje błękit. Chmury płyną wolniej i rozpraszają się. Zapowiada się znów mroźna pogoda, ale nie zanośi się na śnieg. Przystaję na brzegu stawu, naprzeciwko drzwi do młyna. Lód prawie zupełnie stopniał. Patrzę w niewiarygodnie przejrzystą wodę. W stawie pływają jeszcze topniejące kule śnieżne, które wyglądają jak olbrzymie kulki naftaliny. Kawałek węża gumowego, z którego była zrobiona aureola malutkiego Chrystusa spoczywa pośród skał na dnie stawu.

Wsuwam ręce do kieszeni i wyczuwam coś twardego. To kamień, trzeci kamyk, którego nie rzuciłem na lód na zamrożonym stawie w mroźny poranek wigilijny. Mój ostatni kamień.

Wyjmuję kamyk z kieszeni — jest gładki, płaski i ciepły, gdyż ogrzało go moje ciało. Podnoszę rękę, przygotowując się do rzutu. Trzymam kamień przez chwilę, przyglądam mu się, potem przytkam leciutko, wyrzucając łukiem w wodę. Obserwuję, jak kamień osiada na dnie, kołyszając się w wodzie.

Spoglądam na staw, nad którym nie ma panien niosących mleko, ale nie trzeba mi panien ani mleka. Siedem łabędzi nie pływa po stawie. Pływa tylko tłusta szara gęś, która tapla się radośnie w wodzie sama jedna.

*Dziewięciu doboszów bębni,
Dziesięciu kobziarzy gra, na kobzach,
Jedenaście dam płąsa,
Dwunastu lordów podskakuje.*

*Dwunastu lordów podskakuje,
Jedenaście dam płąsa,
Dziesięciu kobziarzy gra na kobzach,
Dziewięciu doboszy bębni,
Osiem panien niesie mleko,
Siedem łabędzi pływa po stawie,
Sześć gąsek na trawie,
Pięć złotych pierścieni.*

*Cztery kukuleczki,
Trzy kuropatwy,*

*Dwie turkawki
I przepiórka*

Na gruszy. _____
